

## AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 9(74) Rok VI wrzesień 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvinet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvinet.pl

w numerze:

Piotr Baranowski • Maksymilian Bart-Kozłowski • Urszula Małgorzata Benka • Barbara Białowas • Mateusz Bourkane  
 Justyna Brzezińska • Lesław Czapliński • Emily Dickinson • Sławomir Fetter • Paweł Fijałkowski • Arkadiusz Frania  
 Jerzy Grupiński • Katarzyna Gryś • Marta Haberska • Lidia Heidt • Jerzy Hłond • Jacek Hnidiuk • Teresa Januchta  
 Katarzyna Jeziótkowska • Jerzy Adalbert Jucewicz • Stefan Jurkowski • Wiesława Maria Kacperska • Jacek Karolak  
 Marian Janusz Kawałko • Tomasz Kosecki • Mariusz Cezary Kosmala • Marcin Kossakowski • Jacek Krawczyk  
 Zbigniew Kresowaty • Michał Kuczborski • Maciej Kuczyński • Anetta Kuś • Alicja Leśniak • Tadeusz Lira-Sliwa  
 Zdzisław Tadeusz Łączkowski • Anna Makles • Wiesław Janusz Mikulski • Ariana Nagórska • Bernard Najderek  
 Franciszek Nastulczyk • Anna Obuchowicz • Daniel Odija • Daniel Olbrychski • Leszek Olszewski  
 Janusz Orlikowski • Agnieszka Osiecka • Piotr Paschke • Stefan Pastuszewski • Halina Petrykowska • Maria Piasecka  
 Kalikst Piechocki • Beata Anna Pokorska • Maciej Porzycki • Piotr Rakowski • Alfons Soczyński • Stanisław Stanik  
 Jadwiga Stróżykiewicz • Małgorzata Szatkowska • Andrzej Szuba • Lucyna Szubel • Małgorzata Szweda • Jacek Tabisz  
 Karolina Trojan • Mariusz Trynkiewicz • Barbara Tylman • Anna Wantuch • Amalia Woźniak • Jerzy Lucjan Woźniak  
 Włodzimierz Wysocki • Marta Zobeniak • Tadeusz Zubiński • Bożena Zys

## Arkadiusz Frania

## Czy można mówić o sprawie Miłosza i Szymborskiej?

Czy nobliści mogą i powinni być kontrowersyjni? Czy autorytet, jakim zostają obdarzeni niejako z urzędu, przyznaniem tej prestiżowej nagrody, nie powinni zawieszać sporów wokół ich twórczości i postaw moralnych?

Wydaje mi się, iż wyróżnienie Akademii Szwedzkiej na pewno wpisuje autorów do kanonu najwybitniejszej literatury światowej, bo trudno sobie wyobrazić, iż mogłaby zostać doceniona słaba, licha, niskich lotów poezja czy proza. Można przypuszczać zatem, że wartość artystyczna pozostaje poza komentarzem. Jedynym, o co warto wodzić spór, jest postawa moralna, wycierająca z utworów, bądź wypowiedzi i komentarzy odautorskich. Sprawa jednak jest o wiele bardziej skomplikowana, niż moglibyśmy sobie wyobrazić, gdyż najbardziej niebezpieczne jest wartościowanie świata i jego przejawów (a więc i piśmiennictwa) według schematu czarno-białego, który, co prawda, jako „doskonałe narzędzie” ułatwia ocenę, ale pozbawia proces poznania subtelności, a przedmiot poznania – odcieni.

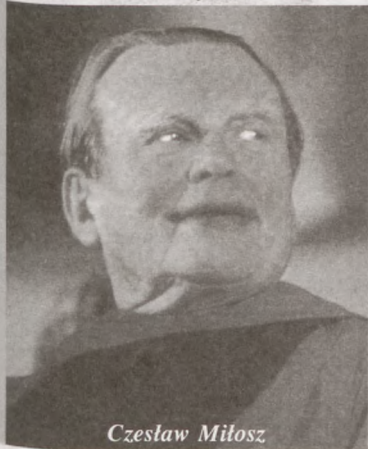
By wyjść poza zakłętą krąg rozważań teoretycznych zastanówmy się, czy należy mówić już o sprawie Szymborskiej i Miłosza? Jednocześnie pragnę się zastrzec, iż moje uwagi nie mają pretensji do konkluzji i wniosków ostatecznych, są raczej, spisany na brudno, luźnymi zdaniem. Mam wrażenie, iż życiorysy naszych nobli-

stów zaczynają krwawić, a jakiegokolwiek próby polemiki czy zwykłego przypomnienia faktów, budzą sprzeciw i gromy bezkrytycznych zwolenników, wszelkie zaś plamy w *curriculum vitae* są wywabiane bądź przynajmniej przemilczane. Pozostaje rozstrzygnąć dylemat, czy przemilczenie jest fałszowaniem prawdy?

W przypadku Szymborskiej mamy do czynienia z socrealistycznym epizodem w twórczości i biografii, który w pierwszym zakresie został – jak sądzę – rozliczony definitywnie w pracy ANNY LEGEŻYŃSKIEJ pt. *Wisława Szymborska*, opublikowanej w serii „Czytani dzisiaj”. Prawdą jest, iż dwa pierwsze tomiki poetki *Dłatego żyjemy* (Warszawa 1952, wyd. 2. Warszawa 1954) i *Pytania zadawane sobie* (Kraków 1954) są rzadko omawiane, a wiersze z nich pochodzące zostają pomijane w wyborach i antologiach. Symptomatyczny jest, wydany przez poznańskie Wydawnictwo a5 w 1996 r. (tuż po przyznaniu autorce nagrody Nobla), retrospektywny tom *Widok z ziarenkiem piasku. 102 wiersze*, w którym za właściwy debiut uważa się – co sugeruje spis wierszy – zbiór *Wotanie do Yeti* z 1957 r. Sama poetka wstydzi się tego okresu, wprost tłumacząc, iż uległa doktrynie przez zwykłą naiwność, wiedzona przekonaniem o słuszności wyznawanej idei. Sprawy te podjęła w rozmowie z Wojciechem Li-gęzą:



Wisława Szymborska



Czesław Miłosz

dokończenie ze str. 1

„Poezja dużo lepiej niż proza nadawała się do wygłaszania, agitowania szybciej i skuteczniej. Myślowo nieskompilowana, językowo też, przeznaczona była do budzenia raczej emocji niż refleksji. Takie były i moje wiersze z dwóch pierwszych tomików. Byłam wówczas głęboko przekonana o słuszności tego, co piszę – ale stwierdzenie to nie zdejmuje ze mnie winy wobec tych czytelników, na których moje wiersze może jakoś oddziaływały. [...] Gdyby nie smutek, to poczucie winy, to może nawet nie żałowałabym doświadczeń tamtych lat. Bez nich nigdy bym nie wiedziała, co to takiego jest wiara w jakąś jedyną słuszność. I jak łatwo jest wtedy nie wiedzieć tego, czego wiedzieć się nie chce. I do jakich akrobacji umysłowych można się posunąć przy konfrontacji z cudzymi racjami. Zrozumiałam też, że miłość ludzkości jest uczuciem bardzo niebezpiecznym, bo najczęściej prowadzi do uszczęśliwienia ludzi na siłę. No i wreszcie jeszcze jeden wniosek: że można z tego zaślepienia jakoś się otrząsnąć, że jednak można wyzdrowieć...”<sup>1</sup>

Jak widać z powyższej wypowiedzi, poetka do dnia dzisiejszego nie pozbyła się winy i nie rozgrzeszyła tego etapu swojej twórczości. A. Legeżyńska rzeczowo ocenia „owocność socrealistycznej pomyłki” Szyborskiej, wypuklając zdobycze dwóch pierwszych tomów, zwiastuny późniejszej poetyki autorki, miejsca odejść od schematu liryki agitacyjnej i panegirycznej. Socrealistyczną daninę miała tworzyć tematyka: *praca, pokój, właściwe wybory ideologiczne*. Po stronie zalet krytyczka wymienia m. in. rymy nieregularne, lirykę roli, chwyt enumeracji, wylczenia, „autentyzm uwarstwieni”, wrażliwość ekologiczną, wrażliwość na krzywdę i ból, humanizm. „To, co było dla poetki ważne u progu jej twórczości, przetrwało. Człowieczeństwo problem społeczny, w najszerszym i najlepszym tego określenia znaczeniu. Człowieczeństwo wobec wszelkich przejawów ograniczenia wolności, czyli autonomii istnienia człowieka i nie-człowieczeństwo. Bez wątpliwości dawno zniknął z wierszy Szyborskiej horyzont polityczny. Istnieje wszakże nadal horyzont społeczny”<sup>2</sup>.

W innym miejscu czytamy także: „Owocność socrealistycznej pomyłki polegała w przypadku Szyborskiej na tym, iż poetka nauczyła się sztuki dystansu i nieufności zarówno wobec nazbyt prostej etyki, jak i ułatwionej estetyki”<sup>3</sup>.

Kilka ciekawych uwag na temat owej „pomyłki” dorzuca STEFAN PASTUSZEWSKI na marginesie recenzji zbioru *Chwila*, opublikowanej (pt. *Cudeńka z niczego*) na łamach „*Akantu*” (2003, nr 7, S. 58-59), wskazując na „zimne wyrachowanie” całej poezji noblistki.

Znacznie poważniejszy, bo jątrzący się jak nie zagojona rana, jest epizod biograficzny. Wydobycie go z zamierzczłej epoki stalinizmu wywołało bez wątpliwości największą w ostatnich dziesięcioleciach awanturę literacką, która doprowadziła do rozłamów w szeregach Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich i dużego szumu w prasie, nie tylko literackiej. Przypomnę, iż w grudniu 2002 r. w VIII tomie *Prozy, prozy, prozy...* ukazał się tekst KONRADA STRZELWICZA pt. *Hańba domowa*, traktujący o dwuznacznym moralnie zachowaniu 53 literatów krakowskich, którzy w dniu 08.02.1953 r. podpisali rezolucję, popierającą proces szpiegów amerykańskich rzekomo związanych z krakowską Kurią Metropolitalną.

Oto treść owego aktu, przywołanego przede mną jedynie z powodów faktograficznych:

„W ostatnich dniach toczył się w Krakowie proces grupy szpiegów amerykańskich, powiązanych z krakowską Kurią Metropolitalną.

My, zebrani w dniu 8 lutego 1953 r. członkowie krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, wyrażamy bezwzględne potępienie dla zdrajców Ojczyzny, którzy, wykorzystując swe duchowe stanowiska i wpływ na część młodzieży skupionej w KSM, działali wrogo wobec narodu i państwa ludowego, uprawiali – za amerykańskie pieniądze – szpiegostwo i dywersję.

Potępiliśmy tych dostojników z wyższej hierarchii kościelnej, którzy sprzyjali knowaniom antypol-

skim i okazывали zdrajcom pomoc oraz niszczyli cenne zabytki kulturalne.

Wobec tych faktów zobowiązujemy się w twórczości swojej jeszcze bardziej bojowo i wnikliwie niż dotychczas podejmować aktualne problemy walki o socjalizm, ostrzeżenie i wywołanie wrogów narodu – dla dobra Polski silnej i sprawiedliwej”.

Wśród osób, którzy rezolucję podpisali, była m. in. Szyborska.

Dodajmy, iż w marcu 2003 r. Zarząd Główny Towarzystwa Pamięci Narodowej im. Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Krakowie zwrócił się do Rady Miasta Krakowa z wnioskiem o pozbawienie noblistyki honorowego obywatelstwa Miasta Krakowa.

W efekcie całego zamieszania 15 członków KO ZLP opuściło szereg Oddziału, wyrażając swój protest przeciw przypomnieniu czarnej karty historii Związku, a na K. Strzelewicza posypały się gromy, łącznie z pozbawieniem funkcji Wiceprezesa Zarządu Głównego ZLP. Historię awantury przedstawił ten ostatni w książce *Wokół ósmego tomu „Prozy, prozy, prozy...”* (Kraków – 2003), zawierającej przedruk materiałów źródłowych.

Fali dyskusji można się spodziewać w związku z wydaniem książki MARIANNY BOCIAN i ERYKA OSTROWSKIEGO *O ukrytych nurtach w polskiej literaturze. Ostatnia rozmowa z Joanną Salamon* (Wrocław 2003). Będzie to, na pewno, ważny głos w „sprawie Miłosza”, trwającej (z pewnymi przerwami) od początku 1951 r., kiedy autor *Ocalenia* podjął decyzję o pozostaniu na emigracji, a w numerze 5. paryskiej „*Kultury*” opublikował głośny artykuł *Nie*. Przebieg i etapy dyskusji do 1980 r., toczony na łamach prasy emigracyjnej i krajowej szczegółowo omówiła JOANNA PYSZNY w szkicu „*Sprawa Miłosza*”, czyli poeta w czystości (J. Pyszny, *Boże na łamach. Pisarze i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku*. Szkice, Wrocław 2002). Komunistyczny epizod „*pieszczocha reżimu*”, Miłosza – dyplomaty, attaché kulturalnego ambasady polskiej w Waszyngtonie i I sekretarza ambasady PRL w Paryżu, przestał budzić emocje, dlatego poprzestanę na krótkiej, poczynionej przed chwilą, wzmiance.

M. Bocian i J. Salamon (E. Ostrowski jest – jak słusznie zauważył recenzent książki S. Pastuszewski (*Lisia natura*, „*Akant*” 2003, nr 6, s. 46) – „zachwyconym kronikarzem”) próbują odobrze przedstawić postać noblisty, tworząc rewizjonistyczny konterfekt pisarza: „Ważna jest owa „rewizja”, której dokonują WIELCY CZYTELNICY polskiej literatury” (s. 169). Ale mają pełną świadomość „nietykalności” nazwiska Miłosza i istnienia „*«knebla» nagrody Nobla*” (s. 84): „wielu młodych literaturoznawców, nie chcąc mieć kłopotów, po prostu... omija, omija twórczość Miłosza, i nie zamierza pisać rozprawek kunktatorskich” (s. 37). Mimo to zauważono pewien „odwrót od Miłosza” (s. 157).

„Konflikt o Miłosza” był przyczyną zlikwidowania dodatku literackiego młodych („*Orda*”) do miesięcznika „*Odra*”, o czym informowała „*Gazeta Wyborcza*” w numerze z 02.07.2003 r. Młodzi autorzy podjęli nieudaną próbę zaatakowania noblisty, kończą niezgodą stała się, napisana przez MARCINA HAMKALE, współczesna wersja liryku Miłosza *Biografia artysty* oraz tekst krytycznoliteracki Piotra Czerniawskiego, sugerujący, iż jurorzy literackiej nagrody Nike nominowali jedynie ze względu na „*dawne zasługi poety*”. Przywołajmy obie strony konfliktu: M. Hamkało: „*Nie chcę pracować w piśmie robionym przez ludzi smutnych i lękliwych. [...] Teksty w „Ordzie” miały być prowokacją i miały rozpocząć dyskusję*”. Redaktor „*Odry*”, Mieczysław Orski, tłumaczył: „*«Orda» to mój pomysł. [...] Ale nie miał być to dodatek, który leje na odlew noblistów. Nie chodzi mi o to, że tekst dotyka Miłosza, ale to jest poziom gazetki studenckiej. My też krytykowaliśmy Miłosza, ale to była krytyka na poziomie*”. Sam zainteresowany nie zabrał zdecydowanego głosu, „*zdarzenie*” traktując jako wewnętrzną sprawę miesięcznika.

Wywiad z J. Salamon bez wątpliwości świadczy o żywym odbiorze dzieła Miłosza przez autorów, którzy śledzili wypowiedzi żagarysty, tropili nieścisłości, sprzeczności, przy czym punktem wyjścia jest *Traktat teologiczny* i wypowiedź samego poety, iż „*jest to zarazem poemat o poszukiwaniu mojej tożsamości kulturalnej. Jej istotnymi składnikami są rzymski katolicyzm oraz moje wileńskie wychowanie, czyli niechęć do łączenia religii ze świadomością etnocentryczną*” (s. 11). J. Salamon dziwi niską samoświadomość 90-letniego twórcy, w związku z czym pojawia się pierwszy rys portretu: stosunek do pogaństwa: „*Silne, bardzo silne i głęboko tkwiące dziedzictwo w pogańskiej Litwie*” (s. 13), „*jest on ukształtowany przede wszystkim przez wyobrażenia pogańskie*” (s. 19), „*On się czuje nade wszystko poganinem*” (s. 20).

J. Salamon konstataje swoista Miłoszowska symbiozę pogaństwa i katolicyzmu: „*pod [...] nalotem rzymskiego katolicyzmu jest bardzo silne, rdzenne przywiązanie do [...] pogaństwa, które było okresem świetności Litwy*” (s. 19); „*Cate dzieło Miłosza cechują bardzo żywotne korzenie tkwiące w pogaństwie, które można łatwo złączyć z powierzchownością liturgiczną katolicyzmu z okresu saskiego*” (s. 25).

Wizję katolicyzmu cechuje zaś: według autora „*Ziemi Ulro*” przypisywanie szatanowi władzy na ziemi; zredukowanie życia tylko do wymiaru ziemskiego, światopogląd materialistyczny. Kult Maryjny jest kultem Matki Boskiej jako Bogini Ziemi; a poetę interesuje tylko jej „*sliczność*”. Bóg Ojciec to, przede wszystkim, Bóg Śmierci i czarownik.

Autorki zauważają estetyczny sposób widzenia katolicyzmu jako rytuału w warstwie liturgiczno-obrzędowej.

Ostatecznie antykatolicyzm Miłosza skomentowano: „*osobista nienawiść do katolicyzmu*” (s. 37); „*Miłosz wyraca na opak katolicyzmu*” (s. 164), a sam *Traktat teologiczny* może „*budzić niechęć do myśli religijnej, bo jest napisany preten-sjonalnie*” (s. 132). J. Salamon pisze o tym dziele: „*Z punktu widzenia poetyckiego jest nudne, a z punktu widzenia teologicznego jest błędne*” (s. 57).

Autorki zwracają także uwagę na antypolonizm Miłosza i jego antypolskie wypowiedzi, w których noblista podkreśla, że nie czuje się Polakiem, jest Litwinem piszącym po polsku, twórcą polskojęzycznym; zarzucając Polakom winę schryśtianizowania Litwy, stąd jawna niechęć do Polski i Polaków, której towarzyszą sympatie lewicowe oraz wyrażony już w 20-leciu międzywojennym podziw dla komunizmu i ZSRR.

Do portretu, obok pogańskiego antykatolicyzmu, zostaje dopisany antypolonizm, nacjonalizm, „*szowinizm plemienny*”:

„*A niechby był tym patriotą litewskim, nacjonalistą, ale dlaczego Miłosz przyznając swemu plemieniu «lepszości i wyższości» czyni to drogą antypolonizmu? Czy aby tu nie pojawia się to, że Miłosz miał mocny kompleks Polski? On miał kilka takich kompleksów np. kompleks Słowackiego, Norwida, kompleks Gombrowicza i chyba najdotkliwszy spór, który raczej jest atakiem samej osoby, Herberta*” (s. 46-47).

Do antypolonizmu autora *Ocalenia* powrócił K. Strzelewicz w wywiadzie dla „*Nowej Myśli Polskiej*” z 16.02.2003 r. pt. *Miłosz – kukućcze jajo polskiej literatury*. Przegląd prac (od 1989 r.), konstatających antypolski rys wypowiedzi noblisty, zawiera artykuł STANISŁAWA STANIKA *Kilka słów dopełniających* („*Akant*” 2003, nr 7, s. 29).

Poddany został krytyce również Miłosz-litaturoznawca, w tekstach którego autorki dostrzegły fałszywy i tendencyjny obraz historii literatury polskiej, pomniejszenie znaczenia twórczości Kochanowskiego, Słowackiego i Norwida: „*Miłosz jako «katolik» respektował, aby 8 przykazanie Dekalogu było nieważne, celowo wypisując, fałszując obraz historii literatury polskiej, dając fałszywe świadectwo o ilu to polskich twórcach?*” (s. 68); „*tendycyjnie napisana Historia literatury polskiej przez Miłosza*” (s. 86).

Przywołajmy kilka fragmentów z *Historii literatury polskiej* do roku 1939. Niektóre utwory

Kochanowskiego (*Zgoda, Satyr albo Dziki Mąż, Proporzec albo Hold Pruski*) określa on jako „wierszowane dziennikarstwo, dosyć wiernie wyrażające ówczesne polityczne problemy, sformułowane zgodnie z oficjalną linią dworu”<sup>4</sup>. Twórczość Słowackiego uważa zaś za nierówną, pozbawioną „konkretności i namacalności”: „Słowacki każdy przedmiot rozmywa w coś w rodzaju płynnej gmatwaniny obrazów i dźwięków”, a jego dzieło „potrafi być wspaniałe głębią myśli i zapierać dech mistrzostwem albo też irytuje pisaniem niemal automatycznym”<sup>5</sup>. Także Norwid nie jest „poetą bez skazy”, a niektóre z jego wierszy są „beznadziejnie niezrozumiałe”<sup>6</sup>. Trudno też zdobyć się Miłoszowi na obiektywną ocenę Sienkiewicza, gdyż autor Trylogii „łączył rzadki talent narratorski z brakami wystarczająco poważnymi, aby nie móc mu przyznać tytułu naprawdę wielkiego pisarza”<sup>7</sup>.

Oddzielnie należy wspomnieć o kompleksie Herberta i niechęci do Gombrowicza: „szpilki Miłozosa w stosunku do Gombrowicza” (s. 77), „kompleks Herberta, z którego [Miłosz] nie wyzwolił się” (s. 157). Wiersz O poezji z powodu telefonów po śmierci Herberta (s. 156) to „jawne zniesławienie osoby Herberta” (s. 157).

M. Bocian pisze: „Miłosz nawet nie przeczuł, że dworując sobie w Ziemi Ulro, że ktoś tam dopatruje się «głębi» w twórczości Słowackiego, Krasińskiego i Norwida, wywołał odwrotne reakcje. A już to co napisał o Leśmianie, to go kompromituje” (s. 123).

Książka M. Bociana i E. Ostrowskiego porusza także zagadnienie ukrytego nurtu w literaturze polskiej, zapoczątkowanego w poezji Kochanowskiego i przebiegającego poprzez lirykę Słowackiego i Mickiewicza, Norwida: „ów potop kulturowy skończy się w 2006 r.” (s. 81). Gdzie indziej

czytamy dłuższy wywód na ten temat: „Ukryty nurt to jest taka sztafeta poetów. Należeli do niej Filomaci, nie ważne, że po drugiej przeciwnej stronie, ale Mickiewicz też, później należeli do tego i Norwid i Słowacki przed nim, dalej poeci tacy jak Gałczyński, Czechowicz, Herbert, Gombrowicz, Bruno Schulz też. Całe dzieło Schulza też należy do tego nurtu. Po prostu to była taka walka napowietrzna, jedni drugimi przekazują tę pateczkę dalej i sztafeta biegnie dalej. To był bardzo trudny dla Polski czas potopu kulturowego. Zapowiedział go Kochanowski w *Pieśni I Ksiąg Wtórych O potopie*, w której powiedział, że to będzie powódź trwająca 6 niedziel, czyli w kodzie hermetycznym 420 lat. I uwzględniając datę ukazania się pierwodruku *Pieśni* to wypada, że ten czas kończy się w 2006 r. Poeci o tym wspominali. Sam Kochanowski nie chciał, żeby to rozszyfrować wcześniej, tzn. upublicznić” (s. 82).

Miłosz zwlekał z wyjawieniem tego faktu, bo „wychodził z takiego założenia, że są prawdy dla profanum vulgus i prawdy dla wtajemniczonych, że nie należy tego wyjawiać, tej refleksji nieujawionej, ponieważ jej ujawnienie jest niepotrzebne i niebezpieczne” (s. 73).

Przy okazji autorki wrzucają kilka kamyczków do ogródka literaturoznawców, polonistom i badaczom, zarzucając nieznajomość tekstów, a jedynie „pamięć tekstów” (s. 93) pozwala odkryć istnienie owego ukrytego nurtu. Krytykując „patologiczną [...] atomizację opisu poezji” (s. 92), przeczuwają odrodzenie sztuki analizy dzieł opartej na rzetelności poznawczej.

Jedną z cech pisarstwa Miłosza ma być bluszczowatość, „sroczność”, wzorowanie się na cudzych utworach: „Przepisana prawie żywcem cała fraza z Kochanowskiego” (s. 137), „Miłosz jak-

by bezustannie zapośrednicza się w innych dokonaniach” (s. 137).

M. Bocian do portretu noblisty dodaje: chęć podobania się za wszelką cenę, zabieganie o reklamę: „Miłosz kłamał jak z nut, choćby to, że poeta pisze dla siebie i kilku przyjaciół. Akurat! To po co zabiegał o nakłady...! Po co starał się wydawać w dużych nakładach. Mógł obdarzać maszynopisami przyjaciół” (s. 155).

J. Salamon wyznaje: „Nie mogę zdobyć się na taką ślepią akceptację, że skoro to jest wybitny poeta, to jednocześnie musi być mędrcem” (s. 165).

Rozmowa z J. Salamonem jest rozliczeniem autorki z twórczością i postawą Miłosza, z kondycją polskiego literaturoznawstwa, a na marginesie ukrytego nurtu w literaturze polskiej – z Miłoszową hierarchią literatury polskiej. *Traktat teologiczny* stanowi jedynie punkt wyjścia, z tym że Miłosz od pierwszej strony wydaje się stać na przegranej pozycji, jest skazany, a cała rozmowa jest jedynie po to, by dostarczyć argumentów „przeciw”.

Niemniej ferment, jaki wywołała ta praca, jest konieczny, mimo iż nie wszystkie z rewelacji oficjalne literaturoznawstwo będzie skłonne przyjąć i uznać. Z fermentu bowiem rodzi się nowe życie. Nie tylko literackie...\*

<sup>1</sup> W. Ligeza, *Przypustowość owiec. Rozmowa z Wisławą Szymborską*; „*Teksty Drugie*” 1991, nr 4.

<sup>2</sup> A. Legeżyńska, *Wisława Szymborska*, Poznań 1996, s. 20.

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 20.

<sup>4</sup> C. Miłosz, *Historia literatury polskiej do roku 1939*, przełożyła Maria Tamowska, Kraków 1994, s. 85.

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 283, 283-284.

<sup>6</sup> *Ibidem*, s. 319.

<sup>7</sup> *Ibidem*, s. 355.

## Stanisław Stanik

### Gdzie cebulowatość?

Najbardziej znane powiedzenie Wisławy Szymborskiej to chyba wyznanie: „Moje serce bije po lewej stronie”. W tym zwrocie zawiera się nie tylko sens anatomiczno-fizjologiczny, ile przede wszystkim polityczny. Zdałoby się, skoro Bóg czy natura (jak kto chce) usadowiły siedlisko uczuć człowieka po stronie lewej, nie ma wystarczającego kontrargumentu dla przeciwników tej opcji, zwłaszcza w polityce. Tymczasem, kiedyś na biesiadzie (to teraz modne słowo) u Jadwigi Sułkowskiej-Mijał (urządza biesiady dosyć często w Warszawie), powołałam się na ten zwrot, myśląc, że zbiję z pantylyku towarzystwo raczej antylewicowe, tymczasem szybkołotny, choć może czasem przegadany, poeta, Zdzisław Łąkowski, stwierdził: „Moje serce bije po prawej stronie”. I myślę, że to paradoksalne powiedzenie jest bardziej odkrywcze (a może tylko metaforyczne) niż powiedzenie Wisławy Szymborskiej.

Zapładniające wyobraźnię i zmysł analityczny są recenzje Stefana Pastuszewskiego. Swoją – w tych analizach, a zdarza się ich po kilka w jednym numerze „Akantu” – tworzy konsekwentną wizję literatury, ukazującą się od kilkunastu co najmniej lat. I można się z tą wizją nie zgadzać, a przecież trzeba jej przyznać wewnętrzną spójność, nie już światopogląd tego, ale koncepcję. Do takiego osądu skłania właśnie recenzja krytyka z najnowszej tomu wierszy Wisławy Szymborskiej „*Chwila*”, trzeba dodać: temu, który okupuje od miesiący czołowe miejsca na wszystkich listach bestsellerów czytelniczych w Polsce.

Autor *Antologii „Akantu”* wyznał ostatnio („*Akant*” 2003, nr 7, s. 58–59), że ceni sobie wiersze Szymborskiej, gdyby jednak miał wybierać do swojej biblioteczki, wybrałby przede wszystkim wiersze Herberta i Różewicza. De gustibus non disputantur. Ja chętnie widziałbym na swoich półkach także wiersze Szymborskiej, choć przy-

kościół bez Boga. Ale przecież piękno to też jakby objaw Boga, więc nie bądźmy płytcy w swych wyborach.

Nowy tomik Wisławy Szymborskiej nie zrobił wielkiego wrażenia na krytykach, wśród nich na Pastuszewskim, który dopatrywał się w nim wtórności (powielania tych samych chwytów poetyckich), powierzchowności (niektóre dawniejsze wiersze miały głębsze „dno”), małej odkrywczości tematycznej (za dużo tu sytuacji codziennych). Sam, czytając te wiersze, też nie mogłem natrafić na jakąś ożywczą aureę, na inność w stosunku do tego, co poetka już napisała. Muszę zgodzić się z opinią autora „*Teraz Polska*”, niezbyt poetce przychylną, a która w sednie rzeczy ma się tak (cytuję krytyka):

„*Zbiór <Chwila>* nie wnosi niczego nowego do dorobku, a wręcz przeciwnie – poprzez muzealną wierność dotychczasowym faktom twórczym z życiorysu autorki – klinicznie karykaturyzuje niektóre zjawiska i techniki, jak balansowanie między głęboką prostotą a płytkim banałem, ironię ocierającą się o cynizm, wreszcie uparcie stosowany od lat zabieg opisywania przyrody i kontrastowania jej z egzystencją człowieka, która oczywiście jest znikoma, krucha i niewiele warta”.

Trafne uwagi!

Największą nowością dawnych wierszy autorki „*Wolania do Yeti*” była próba mówienia w nich o istocie rzeczy: z jednego, to z drugiego punktu widzenia, z bliska, to znow z daleka, z mniejszego, a to z większego doświadczenia. Rozbijając utrwalone struktury języka, tworzyła wypowiedź zaskakująco świeżą i piękną – o czym była mowa – jak choćby świecidełko z choinki. Ale takie świecidełko jest przecież bardzo kruche, łatwo je rozbić, a gdy to się czyni – zaskoczy nieprzyjemnie powstała pustka.

Nazwałem wiersze autorki „*Wielkiego wypadku*” świecidełkami; Pastuszewski określił je

„szklanymi koralikami” bądź „oczkami do sztydelkowania”. I tak można, i tak, o jedno chodzi. Jedno łączy te skojarzenia: kruchość roboty czy formy, zewnętrzne jej piękno i ulotność materii, i których powstają. Co więcej jednak, ten nowy tomik jakby uświadomił dobitnie, że „król jest nagi”. W dawnych czytaniach Szymborskiej czytelnik był oczarowany maestrią, ekwilibrystyką, zaskakującymi puentami, teraz, w tym nowym tomie, zapewne nie po raz pierwszy, widać, jak technika czy sposób układania pięknych konstrukcji, jest po wielokroć powielana, nie jest spontaniczna a zwykle wydumana do niestrainności. Poetka jakby karykaturyzowała samą siebie.

Wiersze autorki „*Ludzi na moście*” były racjonalne, a tak trafnie scalane, że trafiały do serca. Teraz poetka jest wierszopisarką uznaną, lecz gdzieś jej dyscyplina myślowa ulotniła się; chce od zaraz, bez dawnej wirtuozerii prowadzić grę uczuć. Poza tym dawniej miała swój świat, świat w którym było miejsce i na „*cebulowatość*” (forma istnienia) i na różne żyjątka, które mogły uczyć życia ludzi. Nic nowego już teraz nie proponuje, zdaje się poszerzać dawny świat, a sprawia to wrażenie mnożenia bytów ponad miarę.

Słowem, szczęście, bogactwo i sława nie zawsze służą sztuce.\*

Bydgoska  
Spółdzielnia  
Spożywców

ul. Gdańska 47, 85-950 Bydgoszcz

BSS było już

przed zachodnimi marketami:

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie opłaca się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski

Piotr Rakowski

## Moje votum nieufności

## Obłuda postawy Szymborskiej

Noc, 13. grudnia 1981 roku, kiedy z za szyby okna pociągu dojeżdżającego do Płocka ujrzałem nacierającą na miasto czołgi i wozy opancerzone, ta noc otwarła – przede mną śnieżny widnokrąg, krajobrazu wojskowej pacyfikacji, a we mnie – zabliźnioną ranę serca, która była ważniejsza niż świat tańczący wystudiowanego walca po ogłoszeniu w telewizji przez Wojciecha Jaruzelskiego „stanu wojennego na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Noc, 13. grudnia 1981, rozdarła we mnie ranę serca, która pozwoliła mi się domyślić, że muszę postawić przed moją poezją nowe zadania, zmieniając jej status.

Noc, rana serca, która skłoniła mnie do specyficznie pojętej refleksji moralnej, która przekreśliła feteszizowanie rozwiązań estetycznych i artystycznych.

Rana serca, która upewniła mnie, że moja prawda artystyczna ma bardzo mało wspólnego z prawdą logiczną.

Rana serca, która uzmysłowiła mi, że dramat mojego życia wyraża się w ciągłym, nierozstrzygniętym sporze między „ja” i „światem”, kiedy sferę rzeczywistości postrzegam tragicznie, ponieważ ona jest dla mnie tragiczna.

Twórczość Wisławy Szymborskiej nie ujawnia rany jej serca.

## Czego nie ma w twórczości noblistki

Lata 60. dwudziestego wieku, kiedy aktywnie działali poeci, twórcy poezji lingwistycznej – Białoszewski, Karpowicz, Wirpsza i Balcerzan, to okres literatury, którą cechuje daleko posunięta redukcja przesłania ideowo-światopoglądowego. Ta redukcja, była metodą, pozwalającą pisarzom uniknąć otwartego konfliktu z władzami komunistycznymi.

Metodę tę stosowała również Wisława Szymborska.

W poezji tej nie ma dramatu podmiotu, spowodowanego mówieniem prawdy o socjalistycznej rzeczywistości. Brak problemu wzajemnych zależności *Jednostki i Systemu Totalitarnego Komunizmu*. Poezja ta nie eksponuje moralnego obowiązku twórcy powołanego do dawania świadectwa o *Systemie Totalitarnym* i o życiu społecznym i indywidualnym, nie ukazuje dominacji państwowych struktur nad życiem indywidualnym, dominacji państwa nad obywatelem. Nie ma charakteru kontestacyjnego wobec *Systemu*. Natomiast eksponuje przekonania poetki, której preferencje zarówno światopoglądowe jak i estetyczne nie służą demaskowaniu totalitaryzmu i etycznej pustki postaw wielu pisarzy wobec otaczającego świata zniewolenia, wobec braku zachowania pisarskiej godności.

Zachowanie przez pisarzy godności wobec łajdactw i zniewoleń epoki realnego socjalizmu – realizowało się poprzez walkę o zachowanie tożsamości życia i literatury, wizję ludzkiej kondycji w świecie pozbawionym metafizyki i Boga, odrzucenie negatywnego modelu pisarskiego, usprawiedliwienia przemocy fizycznej i głupoty politycznej, głoszenie prawdy o świecie, które było najwyższym gwarantem społecznego posłannictwa literatury i w ogóle kultury.

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie zawsze było tak, że heroiczne decyzje pisarzy kontestatorów i twórców kultury innej niż socjalistyczna owocowały społecznie, były doceniane przez społeczeństwo, zauważane jako dobro, wynoszone społecznie na właściwe piedestały w ogólnym rozrachunku ludzkich cnót i wad. Nie zawsze wzory ucziwego postępowania pisarzy zyskiwały w kraju społeczną aprobatę.

Akty jednostkowej odwagi politycznej i moralnej pisarzy, nawet te zyskujące publicznie rangę heroizmu – były w PRL zagrożone upadkiem przez brak poparcia i zrozumienia wielu ludzi, zachwycających i zachlystujących się tylko postacią ustnej „legandy” towarzyskiej „podziemnego” jakby świata wartości. Pisarze i twórcy kontestatorzy byli przez wielu obywateli odrzucani, jako ludzie niepraktyczni i „maniacy”. Toteż odejście niektórych twórców od postaw artystycznych, nastawionych na zaświadczenie prawdy o epoce realnego socjalizmu, miało swoją negatywną, lecz skuteczną motywację: *było niewygodne*.

Kultura, literatura i sztuka stały się liczmanami w wielkiej grze mechanizmów politycznych, społecznych, ekonomicznych; liczmanami o małej wartości jednostkowej, czyli niewielkiej sile przebiecia, wobec szaleństwa świata tolerującego i popierającego głównie racje siły fizycznej i racje ilości w sensie propagandowej agitacji.

Poezja Wisławy Szymborskiej, choć nie uczestniczyła bezpośrednio w tym procesie, po latach okazała się na tyle wygodnym „politycznym” alibi, że z powodzeniem posłużyła jako „narzędzie” i „wzór” do naśladowania rzekomej pisarskiej ucziwości i godności.

## Już dawno skreśliłem poezję noblistki

Marzec '68, grudzień '70 – to dwa ważne okresy polskiej historii, które radykalnie wpłynęły na obraz i kondycję literatury; stawała się ona zapisem dramatycznego doświadczenia i tragicznych ludzkich losów: losów zastrzelonych i skrytobójczo zamordowanych, losów uwięzionych przez komunistyczne władze. Powstająca literatura eksponowała przeżycia o charakterze aksjologicznym, była sztuką służebną wobec najogólniej mówiąc – życia w wolności.

Przeżycia poetów o charakterze aksjologicznym związane były przede wszystkim z cierpieniem, dojmującym odczuciem istoty ludzkiej kondycji, pragnieniem wolności, niezawinioną skrytobójczą śmiercią. Etyczność poezji oznaczała zgodę na świat widziany przez pryzmat bólu i cierpienia, była symbolem przeświadczenia, że optymizm i wiara w wolność rodzą się z głębokiego i ostatecznego przeżycia tragicznych ludzkich losów i ludzkiej nie zmanipulowanej historii.

Ja, poeta, buntownik z wyboru przeciw złu świata, w którym musiałem żyć, stając wówczas bliżej życia stawałem bliżej poezji, która miała ów autentyzm zbliżenia wyrazić. Stąd zawarty w mojej poezji postulat realizmu, rozumiany przeze mnie bardziej psychologicznie, niż czysto literacko. Realizm postawy mojej poezji ufundowany został na postumencie etyki jako kategorii moralnej, a nie kategorii literackiej. Wyrzekłem się „pięknej literatury” w sensie formalnym, to znaczy: „wyrzekłem się takiej literatury, w której cierpienie było tylko współskładnicą dzieła”.

Wchodząc w świat cierpienia i lęku, optowałem za dziełem poetyckim, które mogło się wydać brzydkie i kalekie, pęknięte i niedopracowane formalnie. Dla mnie etyczne było – i pozostaje – to co prawdziwe i autentyczne, przeżyte „w głębi serca”. W ten sposób uchyliłem kardynalną zasadę „pięknej literatury”; stąd kategorię prawdy i fałszu wiązałem z filozofią, a nie bezpośrednio z estetyką. Moim zdaniem, literatura utraciła bowiem boskie, olimpijskie atrybuty, a z nimi funkcją samowładnego zastępnika Historii.

Z tego punktu widzenia świat wierszy Wisławy Szymborskiej jest światem sterylnie czystym i w jakimś sensie „nie-ludzkiem”; jest światem – błyskotką; światem kłamliwym z powodu swej sterylnie estetycznej doskonałości. Ta doskonałość poezji Szymborskiej – zabija, jej wdzięk obeszładnia, jej urok poraża. Poezja Szymborskiej –

to poezja, w której już dawno przestałem jako czytelnik odnajdywać ślad „swojego” dramatu i ślad „swojej” historii. Śmierci, cierpienia i bólu nie wolno opowiadać elegancko, mówić o nich z salonowym wdziękiem. Bo to obeszładnia, poraża, zabija.

Poezja Wisławy Szymborskiej dawno utraciła w moich oczach swoje boskie, olimpijskie atrybuty, ponieważ w moim życiu zaistniało coś ważniejszego niż literatura i jej giełda. Rana świata, która otwarła się przede mną bardziej bolesna i ważniejsza niż świat tańczący wystudiowanego walca w nieskazitelnym rytmie i takiej samej poetyce. **Moje votum nieufności wobec poezji Wisławy Szymborskiej było równoznaczne ze zwrotem do nowych źródeł kultury.**

Język mojej poezji był próbą przedarcia się do nowych rejonów, aby oświetlić je nowym rodzajem światła. A etyczność mojej poezji pozostała pojęciem związanym ze sferą refleksji moralnej, była też symbolem mojej sytuacji egzystencjalnej, sytuacji poety, który na płaszczyźnie estetycznej poszukiwał nieustannie środków wyrazu umiejących wyrazić nową kondycję człowieka.

### Sprzedż „Akantu” w punktach Kolportażu Prasy „Rolkon”:

- ✓ Salon Prasowy, 86-100 Świecie, Rynek 7
- ✓ Kiosk, 86-100 Chełmno, ul. Grudziądzka 11
- ✓ Kiosk, Chełmno, Osiedle Kopernika, tel. (0-56) 686-25-15
- ✓ Market „Netto”, 78-100 Kołobrzeg, ul. Gryfitów 1
- ✓ Kiosk „Atur”, 75-200 Koszalin, Dworzec PKP
- ✓ Salon Prasowy, Koszalin, ul. Wenedów, tel. 604 060169
- ✓ „Viki” - Market, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej-Curie 29
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kraśnińskiego 2, tel. 322-80-13
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Piłsudskiego 4, tel. 344-93-21
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej 25, tel. 601 633343
- ✓ As Market, Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 17, tel. 321-00-51
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kleeberga 2, tel. 344-23-23

### AKANT w niektórych kioskach „Ruchu”

- Bydgoszcz**
- ul. Gdańska 6
- ul. Jagiellońska 9
- Cieszyn**
- Dworzec PKS, ul. Korfanteego
- Inowrocław**
- Dworzec PKP
- Rynek Główny

### „Akant” w EMPiK-ach

Warszawa, ul. Grójecka 80/102, ul. Nowy Świat 15/17, ul. Marszałkowska 116/122, ul. Mickiewicza 27; Bydgoszcz, ul. Gdańska 15; Włocławek, ul. Miedziana 11/13; Elbląg, 1 Maja 37; Gdańsk „Megastore”, ul. Podwale Grodzkie 8; ul. Długi Targ 28/29; Sopot, ul. Bohaterów Monte Cassino 57/59; Gdynia, ul. Świętojańska 68; Gorzów Wielkopolski, ul. Sikorskiego 126/128, tel. (095) 7226849; Olsztyn, ul. 1 Maja 18/19; Czeladź, ul. Będzińska 80; Kielce, ul. Warszawska 5; Kraków, Rynek Główny 5, ul. Bora Komorowskiego; Nowy Sącz, Rynek 17; Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 59, ul. Krakowskie Przedmieście 40; Łódź, ul. Piotrkowska 81, ul. Narutowicza 8/10; Gniezno, ul. Chrobrego 11; Poznań ul. Ratajczaka 44; Słupsk, Stary Rynek 6; Szczecin, ul. Wojska Polskiego 2, ul. Niepodległości 60; Wrocław, Rynek 50, Pl. Kościuszki 21/23.

Jacek Tabisz

## W sprawie „Lisiej natury”

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł STEFANA PASTUSZEWSKIEGO („Akant” 2003, nr 6, s. 46), i zgadzam się z nim. Solidaryzuję się też z wnioskiem P. BÉRANGERA, przytoczonym przez autora „Lisiej natury” – „Sztuka? To sztuka i oto wszystko”. Jedynie, co pozostaje mi zrobić, to co najwyżej odnieść się do „cynicznej” metody Miłosza. Wpiew pytanie dotyczące podmiotu, czyli samego artysty – „czy twórca sztuki musi być moralnie budujący?”. Tutaj łatwo można posłużyć się metaforą – czy szewc, który zabił żonę może robić dobre buty? Jak najbardziej! Historia sztuki zna takie przykłady – jeden z najbardziej psychopatycznych ksiąg XVI wiecznej Italii, Carlo Gesualdo da Venosa, tworzył wspaniałe madrygaly. Wymordował on część swojej rodziny, zatrwał też swych poddanych na miarę Borgiów. W madrygalu „*Se la mia morte briamo*” (księga VI, nr 1), przypominającym „Ballady morderców” Nick’a Cave’a, bardzo autobiograficznie napawa się słowami „smierć”, „gwałt” i „morderstwo”. Tyle, że w przeciwieństwie do Cave’a, książę rzeczywiście wie, o czym mówi, co skłania wielu badaczy do przypisania mu psychozy. Jednak kompozycje Gesualda są jednym ze szczytów europejskiej muzyki.

Takich postaci było wiele więcej – Caravaggio też nie był świętoszkiem, Wagnera raczej mało kto chciałby mieć w gronie swoich przyjaciół. Vasari w swoich „Żywotach”, w zasadzie tylko przy Fra Angelico stwierdza – „był on po prostu dobrym, uczynnym człowiekiem”.

Myslę więc, że z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę powiedzieć: – „Moralność szewca nie przekłada się w żaden sposób na jakość produkowanych przez niego butów.” Podobnie ze sztuką. Nie szukajmy w niej umoralniających wartości – szukajmy piękna i głębi. Sztuka nie jest bowiem kazaniem, czy inną dysertacją etyczną. Jak zauważył Arystoteles, i ze złych, groźnych rzeczy wynikać może dobro, gdyż stanowią one element

całości, powiązanej łańcuchem przyczyn i skutków. Świętym przykładem jest też tragedia grecka – ona ma nas łamać, niepokoić, zatrzącać po to, byśmy mogli doznać katharsis. To oczywiście mogą nam dać, zarówno aniłowie Fra Angelico, jak i połamane frazy Gesualda, zarówno wielki mistyk Bach, jak i pogański Wagner...

Cóż jednak zrobić z twórcą, którego poglądy przypominają skórę kameleona? Czy jego twórczość może stać się wtedy mniej wiarygodna, więc jednak gorsza? Chyba nie... W końcu akt kreacji jest chwilą, zwłaszcza gdy się pisze wiersze. Rzeźbiarz, zmieniający co rusz swój światopogląd miałby niezły problem, poeta jest w znacznie lepszej sytuacji. Liczy się chyba tylko to, aby w danym momencie rzeczywiście wierzyć w swoje pogaństwo, w swoją litewskość i w co tylko można wierzyć.

Ja osobiście lubię być wierny swoim poglądom, rozwijanie ich pomaga mi zresztą tworzyć. Jednak cieszę się, że Miłosz, którego twórczość lubię i podziwiam pokazuje, iż poeta może być także aktorem. Że może porzucić siebie sprzed dnia, godziny, czy roku pisząc kolejny utwór. Nie widzę w tym niczego złego, zwłaszcza gdy sam autor nie czyni z tego tajemnicy...

Nasuwa mi się jeszcze jedna myśl: Być może cechą światopoglądu może być zmienność sama w sobie? Byłoby to groźne u prezydenta kraju, niebezpieczne u policjanta, lecz czy nie może być piękne u artysty? Stefan Pastuszeński, odbierając naszego noblistę, pokazał mi bardzo ciekawą drogę dla głębszego zrozumienia jego twórczości. Bo zastanówmy się – czy Miłosz od samego początku nie jest piękną zmiennością? Gdy o tym teraz pomyślę, tak jego oczywiste, zdawałoby się dzieło, jak „Zniewolony umysł” jawi mi się zupełnie innym. Wydawać by się mogło, że jest to dzieło rozrachunkowe, nasz polski „Folwark zwierzęcy”. Lecz – być może – bliżej mu do „Metamorfoz” Owidiusza niż do Orwella? Poeta obserwuje ludzi jako formy podlegające zmianom. Komunizm jest tu tylko nowym środowiskiem, do którego przystosować się musi grono badanych osobników. Być może tylko to miał na myśli poeta, żalując że Polska nie stała się Repu-

bliką Rad (br... – mimo wszystko). Metamorfozy byłyby pełniejsze... „Lisia natura” Czesława Miłosza rzuca też nowe światło na inny, z pozoru oczywisty, nurt w jego twórczości – są to tomiki autobiograficzne. Czy nasz wielki poeta oddaje się tylko wspomnieniom, co zresztą nie jest obce naszej literackiej tradycji? Wydaje mi się teraz, że autor „Zniewolonego umysłu” obserwuje w tym wszystkim swoją własną przemianę. I jest nią zafascynowany, jak impresjonista siłą światła i barwy...

Być może nie w pełni rozumiemy cel twórczości Miłosza. Gdy pojmyjemy jego poglądy literalnie, jako rzeczy same w sobie, trudno rzeczywiście się nie dziwić niekonsekwencji poety. Lecz gdy spojrzmy na Miłosza jako na twórcę znacznie bardziej abstrakcyjnego, cały problem nabiera innych barw. I to, co niedorzeczne, staje się nagle logiczne. Dlaczego 90-letni starzec poszukuje tożsamości kulturalnej? Dziwne... Lecz jeśli sędziwego Litwina fascynuje zmienność, jeśli istotą jego artystycznych pasji są metamorfozy, przeinaczenia, przekształcenia...? Cóż może być wtedy gorszego, jak chęć posiadania prawdy? Wiemy już, że poeta może być aktorem. Czy może być malarzem i to do tego, w jakimś sensie, malarzem abstrakcji...? Albo może, znów, impresjonistą, jak Monet, który chciał być „czystym okiem”... Malarzowi z pewnością łatwiej to osiągnąć – medium jego sztuki bliższe jest czysto zmysłowym doznaniom. Poezja składa się jednak ze słów, a słowa coś znaczą (jeśli nie liczyć smutnych prób futurystów, którzy – rzecz jasna – doczekali się epigonów). Miłosz szczęśliwie nie obrał włoskiej drogi w stronę czystej formy poezji. Zamiast uciekać przed treścią poddał ją swoistej afirmacji – przestał się ograniczać tylko do jednej treści – odnalazł ich wiele, wiele masek na podobieństwo greckich aktorów. Znowu nasuwa mi się analogia z malarstwem – francuski pointylizm, czyli malowanie obrazu z drobnych plamek farby, by odrzucić wrażenie obcowania z materiałem na rzecz obcowania z czystą barwą, ze światłem. I może o to właśnie chodzi Miłoszowi...? Może to szalone, ale warto sprawdzić...

Dziękuję Panie Stefanie, za podsuniecie cennej myśli.▲

Lestaw Czapliński

## Podwójne życie autorów

Roger Harwood w swoim „Zatrutym piórze” przywołuje przypadek kompozytora, który wzięcie zwałca siebie samego i własną twórczość, wcielając się w tym celu w fikcyjnego recenzenta.

JERZY KOŚCIŃSKI pierwsze zbiory swych amerykańskich esejów opublikował pod pseudonimem Josepha Novaka, co – jak przewrotnie utrzymywał – pozwalało mu wypowiadać o nich pochlebne opinie.

Z kolei ROMAN GARY po latach pisarskich sukcesów wymyślił Emila Ajara, aby pod jego nazwiskiem jeszcze raz rozpocząć wszystko od nowa. Za „Życie przed sobą” otrzymał w 1975 roku po raz drugi Nagrodę Goncourtów, którą 19 lat wcześniej uhonorowany został za „Korzenie nieba”, wydane pod własnym nazwiskiem, choć na dobrą sprawę i ono było pseudonimem...

W Francji znalazł się bowiem w wieku 14 lat. Przybył tam z matką, która w przedrewolucyjnej Moskwie była aktorką miejscowego teatru francuskiego. Zrodziło to nawet domniemanie, że jego naturalnym ojcem był słynny amant rosyjskiego kina niemego Iwan Możuchin. Nieco egzotyczna uroda sprawiała, że brany był za Turka, lub przybyśza z Maghrebu. Również zbyt cudzoziemsko brzmiące, a przy tym nie odznaczające się urodą nazwisko Kacew pogłębiało poczucie obcości. Nic zatem dziwnego, że gdy zaczął poważnie myśleć o literackiej karierze, postanowił przybrać artystyczny pseudonim. Zanim się osta-

tecznie zdecydował, sporządził obszerną listę, na której figurowały takie zawołania jak Alexandere Natal, Roland de Chanteclerc, Vasco de La Fernaye, Romain de Mysere, Alain Brisard, Romain Cortés, Hubert de Longpre, Armand de La Torre.

Powieści Gary’ego należały skądinąd do ulubionych lektur matki Kosińskiego – Elżbiety – o czym pisała w liście do syna, dzieląc się z nim swymi wrażeniami po przeczytaniu „Malowanego ptaka”. On sam uwielbiał wymykać się w miasto w przebraniach kloszarda, ortodoksyjnego Żyda, a nawet Murzyna, przyprowadzając sobie wasy i brodę, czy też zakładając perukę. Inną jego pasją było odwiedzanie nocami klubów erotycznych, od których roilo się w Nowym Jorku w radosnej epoce rewolucji seksualnej i bez troski promiskuityzmu sprzed nastania epidemii AIDS. Gary skrył się natomiast za plecami swego kuzyna Paula Pavlovitcha, odgrywającego na publiczny użytek nieistniejącego Emila Ajara.

Czy ucieczką od własnej tożsamości i skłonność do maskowania się znać należy za dziełko holocaustu, syndrom wymykającej się swym przesładowcom ofiary? Kosiński utrzymywał, że jego pierwszym odruchem w każdym nowym mieszkaniu lub tylko odwiedzanym pomieszczeniu było szukanie ewentualnej kryjówki. Ale czy w jego przypadku nie był to jeszcze jeden przejaw autorskiej mistyfikacji, którą ujawniła Joanna Siedlecka w swym głośnym „Czarnym pta-

siorze”, a za nią biograf pisarza James Park Sloan? Podczas wojny rzeczywiście się ukrywał, ale nie w tak drastycznych warunkach jak jego powieściowe porte parole z „Malowanego ptaka”, albowiem okres ten spędził razem z rodzicami w względnie komfortowej, jeśli zważy się pochodzenie i okupacyjne realia (np. jego matka przez cały czas utrzymywała przy sobie służącą). Gary zaś lata wojny przeżył jako oficer eskadry lotniczej de Gaulle’a w Anglii i północnej Afryce. Obydwaj więc nie doświadczyli bezpośrednio shoa, ani nie byli w dosłownym znaczeniu jego ofiarami. Poza tym żyjąca już w zupełnie innej epoce Sarah Kane, autorstwo swej przedostatniej sztuki „Laknąc” również ukryła za zmyśloną biografacją nieistniejącej Marie Kelvedon. A zatem wydaje się to być zjawisko wykraczające poza urazy, wywołane przez konkretną sytuację historyczną.

Gary opublikował jeszcze dwie książki pod pseudonimami Fosco Sinibaldi i Shatan Bogat. Kosiński stał się obiektem nieprzyjaznej kampanii, poddającej w wątpliwość niezaprzeczone autorstwo jego powieści oraz oryginalność niektórych pomysłów, mogących uchodzić za plagiat (np. wobec Dołęgi Mostowicza). Pierwszy targnie się na życie 2 grudnia 1980, w rok po swej byłej żonie, amerykańskiej aktorce Jean Seberg (pamiętnej studentce z „Do utraty tchu” Gordarda, grającej później w filmach kręconych przez męża), która zginęła w nie do końca wyjaśnionych, okolicznościach. Drugi odbierze sobie życie 3 maja 1991. Umieszczona w zakładzie psychiatrycznym Sarah Kane wiesza się 20 lutego 1999. A gdy zostaje zdemaskowany, samobójstwo popełnia również bohater przytoczonej na wstępie sztuki Rogera Harwooda.

Czyżby granie z losem i własną tożsamością nie pozostawało bezkarne?▲

Zbigniew Kresowaty

## Bóg dotykał ziemi stopami Marianny

15 maja 2003 roku, o godz. 19.30, odbył się „Wieczór pożegnalny Marianny Bocian” w Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Przyszli przyjaciele poeci, pisarze, profesorowie, czytelnicy... Była TV i Radio oraz gazety... Spotkanie cieszyło się dużą frekwencją. W tle stał portret poetki autorstwa jednego z jej przyjaciół – Jerzego Kapańskiego. Poezja Marianny Bocian „otworzyła” spotkanie. Recytowali ją, przy dźwiękach nokturnów Fryderyka Chopina, Bogusław Kierc – aktor i poeta oraz małżonka profesora Bednarka.

Głos gospodarza – Stefana Bednarka łamał się na słowo otwierające to pożegnanie. Wieloletni przyjaciel nakreślił sylwetkę poetki, omówił jej najważniejsze dokonania twórcze i jej skromną postać. Zaczęto wspominać epizody z jej życia, które było silnie zakorzenione w krajobrazie miasta, do którego ongiś, jako młoda adeptka, przyjechała z Bełęcą pod Lublinem. Pochodząca z rodziny rolnika-patrioty, z domu na Kresach, od razu rzuciła się w oczy profesorom, zapisując się do jednego z nich, wiedząc o tym, że jest on postacią wymagającą, o czym zresztą wspominał Marek Garbala – krytyk literacki i przyjaciel Marianny.

Jaką była, wiedzą wszyscy, którzy brali się za jej poezję, prozę i eseistykę i ci, którzy spotykali się z jej charakterem... „Marianna nie miała dzieci, które bardzo, bardzo kochała. Z tej racji poprosiłem ją o to, żeby była matką chrzestną mojej wnuczki. Jakaż radość zapanowała w jej sercu” – wspominał Janusz Degler, który zamieszkiwał w pobliżu, co pozwalało jej często kontaktować się z tą znaną rodziną. Poza tym profesor J. Degler był jej akademickim wykładowcą na filologii polskiej: „Ma-

rianna dawała się szybko poznać jako dociekliwa studentka, ale też kreatywnie. Swoim nieustępliwym zachowaniem nie wyrażała nigdy przystawowego strachu podczas sesji. Szła odważnie twom i tygrysom na spotkanie”. Opowiadał jak Marianna oczekiwała na esbeków, kiedy ją przyjdą internować, zresztą i mnie to mówiła – ona czekała na nich, a nawet ich prowokowała (rok 1982). I któregoś dnia pojawili się przed jej drzwiami, żeby ją zabrać. Jakie przeszli, tam w więzieniu, piekło stupajkowe, gdy zarzuciła im brud i syf, żądając posprzątania celi, gdyż w takim brudzie nie uchodzi jej bytować. Na przesłuchaniu zawsze była opryskliwa i przykra oraz arogancka, bo w ten sposób wyrażała swoje niezadowolenie z systemu inwigilacyjnego.

Jan Stolarczyk – dyrektor Wydawnictwa Dolnośląskiego opowiadał, jak jej dawał „zarobić” za korektę książek. Marek Garbala – współstudujący z nią na roku mówił o tym, jak kłócili się, często o jedno słowo w wierszu, który czasem przynosiła oraz wspominał ich dyskusje w „Agorze”, jednym z najprężniejszych czasopism wrocławskich parających się literaturą. Wspominała ciepło poetkę Halina Litwiniec – aktorka, dziś właścicielka Kawiarenki Literackiej „Kalambur”. Marianna brała najczynniejszy udział w różnych dyskusjach, często prowokując zapraszanych gości, a jednocześnie wywołując kontrowersje... Była osobą tęskniącą do ludzi: czuła, a jednocześnie bezkompromisowa, bardzo wrażliwa na fałsz i agonie twórcze. Nie dała profanować natury i nurtu norwidowskiego, ani spotwarzać człowieka uwikłanego czynnie w życie, takie jakie ono jest. Wśród spacerujących po ulicy miasta tylko

ona jedna podeszłaby bez wahania do żebraka, żeby go podnieść, gdyby wołał pomocy...

W kolejnym wystąpieniu Stefana Bednarka, dowiedzieliśmy się, co staje się z twórczością ocalałą poetki. Wszystkie jej dzieła w rękopisie, w maszynopisie, będą oddawane sukcesywnie do Ossolineum we Wrocławiu.

W następnej części zgłoszono pomysł nadania imienia Marianny Bocian Bibliotece Na Nowym Dworze w dzielnicy Fabryczna we Wrocławiu, jeszcze w tym roku!

Dobrze, że znaleźli się orędownicy dorobku poetki, która za życia była typowym spartańczykiem i pracowitym norwidowym uczniem oraz – jak wszystkie oryginalne osobowości – kontrowersyjną osobą przyjmującą na swoje spracowane barki wszelkie obelgi i przezwiska za wysmiewanie głupoty, populizmu i „szmir postmodernistycznych” jak mawiała. „Dbałość o sanktuarium człowieka to zadanie dla tych, co nie schylają czoła przed cynikami”.

Spotkanie przy dźwiękach Chopina skończyło się późno i dość powiedzieć, że z niedosytem... Ona stała w polu jak ikona, boso, w żółtym kapeluszu, w zakasanych do kolan spodniach, z łufką w jednej ręce, z motyką w drugiej. Prawdą musi zatem być, że „Bóg dotykał Ziemi stopami Marianny”. A ona była Mu wdzięczna za dar ziemi, za to, że mogła wstawać wcześniej rano, iść do lasu i otwierać tam swoją czakrę życia dla napotykanego wędrowca... Odwzajemniała to Bogu śpiewaniem psalmu „Kiedy ranne wstają zorze”.

Zalączęm wiersz, który nam dedykowała w jednym ze swych tomów poezji. Żegnała się słowami: „Witaj i wspomnij mnie tylko w uśmiechu”.

Tak też niech pozostanie. A spoczywa w swej ziemi, pochowana 7 kwietnia 2003 roku, ubrana w żółty kostium i biały szal z kwiatami polnymi w ręce, które zawsze zbierała idąc do przyjaciół.

### Marianna Bocian

Witaj i wspomnij mnie tylko w uśmiechu

Grażynie i Zbigniewowi Kresowatym

Jeśli przez nasze życie płynie pieśń żałobna, co uczynić z faktem, że poezja przynosi w darze ludziom, myśl ocalającą przed rozpaczą?

Czy pieśń żałobna nie sławi miłości do życia, oplakując?  
Czy łzy nad grobem nie pieczętują miłości pozagrobnej?

Czym byłoby przymierze żywych, gdyby nad grobami umiłowanych nie było też, ani pieśni żałobnej? Czy za serdeczną pieśń matki: «Uśnij mi uśnij, skarbie mój jedyny! W śnie jak drzewo rośnij» nie płacimy z wielokrotnionym bólem w ostatecznym rozłączeniu ciała?

Ta ciągła wierność życiu – przeszłe obecnym się staje;  
w rdzeniu śmiertelnego – nieśmiertelne odświeżania oblicze.  
Wtedy ła jest nauczycielem, przywracającym cichą pogodę.

Wpierwej trzeba było doznać męki sieroctwa w dzieciństwie, by móc po latach nad grobem ojca uśmiechnąć się radością otrzymanego życia, o co prosił przed przedwczesną śmiercią, ale wtedy było to niewykonalne. Trzeba było długich lat życia, by w przeżyciach pojąć, co skrywała ta prośba wyrosła z niepojętej miłości.

Nie zanikł w pamięci śmiech i słowa wyzbyte bólu: «Gdy Ojciec odchodzi jak słońce, jego dzieci są porankiem czasu nieba i ziemi».

Jeśli znalazłam się znów w przedwczesnym potrzasku śmierci, dwakroć wiem, jak potrzebna jest wiara w światłość Ducha! Przyjazne, międzyludzkie obcowanie.

Więc nic ponad to nie proszę  
- Witaj, żegnaj! Wspominajcie mnie tylko w uśmiechu!

1996/1998

## XXVII OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI im. HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach:

- dla autorów po debiucie książkowym lub prasowym,
- dla autorów, których wiersze nie były dotąd publikowane.

W konkursie mogą wziąć udział poeci nie zrzeszeni, poeci będący członkami związków twórczych oraz debiutanci. Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest ukończenie 16 lat.

Uczestnicy powinni nadesłać zestawy wierszy, które nie były dotąd publikowane w wydawnictwach zwartych i czasopismach ogólnopolskich oraz nie zostały nagrodzone w innych konkursach.

Każdy zestaw wierszy opatrzony godłem (pseudonimem) może zawierać maksymalnie do pięciu tekstów poetyckich. Autor może nadesłać pod jednym godłem tylko jeden zestaw wierszy.

Prace konkursowe (wyłącznie maszynopis lub wydruk komputerowy formatu A-4) należy przesłać w czterech egzemplarzach

Autorzy dopisują na kopercie: „konkurs poetycki” oraz kategoria: „debiut” lub „po debiucie”. Prace nie zawierające powyższych oznaczeń nie będą rozpatrywane.

W osobnej kopercie, opatrzonej takim samym godłem jak prace konkursowe, należy umieścić imię, nazwisko oraz dokładny adres autora wierszy.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 30 września 2003 r.

Regionalny Ośrodek Kultury  
ul. Ogińskiego 13a  
42-200 Częstochowa  
tel. (034) 324-46-51,  
tel./fax (0-34) 324-94-81

Bernard Najderek

## Dobrze o Mariannie



Odeście każdego człowieka pozostawia ja-  
kąś pustkę. W przypadku poety – ta pustka sze-  
rzeż się rozchodzi i dotyka większej liczby osób.  
Porusza nagle przywołane wspólne chwile, prze-  
życia, skłania zainteresowanych do refleksji o ży-  
ciu i przemijaniu, a także próbuje wyjaśnić sens  
twórczej działalności. Bo oto – definitywnie zam-  
knął się pewien fragment literatury. I dlatego w  
pierwszej chwili stajemy bezradni wobec czasu.

Wiadomość o odejściu MARIANNY BO-  
CIAN przyjąłem z uczuciem wielkiego żalu.

Poznałem ją dzięki zaangażowaniu w po-  
czątkowym okresie moich prób literackich, kiedy  
to na spotkaniach starałem się poznać zawile taj-  
niki sztuki pisarskiej. W latach dziewięćdziesią-  
tych, w Zielonej Górze, zorganizowała się grupa –  
nazwaliśmy ją po swojemu – *miłośników pisania wierszy*.  
Byłem jednym z nich. Nieco wcześniej zareje-  
strowane RSTK wyraźnie uaktywniło się. Jako  
priorytet w tej działalności, na comiesięczne spot-  
kania byli zapraszani znani poeci, a także pro-  
zaicy, niemal z całego kraju. Spotkania te, organi-  
zowane w różnych pomieszczeniach, bo nie mieli-  
śmy stałego lokalu, zawsze kończyły się dysku-  
sją z udziałem gościa. Czasem przeciągało się.  
Była to dla nas zachęta do pracy nad poszerza-  
niem wiadomości o literaturze i do podejmowa-  
nia własnych prób literackich, co prowadziło do  
debiutów. Było to widoczne. Kolejno pojawiały  
się nowe tomiki poetyckie, z radością witane przez

kolegów. Wzrosło zainteresowanie konkursami  
poetyckimi i widocznymi w nich osiągnięciami.

Pewnego dnia naszym gościem na spotka-  
nie była Marianna Bocian z Wrocławia. Dotąd –  
niewiele o Niej wiedzieliśmy. Byliśmy ciekawi,  
jaką osobowość prezentuje, co powie i jakie ma  
spojrzenie na literaturę. Wiadomo, że każdy twórca  
to oryginalność i własny punkt widzenia. To-  
też spotkanie zapowiadało się interesująco. A dla  
mnie osobiście okazało się niespodzianką i to od  
najlepszej strony. Bo oto – Poetka, wchodząc do  
sali, trzymała w ręku mój debiutancki tomik po-  
etycki „W stronę pejzażu”, wydany w 1993 roku.  
Otrzymała go, jak się później okazało, od jednej  
z pań z naszego stowarzyszenia jeszcze przed  
zaproszeniem do Zielonej Góry. Zdążyła go prze-  
czytać, być może przemyśleć i, co było dla mnie  
nowością, częściowo wykorzystała w swoim wy-  
stąpieniu. A było ono bardzo ciekawe, oryginalne,  
wzbogacone cytatami, co na długo utkwiło w mo-  
jej pamięci.

□ Marianna Bocian była indywidualnością.  
Ze swobodą poruszała się po wielkim obszarze  
literatury europejskiej, a koncentrując się na osią-  
gnięciach polskich, wskazywała na zawarte w nich  
elementy uniwersalne. W nich dostrzegała pod-  
stawowe wartości humanistyczne i piękno. Wy-  
soko ceniła polski dorobek w dziedzinie kultury,  
a do literatury, jako że była Jej wyjątkowo bliska,  
miała stosunek wręcz emocjonalny. W niej wi-  
działa wielkie możliwości kreatywnej działalno-  
ści człowieka. Na co dzień, było to widoczne, do-  
skonaliła jak mogła swoje spełnianie się. To budo-  
wało Jej autorytet znawcy literatury i jednocześnie  
poety. *Prawda, obiektywizm, uczciwość* – to  
były dla Niej słowa o fundamentalnym znacze-

niu, o które w swojej pracy stale zabiegała. *Bez  
nich* – twierdziła – *literatura traci swoje powołanie,  
staje się bezużyteczna*. Z Jej erudycji wyraźnie wy-  
rastał talent poetycki, z głębi duchowego wnętrza  
i ze świadomości roli piśmiennictwa w życiu. Wy-  
dawane książki, a przywozła ze sobą trochę no-  
wości, były na to dowodem.

A z mojego tomiku, w czasie wystąpienia,  
przeczytała „Mrówkę”. Malutki wiersz, który naj-  
widoczniej przypadł Jej do gustu. Być może, zna-  
lazła w nim jakiś element filozofii, którą wyzna-  
wała. A może co innego. W dyskusji – obstawała  
przy nim.

Spotkanie z Poetką było odświętne. Dawało  
się odczuć obecność poezji.

## Mrówka

*W wiecznej wędrowności po muzeach świata  
spiesz się  
mistrzowskim krokiem*

*Maleńka potęga  
zamknięta w cnocie pracowitości  
jak chleb  
roznosi  
miniaturę szlachetnego uśmiechu*

A w Zielonej Górze coś z pracowitości Poet-  
ki zostało...\*

Małgorzata Szweda

## Na całe życie



Życie tak okrutnie rani, gdy wraz z utratą  
bliskiej osoby, traci się wszystko. Przepaść dzielą-  
ca uczucia od rzeczywistości, zaciera się całkowi-  
cie w momencie, gdy strata jest dotkliwa, gdy boli  
tak, że nie bardzo wiadomo jak żyć.

Zaledwie dwa lata temu pobraliśmy się w  
kościółce pod wezwaniem Najświętszej Marii Pan-  
ny w Krakowie. Poznaliśmy się przypadkowo w  
małej kawiarence przy ulicy Głogowej w Krako-  
wie.

Miał na imię Piotr. Był wysokim, przy-  
stojnym mężczyzną. Któregoś dnia poprosił  
mnie o rękę. Bez wahania zgodziłam się, wie-  
działam, że to szaleństwo – zakochałam się. 23  
maja pobraliśmy się. Nasza sielanka nie trwała  
jednak długo...

Tak niewiele trzeba, by być szczęśliwą. Wy-  
starczy, by miły mężczyzna uśmiechnął się, spoj-  
rzył czule w oczy i zapytał, *czemu taka piękna  
dziewczyna jest smutna*. Myśl o tym, że ktoś cze-  
ka, że i tak wiele jest jeszcze do zrobienia, a uczu-  
cie do niego oszalał; wtedy poznajesz praw-  
dę i uświadamiasz sobie jak bardzo zaangażo-  
wałaś się w Wasz związek. Być może już od  
dawna szukasz właśnie tego jedyne, chcesz  
być zauważona, potrzebna i... kochana. A może  
tak naprawdę tkwisz w pułapce, z której nie  
ma wyjścia i uświadamiasz sobie, że zostałaś  
sama?

Wmawiałam sobie, że wszystko będzie w por-  
ządku, jednak czułam się oszukana i zdradzo-  
na... Chciałam wierzyć...

Tego dnia przywitał mnie swoim zadowolo-  
nym wyrazem twarzy, powiedział, że pięknie wy-  
glądałam, pocałował i już go nie było. Cieszyłam się,  
że niebawem wróci z pracy i spędzę z nim kolejny  
wspólny wieczór. Nagle zadzwonił telefon – Piotr  
nie żyje.

W jednej chwili wszystko legło w gruzach.  
Nie pomogły tłumaczenia, że to nie może być  
prawdą, że za chwilę tu przyjedzie i wyjaśni nie-  
porozumienie. Nie przyszedł – choć tak długo na  
niego czekałam. Nigdy już nie przyszedł do mnie.

Tamtej nocy zasłona w oknie poruszyła się,  
przebudziłam się nagle, gdy ktoś wszedł do mo-  
jego pokoju. To był mężczyzna, zbliżył się do mnie  
choć było ciemno, zbliżył się... i nie wiem co się  
stało. Rankiem poczułam straszny ból głowy, nogi  
miałam jak z kamienia, usta popękane. I wtedy  
zrozumiałam – to ciało nie było już moim ciałem  
i bałam się, że już nigdy nad nim nie zapanuję.  
Nie pomyliłam się...

Któregoś dnia przyszli. Okłamali mnie,  
oszukiwali od samego początku, bym nigdy nie  
dowiedziała się prawdy. Nie chcieli, bym zada-  
wała jakiegokolwiek pytania, niechybnie nic nie po-  
dejrzewając godziłam się na to.

Kiedyś rankiem o zwykłej porze czekałam  
na niego, na tego jedyne. A przecież gdyby za-  
pytał mnie o przeszłość, nie wiedziałabym co  
odpowiedzieć. Wmówiono mi...

Zresztą nieważne. Wiedziłam, że to co ro-  
bię jest złe, jednak nie potrafiłam z tym skoń-  
czyć, bo byłam pewna, że nie ma już odwrotu.  
Czułam obrzydzenie do wszystkiego, co miało  
związek z tym miejscem. Wstydziłam się siebie,  
własnego ciała. Chciałam, by skończyło się to  
raz na zawsze. Uciec? Tak chciałam uciec, być  
wreszcie wolną, przestać myśleć i nie być. My-  
ślałam o tym, tak – to rozwiązałoby wszystko.  
Lecz cóż, zabrakło mi odwagi. Może to i lepiej.  
Zapomnieć? Ale jak! W ciągu jednej nocy nie da  
się wykreślić tego, co było wczoraj. Gdyby tak  
było, wszystko na pewno potoczyłoby się inaczej.

A może... gdybym знаła swoją prze-  
szłość...\*

Czwarty Agon Poetycki  
„O Wieniec Akantu”

Redakcja miesięcznika „Akant”, nawiązując do  
swoich symbolicznych korzeni śródziemnomorskich,  
ogłasza czwarte zawody poetyckie dla wszystkich  
bez wyjątku twórców pragnących zmierzyć się na  
arenie tematu: „*Furtka słońca; jest też taki świat*”.

Do zawodów dopuszczone więc zostaną te wiersze,  
które w sposób mniej lub bardziej bezpośredni  
nawiązują do tego – określonego w temacie  
zawodów, niezmiernego obszaru egzystencjalno-  
kulturowego. Sugerujemy optymizm i nadzieję.

Utworki, nigdzie dotąd nie publikowane i nie  
wysłane na inny konkurs, w ilości od jednego do  
czterech w trzech egzemplarzach, opatrzonych go-  
dłem, należy nadsyłać na adres: **Redakcja „Akant”,  
85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51 B/4** – do 15  
listopada 2003 roku.

Jury przyzna siedem nagród:

Grand Prix	-	700 zł
I nagroda	-	500 zł
II nagroda	-	300 zł
III nagroda	-	200 zł
Trzy wyróżnienia		po 100 zł

Jury, mając możliwość nieprzyznania którejs  
z nagród, dokona również wyróżnienia poprzez  
wybór utworów do publikacji w „Akancie”, a także  
w almanachu pokonkursowym, który ukaże się do  
końca 2004 roku.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną na ła-  
mach miesięcznika „Akant” w styczniu 2004 roku  
wraz z tematem kolejnego agonu poetyckiego.



Zakończenie III Agonu Poetyckiego „O wieniec  
„Akantu” w gabinecie dyrektora Bydgoskiego  
Oddziału PZU – Ludmily Kretkowskiej, fundatora  
nagród

**Katarzyna Gryś****Fraszki****Ambitne zero**

Na świętoszków przyszła kolej.  
Z zera tworzą aureole.

**Wycieńczona**

Babka pada z nóg.  
Kto jest winien? – Wnuk.

**Przed telewizorem**

Rozmowa z rodziną  
dziś jest pantomimą.

**Artystka**

Jest wielką artystką –  
pokazała wszystko.

**Pociecha (słaba)**

Babcinka składała,  
żeby mieć na trumnę.  
Gdy bank zbankrutował:  
„Teraz już nie umrę”.

**Już nie podrywa**

Za małą rentą na alimenty.

**Tadeusz Lira-Śliwa****Aforyzmy o literatach**

- Późna twórczość Leopolda Staffa i Jarosława Iwaszkiewicza: rzucanie starej skóry (poetyckiej).
- „Struna światła” (1956) – „Epilog burzy” (1998). Poezja Zbigniewa Herberta zatoczyła klasyczne koło.
  - Władysław Broniewski: wiersz życia: „Baudelaire”.
- Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: słownik wyrazów tkliwych.
  - Ernest Bryll: słownik wyrazów niezbędnych.
- Edward Estlin Cummings: słownik wyrazów poszarpanych.
  - Paul Eluard: słownik wyrazów samotnych.
- Twórczość Edwarda Stachury: wybitna proza. – Tylko tyle?... Aż tyle!
  - „Piękni dwudziestoletni” Marka Hłaski: sztuka podróżowania.
    - Mrozi mnie Sławomir Mrozek.
- Proza Bohumila Hrabala: dowód na istnienie Obrońcy.
- Proza Franza Kafki: dowód na istnienie Prokuratora.



**Podziękowanie dla Państwa**  
Bożeny, Dariusza i Jerzego  
Gwizdałów  
z Dąbrowy Chełmińskiej  
za ufundowanie kielbasek  
dla uczestników II miejskiego konkursu  
„Ratujemy życie”.

Wdzięczni organizatorzy z Zespołu Szkół nr 22 w Bydgoszczy

**Tadeusz Lira-Śliwa****Aforyzmy**

- Ziemia: kosmiczny korek.
- Trzęsienia Ziemi. – Kto zawinił?
  - Niepodległość Słońca.
  - Zgwałcony Księżyc.
- Zdziwiająca aktywność (nachalność) Matki Natury.
- Nasza Matka prowadzi „naturalną politykę” (sale porodowe; miejsca wiecznego spoczynku).
- Początek XXI wieku. Trwa ofensywa środków masowego strachu.
  - Telewizor, komputer, „komórka” – nasi powszedni mordercy.
    - Techno: bezbarwna eminencja.
  - Bibeloty czasu: dzienniki, kalendarze, zegarki, etc.
- Pan X bije się z myślami: „Mój mózg? Moje myśli?... Moje pytania?”.
  - Pan X prowadzi dziennik. – Za rączkę czasu?
- Pan X odchodzi od zmysłów. – Zgubił książkę pt. „Bądź stoikiem”.

**Jerzy Hłond****Myśli**

\*\*\*

Życie jest grą  
bo nie wszystkim  
udaje się być prorokami  
własnego losu

\*\*\*

Nie zawsze uczciwość człowieka  
jest symptomem ludzkiej prawości

\*\*\*

Często prawda jest złudną mrzonką

\*\*\*

Przeprosiny są karą dla przebaczonego

\*\*\*

Niekiedy milczące usta więcej mówią niż otwarte

\*\*\*

Ośle uszy bywają też ozdobą człowieka

**Katarzyna Jeziótkowska****Aforyzmy**

- W tramwaju siadają najczęściej ci, którzy są zmęczeni siedzeniem w biurze lub szkole.
- Wszystko mi się w życiu udało. Prócz życia.
- Jeśli, mimo dobrych chęci nie potrafisz kogoś zrozumieć, to lepiej uciekaj.



**Maria Piasecka****Smutniak**

*Podczas kolejnego spotkania Adaś opowiedział nam historię o lepieniu figurek z razowego chleba, którą rozpoczął tymi słowami:*

Japa od jakiegoś czasu kręcił się niespokojnie po celi.

- Mamy jeszcze co zjechać? - zapytał.

Grześ spod zabaniaka wyjął samarkę foliową i pokazał, że jest pusta.

- Szlag by trafił - wtrącił się Jurek - trzeba będzie zakołować.

- Może wyrwać od frajerów?

- Pustaki. Tadek wczoraj robił im kipsisz, ale nic nie znalazł.

- To może od Kapsła pożyczyć? On ma zawsze.

Widać, że Grześ i Jurek nie lubili takich gadek, z których nic nie wynikało. Wiedzieli, że Japa chce przydrynić czajury, bo baniak mu pęka niemiłosiernie, ale oni także nie czuli się najlepiej bez rannej porcji herbaty. Wszyscy trzej dobrze wiedzieli, że muszą ją wyrwać od kogoś. Kapsel to ostateczność. Nikt za bardzo nie chciał pożyczyc od niego: za jedną szufladkę żądał dwie. Można było jeszcze wymienić szlugi za czaj, ale nie było kozaka, który zdecydowałby się na coś takiego. Bez herbaty można jakoś wytrzymać, bez fajek człowiek dostawał kota.

- Dobra, pożyczamy od Kapsła na jeden mały zajazd - odezwał się zdecydowanie Grześ.

- A z czego oddasz? - bardziej dla zasady, niż z przekonania, wtrącił Jurek.

- Zakręcimy fajans i pogonimy go złodziejom z góry.

- Jurek i Japa zaczęli się śmiać.

- Tylko, kto go robi?

- Ja - odparł Grześ.

- To dlaczego wcześniej nie pucowałeś się, że coś umiesz? - radośniej odezwał się Japa - Tadek posuwa szkatułki i stoi jak górnik, a nasza waflarnia wciąż ma przekręt z jemiolą. No, nawijaj, co robiłeś?

Grześ poczuł się trochę skrępowany. Nie lubił się chwalić, a w dodatku był leniwy. Dobrze wiedział, czym to pachnie. W Ilawie kręcił trochę fajansu: małe glaniki napoleońskie, krasnoludki w orkiestrze i jakieś tam drobiazgi. Jak kumple z waflarni zobaczyli, co potrafi, zaraz chcieli, żeby nic innego nie robił, tylko lepił figurki. Nie lubił przeżuwania smutniaka. Żeby wyszło trochę masy, trzeba było przerobić ze dwa bochenki. Szczeka po tym bolała niemiłosiernie. Ale mało tego, Grześ nie raz załapał się na kwit za to, że kręci fajans. Czasem miał większe zamówienie, szykował towaru na kilka glaników albo na całą orkiestrę krasnali, a tu zaczynał się kipsisz i wszystko przepadło. W puszcze nic nie szło łatwo. Gdyby wyłącznie chodziło o zrobienie fajansu, to pal licha. Grześ nie martwiłby się niczym, tylko posuwał glanik za glanikiem i finito. Ale tu jeszcze trzeba było towar pogonić klientowi, wydebić herbatę, szlugi albo coś do szamki. Dobrze pamiętał, jak nie jeden raz złodzieje przekreśli go. Można było sobie potem pogwisdać. Mówili, że kupiec polecał w transport, albo że go przetrucili, albo jeszcze wstawiali mu jakąś inną bajerę. Grześ brał się za fajans, gdy naprawdę był duży przekręt i nie miał co do gara wrzucić.

- Dobra, ale smutniak wy podejździe.

- Gitarka, nie ma sprawy - niemal jednocześnie odezwali się Jurek i Japa.

W waflarni od razu zapanował odświeżony nastrój. Japa zeskokczył z koja i poszedł do Kapsła. Nie miał wcale zamiaru pożyczać tylko na mały zajazd. Dwie szufladki na trzech chłopaków było dla niego, jak kropla w morzu. „Baniak na chwilę przestanie boleć, ale co potem?” - myślał. Postanowił wziąć przeguba. Nie martwił się. Wiedział, że już za jednego glanika spłacą dług. Koszty własne też żadne. Smutniaka zawsze na

stodole było od pyty. Jakże mogłoby być inaczej. Czterdziestu złodziei, to każdego dnia zostawały ze dwa smutniaki, które czerstwiały. O kolor też nie zwracał sobie głowy. Czarny zrobi z sady, ze spalonej podeszwy od glana. Czerwony i zielony wydebi od Tacka. Wiedział, że mu nie przyszczypie odrobiny plakatówki, bo pisał mu czasem grypsy do dziewczyny. Tadek stał mocno. Nie zbywało mu na niczym. Choć na śledczaku wiele rzeczy było zabronionych, Tadek miał nawet mojki. Z ich połówek zrobił małą gilotynkę do przecinania słomy. Kręcił z jednym z oddziałowych, to i nie za bardzo kipsiszowali jego mandźur. Japa nieraz z zazdrością i podziwem patrzył na Tacka, jak robi szkatułki. Chłopak miał łeb i sporo cierpliwości. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Tacka, od razu wiedział, że to narwany gość, chodzący kłębek nerwów, ale jak zasiadł nad szkatułką, zmieniał się w zegarmistrza. Powoli i precyzyjnie przycinał drobnutkie słomki i oklejał nimi ścianki pudełka. I nie była to jakaś byle jaka robota, wzór jednakowy, albo szkatułki na jedno kopyto. Słomę kupował za szlugi od chłopaków z siódemki, tych co byli na pracy, a plakatówki podrzucał mu klawisz. Japa nie mógł uwierzyć, że w puszcze można zrobić takie rzeczy. Najtrudniej było ze słomą. Najpierw moczenie, potem rozprasowywanie rozgrzanym do czerwoności nad świeczką kawałkiem żelastwa i dopiero tak przygotowaną słomę rozcinał gilotynką z mojek, naklejał na papier i wycinał bajeranckie wzory: liście, kwiaty, różne arabeski. Za szkatułkę dostawał od trzech do pięciu przegubów. Za galniki się nie brał, bo mówił, że to robota dla amatorów. Japie było wszystko jedno, czym się handluje, najważniejsze, żeby było co w gar wrzucić.

Kapsel nie rozwódził się długo.

- Znasz zasady? Sto na sto. Płatne w ciągu siedmiu dni.

Japie wryły się już w pamięć słowa Kapsła. Chętnie zapaliłby go w zęby za zdzierstwo, ale co miał zrobić. Chlać mu się chciało, czacha dymiła, to fochy mógł sobie wsadzić w kieszeń. Kapsel był nietykalny. Zresztą, sprawę stawał jasno. Do niczego nikogo nie zmuszał.

- Dobra, dawaj przeguba.

Kapsel trochę się zdziwił. Złodzieje najczęściej pożyczali od niego dwie, trzy szufladki herbaty na nieduży zajazd. Dwanaście szufladek to niezła uczta. Nie odmówił jednak. Wiedział, że waflarnia Japy, Grzesia i Jurka na pewno się wypłaci. Nie było ryzyka. Jak jednego przetruciliby na inny pawilon, zawsze zostawało jeszcze dwóch. Zresztą oni stali dobrze. Starzy wysyłali im kasę na konto, brali pełną wypiskę dwa razy w miesiącu i jeszcze dostawali systematycznie paki z zarcieciem z domu.

- Po coś brał przeguba? - odezwał się zajęzony Grześ.

- A co wieczorem? A jutro rano? - bronił się Japa. - Zresztą, jutro skręcisz już glanika.

- Skręć, albo nie - tym samym tonem mówił Grześ.

- Dobra, odpuść - wtrącił się Jurek. - Będzie czym ryja przepłukać po smutniaku. Skołowalem już trzy sztuki.

Grześ machnął ręką i wyciągnął się na koja. Jurek schował trzy bochenki do szafki, wyjął litrowy bajzel, z siennika wyszperał buzałę i poszedł do kącika gotować wodę. Zawsze jego wysyłali do zajechania herbaty. Inni mieli cykora. Niejednego już kopnął prąd. „A jak miał nie kopnąć?” - cieszył się w duchu Jurek. Przejedź to on podłączył się z fazą do tregry, żeby wciąż na nowo nie robić wasy przy oprawce od żarówki. Był elektrykiem, wiedział jak urządzić sprawę. Jak już podłączył plus do tregry, przez całą długość ściany, od sufitu do podłogi, wyskrobał płytki rowek, puścił nim cieniutki przewodzik, a wąż, do którego podłącza się buzałę, ukrył przy podłodze. Rysę w ścianie zalepił przyżutym i przetartym przez ściere smutniakiem zmieszonym z tynkiem i sprawa była załatwiona. Od tej pory chłopaki nie musieli wciąż na nowo majstrować pod sufitem przy oprawce, żeby założyć wąż.

Gotowanie nie zajmowało Jurkowi wiele czasu. Buzałę miał zrobioną z blaszek po konserwie. Minuta i woda wrzała. Na mojkach trwało to trochę dłużej. Wsywał trzy szufladki herbaty, zakręcił wieczko i poszedł do blatu. Patrzył jak herbata pęcznieje, opada na dno, a woda zabarwia się na brązowo. Kiedy wszystkie listki znalazły się na dnie, wyjął z szafki mały bajzelek. Nikogo z waflarni nie trzeba było namawiać. Grześ i Japa udawali, że niby nic nie widzą, lecz gdy tylko herbata znalazła się w małym bajzelku, objął zaraz dosiedli się do Jurka przy blacie.

- No, niezła. Ile wysypałeś? - zagadnął Grześ.

- Cztery szufladki.

Japa i Grześ mieli ochotę powiedzieć, że to przesada, ale z drugiej strony cieszyli się: dobra herbata po dniu o suchym pysku rozgoniła w nich chęć do robienia uwag. Sloik szybko opustoszał. Jurek z Japą z zapalem wzięli się do przeżuwania. Wiadomo, czajura dodawała siłę, a kryminał nie wydawał się już tak ponury, jak dziesięć minut wcześniej. Kawałek po kawałku przerabiali w gębach smutniak, a to, co z niego powstawało, wypływali do samarek foliowych. Dwie godziny, i trzy smutniaki zmieniły swoją gęstość. Jurek zaraz sięgnął po michę, naciągnął na nią platerkę, a Japa wyjmował z folii przeżuty smutniak wiosłem i rozcierał go przez ściere. Po drugiej stronie platerki wychodziła ciemnożółta, szklista masa. Po każdej przetartej porcji Japa ściągał z wierzchu niepotrzebne resztki, nakładał nową porcję i tak, raz za razem, aż samarki opustoszały. Teraz tylko trzeba było otrzymaną maź rozprowadzić cienką warstwą na kawałku folii i poczekać, żeby podeschła.

Grześ też nie próżnował. Naszykował bajzelek do wałkowania ciasta, upalił kawałek podeszwy od buta nad platerem i ściągnął sadzę. Wyciął z tektury podstawkę na glanik. Z papieru naszykował wzorniki i wstępnie je złożył, by sprawdzić, czy glanik będzie miał dobre proporcje. Pomyślał, że dobrze by było skołować gdzieś kilka podkładek od małych śrubek. Glanik dobrze wyglądał, kiedy miał okucia na dziurkach do sznurowadeł. Ale Grześ dobrze wiedział, że nie ma szans na wydebienie od kogoś takiego towaru. Gdy odwalał poprzedni wyrok w Ilawie, można było bez problemów załatwić blaszki, gdy się pracowało, ale na nierobach, czy w śledztwie, sprawa była nie do obtukania. Ale kiedy brał od Tacka czerwony i zielony plakatówkę na zakolorowanie masy, wziął też trochę ścinków ze słomy, z których postanowił zrobić okucia.

Waflarnia znów zasiadła przy blacie w całości. Jurek z Japą kończyli ugniatać kulki zakolorowanej masy z chleba. Największa, czarna, była już gotowa. Grześ rozwałkował ją bajzelkiem i przyłożył wzorniki. Mojką powycinał boki, a resztą, która została, obłożył podstawkę. Obcas wymodelował z czerwonej, a język z zielonej masy smutniaka. Japa z Jurkiem z podziwem patrzyli na swojego wafla. To była robota jak sie masz. Grześ wprawnie składał przygotowane części, ślinał je językiem, żeby się posklejały i nie minęło pół godziny, a glanik stał na podstawce. Grześ rozwałkował jeszcze sznurowadła, ostrożnie poprzewlekał je przez dziurki, na które wcześniej przyklejał okucia ze słomek i zabrał się wreszcie za ozdoby. Z jednej strony glanika przyzłocował różę, z drugiej kiść czerwonych winogron na zielonym liście.

- Nie za ostro wiocha? - śmiał się Jurek.

- Chcesz, to skręć lepsze! - odciął się Grześ.

- Dolep coś jeszcze - wtrącił się Japa - chłopaki lubią, jak jest dużo ozdób. Nie kumas? - zwrócił się teraz do Jurka.

- Wiesz, gdzie taki glanik wyląduje? Poda jakiś łepiek z wiochy na widzeniu matce i powie, że to prezent od niego. A matka będzie dumna i pomysli, że chociaż synalek bandzior, ale artysta.

Jurek nie słuchał dalszej bajery. Poszedł w róg celi, wdrapał się na trzecią półkę i pięścią rąbnął parę razy w sufit obok przebitki. Po chwili z otworu doleciał głos:

dokończenie ze str. 9

- Nawiń.  
- Fajans jest do pogonienia.  
- Jaki?  
- Głanik.  
- Poczekaj, zapytam.  
Jurek chwilę siedział i zapatrzył się w blat, przy którym siedzieli Japa z Grzesiem.  
- Dawaj - znów dobiegł ten sam głos z góry.  
Jurek chciał schodzić na dół, gdy usłyszał zgrzyt zamka.

- Spadaj, przypał - krzyknął w przebitkę.  
Na celę wrzucili nowego złodzieja. Zaraz zrobiło się cicho. Wszyscy zaczęli popatrywać na świeżaka. Nagle Japa wstał od stołu i podszedł do chłopaka z mandżurem w rękę.

- Siemanko. Skąd się tu wzięłeś?  
- Japula, to ty? - odezwał się nowy i wyciągnął rękę do przybicia piątki.

Japa odruchowo wyciągnął dłoń, ale zatrzymał ją w pół ruchu i niezdarnie zapytał:  
- Wszystko jak dawniej?

- Co ty, nie znasz mnie? Bez obaw. Grypsuje.

Japa uśmiechnął się. Wyciągnął już teraz rękę swobodnie. Patrzył przez chwilę na przybysza, po czym powiedział:

- Gościówa w polskim kryminale? Słyszałem, że powaliłeś się we Francji. Prędzej jakiejś paniemki bym się spodziewał pod celą, niż ciebie. Dobra, zwalaj mandżur na wolnym koju i chodź, przydrynimy czajury.

Gościówa podszedł do wolnego koja, rzucił na goły siennik koc ze swoimi rzeczami, podszedł do stołu i usiadł obok Japy.

- To Jurek i Grześ, moi wafle - odezwał się Japa. - A to mój dawny współnik.  
Chłopaki uściśnieli sobie ręce.

- A to co? - zapytał Gościówa, patrząc na głanika.

- Trochę kręcimy fajans. Przekręt z herbatą.  
- Ty, jak zwykle, zajmujesz się dziado-

stwem, Japa. Wypieprz to w cholerę i włącz jakiś film.

Jurek i Grześ spojrzeli po sobie zdziwieni. Nie mieli pojęcia, o co Gościówie biegną, dopiero jak Japa trukał, sprawa się wyjaśniła.

- Chłopaczyno, ty nie siedzisz we francuskim pudle. Tu nie ma telewizji, wideo ani niczego dla uciechy. Wszy, pluskwy i prusaki. To jest twoja nowa rozrywka.

Tym razem Gościówa się zdziwił. Nie miał pojęcia, jak jest w polskich kryminałach. Działal na zachodzie, a do Polski przyjeżdżał tylko odpocząć. Teraz odwaliał pajdę w puszcze pod Paryżem, ale nigdy mu przez myśl nie przeszło, że pod celą może nie być telewizora.

- Za co cię przymknęli?  
Gościówa nie od razu załapał, o co chodzi. Był myślami gdzie indziej, dopiero gdy Japa powtórzył pytanie, odpowiedział:

- Nie przymknęli. Przywieźli mnie na świadka do jakiejś grubej sprawy, w którą chcą mnie wrobić.

Tymczasem Jurek wyjął herbatę, żeby zjechać i zaczął odmierzać szufladki. Grześ spojrział niezadowolony na to, co robi Jurek. Gościówa zauważył krzywe spojrzenia Grzesia i odezwał się do Japy:

- Co, cienko u was z herbatą?  
- Jeszcze gorzej. To pożyczona. Szukamy kupca na głanika, żeby deko się podreperować.

Gościówa wstał, wszedł między koja rozwinął swój mandżur, wyjął z niego wielką metalową puchę i karton zagranicznych fajek. Wrócił, położył rzeczy na blacie i usiadł znów obok Japy.

- To do wspólnego kotła. Jeśli żaden nie ma watów, wchodzi do waszej waflarni.

Takiego obrotu sprawy nawet nie przewidział sceptyczny Grześ. Chyba tylko kot miałby coś przeciw takiemu waflowi. Karton szluby i w dodatku wielka pucha z jakimiś kolorowymi napisami. Japa bez opalania zajrzał, co jest w środku. Gdy ściągnął wieczko, aż zagwiżdzał.

- Tu jest chyba z pięć przegubów?

- Odsyp, ile trzeba, i spać od razu kredyt - odezwał się Gościówa do Japy.

- Po co ten pośpiech, lepiej pogonić glanik. Kapsel poczeka - mówił Japa, trochę zawstydzony.

- Co, nadal chcesz się głównem zajmować? Weź to badziewie i wyrzuć w chasior. Będiesz się prosił jakichś fajansiarzy, żeby ci kopsnęli na marny zajazd? Szkoda czasu. Lepiej popatrzeć w telewizor. A - zachnął się Gościówa - zapomniałem, że wy tutaj macie inne rozrywki.

- Słuchaj, chłopaczyno - trochę uniónym tonem odezwał się Japa - ten głanik zrobił Grześ. A co będzie, jak herbata się skończy?

- Nic nie dygaj. Mam jeszcze dwie takie puchy, a jak się skończą, przyślą mi nowe.

Jurek podniósł się od stołu. Kiedy szedł do kąpki z litrowym bajzłem, buzałą i trzema szufladkami herbaty do zasyпки, poczuł się trochę kimś innym. Cieszył się w duchu, że już nie musi się martwić, czy jutro będzie miał co się napić. Ale nie to tak bardzo go cieszyło. Idąc przez celę zauważył, że złodzieje patrzają na niego z zazdrością. On sam też miał wrażenie, że dzięki nowemu waflowi stał się kimś innym, kimś bardziej ważnym, z kim trzeba się liczyć.

Japa był w siódmym niebie. Wspominał z Gościówą lata z dzieciństwa i skoki, które razem robili. Kryminał dla nich przestał na chwilę istnieć. Japa początkowo nie mógł uwierzyć, że w puszcze, gdzie siedział Gościówa, da się robić prawie wszystko, zupełnie jak na wolności. Stopniowo jednak przestawał się dziwić, że gdzieś tam, w innym kraju, złodzieje mają pod celami telewizory, wideo i oglądają do oporu filmy z gołymi babkami. Nie do pojęcia było tylko to, że są tam urządzone elegancko pokoje, w których można poćwiczyć z panienką.

Jedynie Grześ siedział smutny i nic nie mówił. Cieszył się, że waflarnia stanęła mocno, ale gdzieś w głębi serca czuł się pokrzywdzony. Nie mógł się pogodzić z tym, że zwykła puszka z herbatą przekreśliła jego pracę, umiejętności i zniszczyła poczucie, że jeszcze może do czegoś się przydać. ♠

## Beata Anna Pokorska

### Gdyby powiedział mi o tym wcześniej

„Denn das eigene Herz übersteigt uns  
(„Bowie serce nasze przewyższa nas samych”).  
Rainer Maria Rilke

- Gdybyś powiedział mi o tym wcześniej... – rzekłem mimochodem, nakładając na talerz odrobinę sałatki z pomidorów, z której był tak dumny. Nie wyglądała zachęcająco, nierówno pokrojone plastry o postrzępionych brzegach, balansujące między założonymi kawałami ordynarnie pokrojonej cebuli. Pogmerałem w nich widelcem, szukając śladów zieleniny, szczypiorku, może bazylii. Zobaczyłem jedynie nie odkrojoną szypułkę, rozcapierzoną niczym wiecheć starej miotły. Jeden z jej ogonków, wyrośnięty nad miarę, przylepił się do widelca i wyobraziłem sobie, że to wąż ryby, który za chwilę dostanie się po widelcu do mojego gardła. Nienawidziłem ryb. Odłożyłem sztuce obok talerza, chyba jednak nazbyt gwałtownie, bo spojrzął na mnie spłoszony. Poprawiłem je, układając równoległe do talerza i krajobraz na stole zyskał na klarowności. Choć coś było takie, jak powinno.

O to właśnie szło. O tę jego niestaranność, w mieszkaniu i w nim samym, która zaczęła przelewać się na mnie. Chwilami zdawało mi się, że mój zarost zwiększa tempo wzrostu, świeże koszułe zaczynają wydzielać zapach kilkunastu lat używania, a wokół moich stóp gromadzą się niepostrzeżenie okruchy i papiery. Ze powietrze gęstnieje niczym smog nad Londynem i że uduśzę się, jeśli natychmiast nie otworzę okna. Zwykle robiłem to, podchodziłem wolnym krokiem do firanek, odsuwałem je powściągliwym gestem

(skąd te obiekcje, by go nie urazić?) i pociągałem za klamkę, dodając jakiś niezobowiązujący komentarz: - Ładny wieczór lub też - dziwne chmury..., coś, co pogłębiało we mnie mdłości, bo to przecież nie byłem ja, tylko jakiś niedołęga, ogarnięty skrupułami ponad miarę. I dopiero łyk świeżego powietrza, nie pierwszy, ale kolejny, trzeci lub czwarty, powodował, że mu wybaczałem. Tak właśnie: wybaczałem mu. Podejmowałem decyzję, by nie pamiętać o tym, co się przed chwilą wydarzyło, by spojrzeć mu w oczy ponad kolejną górą śmierdzących niedopałków i zaproponować partyjkę brydża. Ale czy powinienem?

Jednak już niedługo. Za dwa dni będzie musiał znaleźć nowe lokum dla swego niechlujnego jestestwa. Nagle poczułem, że moja wdzięczność do brata, który niespodzianie zjechał o Warszawy w interesach, wzrasta, zmieniając się w jakąś dziwną satysfakcję. Wyobraziłem sobie, jak za chwilę powiem do słuchawki: „ależ skąd, nie będziesz przeschadzał, kolega właśnie wyprowadza się”, a z boku pojawiła się myśl: koleś dobrze zrobi, gdy zacznie przygniatać go własne małe, ale z dnia na dzień coraz bardziej obrzydliwe brzydactwa: nie umyte deski do krojenia, zachlapane lustro, stopy białizny do prania, wszystko, w czym zaczynałem czuć się zanurzony, gdy tylko słyszałem zgrzyt jego klucza w zamku, i co było silniejsze od wszystkich moich prośb. - Tak, tak - słyszałem zawsze w odpowiedzi - później. I jego nieuważny wzrok wędrował w okolice półki z książkami, zanurzał się w nie, a ja zostawałem sam-nie sam w mieszkaniu, które coraz mniej było moje.

Teraz też ukradkiem zerknąłem na moje buty, sprawdzając, czy od wejścia do mieszkania nie

ubyło im połysku. Buty były jednak w porządku. Dojrzałem w nich odbicie metalowej nogi stołu, zaczynające się u góry cholewki rozproszoną, szarawą poświatą, nabierające stopniowo wyrazu, by zbiec się u czubka buta w ostrą, skupioną wiązkę srebra, poruszającą się w takt drgań mojej stopy. Linia przesuwała się w górę, w dół, w górę, w dół, na boki zwiewną ucieczką, a jednak w przedziwny sposób przewidywalna... Nagle poczułem radość, że ten obraz należy do mnie, tak jak but do stopy, a wiązka do buta i że mogę odciąć się nim od tego, co na górze. Od ohydy rdzawych płam obrusa, skupionych wokół miski z wymiękłymi pomidorami (pewnie znów nie uważał, przekładając sałatkę do miski, albo - co gorsza - kroili warzywa nad obrusem).

Wtedy złapałem jego spojrzenie. Ukradkowe, boczne muśnięcie, bezwiednie, niefortunny falstart strachu i czegoś jeszcze...Żalu? Niedowierzenia? Rozczarowania? Nie mogłem wypuścić tego wzroku, choć on próbował wycofać je, weksłując w stronę nieszczęsnej sałatki. Pulsował w mojej głowie, trzymając niczym potrzask. Falami, wielkimi przypliwkami, zaczęły przychodzić do mnie obrazy z dzieciństwa, kiedy graliśmy w piłkę, a spod jego nogi wychodziło ku mnie łatwe, zbyt łatwe podanie i kiedy uciekał wzrokiem, by nie widzieć mojej łatwej radości. Ale teraz wszystko już się skończyło, rachunki wyrównane, trzy lata to dużo, za dużo, by szukać w tym wszystkim sensu. I kiedy zbierałem się, wyswobodzony z tego spojrzenia, by dokończyć podjętą pozornym mimochodem kwestię, że za późno na zmianę planów, usłyszałem słowa, wychodzące z moich ust: - gdybyś powiedział mi o tym wcześniej, dowiedziałbyś się, że mój brat zamieszka gdzie indziej.

I wbiłem widelc w pomidora, i podniosłem go do ust. I roześmiałem się, i śmiech mój wzrastał coraz rozpaczliwiej, ale on tego nie zauważył. Śmiałem się bowiem do środka siebie, do idioty, który zamieszkał we mnie na stałe. ♠

Anna Makles

## Wiewiórka

(fragment)

... gryzoń nadrzewny o barwie rudej, czarnej lub popielatej, charakteryzujący się wydłużonym ciałem i puszystym ogonem; żyje w lasach i parkach Eurazji żywiąc się głównie nasionami i owocami, czasami spotykany na ulicy w formie dopasowanej do opony samochodowej...

\*\*\*

codziennie mijają mnie tysiące osób  
pełno ich wokół  
a tak pusto  
przechodzą  
popychają  
chcą mnie zniszczyć  
czasami mam ochotę krzyknąć  
zostawcie mnie!  
przecież jestem nikim...

samotna wśród ludzi  
którzy nie patrzą w oczy  
ich usta nie znają uśmiechu  
kiedy jest mi źle  
staję się niewidzialna  
oni boją się nieszczęśliwych  
jak trądu  
czasami udają  
że chcą pomóc  
nie wiercie im

świat przetacza się po mnie  
przygniata  
osłepia  
ogłusza  
aniołowie poszli spać  
Boga nie ma  
jest tylko pustka

Dzwoni telefon. Podchodzę i powoli wyciągam rękę. Powinam podnieść słuchawkę, ale...nie mogę. Cofam dłoń. Boję się. Czego? Sama nie wiem. Może to ktoś znajomy, kto zapyta „Jak leci?” i będę musiała powiedzieć, że świetnie. Może zaproponuje spotkanie, którego bardzo bym chciała, ale...Telefon umilkł.

Ubiрам się. Wychodzę na ulicę. Po co? Może kupię jakąś gazetę?...Wybieram na ten zakup wielki, samoobsługowy sklep. Hipermarket to pod pewnymi względami dobra rzecz. Kontakt z brudnym, śmierdzącym i źle wychowanym klientem został ograniczony do koniecznego minimum, czyli pobrania haraczu. Takie zakupy są też odpowiednio dla mnie, bo nikomu nie muszę niczego tłumaczyć, nikt o nic nie pyta, nie nagabuje. Nikt. To słowo jest w moim szczerzym życiu znamienne.

Wybieram ambitne pismo i gazetę z ogłoszeniami. Wracam do domu i zaczynam czytać. Najpierw pismo ambitne. Wbrew tytułowi, połowa kolorowo zadrukowanego drogiego papieru to pierdoły. Wszystko pod klienta. Gazety dla bezrobotnych już mi się nie chciało czytać. Przekartkowałam ją tylko. O, towarzyskie. Takie ogłoszenia są bardzo zabawne. Ukazują, że wszystko ma swoje granice, ale ludzka naiwność nie.

„Jeśli byłabyś zainteresowana spotkaniami, mogłabyś je sponsorować, napisz. Wiek nieistotny. Dyskretny 48 latek.”

Kolejne brzmiało: „Ja 33 lata, wysoki, bez nałogów, z własnym M, poznam Panią do lat 33 o szczupłej sylwetce.”

No cóż, nie wszyscy muszą mieć wymagania typu: inteligentna, wyrozumiała, czuła itp. Następne było jeszcze lepsze:

„Poznam Panią w wieku 50-56 lat, która umie kochać i chce być kochana. Preferuję Panie o szerokich biodrach, ale niekoniecznie.”

„Kawaler 28/182, romantyk, szczery bez nałogów i dziecka. Foto mile widziane.” Ciekawe. Często słyszy się o „pannach z dzieckiem”, ale „kawaler bez dziecka” to coś nowego.

„Przystojny na stałe, w Niemczech...” – tutaj zmarszczyła się nieobecność na lekcji poświęconej interpunkcji.

„Mam 66 lat, rozwiedziona ale wyglądam młodo i atrakcyjnie...”

„Blondynka w średnim wieku...”

„Pan 56 lat, stanu wolnego, pozna bezpruderyjną mężatkę na stałe.”

„Przystojny, zadbany, 180/80/36, pozna młodą kobietę, możliwość pomocy finansowej.”

Może to jest facet, który się ze mną umówi? Jak dobrze pójdzie, to nawet mi za to zapłaci.

Dlaczego mówimy: – „Coś leży w skrzynce”? Błaznane pudełka powieszzone na płocie mają tą specyficzną cechę, że nic się w nich położyć nie da. Ale można postawić. Więc stoi jakaś koperta. Skrzynka trochę przyrdzewiała (na pewno nie od częstego otwierania), więc trzeba się pomocować. Bez pracy nie ma kołaczy. Wyjmuję list, zaopatrzone w adres nadawcy i dyskretnie podany tłustym drukiem numer konta. To z wydawnictwa. Na razie nie ma się co cieszyć. Rozerywam kopertę. W środku znajome hieroglify.

„Droga Pani Agnieszko,

Tekst jest już znacznie ciekawszy. Na jego wydanie potrzebujemy „tyle a tyle” złotych. Najlepiej, aby sponsor był z Pani terenu. Jeśli nikt się nie znajdzie, będzie Pani musiała zobowiązać się do pokrycia kosztów.

Z szacunkiem  
S. Kostrzewski”

Wzruszające! Pismo jest znośniejsze w odczytaniu, adresatka nie jest już tylko „Drogą Panią”, ale „Drogą Panią Agnieszką” na dodatek traktowaną „Z szacunkiem”.

Powinam czuć radość i dumę. Z poprzedniego liściku, na który czekałam tylko rok, dowiedziałam się, że:

„Nadesłane teksty są niezłe, choć wymagają obróbki. Literatura płacze się z publicystyką. Chcemy fragmenty wydrukować w internetowej wersji naszego pisma. Potrzeba na to „tyle a tyle złotych”. Gdyby chciała Pani wydać książkę, trzeba by było trochę wspólnie popracować.

Tajemniczy Pan Zygzak”

Wtedy natychmiast wysłałam pieniądze, a tekst przez dwa miesiące był w Internecie niewidzialny. Nie miałam bladego pojęcia, jak tekst poprawić, ale od czego jest telefon.

Odebrał Pan Zygzak.

– Dzień dobry. Dostałam od państwa wiadomość, że jest szansa na wydanie mojej książki. Czy mogę prosić o jakieś wskazówki, dotyczące jego poprawy?

– Oczywiście, może pani.

Cisza.

– Chodzi o usunięcie tych „naiwności”.

To wiele wyjaśnia. Przy następnej rozmowie telefonicznej kazano mi jeszcze usunąć „oczywistości” i zamienić „język”. Po tych drobnych korektach z, i tak niezbyt obszernego, tekstu pozostała jedna trzecia.

– A ile to ma stron? – pyta Pan Zygzak alias Kostrzewski, jak zwykle nie mając zielonego pojęcia, z kim i o czym rozmawia.

– Trzydzieści.

– Tak mało?! – krzyknął – Niech pani napisze chociaż pięćdziesiąt! Tyle to się nie oplaca drukować!

Moja krew osiągnęła temperaturę wrzenia. Kto powiedział, że to ma się oplacać? Pisanie nie jest oplacalne, bo mnóstwo ludzi pisze, a nikt nie chce czytać.

Kiedy udało mi się rozmnożyć strony (a dodanie każdej bolało jak poród), okazało się z kolei, że jest ich za dużo, a następnie, że wszystko jest w porządku i, ile by ich nie było, będzie dobrze, tylko panu Kostrzewskiemu się coś pomylilo.

Więc nie umiałam się cieszyć. Trudno rozmawia się z człowiekiem, mającym do powiedzenia tylko dwa słowa: „Tak” i „Nie” oraz uparcie broniącym się przed zapamiętaniem rozmówcy, która biega od budki telefonicznej do kamierni internetowej.

Wiedząc, jaki będzie nakład, próbowałam sobie wyobrazić wszystkie te książki zebrane w jednym pomieszczeniu. Czy jest ich dużo?

Właściwie dziwiłam się, że zaakceptowano nową wersję. Miałam świadomość, że była również mocno niedoskonała. Szczególnie zakończenie. Po przebrnięciu przez nie można było powiedzieć tylko: „ups...”.

Pan Zygzak przyjął do wiadomości, że pieniądze są i obiecał przysłać umowę. Co do szczegółów nie puścił pary z ust.

Uderzyło mnie, że mówił bardzo niedbale, szybko i niewyraźnie. Zawsze uważałam, że ludzie, którzy potrafią pięknie pisać, pięknie myślą a więc i pięknie mówią. No, i mówią dużo.

Lista zakupów:

- chleb
- masło
- mięso sojowe
- pasta do zębów
- proszek do udrażniania rur
- nowa tożsamość

Rozpaczliwie potrzebowałam z kimś porozmawiać. Przez dwa miesiące zbierałam się, żeby zadzwonić do znajomej. Wreszcie udało się.

– Słucham – głos w słuchawce na pewno nie należał do osoby, z którą chciałam rozmawiać.

– Jest może Magda? – spytała.

– Nie ma!

– Aha! A mogłabym prosić o numer na komórkę?

– Ona nie ma komórki. Ukradli jej.

– Naprawdę?! Bardzo mi przykro. To może ja w takim razie zadzwonię później.

– Ale ona będzie dopiero po niedzieli.

Nie zawsze dobre chęci wystarczą. Czasem potrzebny jest cud, żeby się z kimś skontaktować. Znajomi wyjeżdżają, zmieniają nazwiska i wyprowadzają się z dotychczasowego mieszkania lub giną w innych niewyjaśnionych okolicznościach.

\*\*\*

budzę się rano i myślę  
kolejny dzień  
taki sam  
bezsensowny i pusty  
szary

ludzie przechodzą obok mnie  
bez słowa  
nikt mnie nie widzi  
wołam z całych sił  
„ja tu jestem”!  
nie słyszą  
idą dalej  
po chleb  
po mleko...

W poszukiwaniu swojego, nadal niewidzialnego, tekstu w Internecie, natknęłam się na znacznie lepszy. Najbardziej zapamiętałam porównanie „dłonie jak gwiazdy”. Ciekawe, kim jest ktoś, kto to wymyślił. Jaki jest człowiek, który umie myśleć w taki sposób? Autorem był oczywiście młody mężczyzna i pisał o kobiecie. Przez chwilę wydał się taki bliski... I taki daleki...

Najbardziej lubię teksty debiutantów (nie mówię tutaj w żadnym razie o sobie, to byłoby nieskromne; jestem tak skromna, że każdego przekonam o swojej głupocie). Są świeże, oryginalne i choćby nie mówiły o niczym, mówią o czymś. W książkach starszych, doświadczonych pisarzy czuje się kurz i pajęczynę wieku, która spętała ich tak mocno, że już nie potrafią się uwolnić. Oni zawsze piszą o czymś, a przez to czytamy o niczym. Unikają używania pierwszej osoby, jakby chcieli powiedzieć: „to nie ja, wszystko tu jest fikcją”. Człowiek młody pisze zawsze o sobie, przez przyzmat własnej osobowości. Na dodatek, organiczną częścią młodości jest cierpienie. Ból jest interesujący. Znaczenie dłużej pamiętamy znajomych, którzy przeżyli tragedię niż tych, którzy osiągnęli zwykłe ludzkie szczęście.

Moje marzenie to laptop. Nie wiem, czy tak to się pisze. W każdym razie chodzi o coś, co można wszędzie ze sobą zabrać i używać jako maszyny do pisania. Tego złośliwego komputera ze sobą wozic nie mogę. ■

Leszek Olszewski

## Zaufanie

„Zaufaj mi” – powiedziała – a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie... Sen – śniadanie, sen – obiad, sen – kolacja. I tak każdego dnia, aż do 17 września. Tak... 17 września nastąpił przełom. Mimo nieprzespanej nocy, o śniadaniu nikt nie myślał o śnie, zdecydowaliśmy więc, że wyjdziemy na miasto pooddychać świeżym powietrzem. Było mokro, padał deszcz, gdy przemierzaliśmy uliczki oblepione szarymi kamienicami, z okien których, tu i ówdzie, wyglądały mniej lub bardziej ukryte – nieobecne i w większości niewydarzone twarze – przypuszczam – lokatorów. Rozmowa się nie kleiła – był to nasz pierwszy wspólny spacer i, na dobrą sprawę, szliśmy milcząc. Spanie a spacerowanie to jednak zupełnie coś innego! Wiedzieliśmy o tym doskonale, stąd milczenie upływało nam wcale przyjemnie.

Najdziwniejsze było to, że gdy, o mały włos, pędzący samochód nie przejechał ogłupiałego i splotzonego czarnego kota, wzięliśmy się za ręce i zaczęliśmy się głośno śmiać, jakoś tak nienaturalnie – dziko i histerycznie. Potem, myśląc o tym, czułem się nieswojo – nigdy bym się po sobie nie spodziewał takich zachowań. Ona była inna – wyzwolona, nie stawała sobie nigdy jakichkolwiek barier, chciała być niezależna i była.

17 września to był dzień jakby z innej rzeczywistości – smutne miasto, ten spacer, ten śmiech... A w dodatku wrzesień. Wrzesień praktycznie co roku dawał mi się nie na żarty we znaki. To we wrześniu (na inaugurację nowego roku szkolnego), w wieku 9 lat, połamane sobie obie nogi, spadając nieszczęśliwie z topoli przy szkole, także we wrześniu (miałem wówczas 15 wiosen) zmarła mi przedwcześnie matka i starszy brat (w ciągu tygodnia! – ojca nigdy nie znałem), 12 września (dokładnie pamiętam) wybiłem niechcący koledze oko, strzelając z łuku na podwórku, a jakby tych nieszczęść było mało – także kilka lat później (naturalnie we wrześniu – możecie nie wierzyć) dałem się skusić na zakład: kto zje 3-calowego gwoźdźca – i, zwyciężywszy, przeleżałem półtora miesiąca w miejscowym, mocno podupadłym szpitalu, w którym aż roilo się od starych i przygnębionych misją pielęgniarek. Od tamtych wypadków (nie ukrywam) co roku bałem się podświadomie września jak ognia, a gdy już miał być sensacja, byłem spokojniejszy o swoje perspektywy na przyszłość.

Po powrocie do domu trwaliśmy nadal w milczeniu, atmosfera spaceru udzieliła się nam na dobre. Mocno przemoknięci usiedliśmy przy stole, nie zdejmując ubrań, zamyśleni, każdy w swoim świecie. Oto paradoks milczenia, które stroi się w formę wyższej zażyłości!

Pewno uznacie mnie za idiotę, ale nawet nie wiedziałem, jak się nazywa. Na imię miała Nicole. Najgorsze, że nawet jej chyba nie kochałem. Spotykaliśmy się zawsze przypadkowo – taki mieliśmy zwyczaj, aż w końcu postanowiliśmy wyjechać z naszego prowincjonalnego X. byle gdzie, coś wynająć i zacząć żyć własnym życiem.

Trafililiśmy w końcu do jeszcze większej dziury, gdzie dni płynęły nam na pracy, spaniu jedzeniu, kochaniu się, dyskusowaniu i milczeniu. Było nam dobrze ze sobą.

Nigdy nie miałem wielu przyjaciół, uznawano mnie za mruka i osobnika coś niecoś stukniętego, szczególnie po dniu, kiedy podczas ulew i straszliwej burzy, siedziałem samotnie na ławce w parku i patrzyłem z zaciekawieniem we wzburzone niebo. Z nią było podobnie. Była cholernie zagubiona. Ojciec zmarł przed jej urodzeniem, matka zaś zginęła potrącona przez samochód w dniu, gdy Nicole ukończyła 10 lat – miała tylko starszą o 5 lat siostrę, z którą spędzała cały wolny czas. Nie pracowała... To poruszyło lokalną społeczność, kim ona jest, co zamierza ze sobą dalej robić? Wierzcie mi – wszystko na prowincji przejdzie, ale nie dziwaczenie!

Wyjechaliśmy stamtąd w uczuciu ulgi i z przeświadczeniem startu w lepsze życie. Anonimowość – oto czego pragnęliśmy. Jedno jest pewne, raczej nie byliśmy piękni, ale aura jaka nas otaczała, była identyczna. Pamiętacie Lennona i Yoko? Forsy nie mieliśmy za grosz (w przeciwieństwie do nich) – ja zamiatałem śmieci przed kafejkami o 5.30 rano, ona zaś znalazła pracę w jednej z kwaciarni. Ale byliśmy razem, z dala od rodzinnego X. i to było najważniejsze. Poza tym, nikt nas w okolicy nie znał...

„Hej, hej – to jest życie!” – krzychałem po kilku dniach, gdy zamieszkaliśmy w B. Wolność, równość, braterstwo! Potem nadeszła niedziela 26 sierpnia... Powiedziała mi: „Wiesz, chcę się trochę powłóczyć. Chcę być sama przez kilka dni i nocy, OK?” „OK., jasne” odpowiedziałem, chociaż chodziło mi po głowie – po co to wszystko... Nie było jej dokładnie 3 tygodnie, po czym najnormalniej w świecie otworzyła drzwi i powiedziała: „Hej! Oto ja!”

„A oto ja” – odpowiedziałem, nie kryjąc wyrzutu w głosie. Po chwili dopiero przeszło mi przez gardło następne zdanie – „Napijesz się czegoś?”

„Jasne! Zimnego piwa, masz Budweisera?” Dziwne pytanie, bo od zawsze piliśmy tylko Budweisera. „Coś jest nie tak” – pomyślałem. Nalałem jej piwa do wielkiego drewnianego kufła (jedynej rzeczy, jaką zabrałem z rodzinnego domu) i czekałem, jak scena potoczy się dalej. Piła powoli, nerwowo stukając palcami w blat stołu – widać było, że jest podenerwowana.

„Coś się stało?” – nie wytrzymałem.

„Chyba tak... – odpowiedziała i spojrzała mi prosto w oczy – ale powiem Ci o tym jutro – 17 września to lepszy dzień dla takich wiadomości niż dziś – musisz mi zaufać, znam się trochę na astrologii”

Tak więc, gdy wróciliśmy ze spaceru przemoknięci i siedzieliśmy przy stole milcząc, nie ponaglałem, wiedziałem, że w końcu przemówi. Może czekała na optymalną porę, bo 17 września był faktem od 11 godzin i 43 minut. Zapaliłem papierosa i patrzyłem trochę po ścianach. Za oknem siała gęsta deszcz, było szaro smutno, jesienne. Zaczęły mi przychodzić do głowy bezsensowne myśli – np. czy to prawda, że węże mają dwa penisy? Po co im to? Usłyszałem to gdzieś, czy mi się przyśniło... Chyba usłyszałem..., nie – przyśniło mi się...

„Słuchaj John – przerwała mi niespodziewanie biologiczne dylematy węży Nicole – musimy zapomnieć o świecie zewnętrznym. Liczymy się tylko my, 3 tygodnie odosobnienia uzmysłowiły mi bezsens egzystencji w ramach układu społecznego – rozumiesz John? To absurd – musimy się zdecydować – albo my, albo system cywilizacyjny, w jakim funkcjonujemy naszym kosztem – innego wyjścia nie ma...”

Zgasilem papierosa, po głowie wciąż chodziły mi jeszcze, nie wiadomo dlaczego, węże i ich penisy, ale się zreflektowałem.

„Formuła egalitarna dopala się i wkrótce się o tym – jestem pewien – naocznie wszyscy przekonamy, lecz co nam pozostaje? Wielka podróż?” – zastanowiłem się.

„Czytałeś? – ożywiła się Nicole – fenomenalne!”

Grzmot – nie wiadomo skąd – rozjaśnił nagle horyzont za oknem. Wiatr, równie niespodziewanie, rozhuśtał się w powietrzu. Okienne drżały pod naporem wichury.

„Nie chodzi mi o <Wielką podróż>, tylko o podróż w nieznanne, nie odkryte, Nicole. Jaką mamy gwarancję uszczęśliwienia się poza układem? Wszystko jest jedną wielką niewiadomą i tylko od wykreowania przez nas swojego świata zależy, czy damy

sobie radę, czy też poniesiemy konsekwencje bytowania in splendid isolation. To problem drugorzędny i tu nie ogniskowałbym celowości wyjścia poza układ, jako drogowskazu ku szczęściu czy czemukolwiek innemu”.

Nie przekonałem jej.

„Czy są np. zapachy, których nie potrafisz określić?” – powiedziała, wpatrując się w wicherę za oknem.

„Chyba tak, jak każdy...” – rzekłem, usiłując naprawdę przypomnieć sobie, czy rzeczywiście mam.

„Widzisz – to właśnie jest owo niedefiniowalne uczucie indywidualnego odbioru Twojej zuchwałej nadziei, że tylko Ty...” – znów przenikliwie spojrzała mi w oczy.

Sięgnęłam po kolejnego papierosa. Wyciągnęła mi go z ust.

„Nie pal teraz” – rozkazała głosem nie znającym sprzeciwu.

I oto siedziałem, w tym ponurym pokoju, trochę rozespany, przemoknięty do suchej nitki, a zimne sople wody, spływającej po plecach, powoli acz regularnie, nie pozwalały mi tracić poczucia rzeczywistości. Ciężka mi ona w tej chwili niezmiernie... Znałem siebie, wiedziałem, że senność wzmaga tylko moje poczucie apatii, stawałem się wręcz niemową. Odczuwałem podskórnie, że aura, jaka mnie otacza, jest jednoznacznie negatywna. Podobnie jak Nicole, przywiązywałem wielką wagę do astrologii i czułem wyraźnie, że nie jestem w stanie podjąć żadnej mądrej decyzji. Nicole siedziała naprzeciwko, patrzyła objętnie za okno i milczała – nie wiem ile – kilka sekund, a może całą wieczność...

Czułem, że sen oplata mnie swym ciężarem z każdą mijającą chwilą. Chciałem tylko jednego – położyć się gdzieś w ciepłe, w suchym wygodnym łóżku! Tyle już nie spałem... A tu tak dżdżycie i szaro, w dodatku ta niesamowita, coraz silniejsza i nieublagana, wichura.

„Czym my jesteśmy?” – przyszło mi niespodziewanie do głowy. – Ja, Nicole, nasz kot, to miasto, nasze problemy, cała ta przymusowa w gruncie rzeczy egzystencja? Czy ktoś nią steruje, czy zostawia nam możliwość ingerencji w swój Wielki Plan? A to co? – jakiś samolot, lotnisko, odprawa – idę z walizką – dokąd leć? Nowy Jork? Acha... Oto paszport i bilet.

Ocknałem się – musiałem się chwilę zdrzemnąć. Co to za sen? Podróż...?

A może to właśnie teraz trzeba się zdecydować. Nicole mówiła wczoraj, że to dobry dzień, a w tym jej ufałem bezgranicznie, zawsze się sprawdzało – oprzytomniałem nagle! Nicole chyba nie zauważyła mojego „odejścia”, w tej chwili była całkowicie pochłonięta ulewą za szybą.

„Nicole?”

„Tak?”

„Chyba masz rację, jesteśmy zdeterminowani okolicznościami konwenansami, powinnościami, czyli po prostu obsesją bytu uregulowanego. Zgadzałem się z Jungiem, który twierdził, że podstawowym zadaniem ludzkości jest nadanie sensu rzeczywistości. Dziś to chyba cholerna utopia...”

„Utopia? To niewyobrażalne, mentalne wyniszczenie – działanie podskórne, o wiele gorsze od najgorszej nawet, ale jawnej ekspresji” – ponownie, jakimś nieswoim głosem, odpowiedziała Nicole.

Burza, deszcz i wichura równie nagle jak się pojawiły, ucichły. Słońce starało się nawet przeźrzeć nad stojącymi jeszcze na niebie ciężkich marmurowych chmur. Tak – lato zbliżało się ku końcowi...  
✪

Autobus szynowy

rok założenia 1851

**pesa**

Pojazdy Szynowe PESA

85-082 Bydgoszcz  
ul. Zygmunta Augusta 11

Daniel Odija

## Twarze

Przypominam sobie wiele twarzy. No, choćby Mariana Więcka - pomarszczona, jak u starego gнома, symetrycznie jednak zrymowana z otoczeniem, w jakim przebywał. Jego lisy hodowlane były zawsze najbrudniejsze, kury też - ich wybieg całkowicie zasrany odchodami. Białe kożuchy świństwa. Tak wyglądał zarost na twarzy Mariana Więcka.

Albo Barbara Walczyńska, spod dwunastki. Z jasnym wąsem pod nosem. Podobno zaskodziły jej rzekomej urodzie jakieś szwajcarskie pastylki, które miały skrócić menstruację. Niestety - wąsy wyrosły, a Barbara nadal wykrwawia się ponad miarę.

Albo taka Elka, o nikomu nieznanym nazwisku. Ma twarz poharatana, pewnie przez jakieś szkło. Blizny wyglądają jak ścieżki błyszczącego potu, który ścieka od czoła, przez nasadę nosa, gwałtownie skręca i niknie wzdłuż szyi. Elka pilnuje budowy. W tym miejscu ma wyrosnąć jakiś luksusowy salon. Na razie teren budowy to tylko wygryziona przez buldożery ziemia, podobnie jak lewe ucho Elki, na skos poszarpane. Podobno duży buldog kiedyś jej gryzł ten brakujący kawałek. Gdyby lepiej trafił... Ale w ogóle, jej twarz jest poszarpana i stapia się z terenem budowy tak dokładnie, że aż przerażenie bierze, że ziemia i człowiek tak mogą być podobni do siebie.

Albo namokła ekranem komputerowym twarz Mirka S. Nie robi nic, poza pracą przy komputerze. Kto wie, co on tam robi? Może szykuje niespodzianki?

A twarz Bartka Bednarka? Bezzębna, a właściwie ze stożkami zębów, zbrązowiałych od nadmiernej ilości Mocnych. Bartek ma dwadzieścia pięć lat, dwoje dzieci z tą samą kobietą - swoją żoną, której matka doprasza się śmierci. Zięć, czyli Bartek, zabije ją, jeśli nie zamknie tej swojej jadaczki i nie odczepi się od jego żony. Bo przecież żona musi być za mężem, a nie za matką, no nie?

Albo ta kurwa z drugiego piętra. Piękna, ale jakaś smutna. Pewnego dnia stwierdziła, że już dłużej nie wytrzyma. Postanowiła powiesić się w swojej łazience. Gdy już miała pętlę na szyi, wykopnęła spod siebie kuchenny taboret, lecz sznurek puścił. Rąbnęła skronią o brzeg wanny, i tak czy siak, zdecydowała wreszcie o sobie. Podobno, gdy ją znaleziono, z głowy wyrosła jej druga, cała napęczniała zastygająca powoli krwią. Trochę też pociąło z nosa, a rubinowy strumyk z lewego kąciaka ust powoli rozlewał się na wykafełkowaną posadzkę.

Jej dziwny znajomy, gdy to zobaczył, płakał się. A później ciężko go było od niej odpełnić. Bronił się, jak na alfonsa przystało. Próbował nawet użyć swojego noża. Krzyczał - Dopuśćcie mnie do niej! Po raz ostatni! Dopuśćcie! Zna go mój kuzyn, który od czasu do czasu daje sobie w kanał. Raz zadzwonił po niego, gdy miał wystarczającą ilość towaru i powiedział:

Mietek? Przynieś trochę kapusty na działkę. Myślałem, że pękne ze śmiechu, ale jego twarz w tym momencie była bardzo poważna i smutna. Nic nie rozumiał. - Nic nie rozumiesz - powiedział wtedy do mnie.

To fakt, nie rozumiem, dlaczego starszy mężczyzna, którego zobaczyłem w tramwaju, uśmiechał się do siebie, choć wydawało się, że napina mięśnie twarzy, by właśnie się nie uśmiechać. A innego skręcało co chwilę, jakby zmuszono go do przelitywania cytryny, na którą jest uczulony, i prawdopodobnie, gdy przełknie, stanie się epileptycznie drgającym ciałem, bez woli i pamięci. Nie rozumiem, dlaczego obok niego stoi dziewczyna o tak delikatnej urodzie, że wyobrażenie sobie garści zimnej ziemi, spadającej na jej gładkie czoło, wywołuje cierpki skurcz w moim lewym obojczyku i później ciężko mi wyprostować szyję.

Albo ten błyszczący, doskonale wyeksponowany, pieprzek pod cygańskim nosem ułożonej pięćdziesięciolatki. I oburzenie, marszczące jej naciągniętą skórę, gdy przechodzą obok niej dwaj rumuńscy Cygani. Jeden z nich gra na harmonii, drugi, chyba siedmioletni chłopczyk, kręci się między ludźmi z kubkiem po Pepsi. Wreszcie stateczna kobieta nie wytrzymuje - Cicho! Dość tej gry! Do pracy byście poszli! Cygan, grający na harmonii, składa ją w rękach. Cichy szum milknącego instrumentu kończy muzykę. Cygan staje przy drzwiach i opiera się o nie czołem. Czeka, aż otworzą się na następnym przystanku. Coś mruczy pod nosem. Brzmi to jak najgorsze wyzwicka.

Za oknem tramwaju dużo, dużo twarzy niezauważonych, byłych kiedyś, dopiero się stających, których nigdy nie zobaczę albo nie przypomnę sobie, że gdzieś już kiedyś je widziałem. Znikają i pojawiają się, jak moja znajomość własnej twarzy. Odbicie w lustrze zawsze o krok wyprzedza moje przyzwyczajenia, więc coraz rzadziej patrzę w lustro, a coraz częściej przyglądam się innym. Może w nich odnajdę siebie?

Czasami zastanawia mnie twarz szewca, który ma zakład na rogu ulicy. Jego żona zmarła kilka miesięcy temu. Został sam, nie mieli dzieci. Jest już za stary, by znaleźć kogoś do wspólnego życia. Ale nie zaniedbuje pracy. Codziennie przychodzi o dziewiątej rano i przesiaduje w zakładzie do szesnastej, w soboty do trzynastej. Ma niewiele roboty, bo ludzie wolą kupować nowe buty, niż oddawać je do naprawy. Niedziele spędza w oknie, na trzecim piętrze bloku mieszkalnego, w którym ściany to trujące płyty azbestowe. Stary szewc przygląda się całodobowemu sklepowi spożywczemu po drugiej stronie ulicy. Stoisko monopolowe jest tutaj największą atrakcją.

O wieczornej porze zlatują się ciemni miłośnicy mocnego alkoholu. Ich kobiety, z podskórnymi liszajami popękanych naczynek krwionośnych - policzki jak u wycieńczonego arlekina, na chwilę ożywia alkohol, siarczyste przekleństwo, a wirujący świat chroni przed rolą matki, żony, czy seksownej kochanki. Jeśli obciągają - to bez emocji, jeśli się oddają - nie pamiętają tego. Ich mężczyźni żyją na tym kurewskim świetle z przymusu. Wypalone procentami mięśnie, zwiotczałe włókna. Sił brak, by oddać jakiemuś chłystkowi, który, by popisać się przed jakąś wymalowaną pindą, skopie, opluje, zostawi z numerem buta na czole. Mimo to potrafią walczyć - o przebudzenie się następnego dnia.

Twarze tych kobiet i mężczyzn są mętными kałużami na wypucowanym chodniku podobnych do siebie miast, na obsianym trawniku podobnych do siebie parków, na garbatych drogach podobnych do siebie wsi. Nabrzmiałe, obrzygane, często zdziczałe, jeszcze częściej smutne.

A twarze wielu aktorów, twarze muzyków, gdy dotykają swoich dźwięków? Sztuka przekracza często granice sztuczności i staje się czymś więcej niż życie, a to oznacza śmierć?

Twarze na chwilę przed śmiercią, w wypadku samochodowym, katastrofie lotniczej, po uderzeniu nożem w nerki, tuż po strzale w pierś, rozerwane pęcherzyki płucne, krzywy uśmiech bólu, sztywność gwałtownego zgonu, zastygłe w niewrażliwy kamień.

Twarze mijane na ulicy, zaabsorbowane zakupami, rozwierające się w gwałtownej wymianie zdań, słowa ulatują przez odkształcane usta, twarze uśmiechnięte, płaczące smutno, z rozpaczą, ze szczęścia.

Twarze, gdy złamana ręka, obcięty palec, oglądające krew, pijące wino, wódkę, piwo, po dużej ilości alkoholu, twarze nigdy nie zażywające alkoholu. Twarze na wolności i w zamknięciu, kochające zwierzęta, nienawidzące ludzi, odważne i tchórzliwe, kłótlive i milczące, schorwane, zmęczone, wypoczęte, tuż po przebudzeniu się, tuż przed snem, podczas snu. Dużo, dużo twarzy niezauważonych, byłych kiedyś, ciągle się stających.

Kobieta, która kocha się i kocha, jest kochana - jej twarz zauważona w szczególnych i nieszczególnych momentach jej życia. Kobieta, która kocha się i nie kocha, nie jest kochana. Jej twarz, w szczególnych i nieszczególnych momentach życia.

Grymasy twarzy, każdy inny, każdej innej twarzy. Jesteśmy różni, lecz z pewnego dystansu tacy sami. Starość jest podobna do siebie, podobnie jak młodość.

Emilia Dębska już nie patrzy na swoją twarz. Postarzała się, a kiedyś wszyscy mówili jej, że taka piękna. Choć uroda przyniosła jej sławę, nie słuchała komplementów, ciągle jej czegoś brakowało, coś nie pasowało. Czula potrzebę upiększania się. Uroda dotyczy kobiet. Rozpaczliwa walka z czasem - pudrowanie nosa, policzków, czoła, szyi, ścieranie zwiotczałego naskórka, naciąganie zmarszczek, każdym reklamowanym specyfikiem, każdą najdroższą kuracją. Teraz każe wynieść ze swojego mieszkania wszystkie lustra, zawiesić ciężkie zasłony, nie włącza światła, w nocy tylko świeczki. Nie chce, by ktokolwiek ją odwiedzał. Z przyjaciółmi rozmawia przez na wpół przykryte drzwi. Podobno zaczęła czytać Biblię. Nikt nie wie, że pisze wiersze, które za sto lat będą uznane za arcydzieło literatury.

Starsza pani, Janina Pluta, ma wnuków, lubi pić gorzałkę. Jak się napije, śpiewa kolędy, czy święta, czy nie. Jej twarz podczas śpiewu. Na urodziny kogoś z wnuków wręcza mu za plecami rodziców flaszkę gorzałki. Tylko, żeby rodzice nie widzieli - konspiracyjnie szepce. Jej twarz w tym momencie.

Matka czterdziestoletniego Piotra Molisa to kobieta z siedemdziesięcioletnimi zmarszczkami. Bawi się szmacianą lalką, bo od kogoś momentu stała się jedenastoletnią dziewczynką. Jej twarz uśmiechnięta do lalki. Twarz syna, który właśnie spojrzął na nią, odrywając się od gazety, gdzie zdjęcie na pierwszej stronie ukazuje kogoś z dyktatorów. Dyktator przemawia, mocno gestykulując, groźnie marszczy brwi, krzywi się. Grozi?

Kibice, na meczu piłkarskim, bokserskim, koszykówki, jakimkolwiek. Świadkowie zmagania byka i torreadora. Rzymianie, oglądający pojedynki gladiatorów - twarze ich wszystkich. Średniowieczne turnieje rycerskie, pola bitew, zamieszki uliczne, pogrzeby, wesela. Bawią się, biją, dotykają, całują, kurczą, topią, rozsypują w ziemię, uciekają z pamięci. Dużo, dużo twarzy niezauważonych, byłych kiedyś, ciągle się stających, zanikających.

Twarze, uderzone od tyłu w głowę, z rozbitym łukiem brwiowym, zaciągające się papierosem, czymś innym, z ziemią na powiekach, spoczone, pobrużdzone, już do niczego się nie nadające.

I podobno są podobne Bogu.

## Pracownia plastyczna

Ingi Iwińskiej  
Marka Iwińskiegooferuje usługi w zakresie  
grafiki użytkowej

i malarstwa portretowego

85-047 Bydgoszcz, ul. Chrobrego 24/4  
tel. (052) 3214718

Beata Anna Pokorska

## Pan obiecał mi światło...



To było jedno z tych popołudni, kiedy wydaje się, że już nie może być bardziej szaro. Wieczór zaczął się wcześniej, ledwie matka sprzątnęła po obiedzie. Z kuchni doszły mnie odgłosy sztuców wkładanych do zmywarki, a potem szum wody. „Ojciec powinien uszczelnić drzwi” – pomyślałem leniwie i ułożyłem się wygodniej w fotelu. Sięgnąłem po gazetę, leżącą na stoliku obok i spojrzałem na ostatnią stronę. Litery zlewały się w tańczące wężyki. Zmrok – uswiadomiłem sobie i nagle przestraszyłem się długiego wieczoru, który będzie trzymał mnie w sidłach niedowarzonego nastroju, aż – zmęczony wielogodzinnym oczekiwaniem – umknę mu w czystą pościel nocy. Tak, noc była wyzwoleniem. Zdecydowana czerń kreśliła wyraźne linie bytów: mebli, budynków, wreszcie gwiazd i mnie, ożywionego tchnieniem nocnego zimna, dobywającym gdzieś ze środka mego istnienia przedziwne zdecydowanie, jakby wszystko było możliwe. Tylko nie to, w czym tkwiłem teraz, bura poświata gazetowej fotografii, na której bramkarz wypuszcza z rąk rozsmazaną piłkę i nie wiadomo, czy te buty znaczą ślady na wydeptanej ziemi, jego czy też napastnika przeciwnej drużyny, który wdiera się właśnie w cudzą przestrzeń...

Wypuściłem z rąk gazetę, zniechęcony niedostępnością druku i rozejrzałem się wokół. Ale wszystko tonęło już w oleistej mazi i poczułem, że ta maź rozlewa się wokół, zbliżając się ku fotelowi. Za chwilę dotrze do moich nóg, wdrze się we mnie i już nigdy nie ujrzę światła. Czuję, jak siły opuszczają mnie, a ich miejsce zajmuje przedziwne odrętwienie, skamienienie ciała i myśli, jakby czas miał się zatrzymać w miejscu, a ja pozostać tu na zawsze. Paniczny strach, przebijający się przez kamienie mięśni, dotarł do zastygających myśli postanowieniem: „*musisz się z tego wydobyć*”. – „*Ale jak?*” – pytałem bezgłośnie, niezdolny do walki z własną bezsiłą. „*Wyobraź sobie światło... światło... ożywczy blask*” – pojawiła się w mojej głowie myśl, którą spróbowałem ukonkretnić. Najpierw zobaczyłem rozproszoną poświatę, wydobywającą się spod drzwi, która w miarę zbliżania się do fotela gęstniała i nabierała rozkosznej wyrazistości. Potem wyimaginowałem sobie linię światła, ostry miecz błysku, zawierający w sobie przecucie zrozumienia. Każde z tych światel, jakże różnych, oczyszczająca powolność przejrzystej jasnej mgły i ten skalpel wiedzy – wiedziałem o tym, że idzie o mój umysł – stawały się coraz bardziej wyraźne. „*Rzeczywistość, czy wyobrażenie?*” – przemknęło mi przez myśl, resztką trzeźwego „*ja*”. Przymknąłem oczy, obserwując, czy światło zniknie, choć czułem już rodzącą się za nim tęsknotę. Ale gdzieś pod tą tęsknotą czaiło się coś jeszcze, jakaś nieprzystawalność, której nie umiałem wytłumaczyć, niepokój, że coś rozgrywa się poza mną, coś, do czego nie mam dostępu, czego nigdy nie pojmę. Chwilę, nieledwie sekundy, walczyłem z tym niepokojem, ale napierająca tęsknota wciągała mnie niczym rozkoszne bagno. To trwało zaledwie moment, i już wiedziałem, że najważniejszym jest go nie stracić. Rzeczywistość podążała za moim pragnieniem, bowiem widziałem je nadal, mimo zamkniętych powiek, choć przecież byłem pewien, że to nie wyobrażenie. Otworzyłem oczy, pokonując przemożny strach, że zniknie, ale i wtedy nic się z nim nie stało. Nadal wyraźne, i jakoś bardziej osobowe, jakby związane z ludzką emanacją, leżało między światłem a mną, a ja poczułem się szczęśliwy. Chyba nigdy jeszcze nie czułem się tak pełni, tak kompletny, a jednocześnie gotowy na ciągłe przyjmowanie. Czy można stać się istotą bezkresną? I już, gdzieś w tyłu mojej głowy

kiełkować poczęła myśl, że na tym to polega, by pozwolić sobie na nieograniczoność... Pełnia bez granic. Jakże byłem blisko...

Wtedy skrzypnęły drzwi. Zgrzyt zawiasów (jakże ludzie są głupi!) wdarł się w ciszę światła raniącą nieodpowiedniością. Staralem się tego nie słyszeć, ale nie dało się zagłuszyć szurania krawędzi drzwi po dywanie i głosu matki, która właśnie chrząknęła, a potem spytała: – wołałeś mnie? Pokiwałem przecząco głową, bo nie mogłem, nie chciałem jeszcze bardziej psuć tego, co wielkie, ale matka mówiła dalej: – przecież słyszałam... Zrobiłem ruch ręką, jakbym odganiał ją i wskazałem drzwi, ale ona zrobiła krok naprzód i wbiła we mnie wzrok. Jej oczy poczęły okrągleć, jakby zobaczyła we mnie coś dziwnego. To robiło się irytujące i nie panując już nad sobą warknąłem: – idź już – choć przecież nie chciałem, ale nie pasowała tutaj, do tego pokoju, a przede wszystkim do światła. – Co z tobą... – zaczęła, ale głos jej zadrżał i zachwiała się. W pierwszym odruchu chciałem podbiec i podtrzymać ją, kiedy uderzyła mnie jej bladość. Jakaś przezroczystość, nikięcie kolorów, co widoczne było w tym zadziwiająco świetle, które zdawało się nabierać mocy. Wtedy zaczęło we mnie kiełkować podejrzenie. Ten blask, coraz silniejszy i ostry, podczas, kiedy ona coraz wyraźniej blada. Osunęła się na drugi fotel i patrzyła na mnie z lękiem. – Co z tobą? – zapytałem spokojnie, ale nie poznałem swego głosu., który wcale nie był spokojny, lecz zirytowany i wyraźnie dawał do zrozumienia, że jej nie lubi. „*Co ze mną?*” – pomyślałem do środka siebie i wtedy ujrzałem siebie z boku, a może właśnie w samym środku, dość, że przestraszyłem się. Ale nie byłem w stanie panować nad tym, to coś zawładnęło mną i żądało „*jeszcze*”. Wiedziałem, że ma związek ze światłem, a światło z osobą mojej matki, a właściwie z jej energią, którą się karmiło. Matka nikła w oczach, widziałem wyraźnie, jak jej duch rozpuszcza swe granice i pozwala się wessać błyszczącej poświacie, już nawet nie miała sił patrzeć na mnie, jej przerażenie słabło na sile, jakby poddała się wszystkiemu. A tymczasem to coś zapragnęło więcej i pokierowało moimi krokami w stronę drzwi. Właśnie podchodziłem do fotela, na którym leżała moja matka, dziwnie obca i chłodna, i miałem ją minąć obojętnie, kiedy nagle poczułem, jak coś mnie ciągnie ku niej. Nachyliłem się nad nią i spojrzałem w jej oczy. I wtedy poczułem ten imperatyw: „*bierz to, bierz*” i natężyłem spojrzenie, a z jej źrenic wyskoczył snop i wszedł we mnie. A ja poczułem się pełen. „*Śpij* – pomyślałem – *to wszystko, czym możesz mnie obdarować.*”

I wyszedłem pełen spokoju, a jednocześnie jakiegoś niezmiernego zrozumienia. Światło powoli wsączało się we mnie, jak w watę. Wszystko widziałem lepiej. I byłem nowy, i byłem pełen, a jednocześnie wiedziałem, że to bycie pełnym nie jest ostateczne i że za chwilę zapragnę przenieść je na kolejne piętra. Wystarczyło tylko zapukać do czyichś drzwi i spojrzeć komuś w oczy. To musiało chwilę trwać, więc wymyśliłem pewne usprawiedliwienie, które nie okłamywało nikogo, a mnie dawało chwilę potrzebnego czasu. – Pan obiecał mi światło – powiedziałem w pierwszym domu, a wszystko potoczyło się zgodnie z planem. „*Na co ci twoje nędzne życie, skoro niczego nie pojmujesz*” – myślałem, kiedy luna jasności przeskakiwała błyskiem ostrza z oczu tamtego człowieka do moich, i kiedy odchodziłem, nie oglądając się, ku mojej przyszłości.

Niebawem pukałem już do następnych drzwi...  
•

Alicja Leśniak

Litewskie południe

chcę zapomnieć

a ty prowadzisz mnie  
w tunel słońca  
w łąki nieskończone  
w koncert świerszczy  
w opętanie ziół

idę zapomnieć

uciec modrą strugą  
od bławatków  
fregatą południa  
uprowadzić morze  
w dziką zapamiętałość ostów

zatopiona w rumiankach  
w motylich atlasach  
cała  
już zapomniana...

Wodokty, 16.lipca 2003

## Co minęło nie wraca

na czubku  
samotnej cerkwi  
bocian  
na jednej nodze

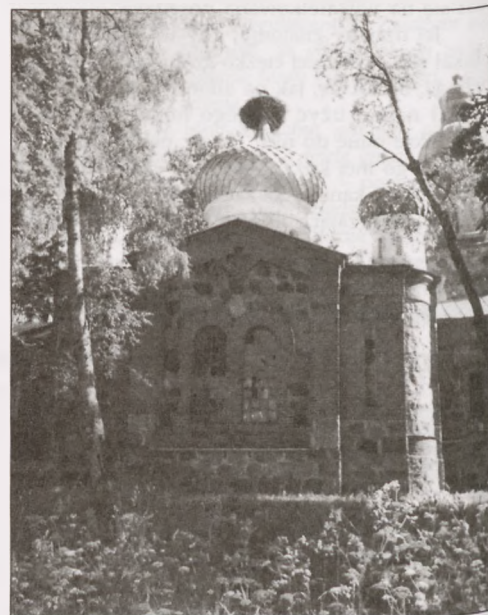
i cisza

milczenie blednącego nieba

tylko roztrzaskane mury  
rozbite okna  
pył rumowiska  
inspirują świerszcze  
i suche osty

resztę zarasta  
trawa

Plani, 18.lipca 2003



Cerkiew w Plani (Estonia)  
Fot. Włodzimierz Zieliński

Tadeusz Zubiński

## Tajemnica

Podobno w XIX wieku księżęta Modeny wydawali dekrety przeciwko trzęsieniom ziemi.

Gdzieś tak pod koniec września Paweł przyjechał do rodziców, aby ich odwiedzić, pogadać. Pod ojcowski dach dawno nie zaglądał, a przyjechał spod białoruskiej granicy, ściślej spod sowieckiej Białorusi, z figurami niczym prawdziwy kurier carski: koleją żelazną z dwoma przesiadkami. Już nastały nostalgiczne chłodne dni, dziwny jakiś ten wrzesień, dzikie gęsi ogarnął niepokój – zapowiedź odlotu, posypało liśćmi, burymi, złotymi. Stara domowa puszcza znacznie spłowiała, rzeka-staruszka już po jesiennemu szemrała, bez czapki nie wychodzi za próg.

Wieczorem rodzina rozgadała się, a pogadka trzeba. A przyplątał się temat w miarę oryginalny i odpowiedni na szarą godzinę. Otóż: czy w naszych banalnych czasach zdarzają się tajemnice? Takie jak z powieści detektywistycznej w manierze wręcz XIX-wiecznej. I co ważniejsze, czy to my takowych tajemnic doświadczamy?

Ojciec utrzymywał, że nie, że coś takiego może mieć miejsce tylko w filmach albo w książkach. Paweł przychylił się do ojcowskiego zdania i już zmieniliby temat. Lub co bardziej prawdopodobne włączyli telewizor, gdy matka, jakoś oburzona taką manifestacją małej wiary oznajmiła coś, czym ich zaskoczyła: A moje zdanie w tej sprawie jest krańcowo odmienne, jestem przekonana, iż rzadko, nawet bardzo rzadko ale zdarzają się w naszym życiu takie książkowe tajemnice i na tego dowód chętnie wam jedną taką wam opowiem.

Wpadli we własne sidła – Czekamy, opowiadaj – zgodzili, aby matce nie zrobić przykrości, ale nie pozbyli się sceptycyzmu.

– Ja sam też chętnie posłucham, przy okazji trochę tchu złapię – włączył się sąsiad, ten który na wigilię zabijał matce karpia i tym zasłużył sobie u niej na rodzaj konfidencji.

Matka udawała, że to nie tak, że szersze audytorium nie robi na niej wrażenia. Paweł wymienił fajkę, ojciec uszczknął łyżeczek herbaty, a matka poprawiła się na wersalce i przymknawszy oczy zaczęła, jak to się w dawnych czasach pisało sympatycznie: snuć swą opowieść.

□ Muszę zatem od początku i dla porządku, więc, to tak będzie. Moja opowieść łączy się w wujem Leonem, aby pana (to było powiedziane do naszego sąsiada) wprowadzić z naszą rodziną, będę opowiadała, tak jakbym mówiła do obcych ludzi. Zatem wuj Leon jest wyjątkiem w naszej rodzinie, z racji pochodzenia, cała moja czyli nasza rodzina wywodzi się albo z Kresów, albo z tych stron. Wuj Leon urodził się w Warszawie.

Chciałabym powiedzieć, iż jest warszawiankiem, ale to podobno nie jest poprawna forma, niech będzie warszawianinem. Jego rodzina przybyła do Polski z Niemiec na początku XX wieku, na pamiątkę zachowali podwójne „te” w nazwisku. Rodzina wuja, od kiedy wuj sięga pamięcią, nie była ani szczególnie bogata ani szczególnie sławna, ale byli uparci. Ojciec wuja Leona był pedlem na Uniwersytecie Warszawskim i dzięki tej posadzie wykształcił dzieci: trzech synów i jedną córkę, każde otrzymało solidne wyższe wykształcenie. Już z mojego dzieciństwa zapamiętałam, że wuj Leon zapisał się w mojej pamięci jako figura barwna, bardzo przemawiająca do wyobraźni, faktycznie lubił imponować i miał czym imponować. Kiedy do nas, na Baranów czy Ostojów, przyjeżdżał z Warszawy zawsze czymś zaskakiwał. Na przykład papierosa przypalał postugując się szkłem powiększającym, choć to bardzo niewygodne i zabiera sporo czasu. Przywoził nam, dzieciom, podarki a jakże: książki, cukierki a rodzicom głównie nowiny, o wojnie, jakichś kryzysach. Później, gdy już dorosłam, po wojnie oczywiście mój entuzjazm do wuja osłabł za przyczyną jego konformizmu, wuj Leon zawsze potrafił ustawić się z korzyścią dla siebie w każdej sytuacji, ale nie o dziś o tym.

Wuj Leon miał młodszego brata, miał też starszego, ale to chodzi o tego młodszego: Wacława. Wacław, Wacusz zdolny, ale dziwny, ale okropny mruk i dziwak, skończył filologię serbską, nie wiem czy tak się ten kierunek fachowo nazywa, ale został specjalistą języka serbskiego, nawet został magistrem tejże specjalności i wysłano go na stypendium do Belgradu. Tam ponoć był lektorem języka polskiego na uniwersytecie, coś przetłumaczył, napisał jakieś artykuły, nie wiem dokładnie co, a jeśli chcecie poznać więcej szczegółów, to sięgnijcie do książki wspomnieniowej Julije Benešić'a „Osiem lat w Warszawie”, z wielu względów ciekawej. Ten dziwak nie ożenił się, do końca pozostał kawalerem, a gdy wybuchła wojna został wozakiem. Głównie węgiel woził na Pradze, a tak gdzieś od wiosny, jakim cudem, za czym nie wiem, wyprawił się do Belgradu, tam posiedział pewien czas, co tam robił? Nie wiem, wpadł do nas w lecie 1940 roku, na Baranów, pamiętam przywiózł nam czekolady, kawę, a mojemu ojcu nieboszczykowi tytoń do fajki taki złościsty, miękki, taki tytoń w tamtych czasach to było coś. Wacek posiedział na ganku, poleżakował w sadzie i zniknął, na całe miesiące przepadał, gdyż podobno jeszcze parę razy wojażował do tego Belgradu, po co, dlaczego, kto z tego odniósł korzyść? Znowu tajemnica. We Wrzosowie zjawił się gdzieś tam na wiosnę 44, tu muszę wyjść nieco poza główny tok narracji. Otóż jeszcze przed wojną rodzice wuja Leona kupili sobie u nas przyjemną parcelę i postawili domek, niektórzy utrzymywali, że to willa, murowany, nowoczesny, blachą kryty. Wacek zjechał do rodziców, pomagał im, byli to staruszkowie, niedomagali na zdrowiu. U ojca Wacka wystąpiła demencja starcza,

ktos młody był niezbędny. Zdaje się, że w listopadzie zmarł ojciec Wacka, banalnie – na zapalenie płuc i Wacek został z matką. Po dwóch latach umarła i matka, i Wacek pozostał sam, w pięknym domu z pięknym sadem. Wtedy u niego pogłębiła się, jak to nazywał wuj Leon melancholia, po prostu w brzydki sposób zdziwaczał. Odsunął się od świata, zapuścił brodę, w nasz Wrzosów wpisał się jako kolejny dziwak. Pamiętamy, jak wyglądał, brudny, niechlujny, zgryźliwy, w szynelu i gumowcach, szarpał się z dziećmi, jako choleryk z urodzenia i z przekonania pomstował, gówniarzy prał lagą, śmierdził takim fetorem jakby skisnięte mleko, wałęsały się za nim psy, na świat zza grubych szkielek patrzył wilkiem. Miewał dziwaczne pomysły, do gminy napisał podanie, aby mu przydzielili ileż cementu i otów, umyślił sobie, że pod jabłonką wykopie dla siebie i tych psów schron przeciwatomowy, do podania dołączył wykresy, obliczenia, obłęd i tak go też traktowano jako stukniętego. Nocami z lampą naftową łąził po sadzie, do drzew gadał, do chmur. Gwiazdy liczył, stał się wielką osobliwością miasta. Z czego żył? Wyprowadzał się z ubrań po rodzicach, z obrazów, książek, czasem komuś przetłumaczył list albo za kogoś taki obcojęzyczny list, czy podanie napisał. Do tego coś sprzedał z ogrodu, jakieś gruszki czy jabłka, wuj Leon mu coś pomógł albo ktoś z rodziny, prowiantem, z czasem dostawał jakąś lichutką dziadownicę z urzędu gminy, biedował i coraz bardziej porastał brudem. Śmierdził, opuścił się do tego stopnia, iż panie sklepowe jak go zobaczyły, przerażone wybiegały na ulice, zapobiegawczo z chlebem, cukrem, wszystkimi wiktuałami, byle tylko Wacek-brudas nie wchodził do sklepu. Clochard albo margines, różnie go oceniano.

Pawłowi przypominała się pewna scena. Otóż było tak, że parę lat temu siedział w mieszkaniu wuja Leona na Żoliborzu. Zza oknem nostalgiczne jak w starej dekadencej powieści złośliwie i czerwiemial jesienny park imieniem Żeromskiego. Przy okragłym stole jeżył się, jak porażony słońcem borsuk, Wacław. Jeży się i cuchnie nieznośnie: zawilgoconym kożuchem, choć jeszcze nie zima a ten jakby się na Syberię wybierał. Wacek, siorbiąc, pije bawarkę, mocno osłodzoną, takiej się domagał: cztery łyżeczki. Jednocześnie szorstkimi palcami kartkuje starą książkę w przymilnie staroświeckim safianie. Co to? Tym razem leksykon ginekologiczny, mocno przedwojenny, po niemiecku jeszcze do tego druk gotykiem - Ile za to teraz można dostać, jak sądzisz moja duszko? – pyta Wacek i typie załzawionym okiem na duszkę, czyli żonę wuja Leona, ciotkę Jankę. Ta, już w pasach, błagalnie spogląda w sufit, teraz już wiadomo skąd się bierze powiedzenie: ceny brane z sufitu, i dramatycznie zgaduje – Czy ja wiem, może jakieś pięćset złotych, jak się znajdzie na taką rzecz zajadły amator. Czy to warte tych pieniędzy?

Matka wypila łyk herbaty i słysząc posapywanie, ponagląjące, no, ejże, dalej, dalej co było dalej, jak dotąd w dziejach Wacka nie ma nic tajemniczego. □ Wegetował taki stary, opuszczony, pogardzany, na marginesie, rozchorował się i umarł, psy puciekały a zimnego Wacka znalazł listonosz, jakiś grosz mu przytargał, jakby wcześniej to może Wacek kupiłby węgiel. Wacek zmarł zimą, jego tragedia trafiła do gazety. Ambitna dziennikarka opisała jego los jako przypadek arogancji władzy niskiego szczebla, do tego poziomu sprytna władza pozwalała sobie, aby ją sztorcować. Dom i całą schedę przejął, jako jedyny żyjący z rodzeństwa, wuj Leon. Co zrobić z tak uciążliwym dobrem, sprzedać, wuj Leon mieszkał w Warszawie i nie zamierzał przenosić się do Wrzosowa, ale żeby sprzedać koniecznie należało jakoś to, co pozostawił Wacek do ładu poskładać. Wuj Leon zmówił do koniecznych remontów szklarza, zduna, stolarza, murarza, hydraulika. A sam zabrał się za papierzyśka, które kupą zalegały pół mniejszego pokoju, tak na podłodze, kupa śmieci i nie tylko śmieci, jak się wkrótce

## Zaufek 11

Zaprasza codziennie od godziny 11.00

Organizuje:  
bankiety, przyjęcia, szkolenia,  
konferencje, wesela, imprezy cateringowe  
codziennie: obiady za 7,50

## Klub „Zaufek 11”

Odbywają się tu:

wieczory literackie, koncerty muzyki poważnej,  
przedstawienia  
teatralne, wernisaże,  
spotkania  
i próby młodzieżowych grup muzycznych,  
spotkania  
bractw rycerskich,  
szachowe.  
Klub Polskiej Książki  
prowadzi  
**Jolanta Papała**  
(pierwsza środa  
każdego miesiąca  
godz. 18.00)



Rys. Hanna Mierzwa

## Zaufek 11

85-007 Bydgoszcz  
tel. (052) 345 77 62 wew. 258

dokończenie ze str. 15

miało okazać. Książki te w znośnym stanie odłożył, wywietrzył, niektóre porozdawał, niektóre sobie zachował, stare rachunki, gazety spalił. Już przymierzał się, aby odetchnąć pełną piersią, gdy natknął się na powiązane konopnym sznurkiem paczki listów. W skrytce pod parapetem, taki z Wacka okazał się być chytrus. Wuję Leona te listy od razu zastanowiły, były niezwykle z wielu względów. Pierwsze z nich, te najstarsze były datowane na lata czterdzieste, jeszcze za okupacji, a te najnowsze miały daty sprzed paru miesięcy. Cudowną i zaskakującą była treść tych listów. W tych listach były wprost niestworzone rzeczy, galimatias, jacyś ludzie dowodzili, że Etruskowie wywodzą się z Mazowsza, ktoś uważał się za syna Piłsudskiego, początego w nader osobliwych okolicznościach, ktoś przepowiadał koniec świata. Ktoś inny przeciwnie wieszczyl wieczną i powszechną szczęśliwość. Jakiś wariat, no bo kto by inny, przedstawiał się jako aktualny wielki mistrz Zakonu Templariuszy. Banalnych wynalazców perpetuum mobile objawiło się, lekko licząc, ze dwa tuziny, pretendentów do tronu angielskiego paru, polskiego tronu też spory zastęp, wieszczów ze dwa pięćki, zbawicieli i genialnych kompozytorów, tych co posiadają plany zakopanych skarbów, ktoś nawiedzony acz praktyczny opisywał, rysunki załączając, sposób jak najoszczędniejszego spuszczenia wody w klozecie. Jednym słowem cała wariacka menażeria. Spodziewam się, że wuj Leon do pewnego czasu miał z tym dobrą zabawę, potem lektura stała się tam nużąca – tyłu geniuszy naraz! Kiedy nadszedł czas na refleksję i wytchnienie, wuj na coś zwrócił uwagę. Adres, tak adres, na niektórych kopertach znajdował się podwarszawski, nie wrzosowski, to było jeszcze bardziej intrygujące. Gdzie Wrzosów a gdzie Falenicy? Ale z Żoliborza do Falenicy, jest jak to teraz mówią u nas rzut beretem i przy pierwszej bytności w Warszawie wuj Leon wsiadł do autobusu właściwej linii i udał się tam pod wskazane miejsce. W Falenicy znajdowała się willa, przyjemna, dosyć zasobna, w „świecym” stylu *świdermajer*, w dużym zadbanym ogrodzie. Wuj Leon ufny w zalecenia ewangelisty – *a pulsate et apietur vobis* – nie tyle zapukał, ale prozaicznie zadzwonił. Długo nie czekał, furtkę otworzył przyjemny, jak ta willa pan, starszy ale jeszcze w formie, jak wuj potem opowiadał w typie francuskiego aktora, dokładnie o kogo chodzi? Wujowi nazwisko wyleciało z głowy, nie ważne, ale niewątpliwie bardzo uprzejmy i uprzejmie się zainteresował, z czym wuj Leon do niego przychodzi. Wuj skrupulatnie wyluszczył, kto on zaczęł z czym przychodzi. Na dowód pokazał jeden z tych wackowych listów; *widzi pan zgadza się, adres jest ten sam?* Tak, to ten adres, zgadza się. Uprzejmy pan po upewnieniu się, że wuj Leon jest naprawdę bratem Wacka potwierdził – Tak, Pan Wacław ma, przepraszam miał u mnie pokój, na facjatce, bardzo mi przykro, że umarł,

gdybym wiedział z pewnością wybrałbym się na jego pogrzeb.

– O jaki pokój chodzi?

– O jaki inny, normalny pokój, bardzo przyzwoity, taki jaki wynajmują letnikom.

– Czy mogę obejrzeć ten pokój?

Uprzejmy Pan się zgodził, ale wynika trudność, otóż okazało się, że nie posiada klucza do tego pokoju, tak do pokoju w swoim domu, i to od okupacji, około trzydziestu lat.

– Ile mój brat płacił za ten pokój? – zapytał wuj.

– Pan Wacław nic nie płacił, nie musiał, to ja byłem mu coś dłużny – odpowiedział po chwili wahania uprzejmy pan.

Na inne pytania nie zgodził się odpowiadać, ale zgodził się na coś znacznie ważniejszego, dobrać się do tego pokoju, wyważyć drzwi. Stare zamki puściły od razu, weszli jakby wdzierali się do krypty, wuj Leon opowiadał, że w pokoju powietrze było takie zakisłe, jakby ktoś tu trzymał mumie, jak w grobowcu, okropny zaduch, brudne szyby i kurz, wszędzie kurz. Spotkało ich upiornie doświadczenie. W pokoju wręcz skąpo, mebli, raczej gratów parę sztuk, ot rozklekotana szafa, dwa krzesła-dziwadła, jakiś stół, raczej stolik, żelazne łóżko, przegniła pościel, jakiś kwiatnik na ścianie, zaskorupałe w brudzie i smrodzie kwiaty w nim. Na łóżko rzucono, jakby w pośpiechu płaszcz przeciwdeszczowy, koło łóżka wysokie gumowce, jakoś się one po fachowemu nazywają nazwa mi z głowy wyleciała, no takie długie jakich używają wędkarze. Duży i brzydki zegar na ścianie zatrzymał się dawno temu, pajak zdążył rozsznurzyć pajęczynę pomiędzy szeroko rozdawionymi wskazówkami. Na tym stole-stoliku, okurzony na popielato i grubo, lichtarz bez świec. Obok parę listów podobnej treści jak te znalezione we Wrzosowie, daty bardzo różne. Co tam jeszcze z tych rupieci? Kałamarz, taki szkolny, szklany, z zielonawego grubego szkła, atrament dawno wysechł, pod nim jedno zdjęcie, postarzało się już szlachetnie, tonacja sepii – ułamek dawnego świata. Co, a raczej kto był na tym zdjęciu, wuj Leon w ten sposób opisywał: Pora roku taka przełamana, albo wczesna wiosna albo późna jesień, rzeka, nizinna, rozczochrane wierzby, za rzeką szarzało jakieś mokradło. Przed tą rzeką, na rozpaczliwie płaskiej równinie, upozowała się trójka ludzi, dojrzałych ludzi. Ubrani, tak jak ubierano na początku wieku, zasobnie, ale bez gustu urzędniczy albo byli artyści, którym się powiodło i obrośli drobnomieszczańskim sadłem: kapelusze, długie płaszcze. Najbliżej przedstawiony to mężczyzna, bródka i wąsy, okulary, melonik oparty o maszynierę fotograficzną na trójnogu wyższym niż on sam, coś ma w rękę i tę rękę wysuwa do tych dwojga, jakby im coś płaskiego podawał. Pomiędzy statysem aparatu a jego nogą siedzi, morda zwrócony do obiektu, pies, więcej niż średni, mocniej suchej budowy, dziś powiedzielibyśmy rasy bokser, świetne pokazuje zęby, uśmiecha się czy straszy? Tych dwoje to mężczyzna w czapce rosyjskiego ofice-

ra, też broda i wąsy, tyle, że dłuższe, bez okularów w płaszczu do połowy łydki, ciemniejszym niż wierzchnie ubranie tego pierwszego, mundur, ale nie widać epoletów. Kobieta w kapeluszu ogromnym, podobnym do ogona, otyła, okazała, uwagę zwracały jej niezwykle duże piersi, o takich się mówi: *przystojna*. Dłonie nieco poniżej tych piersi splecione, chyba w rękawiczkach, dziwnie się uśmiecha, nie do nich, nie do hipotetycznego fotografa, ale jakby szerzej w przestrzeń. Wszystko, na odwrocie zdjęcia żadnego opisu, pieczątki, znaku firmy, nic. Zagadka.

Cóż pozostało wujowi, przewietrzył pokój, wszystko zostawił jak zastał, postanowił narażać się z żoną. Pożegnał się z uprzejmym gospodarzem i zapowiedział, że niedługo tutaj powróci.

– Tak, powinien pan, coś zrobić z tymi rzeczami co tam pozostały – zgodził się uprzejmy gospodarz.

No to się wuj pożegnał, z nadzieją, że rychło powróci. Tak się złożyło, widać tak się powinno złożyć, iż wuj mógł wybrać się do Falenicy dopiero po miesiącu. Spotkało go niemiłe zaskoczenie, zamiast uprzejmego pana w typie francuskiego aktora furtkę otworzyła mu też miła, ale inaczej pani w średnim wieku, w świeżej żałobie. □

– Pan do ojca, za późno, ojciec zmarł, tak miesiąc, co mu było, tak dokładnie nie wiadomo, coś z płucami, jakaś infekcja, nigdy nie chorował, jego nagle śmierć nas samych zaskoczyła, może przez ten zasmrodzony pokój na górze, ojciec przesiedział tam w jeden cały wieczór, nad jakimś starym zdjęciem śleczą. Bardzo był poruszony, pan chce do tego pokoju zajrzeć, niestety, nie teraz to nie jest możliwe, pokój został odnajęty, młode małżeństwo z dzieckiem, pan rozumie były wydatki, a pan pyta o rzeczy, bądźmy poważni raczej śmieć, tak, spalono, zdjęcie też również, po co ono komu? Może było czymś zarażone, spieszyć się, pan wybacz.

Koniec, nic więcej nie mam do dodania, czy to jest literatura czy już dopadło nas życie? Zapytajcie siebie sami – zakończyła matka.

– Dla mnie całe to opowiadanie, to wyłączanie literatury! – jako pierwszy wyrwał się ojciec, zdeklarowany sceptyk, tylko dławczkę u jego papierosa znacząco urosła cała gąsieniczka popiołu, na długość małego palca, co i jakimś sposobem się trzyma.

– No, masz ci los – sąsiad był w kłopotcie, skrobał się z uchem. – Patrzcie państwo, zaszedł człowiek zwyczajnie, jak do sąsiadów, coś pożyć czy jak, a tu taka historia.

Cokolwiek zaszepiona matka powróciła do robotki, druty jęły śmigać i to oznaczało jedno: rodzinę, na pewien czas dajmy sobie spokój z tajemnicą pokoju na facjatce w Falenicy i niesfornym Wacławem, bratem naszego wuja, osoby bardzo trzeźwej. A tak w ogóle to ojciec się podniósł z krzesła, chrząknął: Taak i wyszedł, gdyż musiał udać na podwórko, aby zamknąć na noc kury. ♣

## Wiesław Janusz Mikulski

### Mniej oświetlona strona Parnasu

Życie ludzkie dla wrażliwego chrześcijańskiego serca to nieustanne poszukiwanie dobra, to pełne miłości wsłuchiwanie się w głos Boskiego Nauczyciela. To dźwiganie swego krzyża każdego dnia (por. np. Mk 8,34).

Tę wrażliwość serca zawierają pełne subtelności i poetyckiego talentu liryki MAGDALENY DOMURAD z Ostrołki w jej zbiorze wierszy pt. „Lapidaria”. Są to pełne szczerości wyznania. Jest tu widoczne autentyczne otwarcie się na dobro innych ludzi i jednocześnie pragnienie bycia kochaną: „(...) Sokrates był mądry/ nie chciał więcej/ niż mógł mieć/ ja – zachłanna na wszystko// kradnę

*uśmiechy/ przechodniom (...)*. Jest w tych wierszach urzekająca mądrość i nieraz pełne zaskoczenia skojarzenia i obrazy. W wierszu pt. „Zaczarowany” czytamy: „*Za oknem/ moknie świat// Ludzie jak termity/ biegną ulicami// Szarość i smutek otula miasto// Pobiegłam za nimi/ i – na szczęście/ zgubiłam drogę// Świat do którego trafiłam/ wydaje się lepszy*”. Tym światem jest Bóg, Jego miłość i prawda, co wyraża autorka w „*Mojej modlitwie*”: „*Przyszłam do Ciebie/ schroniłam się (...)// I poczułam/ nieznaną mi/ lekkość/ na duszy// Teraz wiem że.../ Ty też tam byłeś/ Boże*”. ♣

### Konkurs poetycki organizowany przy XXI Ogólnopolskich Biesiadach Literackich w Jaworze

Zestawy trzech wierszy o dowolnej tematyce, w trzech kompletach. Wiersze należy opatrzyć godłem, a do listu dołączyć kopertę z tym samym godłem, w której powinien znaleźć się dane autora (imię, nazwisko, adres, e-mail, telefon). Termin: 30 października 2003 roku.

Jaworski Ośrodek Kultury  
Rynek 5, 59-400 Jawor



Stefan Pastuszewski

## Gu-Gu

Maluch dowodził całemu światu, że słownik wystarczający do porozumienia się z innymi w sprawach swego życia *pod parasolem* czyli pod troskliwą opieką dorosłych nie musi być wcale bogaty. A opiekowało się nim aż czterech dorosłych, wyłączwszy 92-letniego pradziadka, który sam był jak dziecko i od czasu do czasu krzywił płacziwie swą nieogoloną twarz skarżąc się, że się nudzi.

W każdym razie z powodu nieokielzanej troskliwości swoich opiekunów, którzy wręcz zdejmowali z jego ust każde życzenie i informację o życiu biologicznym i duchowym, Maluch przez całe dwa lata zakonserwował ubogi słownik, doskonale żonglując swymi, bo to był jego bardzo osobisty kod, nielicznymi słowami, podpartymi oczywiście mimiką i gestykulacją. Rozumiał znacznie więcej niż mówił. Dość szybko zaczął reagować na swoje imię *Seba*, lecz nigdy go nie powtarzał, zupełnie jakby się go wstydził. (Wydaje mi się, że miał rację, bo znam takiego jednego Sebastiana...)

Pierwszym słowem, które coś zaczęło znaczyć, oprócz oczywiście nieartykułowanych dźwięków wyrażających zadowolenie bądź nie, było *ga-ga*. Tak nazywał psa Grację, taki mały psi chwast, który szczekał na każdy ruch i dźwięk, nie odróżniając wcale swoich od obcych, co oczywiście było szalenie uciążliwe, szczególnie wtedy *kiedy dziecko spało*. (Po pewnym czasie domownicy poszli po rozum do głowy i zaczęli ten psi chwast chować w piwnicy gdy Maluch spał). Biegało takie to to po całym domu i hałasowało niemiłosiernie, więc nic dziwnego, że bardzo szybko rzuciło się Maluchowi w uszy i oczy, i musiał jakoś na nie zareagować. Człowiek bowiem, nawet ten najmniejszy, zazwyczaj obdarza imieniem to, co najczęściej dostrzeża. Słowo przecież jest najpierw reakcją, a potem akcją. Szczególnie w przypadku dziecka, kiedy wszystkie jego potrzeby antycypują dorośli i dla jego, mniej lub mądrze pojmanego dobra, natychmiast zaspokajają. Taki mały człowieczek może więc oddać się przede wszystkim poznawaniu świata i budowaniu w swoim umyśle jego wizerunku. Ach, niejeden pisarz, ze mną na czele, chciałby żyć w takim luksusie niezakłóconej niczym obserwacji, podpartej oczywiście natychmiastowym zaspokajaniem przez jego otoczenie jego bardziej trywialnych potrzeb.

Następna w kolejności wyłowienia ze świata i nazwania była *Baba*, bowiem babcia tak żywo interesowała się wnukiem i tak bardzo chciała podzielić się ze swoją córką swym niewyczerpanym doświadczeniem macierzyństwa, że była w domu niemal równie aktywna i hałaśliwa jak pies Gracja.

Podobną aktywność wykazywał odkurzac, oczywiście *dla zachowania higieny i czystości*, często uruchamiany właśnie przez babcie. On to zyskał imię *gum*.

Tego już dla rodzzonej matki było za dużo i tak się Maluchowi zaczęła naprzykrzać, że zaczęła ją laskawie, po wielu zresztą wymuszonych ćwiczeniach, tytułować: *Mama*. To chyba ona, bo w zasadzie tego w swym szoku macierzyństwa dziś nie pamięta, nauczyła go słów czynnościowych *am* i *apa*, choć ja wciąż wierzę, że są to słowa naturalne, pierwotne dla wszystkich dzieci na świecie, bowiem oznaczają one, niezbywalne dla nich, czynności: jedzenie (z czasem doszło *aham* oznaczające picie) i noszenie z przytulaniem, tak przecież ważne dla ich życia emocjonalnego. Słowo *apa* bądź *opa* znaczy bowiem również: *Bądź ze mną! Przytul mnie! Chcę być z tobą!*

Trzecia, równie niezbywalna czynność związana z właściwym funkcjonowaniem organizmu czyli *aa*, była przez honorowego Malucha dość skrzętnie skrywana i do drugiego roku życia nosił on pieluchę, a wszelkie próby sadzania go na nocniku torpedował histerycznym wrzaskiem. Nie pomagały nowomodne nocniki grające, a mnie się wydaje, że odstraszały go – jak do dziś zresztą mnie odstrasza – chłód i twardość podczas zeknięcia się rozgrzanego ciała ze śliską i zimną powierzchnią wstydliwego naczynia z jakiegokolwiek by ono tworzyła nie było. (Pradziadek ku-

## Sebastianowi Pastuszewskiemu na drugie urodziny

pił swego czasu puszysty pokrowiec na sedes, ale szybko go zabrudził i nadal musiał się wzdrgać przed charakterystycznym dla wszystkich ludzi na świecie kucnięciem; w takiej pozycji siedzi niestety Adam Asnyk na pomniku w Kaliszu). W każdym razie matka bądź babcia, chcąc sprawdzić czy synek bądź wnuczek zrobił *aa*, po prostu go wachały.

Święta czynność spania, której bardzo – w odróżnieniu ode mnie – nie lubił i robił wszystko, aby się jej nie oddać, nazywał *cha* (*ch* oczywiście, bezdźwięczne). Prawdopodobnie był to efekt obserwacji wiecznie chrapiącego w fotelu pradziadka. To *cha* było jednak trochę mylące, bo tym samym nazywał coś gorącego, ciepłego – (prawdopodobnie podpatrzył to u kobiet, kiedy to chuchały one na zbyt gorące potrawy), na przykład jedzenie czy zapaloną żarówkę. On jednak odróżniał te znaki. *Ciepło, parzy* chrypiał, jakby po estońsku wydłużając *chcha*, zaś spanie, równie po estońsku, wydłużał w *chaa*. Akcent też był estoński, bo na pierwszą, jedyną zresztą sylabę, choć w istocie był wewnątrzsyłabowy (raz jedna, raz druga zgłoska).

Najczęściej używanym rzeczownikiem oznaczającym czynność było *bam*. Maluch po prostu każdy upadek, najczęściej oczywiście spowodowany przez niego samego, na przykład łyżki ze stołu czy krzesła, kwitował radosnym: *bam!* Nie oznacza to wcale, że był nazbyt złośliwy i wszystko ścigał, przewracał. Czynił to raczej w normie, na miarę swoich potrzeb poznawczych. Trudno bowiem poznać prawa rządzące tym światem, dopóki się go trochę nie poprzewraca.

Słowo *bam* miało też inne znaczenia, między innymi *zniszczenie, katastrofę*. Gdy w pewien letni dzień z daszku na garażu spadła podbitka i stukła stojący pod nim nocnik, to Gu-Gu, choć prawie nigdy z nocnika nie korzystał, cały dzień chodził i, rozkładając ręce (tego też chyba nauczył się od kobiet), rozpaczkał: – *Aa bam! Aa bam!*

Swój skromny słownik, w momencie gdy przychodziło mu określić coś, na co nie miał słów, Maluch uzupełniał słowem – wytrychem, które z czasem stało się jego przydomkiem: *gu-gu*. W zależności od siły targających nim emocji czy pasji poznawczej mówił *gu* albo *gu-gu*, wreszcie, w stanie najwyższego podniecenia: *a-gu-gu*. Dotyczyło to zarówno czynności jak i rzeczy. Na przykład: *Mama gu* wraz ze wskazaniem na piłkę znacząco chęć zabawienia się piłką. Pomocą, obok tego słowa – wytrycha, była gestykulacja (na przykład gdy chciał, abym wziął go na barana, uderzał delikatnie na płasko dłonią w moją głowę i uśmiechał się znacząco) lub zmiana tonu głosu. Jeśli chciał wyrazić oburzenie na mamę czy babcie, które nie chciały mu na coś pozwolić, to natychmiast pogrubiał głos i silnie akcentował ostatnią sylabę, *podnosząc* ją jakby nieco w górę, ot tak: *mamá, babá*. Wydaje mi się jednak, że w tym to chyba też kopiował dorosłych.

Gu-Gu był bardzo oszczędny w mowie, bowiem większość wyrazów z jego słownika miało tylko jedną bądź dwie sylaby. Reszta – jak już wspominałem – była gestykulacją, mimiką, sapaniem lub nawet mlaskaniem (w niektórych językach murzyńskich niektóre dźwięki sygnalizują właśnie mlaski). O tym, że Maluch miał murzyńską tendencję językową świadczy fakt, iż bardzo szybko nauczył się od cici klaskania językiem (*Powiedz, jak robi konik...*) i podczas swej zwyczajnej ruchliwości badackiej często klaskał dla zwiększenia dynamiki teje.

Maluch dość wcześnie zaczął identyfikować słowem osoby. Oprócz mamy i babci, imieniem obdarzył pradziadka, bardzo poprawnie wymawiając słowo *Dziadzia*, wreszcie cicię, z którą nawiązał szczególną zabawową nić porozumienia (uwielbiał jej obecność) nazywając ją jakby z ugrofińska: *Taszo* lub *Tasio*. Nie wiedzieć tylko dłaczego na mnie wołał: *Tata*; chyba dlatego, że usłyszał jak moje dzieci mówią tak właśnie do mnie (matka Malucha i jego ciotka były moimi córkami – Kinga i Paulina). Gdy to odkrył, to uparcie, na przekór innym domownikom, którzy usiłowali wręcz mu wmówić, że jestem *Stefan*, wołał na mój widok: *Tata!* Gdy o coś do mnie apelował lub na coś wskazywał swoim słownym *gu-gu*, to używał jak najbardziej poprawnego, choć wychodzącego już z użycia wołacza: *Tato!* A, że często lubił jak śpiewam to rozkazywał od czasu do czasu: *Tato la-la!* (*la-la* oznaczało oczywiście śpiew bądź piosenkę, a z czasem i radio, i zostało mu prawdopodobnie zaszczeponie przez babcie, która zachęcała go do śpiewu właśnie owym *la-la*, co on

czasem pokornie powtarzał, ale za to zachowywał pełne szacunku i uznania milczenie, gdy ona bądź ja śpiewaliśmy; Maluch nie wiedział jeszcze, że ja strasznie fałszuję). Wywoływało to oczywiście konsternację przygodnych obserwatorów, a jego matka lamentowała, że *Maluch będzie zбочony*. A właściwy ojciec, raczej nieobecny w domu, zachowywał powściągliwe milczenie.

Zresztą gwoli prawdy historycznej trzeba powiedzieć, że *Gu-Gu* początkowo zwracał się do mnie per *mama*, co tak nie do końca oznaczało konkretną osobę, raczej chęć pobycia z kimś innym, wyrwania się z nadopiekuńczych objęć trzech kobiet. Niemniej na tę okoliczność wymyśliłem piosenkę, na dzia-dowską nutę, choć w rytmie walca, a zaczynając się od słów: *Moja mama ma wąsy, moja mama ma brodę, moja mama to chłop jest na schwał...* Tańczyłem ją z Maluchem, a on cieszył się jak żywy i ilekroć nie miał co robić, to łapał mnie za nogi, wołając: *Mama!*, co znacząco oczywiście tańca z *mamą z wąsami i brodą*.

Do osób, którymi w pierwszym okresie były dlań wszelkie istoty żywe, Maluch zaliczał też drugiego psa – czternastoletniego (na ludzkie to będzie prawie sto lat) Barego, którego z uwagi na tubalne szczekanie mianował *wa-wa*. *Wa-wa* z racji swej niedoleżnej starości często pokładał się w różnych przejściach, więc czasem przez nieuważę nadeptywało się mu na ogon czyli *gin*. Trzeba przyznać, że nigdy Gu-Gu nie czynił tego specjalnie, a często gaskał starego psa po głowie czy nawet po najciekawszej jego części czyli właśnie *ginie*.

Gu-Gu pod koniec drugiego roku życia zaczął podrywać *sąsiadkę z za płota*, panią Elę. Ilekroć ją zobaczył, tylekroć natychmiast wołał: *-Ala apa!*, niezależnie od tego czy był u kogoś na *apa* czy biegał niczym narwana mysz po podwórzu, bo przecież dziecko rozwija się poprzez ruch. Korygowany, że nie *Ala* tylko *Ela*, uparcie trzymał się swego, bowiem *a* jest łatwiejsze w wymowie niż *e* (większość wczesnodziecięcych słów nie zawiera tej antypatycznej samogłoski). W ten sposób nowoczesny (XXI-wieczny) Maluch realizował nowoczesną tendencję w języku polskim zamiany *e* na *a*, nie wiedząc oczywiście o istnieniu już oboczności pierwotnego *e* na *a*, (na przykład: *las-w lesie, świat-na świecie*). Dotyczyło to również również łatwego *o* (oboczność głosek *o-e*, na przykład: *biore-bierzesz, niosę-niesiesz*; zresztą z tymi dwoma słowami nie miał żadnego problemu, bowiem wszystkie czynności związane z *braniem* i *noszeniem* – dokonane, dziejące się czy projektowane – kwitował wytrychowatym *apa*).

Największe zdumienie wywołało u mnie stowosowanie przez Malucha liczebników, a raczej jed-



nego liczebnika, jakże pierwotnie, w swym rdzeniu, praindoeuropejskiego. Po prostu chcąc coś policzyć, na przykład rybki w ogrodowym stawie wołał: *Ain, ain, ain*, wskazując oczywiście na pływającą się w wodzie obłą, czerwone stworzonka, bo żona moja lubiła jaskrawe kolory. Nie wiem jak innych, ale mnie to właśnie przekonało, że kiedyś istniał jakiś wspólny przadek wszystkich ludzi. Wciąż bowiem żywa jest teza, że dzieci są jakby modelami człowieka na początku jego ontogenetycznego rozwoju.

Tezę tę potwierdziła, naturalna według mnie, umiejętność budowania słów opozycyjnych w oparciu o przedrostek *a*. Bardzo na przykład lubił zapalenie i gaszenie światła. Kazał się brać na *apa* (z czasem *opa*) i wiódł od kontaktu do kontaktu.

*Bi* – oznaczało zapalenie światła, *abi* – jego zgaszenie. Pochodziło to prawdopodobnie od zasłyszanego *zapalić*, wymówionego bardzo szybko i niewyraźnie jak to tylko dorośli potrafili, a raczej nie potrafili.

Nikt się nie dowie skąd to słowo powstało, bo kiedy Maluch dorósł, to nie będzie pamiętał swego wczesnego dzieciństwa. Jest to bowiem czas bez pamięci historycznej. Czy *pamiętacie coś poniżej swego trzeciego roku życia?*

Oczywiście, że pamięć operacyjną Gu-Gu posiadał, ale tylko w tym zamkniętym, swoim świecie dzieciństwa. Dzięki niej poznawał przecież rzeczywistość, dzięki niej uczył się jej, przy okazji ucząc się siebie. A czynił to pokornie w szacunku do świata, którego zastał. Jeszcze nie usiłował go zmienić. Brał go takim jaki był.

A przy okazji poznawał swoje możliwości w nim. Na przykład przy zamykaniu furtki do ogrodu, chwycił rączką ogniwa furtki, bo była ona ażurowa, wykonana z giętych metalowych prętów, i powoli, drobiazgowo, do tyłu, zamykał. Z czasem operację tę wykonywał sprawniej i szybciej, jakby jednym ruchem. W każdym razie zamknięcie furtki było dlań czynnością wręcz rytualną, gdy tylko obok niej się znajdował, a ona była otwarta. Na pewno wiele w tym było elementów zabawy, która w tym wieku w znacznym stopniu polega na powtarzaniu aż do znudzenia tych samych czynności.

W pewnym momencie Gu-Gu rozpoznał możliwości przekazywania informacji poprzez zestawianie kilku swoich słów.

- *Baba mimi am*,  
co miało znaczyć:
- *Babcia da kotu jedzenie*  
bądź:
- *Babcia daje kotu jedzenie.*

Bardziej skłaniałbym się do tego drugiego znaczenia, bowiem Maluch – jak powiedziałem – był przede wszystkim obserwatorem i stwierdzał, a nie projektował. Chociaż pewnego razu...

- Porwał leżące na stole pieniądze i rozkazał:
- *Ain bzum-bzum baba am.*

A miało to znaczyć:

- *Weź babciu pieniądze (ain czyli liczba, a pieniądze przecież się liczy) i pojedź samochodem do sklepu po jedzenie.*

Oczywiście z nim samym, gdyż Maluch uważał się za pełnoprawnego uczestnika wszystkich domowych przedsięwzięć. Rano sprzątał podwórze po psach, potem chwycił za wtyczkę do odkurzacza, zwanego onomatopeicznie *gum* bądź *gum-gum*, i próbował odkurzać, wreszcie podlewał kwiaty swoją koneweczką, mocząc oczywiście swoje nogi i nawet kaktusy traktując jako rośliny pełnowodne. Wyciągał garnki i talerze z okrzykiem: *Am!*, co znaczyło, że najwyższy czas zabrać się za przygotowanie obiadu.

Gu-Gu przekładał nasz język na swój. Pewnego razu zapytałam Paulę czy wzięła pieniądze na benzynę do samochodu, to natychmiast usłyszałem z jego kąta: – *Tasiu ains bzum-bzum.*

Maluch, niestety ku memu rozczarowaniu, dość szybko wyrastał z pierwotnego reagowania na świat i poddawał się, zatrzuwając jej jego świeżość, socjalizacji. Uczył się lokalnej kultury. Jednym z jej elementów było zwalczanie much odkurzaczem. Czyniła to oczywiście czystościś – babcia, kierując błyskawicznie ssawkę w stronę muchy siedzącej na ścianie, a nawet i brzęczącej w powietrzu. Tak się to Maluchowi spodobało, że ilekroć dostrzegał utrapionego owada, a trzeba przyznać że w wyłapywaniu szczegółów był znakomity (podnosił nawet drobne paprochy z dywanu; raz nawet zawstydił mnie przy gościach wskazując na palnę na moich spodniach, mówiąc

oczywiście słowo *gu*), to wołał rozkazująco: *Gum!* Był to oczywiście miecz obosieczny dla wynalazcy tak oryginalnego sposobu dezynsekcji, bowiem nie zawsze chciało się jej biegać z odkurzaczem za muchą, szczególnie, gdy ta była maleńka, a wynalazczyni przygotowywała właśnie obiady. Dopiero znacznie później, podczas drugiego lata swego życia, zaczął Gu-Gu rozpoznawać owady bardziej brzęcące, i większe, wołając *Oszal!*, nawet na kręcącą się przy lampie ćmę. Z czasem Maluch zaczął też dostrzegać ptaki, wołając na nie *fiu* za sprawą papugi, która uwieczniona w domowej oranżerii, nudząc się bez ludzi, co rusz gwizdała. Było to najbardziej uciążliwe niedzielnym rankiem, gdy człowiek chciał sobie nieco dłużej pospać.

Maluch oczywiście nie używał słowa „tak” albo jego swego odpowiednika, bowiem dla obserwatora – empirysty cały świat jest akceptowalny (być jest dobrem), z wyjątkiem oczywiście tych momentów, które odciągają go od badania tegoż. Znaczący to, że używał pojęcia *nie*. Zachęcany do jedzenia czy spania wołał, bardzo pierwotnie zresztą: *uu*, a z czasem, niestety pod wpływem wciskanej mu kultury: *nia*, aby skończyć niestety swą edukację w zakresie przeczenia na trywialnym: *nie*. To *uu* brzmiało mi misiaczkowato, gdy wtulony we mnie dawał się usypiać, kołysaniem oczywiście (zadziwiające, że dzieci znoszą gwałtowne, huśtawkowe przyspieszenia czy wręcz szarpania, jakiego na przykład Maluch doznawał, gdy tańczyłem z nim *Pariser Tango*), a moja nieśmiała zachęta, aby poszedł wreszcie spać do *mamy, baby* czy *tasiu* (Maluch rósł i z tego dnia na tydzień starał się coraz cięższy kwitował nerwową niezgodą zakończoną u bądź bardziej zdecydowanym *uu*). Gdy w końcu, ukołysany, zasypiał, a poznawałem to po swobodnym, lekким, bardzo regularnym oddechu, oddawałem go mamie, która, niestety, spała z nim w jednym łóżku, a tak przecież nie powinno wyglądać hodowanie męczyszki. Gdybym jednak tego nie uczynił i wpakował Gu-Gu do swego łóżka, to matka uraczyłaby mnie jednym ze swoich nieprzytomnych wrzasków, sygnalizujących jej chorobliwą, źle rokującą dla dziecka, zachłanność na dziecko. Maluch to chyba intuicyjnie wyczuwał i gdy nadchodził zmierzch, to coraz bardziej zbliżał się do mnie, aby w krytycznej chwili, gdy zamykały mu się oczy, zawołał: – *Tato apa!*

Gu-Gu mimo swego skromnego słownika, którego ubóstwo było raczej pozorne, bo wiele słów – jak już wspomniałem – miało wiele znaczeń, świetnie dawał sobie radę z rzeczywistością i sobą. Kręcił się jak fryga, wciąż uśmiechnięty, a przynajmniej pogodny. Nie bał się ciemności; podobno jak mówiła *tasiu*, która penetrowała z nim różne pozadomowe obszary tego świata, uwielbiał jazdę nieoświetloną windą, podczas gdy ciocia wręcz trzęsła się ze strachu w takiej okoliczności.

Tylko dwa razy widziałem go uciekającego: raz, gdy głośno psikałem (w zasadzie to chyba nie hałas, ale lęk z powodu tego, że mnie się coś stało, tak go wystraszył), drugi raz, gdy – trzymany w garażu kot – uciekł w krzaki i w nich szeleścił. Maluch przykleił się wówczas do ściany garażu i, nabierając odwagi, zawalczył słowem:

– *Kici!*

Było to ni to zapytanie, ni to stwierdzenie, z sekundy na sekundę przerażające się jednak w to drugie. Gdy przytaknąłem *nie było już sprawy*, a w mojej głowie narodziła się bardzo poważna kwestia o sile zaufania. Pomaga ona przewyciężyć największy nawet lęk. Gdybyśmy tak mocno – jak Maluch najbliższym – ufali Bogu, to nie lękalibyśmy się niczego, nawet śmierci. A tak w ogóle, to zawiedzenie zaufania dziecka, powinno być traktowane jako grzech śmiertelny.

Był dowcipnisiem, tym ciekawszym, że z racji małomówności rozsiewał wokół siebie aurę tajemnicy i człowiek do końca nigdy nie wiedział, czy on żartuje czy nie. Przebywając u mnie na *apa* i każąc się nosić po całym domu wskazywał palcem na moje portrety (a mam ich dwa, namalowane z *sympatii* przez Renatę Uzarską-Bielawską i Andrzeja Nowackiego) i wołał prowokacyjnie: *Gu!*

– *Kto to jest?* – pytałem, a on, uśmiechając się szelmowsko, wskazywał już na coś innego. Że to był żart i on dobrze wiedział, kto pozował do tych obrazów, przekonywałem się, gdy za chwilę znów wiódł mnie pod moje portrety i znów *gugał*.

Bo powtarzalność tych samych czynności jest przecież istotnym elementem dziecięcej zabawy.

A jeśli idzie o zabawy, to po prostu lekceważył zabawki. Cały jego pokój, a zarazem i jego matki przypominał stos bezużytecznego, choć kosztownego, kolorowego, ruszającego się i grającego szmelcu. Najchętniej bawił się bowiem kluczami, *otwierając i zamykając* zamki. A gdy czasem brałem do ręki śrubokręt czy młotek, to był wniebowzięty, wydzierając mi go wrecz.

Maluch w odróżnieniu od swego pradziadka („*Dziadzia*”) nie nudził się nigdy i nigdzie, bo wciąż się czymś interesował i zajmował (przypominał w tym biegającą zygakiem mysz, bądź mego ruchliwego koleżkę o bardzo ciepłym nazwisku – *Aleksander Grzybek*). Pradziadek zaś, w odróżnieniu od Malucha, nigdy niczym poważniejszym się nie interesował, z wyjątkiem samego siebie, rodziny, pogody i polityki gazetowo-telewizyjnej (nigdy nie schodził poniżej I sekretarza KC PZPR, a potem prezydenta RP), będąc pod tym względem typowym przedstawicielem *większości samoobsługowej*.

Maluch pod wpływem babci, która – wydawało się – w zasadzie nic nie robiła tylko sprzątała, szybko stał się stróżem porządku. Gdy przekraczał próg domu, to obydwojma rączkami odchylał poły mojej marynarki, sugerując, abym ją natychmiast zdjął, a następnie, wskazując na pantofle, wołał rozkazującym tonem: *Cia!* (słowo to na pewno pochodziło od spieszczonych *papci*). Gdy jednak mimo to chodziłem w skarpetkach, to tak długo biegał za mną wołając: *Cia!*, aż wreszcie wykonałem jego polecenie.

Gu-Gu wciąż apelował o sprzątanie. Z racji tego, że główna esteta domu nigdy nie chowała odkurzacza (zresztą był on tak wielki, ciężki i skomplikowany, że chowanie go w szafie czy w piwnicy było istnym heroizmem) i stało to to w jednym, bądź w drugim kącie, Maluch co rusz podbiegał do niego wołając: *Bimi gum!*, co miało znaczyć: *Niech elektroluks sprząta!*

(Umilowanie sprzątaną nie było oczywiście związane z umiłowaniem czystości i porządku; raczej chodziło tu o umiłowanie hałasu i bałaganu, gdy coś się dzieje).

Gu-Gu chodził po domu jak po własnym, z pewnością i powagą właściciela, nie tylko domu ale świata. Bo dzieci, zanim ich społeczna rzeczywistość psychicznie nie okaleczy czyli nie zastraszy i nie wytresuje, istnieją w tak silnym związku z rzeczywistością, w której się znalazły, że z całą pewnością można powiedzieć, iż przyjsię ich na świat nie było ani przypadkowe ani wymuszone. One są oczywistą częścią tego świata, obojętne w której części globu się znajdują i w jakim punkcie na prostej rzeczywistości. Nawet gdyby tych dzieci było dwa, trzy razy więcej niż obecnie, to zawsze będą niezbywalną częścią rzeczywistości i można powiedzieć, że one z niej w sposób oczywisty wyrastają, a nie jak to mnie – pod wpływem własnych traumatycznych doświadczeń kiedyś się zdawało – są w nią brutalnie wrzucone.

Tak więc casus Gu-Gu jeszcze raz utwierdził mnie w przekonaniu o bezwzględnej świętości życia, w tym oczywiście nienarodzonych.

Opowieść tę, skrycie dialogowaną z moim Gu-Gu i innymi domownikami, muszę jednak zakończyć. Przed chwilą bowiem usłyszałem w słuchawce telefonicznej nowe słowo: *Toja*. Najpierw było oczywiście pełne zaskoczenia – po usłyszeniu mego głosu – milczenie, potem radośne: *Tata opa!*, wreszcie, po chwili ciszy, absolutnie obce: *toja*, wypowiedziane jednak sztucznie, jakby nie własnym głosem.

– Co to znaczy? – zapytałem żony.

– No: to *ja*... – usłyszałem w odpowiedzi.

– Nauczyliście go! – wybuchnąłem.

– No tak, musi wreszcie nauczyć się mówić

– usłyszałem w, pełnej pretensji z powodu mojego wybuchu, odpowiedzi. – Musi myśleć o sobie.

No i nauczyli. Dzielić świat na: *ja* i *resztę*. Rozbili integralność tego świata, którą Maluch przez dwa lata, tak heroicznie, między innymi poprzez ograniczanie słów, utrzymywał.

Strasznie! Rozpoczął się nowy, gorszy okres jego życia.

I tak już będzie z etapu w etap. Coraz dalej, coraz niżej...

Przechodzisz Maluchu, w inne, gorsze i trudniejsze światy.

– *Pa Gu-Gu!*



dokończenie ze str. 19

punkt w czerwonym murze. Tam był kolejny obiekt do obejrzenia. Więźniarki były więc częścią muru, wprawdzie szczególną, powszechnie interesującą, ale tylko żywym przedmiotem wyłącznie poddanym ocenie. Nie wyobrażano sobie, że tamte istoty, poruszające się pośród cieni lub w przyćmionym świetle, mogły posiadać nogi.

– Mówię! Słyszycie! Co ja tam wczoraj nie widziałem!? Wierzycie!

Milczeli, znał, że wierzyli – Mówię..., mówię ..., Piersi miała..., miała jak donice! – ostatnie słowo wypowiedziane było z ogromnym wysiłkiem, jakby został z rąk wyrzucony młot.

– Trele, parele, cyce jak donice!? I ty to widziałeś!? Stał!

– A widziałem!

– Widział! Widział! A babci ślubną suknię też widział? – kpiąco pokrzykiwał Mądrasz i udawał, że nie dostrzegł jak lustrator biustu niewieściego gniewnie zwarł pięści do uderzenia. Mądrasz lekcewał takie przygotowanie do bójki.

W Fordonie mężczyźni bili się często i ohocho. Mądrasz mieszkał w kamienicy znajdującej się w pobliżu kobiecego więzienia. Mogłby przerzucić sznur na więzienny mur pobłyskujący zacementowanymi kawałkami szkła i ponuro patrzył kłębami drutu kolczastego. Ze strychu kamienicy Mądrasz miał przepyszny widok każdego wieczoru na rozbierające się do snu więźniarki. Dlatego chwaleńcy się rozmówcy lekcewał. Miał w zanadrzu lepsze nowiny.

– A ja widziałem wczoraj pępek, pępek był okrągłutki jak złotówekca.

Milczenie zakręlowało. *Pępek! Więc kobiety mają pępek.* Kilku z tak niebywałego wrażenia pobiegło w ustronie wysikać się.

– A po co miałyby pokazywać pępek!? A czy w ogóle kobiety mają pępek? Przecież..., to jest niemożliwe! – ktoś zaprzeczał, nie będąc w stanie zrozumieć, jak to tematycznie związać w całość i głośko się po brzuchu, raz i drugi. On ma pępek i to jest zrozumiałe, ale kobiety...

– Nie wierzysz? Możesz przyjść i za złotówkę ujrzysz pępuszek.

Na taką propozycję antypępkowiec odwrócił się plecami. Obojętnie w jakiej częstotliwości żyje się nad modrą Wisłą, złotówek raczej w kieszeni brak, nawet w takiej sytuacji gdyby tamtem nieznanym pępekiem pobłyskiwał niczym klejnot.

Wszyscy rozeszli się więc, będąc zgodni, że Mądrasz przesolił cenę za wstęp na strych. Można wejść w niedzielę za darmo na wieżę kościelną, podzwonić na mszę i popatrzeć na więzienie za darmo i to z większej wysokości. I jeszcze zyskać uznanie proboszcza za ochotę posługi przy dzwonach. Ksiądz proboszcz nigdy więc nie narzekał na brak mężczyzn do obsługi dzwonów ...

## 3.

Rozniosła się radosna nowina o budowie linii kolejowej, co miała złączyć mocno Gdynię ze Śląskiem. Nazwano ją *koleją francuską* i niektórzy nadal ją tak nazywają. Budowa wołała o męskie ręce. Wolnych takich rąk w Fordonie nigdy nie brakowało. Pobliska Bydgoszcz oddalona od Fordonu o jedenaście kilometrów *nie wchłaniała wolnych ludzkich mocy*, jak to swego czasu naukowo określano. Stacje były drogie, komunikacji żadnej. Lokalny fordński przemysł ślimaczył się. Kwitły natomiast żydowskie sklepy i sklepiki. Synagoga usadowiła się pewnie w centrum.

Bezrobocie jako niezbędny współczesnej cywilizacji występowało raz więcej, innym razem mniej. Jest to proces korzystny dla polityków. Pod parasolem takiego zagadnienia można dojść do władzy i w jedną noc. Można także zorganizować kolejną partię, ale w takim przypadku do przewodzenia narodowi dochodzi się w dłuższym okresie czasu. Problem i tak pozostanie nie rozwiązany.

W Fordonie zawrzało niczym w ulu pszczełim. Wadomość o potrzebie rąk do pracy poruszyła serce, duszę i podniebienie. Karczma Płot-

kiego na rynku miasta zapełniła się od brzegu do brzegu. Tylko jeden stolik nie był zajęty. Umownie był przeznaczony dla więźniarek opuszczających ponure więziennne mury. Tutaj nie przyglądano się już będącym na wolności niewiastom. Były przecież ubrane i podobne do Fordoniarek. Dalsza część sali była w ogóle dla kobiet zakazana. Nikt głośno o zakazie nie mówił ani go nie ogłaszał, ale tak było niezmiennie od lat. Nad tym zwyczajem czuwał właściciel knajpy i kelner z nieodłącznym mokrym kitlem i z szarym ręcznikiem stłamszonym w bocznej kieszeni. Poza tym miejscem, choćby i księżna tego zażądała, niewiasta nie otrzymałaby ani siuski wódki. Głębia bachusowego przybytku była męską ojczyzną, przesiąkniętą piwem, gorzką wódką i machorką. To tutaj rozstrzygały się losy świata. I żaden rząd, parlament, izba ustawodawcza wyższa czy niższa, prezydent, minister, wojewoda, starosta, a nawet najmądrzejszy człowiek w Fordonie, burmistrz, nie posiadali pomysłów na poprawę wszystkiego, aby ten świat wokół był piękny i przyjazny.

Serwowano gotowe recepty. Nikt tego nie spisywał. Były one tak genialne, że ich oczywistość winna być podstawą do ich realizacji. *Każdy dyktator powinien być utopiony podczas kąpieli w wannie. Każdemu wszak to może przytrafić się. Anglia dla zachowania równowagi w Europie powinna zbudować most przez morze, co by Niemcom ukróciło ochotę na tęskne spoglądanie na cudze terytory. Anglicy byłiby blisko i nic nie uszłoby ich uwadze. Anglicy mają bystry wzrok. Taka dobra cecha to rezultat długiego przebywania na morzu. Co Anglikom nie jest obce. Do Australii jest przecież daleko i angielscy marynarze tygodniami do Australii płyną, muszą z bocianych gniazd na statku patrzeć i patrzeć, a to wyostrza wzrok. Anglia to potęga i żadnej linii Maginota nie potrzebują jak zabójcy za Renem, co to zza betonowych murów pijąc wino spoglądają czy, aby barbarzyńcy nie maszerują w ich stronę.*

– A ja mówię, że Angliczaki to tylko na morzu są chojrakami. Na lądzie liczy się koń i szabla – wykrzyknął Rafijec, mieszkający przy plebani i w damkę pogrywający z wikarym dzień w dzień.

– A ja powiadam, że armaty będą miały ostatni głos! Armata to armata, to jest to – niezbyt głośno rzekł Andryszczak, ale już od pierwszego słowa wypowiedzianego ściełiła się w całej karczmie cisza.

Andryszczak nie znosił żadnego sprzeciwu. Miał podobno podwójne zębra, pierś twardą jak skała, pięść ślizgała się po piersi bez żadnego efektu. A i z uderzenia ciężkim przedmiotem Andryszczak śmiał się. Dłonie Andryszczaka były wielkości dwukilogramowego chleba. Napięte rękawy świadczyły, że bicepsy dusiły się ze swojego nadmiaru i gotowe były rozerwać materiał. Były niczym naprężona cięciwa i w każdym momencie mogła poszybować strzała, rozbijająca co tylko znalazłoby się na linii toru lotu. Andryszczak zwady pierwszy nie wszczynął. Wprost przeciwnie zwywał do spokoju. Wyjątek był tylko jeden. Zgwałcona przez kogoś nierozważnego cisza stawiła od razu na nogi Andryszczaka. Karę za naruszenie ciszy wykonywał Andryszczak nieodwołalnie, natychmiast. Andryszczak uwielbiał posypianie w knajpie i to w szczytowej najbardziej handlowo chwili wieczornej. Z lubością wypijał dwa piwa gdańskie, rozdymiał gruby, zwinięty z machorki papieros, dmuchał wprost w czarną od lat powalę dłuższą lub krótszą chwilę i po kilkakrotnym spojrzeńiu na kamratów tam i siam, w lewo i w prawo, głowę kładł na stolik i zasypiał. Od pierwszej minuty snu przez salę sunęła coraz cichsza fala przyciszonych rozmów. Respekt budził Andryszczak przeogromny. Gdy Andryszczak powracał w objęcia rzeczywistości zgodnie z nakazem natury, powoli i statecznie, nic nie działo się. Jednakże, kiedy sen brutalnie mu przerywano, następował czas sądu, kara i wykonanie w jednej minucie. Niczym zbudzony ze snu zimowego niedźwiedź, Andryszczak szalał. Bił często i gęsto. Toteż rozmowy prowadzono cichcem. Niszczycieli ustanowionego przez Andryszczaka prawa o zachowaniu ciszy w przybytku Ba-

chusa nie spotykało się pośród miejscowych. Bywały zdarzenia z gośćmi przybyłymi raczej z zewnątrz. Żle zachowujących się gości, Andryszczak wyrzucał oknem.

– A do obory poszo! Precz! - i po takim okrzyku nieszczęśnik jeden lub więcej, liczba była obojętna, ładował na ulicy, skąd mógł w pokorze powrócić. Ponowny bunt spotykał się z innym potraktowaniem. Andryszczak unosił jedną ręką delikwenta w górę. Jak ten wierzył nogami, dostawał kilka razy wolną ręką pstryka w nos i bywał zaniesiony do największej studni na Kozim Ryнку. Tam buntownik chłodzony był zimnym strumieniem wody. Taka metoda wychowawcza Andryszczaka była znana szeroko i daleko poza granicami Fordonu. Niewielu było chętnych do poddania się tej terapii. Andryszczak mógł więc posypać do woli. A bywalcy karczmy w cichości rozważać problemy za problemami.

– Żydzi na Madagaskar! – zawołał nagle jeden z dyskutantów.

– Tam jest ich miejsce! - krzyknął drugi.

Sala i pokrzykujący struchleli. Andryszczak lekko poruszył się. Być może ulubiony zapach machorki był bardziej intensywny. Winowajcy zwiesili głowę, że też taki niecodzienny okrzyk może komuś wylecieć z gardła.

Żydzi to wieczni wędrowcy, ale Palestyna byłaby dla nich najlepszym miejscem do powrotu. Mogą do tej chwili mieszkać z nami. Kolonizacji niemieccy z pobliskiego Pałcza rozgłaszają, że to oni staną się narodem wybranym przez Boga i pogonią cebulowych ludzików nad Jordan. Ale byli to skąpi gospodarze i najwidoczniej nie lubili płacić rachunków w handlu z Błamstajnem, który nie dawał się obskubać, raczej odwrotnie.

A w ogóle to Żydówki są kobietami innymi.

Spojrzano na Kojta, zonanego z Żydówką. Ten uniknął jednak spojrzeń, uśmiechnął się do brotliwie i milcząco popijał anyhowów. Andryszczak znów spał snem głębokim, chrapał miarowo i rytmicznie. Przerwanie takiego snu byłoby zbrodnią, nie licząc zaniesienia pod pompę na Kozim Ryńku.

Ten okrzyk: *Żydzi na Madagaskar!* - nie był jednak pozabawiony przyczyny. Ruch syjonistyczny przewidywał zakończenie prawie dwutysięcznego błądzenia żydowskiego po całym globie ziemskim raz na zawsze i miało powstać państwo Izrael w Kenii albo na Madagaskarze lub Palestynie, a i nawet na południowo-wschodnich rubieżach ziem polskich. ■

## Stowarzyszenie Archiwistów Polskich

### Zarząd Główny

ul. Bonifraterska 6 lok. 21,  
00-213 Warszawa, tel. (22) 635 87 68,  
tel./fax (22) 831 31 71  
www.sap.waw.pl, sap@sap.waw.pl

*Jesteśmy najstarszą, największą i najbardziej  
profesjonalną firmą archiwistyczną w Polsce.  
Działamy na polskim rynku już od 37 lat.*

### Zakres naszych usług obejmuje, m.in.:

**Archiwizacja od @ do z**

- tworzenie planów organizacji i zarządzania dokumentacją
- przechowywanie dokumentacji
- prowadzenie działalności szkoleniowej w ramach Centrum Edukacji Archiwalnej
- archiwizowanie, porządkowanie dokumentacji
- tworzenie archiwów elektronicznych
- opracowywanie przepisów kancelaryjno-archiwalnych.

Archiwizacja od @ do z

Archiwizacja od @ do z

Kalikst Piechocki

## Ucieczka na Kujawy

Lato 1939 r. było upalne. 24 sierpnia Ojciec został zmobilizowany do 9 PAL-u w Siedlcach. Już w dniu wybuchu wojny, 1 września, zaczęły pojawiać się w Bydgoszczy konne wozy wieśniaków z nad granicy – podążające w stronę Inowrocławia. Wracając z pracy, na ul. Jagiellońskiej, zobaczyłem harcerza, który kierował ruchem ulicznym – pomagając wojsku w przejeździe przez miasto.

Na ulicy Kujawskiej słychać było huk toczących się po bruku żelaznych kół wozów, ryk bydła – całej rzeki ludzi i zwierząt. Widok był przerażający. Mieszkańcy Rupienicy, którzy byli świadkami tego exodusu, też ulegli panice. Niektórzy całymi rodzinami postanowili uciekać z miasta.

W naszym domu, przy ul. Kujawskiej nr 47, mieliśmy sąsiadów, którzy pochodzili z Pałuk: Jeździkowscy, Buszkiewiczze, i oni Mamie zaproponowali, że udamy się do Żnina do Dziadków. Mama wyraziła zgodę na wspólną ucieczkę i w nocy z 2 na 3 września 1939 r. wyszliśmy w stronę Lasu Kujawskiego. Przespaliśmy noc na mchu, przykryci zabraną z domu pierzyną – za leśniczówką Bąkowskiego. Rano Mama stanowczo postanowiła wracać do domu.

Gdy wyszliśmy na szosę, zastał nas taki tłok uciekinierów, że nie było możliwości iść pod napierającą tłum. Po prostu zostaliśmy pochłonięci i już razem szliśmy w stronę Inowrocławia.

W Brzozie dogonił nas osobowy samochód, w którym stał polski oficer i krzyczał: „w Bydgoszczy Niemcy strzelają do Polaków! Powstanie!”. Natychmiast zerwał się szaleńczy popłoch uciekinierów, tak na szosie jak i jej poboczach. Jedni rzucali niesione bagaże, inni je podnosili jako własne. Ja też rzuciłem pierzynę, która mi ciążyła, sne. Ja też rzuciłem pierzynę, która mi ciążyła, przytroczona do pleców. Dopiero przy Jeziorze Jezuitskim w Chmielnikach tłum się uspokoił. Żałowałem teraz porzuconej pierzyny. Jeden z mężłoczy zatrzymał wóz drabiniasty, prawie pusty, i polecił woźnicy zabrać kobietę z małym dzieckiem. Skorzystaliśmy z nadarzającej się okazji i zajęliśmy miejsca na tym wozie. Mijając Nową Wielką Wieś widziałem zburzone domy – ślady po wybuchach bomb. Podobne zniszczenia ujrzałem przed wiaduktem kolejowym w Inowrocławiu.

Pod wieczór zajęliśmy do wsi Komaszycy, odległej od Inowrocławia 5 km, i zatrzymaliśmy się w majątku ziemskim. Spaliśmy w stodole na sianie. Pan polowy wziął nas pod opiekę – a wyglądał bardzo bojowo. Chodził z przewieszoną przez plecy dubeltówką. Panowała psychoza szukania Niemców – szpiegów.

W poniedziałek, 4 września, poszedłem z bratem Konradem (1925) do Inowrocławia po chleb.

Wracając, mineliśmy na rozdrożu drogi do Komaszycy czującą wojskową. Leżeli na poboczu drogi, z gotowym do strzału LKM.

5 września minął spokojnie, ale we środę, 6 września, otrzymaliśmy wiadomość, że Niemcy zajęli Bydgoszcz i podążają w stronę Inowrocławia. Uciekinierzy zaczęli szykować się do dalszej drogi.

Ja z bratem, pierwsi wyszliśmy na drogę, ubrani w harcerskie bluzy. W tym czasie, a było to już po południu, przechodziły obok nas dwie kompanie piechoty wojsk polskich – maszerowali tzw. latówką, kierując się na Brześć Kujawski. Zdziwiony, rzuciłem pytanie: „Dlaczego wycofujecie się?” Żołnierze spojrzeli na mnie, ale nic nie odpowiedzieli. Dopiero po chwili z szeregu odezwał się głos: – „Taki mamy rozkaz”. Mijali nas czwórkami, przyspieszonym marszem, zmęczeni, spoceni w skwarze dnia.

Gdy nadeszła Mama (1903) z moją siostrą Krystyną (1928), nadjechały wozy i jeden z woźniców kiwnął na nas, że możemy się do nich przyłączyć. Dla Mamy zaraz znalazło się miejsce na wozie, a my szliśmy pieszo obok wozów. Okazało się, co było dla nas dużym zaskoczeniem, że między sobą rozmawiają po niemiecku! Mama dowiedziała się, że są to wieśniacy spod Nakła i tak jak i my uciekają. Kazała nam być czujnymi.

We wsi Dulsk wozy skierowały się w prawo, jadąc polną drogą. Pamiętam, że był krótki odpoczynek przy cmentarzu – była to wieś Góra. Na dłuższy odpoczynek dla zmęczonych koni zatrzymaliśmy się w majątku Karczyn, za wsią Witowy. My, uciekinierzy, spotkaliśmy się na dziedzińcu, stojąc w koło i rozmawiając, co to będzie dalej, a był to już wieczór. Nagle jeden z młodych uciekinierów odezwał się: „Tutaj, między nami, są Niemcy! – wozy ich stoją za stodolą z czerwonej cegły, a jest ich sześciu.”

Na tę wypowiedź odezwał się starszy mężczyzna: – „I cóż nam szkodzi, że są to Niemcy – uciekają tak jak my.” Po tej wypowiedzi nastąpiło milczenie i każdy poszedł w swoją stronę. A mogła stać się tragedia. Niemiecy wieśniacy celowo nas zabrali ze sobą jako ochronę, że jesteśmy razem z nimi.

Zrobiło się ciemno i woźnicy pozwolili nam też zająć miejsca na wozach. O północy zajechaliśmy do stacji polowej PKP Bachorce. Przy słabym świetle był gwar na torach, ponieważ na wagony ładowało się wojsko polskie. Wozy zawróciły na wschód na Wolę Wapowską. Jechaliśmy polną drogą, a wokół niej po obu stronach paliły się stogi z pszenicą. Był taki żar, że musiałem dłonią zakrywać twarz. Stogi zapalali polscy żołnierze na koniach. Mama zwróciła się do nich:

– „Dlaczego palicie te stogi”. Odpowiedzieli, że mają taki rozkaz.

Niezapomniana noc!

Rano dojechaliśmy do miejscowości Dobre. Widziałem dwa leżące trupy, natomiast Mama widziała przed Dobrem leżące ciała kilkunastu zastrzelonych w rowie przy drodze – podobno szpiegów. Opuszczając rankiem Dobre nasze sześć wozów stanowiło samodzielny konwój. Wschodziło słońce, było rześko i ciepło. Siedząc przez cały czas na wozach kobiety, Niemki, wyjęły książki do nabożeństwa i głośno odmawiały poranne modlitwy. Tak w spokoju zajechaliśmy do majątku Zawadila w Biskupicach, a było to 7 września rano.

Mama wysłała mnie samego po chleb do pobliskiego Radziejowa Kujawskiego. Po drodze widziałem, jak ludzie wynosili mąkę z młyna, w workach na plecach. Dotarłem do Rynku ale chleba nigdzie kupić nie było można, bo sklepy były pozamykane. W rynku zauważyłem, że z tyłu budynku ludzie wychodzą i wynoszą buty. Wszedłem też do piwnicy tego budynku, w którym znajdował się sklep z obuwem niejakiego Marcińskiego – Żyda. Butów na regałach nie było – leżały na podłodze. Dopasować parę było niemożliwością.

Wracając, minąłem klasztor franciszkanów, farę i będąc już na drodze do Biskupiec, dobiegł do mnie mężczyzna, biegnący przez pola i mówił, że Niemcy są już w Kruszewicy. Tą wiadomością podzieliłem się z Mama.

Z dziedzińca majątku Zawadila obserwowaliśmy pojedynkę dwóch samolotów, Niemca i Polaka. Jeden gonił drugiego nisko nad ziemią. Żaden z nich nie strzelał i odlecieli na południe Polski.

W stodole, gdzie spaliliśmy z bratem, zmuszeni byliśmy schować nasze bluzy harcerskie. Po południu pierwsze oddziały niemieckie przybyły od strony Chełmc. W międzyczasie uciekinierzy pouciekali na południe.

Na dziedzińcu wjechały dwa motocykle z żołnierzami niemieckimi, z 309 Pułku Piechoty – Regimentu Infanterii z dowódcami Hofmannem i Kirschke. Oficer niemiecki wysiadł z przyczepy motocykla i zapytał Mamę, co tu robimy? Mama odpowiedziała, że jesteśmy uciekinierami z nad granicy. Poszedł do ludzi, którzy znajdowali się w stodole, a byli to wieśniacy – Niemcy, którzy nas przysparnęli.

Mijające wojsko niemieckie witali chłodno: – „Guten Tag”, natomiast ich żony – gospodynie wykrzykiwały: – „Heil Hitler!”. Wracaliśmy do domu bocznymi drogami, mijając miejscowości: Skotniki, Pieranie, Parchanie, Wierchosławice, Rojewo i wieczorem dotarliśmy do dużego gospodarstwa na polanie przy lesie w Dąbrowie Wielkiej, gdzie zanocowaliśmy w domu mieszkalnym. Po śniadaniu (uprzednio zabito wieprza oraz wypieczono chleb) konwój ruszył do Nowej Wsi Wielkiej. W Stryzku pasły się bezpieczeństwa cielaki. Synowie wieśniaków pochwytali je i związane prowadzili za wozami. 12 września 1939 r. w południe przybyliśmy do naszego domu przy ul. Kujawskiej nr 47.

**CENTRUM HANDLOWE**  
**DOM i styl**

85-796 Bydgoszcz  
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11  
www.domistyl.com.pl  
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

**PN.-PT. 10.00-20.00**  
**SO.-N. 10.00-15.00**

- NIEZWYKŁE MEBLE
- WSZYSTKO DO ARANŻACJI DOMU
- STUDIO ZDROWEGO SNU
- STUDIO BIAKOMINKÓW

*Lubię ładne rzeczy*

Galeria sztuki  
Klub Polskiej Książki  
prowadzi Hanna Mierzwa

Przebywając, wiosną 1998 r., na leczeniu sanatoryjnym w Inowrocławiu, odwiedziłem szlak ucieczki z września 1939 r.

W Komaszycach władze gminy wyremontowały pałac i zamieszkuje w nim kilka rodzin. Dulsk - rozbudowany. W Górce zastałem liczne wieże wiertnicze – solanki. Odwiedziłem cmentarz, bardzo dobrze utrzymany, z pomnikiem pisarza Stanisława Przybyszewskiego.

W Bachorcach bez zmian. W Woli Wapowskiej przypominały mi się pałace stogi z pszenicą w 1939 r. W Dobrem podziwiłałem zabudowania cukrowni. W pałacu Zawadila mieści się Dom Dziecka. W Radziejowie Kujawskim nie ma śladu po młynie, a w Rynku też nie ma sklepu obuwniczego.

Stefan Pastuszewski

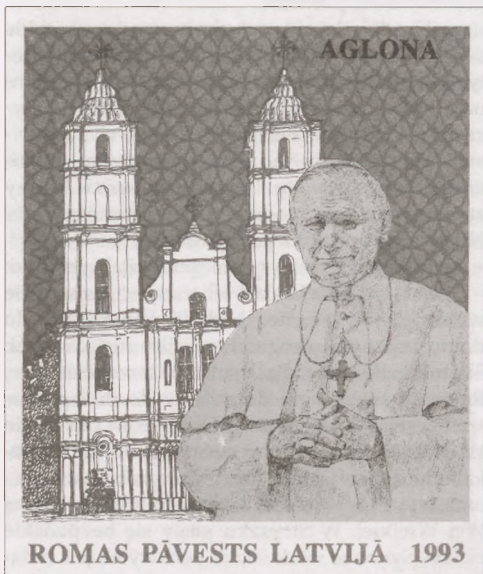
## Inflanckie drogi

Inflanty to dla Polaków przestrzeń bardziej symboliczna niż historyczna, dotykana. To kraina i kultura, jakby w czasie i drodze bardzo odległa, mityczna wręcz, a równocześnie wciąż obecna w naszej świadomości, choćby tylko nazwą – egzotyczną, zaciekawiającą, nie wykorzystaną (Polacy tak na dobrą sprawę nigdy ze sprawionego im przez historię, *daru Inflant*, nie skorzystali).

Wciąż aktualna jest skarga Gustawa Mantuffla-Szoega, przeistaczająca się niemal w przekleństwo narodowe, że *Polacy tyle wiedzą o Inflantach, co o Borneo i Sumatrze*.

*Inflanty* – efekt polskiego safandulstwa językowego, niedbała przestawka niemieckiej nazwy *Liwländ* czy łacińskiej *Livonia*, co znaczy *Kraj Liwów*, czyli wymarłego już dziś prawie plemienia ugrofińskiego roztopionego wśród ludów łotewskich.

Jeśli idzie o wspomniane polskie safandulstwo językowe, to „najpiękniejszym” jego wykwitem jest, odnotowana w polskich kronikach i na polskich mapach, nazwa twierdzy u ujścia Dźwiny do morza – *Dyjament*, będąca li tylko fonetycznym zniekształceniem niemieckiej nazwy *Dünamünde*, co po łotewsku transformuje się na *Daugavgrīva*, a znaczy po prostu *Ujście Dźwiny*. Jeśli idzie z kolei o łotewską *grīvę* czyli *ujście*, to lewobrzeżna część Dynenbura, zwana po łotewsku, *Grīvā* została przez naszych niedbaluchów nazwana po prostu *Grzywą* i gen. Edward Rydz-Śmigły w czasie kampanii łatgalskiej (1919-1920) robił wszystko, aby właśnie Grzywę pozostawić po stronie II Rzeczypospolitej.



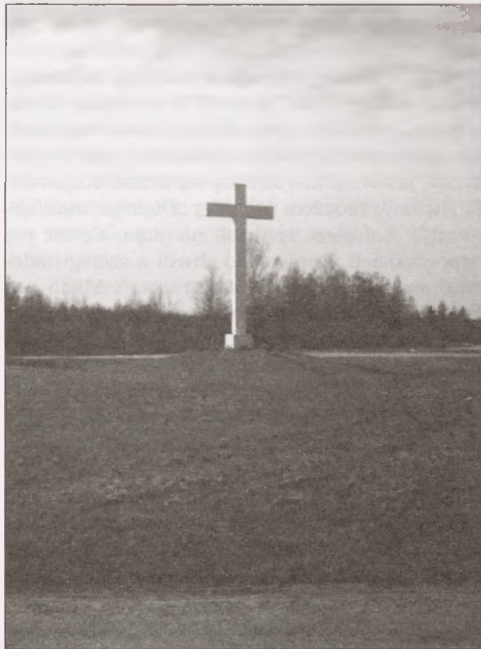
Na zdjęciu: Pamiątkowa pocztówka z wizyty Jana Pawła II w Aglonie

W każdym razie Inflanty to świat bardzo migotliwy, zarówno daleki jak i bliski nam. Tak, *świat*, bowiem szeroko, symbolicznie rozumiane Inflanty są nie tylko terenem współczesnej Estonii i Łotwy, ale poprzez swą mityczność i mistykę oraz tą upartą *odległość*, oddalającą przez wieki od polskiej świadomości, zdaje się obejmować i Litwę, i częściowo Białoruś, Karię, Finlandię, Rosję petersburską, Nadpregole wreszcie... A jeśli do tego dodać wciąż istniejące tam warstwy kultur: niemieckiej, duńskiej, szwedzkiej, polskiej, rosyjskiej to uzyskamy tak bogaty tort, że rzeczywistość może to być odrębny, samowystarczalny *świat*. Romantyczny, bardzo północny.

\*\*\*

Poznać Inflanty można też od strony dróg, choć niektórzy Polacy – a jest ich szalenie mało – w zasadzie tylko tak po amerykańsku i japońsku, to znaczy od hoteli – tę magiczną krainę poznają.

Niezwykłą cechą inflanckich dróg jest harmonijne współzycie z przyrodą i to nie tylko dlatego, że nie zaśmiecają je – jak u nas odpadki – i reklamy (jedynie w okolicach miast takowe się pojawiają i to doprawdy, ale w skromnych ilościach; najwięcej jest ich na przedmieściach stolic ale też nie pląsają w oczach zbyt krzykliwością). Po prostu jedzie się i jedzie w odmętach zieleni lasów i łąk, szarości bagien, złota rzepakowych upraw, „*gryki jak śnieg białej i palącej panieńskim rumieńcem dzięcieliną*”. Jedzie się i odpooczywa, odróżniając zieleń litewską od łotewskiej



Na zdjęciu: Biały łatgalski krzyż na rondzie polnym przed Agloną Fot. Włodzimerz Zieliński

(pierwsza jest „złota”, druga „bura”), lasy łotewskie od estońskich (pierwsze w znacznym stopniu są mieszane, drugie z dominacją drzew iglastych; ach, te nostalgiczne, szczególnie na wyspach estońskich, szare pustacie z „*pasącymi się*” na nich stadami jałowców), typ postkomunistycznej kultury rolnej z Estonii, Litwy i Łotwy od białoruskiej (w tych pierwszych państwach jednym pociąganiem zlikwidowano kołchozy i sowchozy, w efekcie czego pojawiły się morza ugorów, tu i ówdzie tylko poszatkowanych uprawami; na Białorusi gospodarka kolektywistyczna kwitnie, także chwastami w zbożu). Innymi słowy wzrok i psychika na Inflantach odpooczywają, tym bardziej, że rzadko z naprzeciwka pojawia się jakiś pojazd (Polak czuje się tu – w małym ruchu i dużym spokoju – jakby wciąż była niedziela), ale – też nikt nie wyprzedza, bo Inflantczycy, z wyjątkiem mafii i, pieniędzmi naładowanych *Nowych Rosjan*, raczej przepisów przestrzegają (50 km/h przy przejeździe przez miejscowości Łotwy i Estonii; zadziwiająco, że najszybciej jeżdżą Estończycy, o których rosyjskie *żeriszczyny*, chcąc wytknąć swemu partnerowi słaby temperament seksualny mówią z pogardą: „*estoński malczyk*”). W ogóle pustka inflanckich dróg to jakby ich cecha immanentna; zmierzający wiosną 1789 roku traktem z Petersburga przez Narwę, Dorpat i Rygę



Na zdjęciu: Były pałac (obecnie szkoła) pierwszego prezydenta niepodległej Litwy – Antanasa Smetony (1874-1994) w Użeleniu. Fot. Włodzimerz Zieliński

wybitny rosyjski historyk Mikołaj Karamzin (1766-1826) poskarżył się w swych sławnych „*Listach rosyjskiego podróżnika*”, że na Inflantach nie widział jadących, „*tak pusta jest ta droga w dzisiejszych czasach*”. W dzisiejszych również.

\*\*\*

Drogi łotewskie są nieco gorsze od litewskich, bardziej też rozjeżdżone (Ryga zdaje się być „*naturalnym*” portem Moskwy, a dwa inne łotewskie porty: Lipawa i Windawa, specjalizując się w drewnie i ropie, nawet podczas najszrokszej zimy nie zamarzają) i „*ustawione*” na osiach wschód-zachód. W rezultacie „*wszystkie drogi prowadzą do Rygi*”. (Przeciętny mieszkaniec Łotwy w ciągu życia „*ma obowiązek*” zwiedzenia swej stolicy, pobliskiego wobec niej kurortu Jurmały i równie niezbyt odległego Parku Narodowego nad Gawią z kolejką linową łączącą na dystansie niespełna kilometr dwa brzegi wąwozu, dnem którego meandruje ta przepiękna rzeka, w której swego czasu poili swe konie polscy husarzy). Efektem takiego, równoleżnikowego wyasfaltowania dróg, jest cała sieć, prowadząca nawet do turystycznie atrakcyjnych miejscowości, dróg szutrowych, po przejechaniu których w pogodny dzień biały pył zalega we wnętrzu wozu i zgrzyta w zębach. (Po każdym powrocie z Inflant przez pół roku wyplukuję ten pył z różnych zakamarków mojego „*Opla*”). Po deszczu trakty te oczywiście nie pyłają, ale za to łatwo na nich o poślizg. Podobny typ dróg jest na Litwie, ale jest ich znacznie mniej i asfaltówki nie mają aturystycznego układu (nawet do miejsca urodzenia Antanasa Smetony we wsi Użelenis można było – przez sławne Wodokty – dojechać traktem bitym, a nie wysypanym białym, wapiennym kamieniem).

W ogóle litewskie szosy – gładkie niczym pasy startowe i najlepsze na całych Inflantach – zachęcają, przy wciąż aktualnym spostrzeżeniu Mikołaja Karamzina o „*braku podróżnych z naprzeciwka*”, do jazdy bezpiecznej, choć przyspieszonej. Nie jest ona jednak zbyt bezpieczna dla kieszeni, bo choć Inflantczycy w odróżnieniu od Polaków, raczej solidarnie meldują światłami o patrolach policyjnych czy milicyjnych (Białoruś), to jednak patrolte te nie są tak leniwe jak polskie i wciąż przemierzają się, a ponadto czasem nie ma komu ostrzec, bowiem po prostu z naprzeciwka nic nie jedzie. W każdym razie ja dwukrotnie stałem się ofiarą tej patowej sytuacji, gdyż dwukrotnie bezpowrotnie odebrano mi na Inflantach prawo jazdy. Obowiązuje tu bowiem taki amerykański styl interwencji stróżów porządku, że gdy prędkość przekracza o 20 punktów dopuszczalną, to prawo jazdy jest bezapelacyjnie konfiskowane i można je wykupić za pokazaną sumę dopiero dnia następnego w rejonowym, a więc często odległym, komisariacie. Nie pomagają prośby i inne próby mediacji; ja za taką jedną w drodze z Parnawy do Ainaži, notabene będącą długim lotniskiem zapasowym, po raz pierwszy w życiu zostałem nazwany bardzo soczystym, znanym mi tylko z literatury, rosyjskim epitetem „*sumaszedszyj*”. (Nie znaczy to oczywiście wcale, że ktoś tak o mnie na Inflantach, w innych oczywiście sytuacjach, a bywałem tam ponad dwadzieścia razy, nie myślał). Surowi estońscy policjanci



Na zdjęciu: Pomnik ofiar promu Estonia (wyruszające się z topieli ręce) w Võru



Fot. Włodzimierz Zieliński

nie dość, że nie wstydzi się języka swych niedawnych okupantów, dobrze wiedząc, że ich język jest dla Słowian i Bałtów zupełną abrakadabram, a na dodatek posługiwali się nim niczym Rosjanie – zamaszycie.

\*\*\*

Estońskie drogi pachną mazutem, gdy temperatura powietrza przekroczy 30 stopni. Dziwne to zestawienie – zapach świeżości płynący od lasów, łąk i nielicznych pól oraz i ciężki choć też naturalistyczny, fetor mazutu. Nie wiem jaką metodą, ale gospodarzni Estończycy, skazani na częściową autarkię (1,5-milionowe społeczeństwo na skraju kontynentu, bez dynamicznych perspektyw rozwojowych) tak sprytnie eksploatują swe główne bogactwo mineralne – złoża łupków bitumicznych w północno-wschodniej części kraju, że także wychwytyją z nich „coś na drogi”, jakby asfaltowe. Jedynie nadmorskie trakty nie pachną, choć też nie wszystkie.

(Ta swoista antarkia skłania Estończyków do wyjątkowej niechęci w stosunku do Unii Europejskiej.)

\*\*\*

Specyfiką dróg na szeroko pojętych Inflantach są postsowieckie, ogromne ronda w polu. Po prostu, gdy krzyżują się ważniejsze drogi, to zbudowano w tych miejscach koliste patelnie o obwodzie sięgającym chyba połowy kilometra, które z racji na małe i rzadko postawiane drogowskazy dezorientują. Na jednym z takich rond w pobliżu łotewskiej Częstochowy czyli Agłony (sanktuarium Przewodniczki z Kwiatem) Łatgalscy, a więc najbardziej katolicy Łotysze, wystawiali z okazji wizyty Jana Pawła II, która miała miejsce, we wrześniu 1993 roku wielki biały krzyż, posadowiony skosem, tak że z każdego kierunku widać jego ramiona. Dla nas, zakochanych w Rzeżycy, jest on nie tylko znakiem pobliskiego sanktuarium, notabene budowanego z fundacji polskiego rodu Szostawickich, ale i połowy drogi z Dynenburga lub, bardziej z polsko-rosyjska, Dźwińska, do ósmego co do wielkości miasta na Łotwie, w którym egzystuje najlepsza w tym państwie Polska Szkoła Średnia im. Stefana Batorego. W ogóle imię tego niepospolitego władcy zapisało się na trwałe w pozytywnej części historii Inflant i warto mu poświęcić osobny esej.

\*\*\*

Estońskie drogi to także promy. W tej północnej części Inflant jest mnóstwo wysp, z tym jedna (Ruhnu) tuż pod nosem Łotwy. Na trzy z nich (Ozylija wraz z połączoną z nią groblą wysepką Mõön,

Dagö, Worms) prowadzi regularna żegluga promowa; czwarta linia to dwa rejsy dziennie między Ozylią a Dagö. Oczywiście, że w czasie mrozów żegluga ta zamiera i – jeśli warunki na to pozwalają – wytycza się trasy samochodowe po lodzie wraz ze specjalnymi znakami drogowymi (marzę o takiej zimowej jeździe; podobno czasem wytycza się nawet trasę do Finlandii).

W każdym razie promy płyną bardzo regularnie i są to jednostki nieźle wyposażone, choć ilekroć wjeżdżałem na ich pokład, to tylekroć twarz moja i towarzyszy podróży sępiła się wspomnieniem tragedii promu „Estonia” jesienią 1994 roku (w każdym większym mieście znajduje się pomnik poświęcony ofiarom tej tragedii; a było ich blisko 600; z imienia i nazwiska wymienia się tych, którzy zginęli, i pochodzili z danego miasta, okręgu). Być może dlatego atmosfera na promach jest godna, co w niczym nie przypomina sytuacji panujące na polskich jednostkach pływających do Danii i Szwecji (hucpa, konsumizm, porubstwo).

Nigdy nie zapomnę solidarności jaką wyrazili w pewien lipcowy, niedzielny wieczór 2003 roku pasażerowie ostatniego promu z wyspy Dagö na stały ląd. Pogoda była wspaniała, wyspę liczącą blisko 1000 km<sup>2</sup> „obciążyli” tysiące turystów (niestety, chyba żaden – oprócz nas – z Polski; przeważali Estończycy i Finowie, widziałem też Holendrów; dobrze, że nie Niemców który podobnie jak Japończycy „wszędzie się pchają”) i kiedy dzień chylił się ku zachodowi, symbolicznie oczywiście, bo z uwagi na sławne „białe noce” jesz-

cze o 22.00 było jasno jak u nas po południu, więc kolejka do promu wyspiarskim w porcie Heltermaa rosła z minuty na minutę. Ku naszemu zaskoczeniu sprzedawano każdemu bilety („z powrotem” są droższe od „tam”; wiadomo – pojechać nie trzeba, ale wrócić – tak) i miejscowi zachowywali się bardzo spokojnie, wędrując od samochodu do samochodu, podśpiewując pod wpływem piwa i bardzo ciepło nas, Polaków, pozdrawiając. A my, nerwowi, liczyliśmy stojące przed nami samochody, coraz bardziej sparaliżowani strachem, że trzeba będzie spędzić noc w chmarze komarów i meszek, które akurat wyfrunęły na żer. Grozę sytuacji potęgowała dodatkowo kolejka z pierwszeństwem, bowiem okazało się, że za 20 koron (ok. 7 zł) można było wykupić rezerwację tuż po wjeździe na wyspę. Nikt jednak nie oszukiwał i bez rezerwacji kolejki nie pchał się nieformalnie na prom, a po prostu spokojnie czekał (chyba ci Estończycy mają inną skórę albo czymś się posmarowali, bo nie chowali się tak jak my do dusznych wozów przed niemilosiernie żrącymi owadami; płątały się one na promie nawet przez kilka pierwszych kilometrów od brzegu). Prom odpływał za promem, a kolejka topniała niczym bałwan w czasie mrozu. W końcu podpłynął jako ostatni prom – olbrzym, taka mniejsza „Estonia” (brr!). Rozpoczęło się ładowanie.

Z podziwem obserwowaliśmy załogę upychającą samochód za samochodem (lusterka trzeba było „złamać”; otworzyć można było tylko jedne drzwi) oraz pasażerów, którzy tuż po załadowaniu zgromadzili się na pokładach rufowych, aby solidarnie dopingować wjeżdżających. Żadnych wygłupów, złośliwości, egoistycznej radości, że „mnie się udało, a tamtym nie”, tylko pełna powagi solidarna troska. I udało się! Wszyscy się wladowali z wyjątkiem ogromnej ciężarówki, która rozsądnie zjechała na bok, aby nie blokować miejsca co najmniej dziesięciu osobom. Niemniej, gdy byliśmy już w połowie drogi, zauważyliśmy jak w stronę wyspy płynął specjalny prom po tego kolosa i być może kilku spóźnialskich, choć śmiem wątpić, gdyż Estończycy, są bardzo punktualni; termin to termin.

Firma promowa AS Saaremaa Laevakompanii zdała egzamin.

\*\*\*

Drogi białoruskie są puste. Średniej klasy, mocno zbudowane, aby ciężki radziecki sprzęt wojenny mógł bystro przeć na Zachód, oznakowane średnio (rzadziej jednak na nich można się zagubić niż w Estonii, która jako „kameralny” kraj nie podaje zbyt dalekich przelotów; drogowszak jest zazwyczaj od miejscowości do miejscowości). Różnią się jednak od innych inflanckich – gęsto rozsianymi, szczególnie na południu państwa, żółtymi tablicami z dwujęzycznym napisem: „Wnimanie tuman! Warning fog! Trudno stracić z oczu pamięci opary snujące się wczesnym rankiem niczym skrzydła niewidocznych aniołów po bagnach i łąkach Polesia! Kolana same skłaniają się do przykłąku, a ręce do modlitwy...”



Na zdjęciu: Pomnik ofiar promu Estonia (przerwana linia życia) w Rewlu

Fot. Włodzimierz Zieliński

Beata Anna Pokorska

## Meandry współczesnej prozy

BOŻENA BUDZIŃSKA, rozpoczynając przed dwoma laty, w 2001 roku na łamach „*Akantu*” (nr 11, 12), diagnostyczną dyskusję na temat polskiej prozy, przytoczyła we wstępie swego znakomitego artykułu, który nie znalazł – a szkoda – kontynuacji, smutny obrazek rodzajowy, typowego dla lat siedemdziesiątych, prowincjonalnego wydawnictwa, do którego przychodzi młody literat... Przychodzi, rzecz jasna, by wydać książkę... Odchodzi, rzecz jasna, z kwitkiem... Ma to być dla dzisiejszych młodych pisarzy, rzecz jasna, pocieszeniem...

Czy jest? W pewnym sensie i owszem... Wtedy trzeba było się łamać ideologicznie, dziś jedynie (?)... finansowo (o ile nas stać) lub układowo (o ile mamy możliwości lub... ochotę). Wówczas łutem szczęścia było przeszlizgnięcie się przez młyńskie koła folwarku państwowego kacyka, jakim mógł być każdy, nawet prowincjonalny, naczelnicy, dziś jest nim znalezienie odpowiedniego sponsora czy choćby (?) promotora... Dwie nieprzystawalne rzeczywistości, ideologii i pieniądza, jeno pragnienie to samo... wydać książkę. I odnieść sukces. Tylko jakim sposobem: dziś, jak i wówczas, konkursów mało, a przecież ilość miejsc na podium nie zmienia się...

Ile znaków zapytania... Bo, czy istotnie, rzecz jedynie w pieniądzu? Zapaść! Zapaść w polskiej prozie! – słyszymy zewsząd, gdzie tylko nastawimy czujnego ucha – młodzi nie dźwigają ciężaru sztuki, zamykają się w swoich małych podwórzach bądź sniają małe mityczne sny, jakowe i wtrone! Nie ma czego (wartościowego) recenzować... Przyjrzyjmy się zatem lamentom...

Zapaść, ale czego konkretnie? Ilości wydanych książek? Z pewnością nie, o czym przekona się każdy bywalec księgarni, nawet tych dworcowych... Tematów? Tych także nadto, zadrukowane strony aż furczą od ilości obrazów, którymi raczą nas młodzi, wszystkiego do woli, zwłaszcza tego, co rzeczywiste: biedy i nędzy polskiej ulicy, blokowiska, a w ślad za nimi antidotum na te biedy: narkotyków, wódki, wreszcie hermetycznych, tworzonych naprędce, małych ideologii. Ideologii rzeczywistości! (najprawdziwszy paradoks). Ale i drugiej strony medalu: nędzy świata komercyjnego, oszukańczej, a jakże nachalnej, reklamy, pozornych karier w biznesie, łatwych kontaktów w internecie, i związanych z tym „samotności i pobieżności w sieci”. – Młodzi nie podnoszą w swej twórczości tematów uniwersalnych, nie kreują dyskusji światopoglądowych! – słyszymy dalej... ale, przecież... to już było, tak zostało choćby ocenione pokolenie „drugiej epoki” (trzymając się klarownej terminologii, zaproponowanej w *Tekstach Drugich* przez JERZEGO JARZĘBSKIEGO), które wyraźnie odcięło się od uczynienia historii bohaterem swej prozy. – Wystarczy – powiedziało, wskazując tym na wyczerpanie się formuły czasu uniwersalnego jako osi prezentacji rzeczywistości, tak widocznej w porządku ówczesnych opowieści pisarzy „pierwszej epoki”, czyli bezpośredniego powojnia (Dobraczyński, Gołubiew, Malewska, Parnicki). Po czym... reinterpretowało historię, wydobywając z niej aspekty ironiczne lub groteskowe (Brandys, Bratny, Konwicki, Hłasko, Strykowski, Szczepański, Putrament, Tyrmand) lub też odcięło się od niej swoistym autobiografizmem czy quasi-autobiografizmem (Anderman, Andrzejewski, Białoszewski, Brandys, Gomolicki, Herling-Grudziński, Konwicki, Kuśniewicz, Musiał, Nowakowski, Rymkiewicz, Stojowski, Szczepański, Paźniewski, Żakiewicz). Pogombrowiczowski afabularyzm, stawiający czas autora nad czas historii, wpisywał się aktualnością w dorobek europejski, przygotował grunt pod nadchodzącą dyskusję ookoło leyeunowego „paktu autobiograficznego”, choć jakże widoczny stawał się już kres tegoż pisarstwa... Ileż razy można było dosiadać tego samego konia?

A cóż zrobiło „trzecie pokolenie”, w którym pokładano tak wielkie nadzieje na zmianę warty? Zignorowało owe oczekiwania, a zwłaszcza ich polityczne konteksty. Pogardziło historią, nawet tą „przerobioną”, autobiograficzną, przepuszczoną przez pryzmat indywidualistycznego naddania. Żadnych rozrachunków ze społeczną, a tym bardziej historyczną, przeszłością, żadnej identyfikacji politycznej. Kontestacja *bruLionu*, *Kresów*, *Fa-Artu* czy *Nowego Nurtu* dotyczyła wprowadzania polityki do sztuki, była sprzeciwem wobec „literatury etosu” i rządów „autorytetów moralnych”, wyprowadzanych ze świata polityki, która kazała prezentowany świat odnosić do wydarzeń w Polsce. Literatura po 1989 r. sprzeciwiła się owemu polonocentryzmowi i postanowiła nawiązać szerokie stosunki „ze światem”, otwarła łamy dla wielorakich kontestacji: postmodernizmu, feminizmu, gender, a nawet queer. To jej niewątpliwym dorobek, tylko – jak stwierdził Jarzębski – łamanie tabu nie jest jeszcze żadnym programem pozytywnym. – Ależ on istnieje – na łamach „*Ośki*” broniła programu tej „innej” literatury IZABELA FILIPIAK – tylko, żeby go zauważyć, trzeba wprawdzie „zauważyć” jego autorki, a nie tylko autorów: „liczba pisarek, wymienianych w podsumowujących artykułach, była zwykle ograniczana do czterech. Dlaczego? Nie wiem, ale z jakichś powodów czwórka była nieprzekraczalna. Następnie z tych czterech recenzentów wybierał jedną i przeciwstawiał ją pozostałym trzem. Ta jedna spełniała oczekiwania konkursu, poruszała się w świecie wysokich wartości i nieosiągalnych prawd. Nadobność pozostałych, już i tak przycięta granicą cyfry, zamieniała się tym samym w nieobecność. Pozycja „czystej między niewiastami” była ogromnie przyjemna... Nie była jednak wygodna. Uzyskana na mocy kaprysu, prawem oglądu, który nie jest tożsamy z moim własnym, sygnalizowała, że coś jest tu zawsze za coś. Spoglądało się z miejsca właśnie uchwyconej równowagi, a tam w dole, w obszarze brudu, znajdowały się tamte. Obce. One”. I rzeczywiście, niewiele istnieje rzeczowych rozbińców prozy kobiecej, obejmujących więcej niż owe sztandarowe nazwiska (Gretkowska, Filipiak, Tokarczuk, Tulli). Są nim zapewne szkice INGI IWASIOŃ, omawiającej także twórczość Kowalewskiej, Nasiłowskiej, Kuryluk, Rudzkiej, Kraskowskiej, czy też MARIŁ CZYRANOWICZ, która dopisuje do tej plejady nazwisko Brach – Czajny. Aby zaś się przekonać, że opinia Filipiak sprzed lat nie straciła nic na aktualności, wystarczy przeczytać – na łamach „*Wysokich Obcasów*” – słowa MARIANA STALI, niby nie wartościujące, a jednak: „Przez dziesięćlecie kobiety uprawiające historię literatury nie akcentowały nadmiernie swojej kobiecości. Po czym uległo to gwałtownej zmianie, która to zmiana zresztą jest stopniowana. Inaczej akcentuje swoją kobiecość Maria Podraza-Kwiatkowska, a inaczej Maria Janion. Pierwsza delikatnie i z pewnym dystansem, a druga programowo. Ale to jest charakterystyczne w ogóle dla jej stylu myślenia – pewien rodzaj programowości”. Ale, czy programowość ta jest czymś złym? A może jest odpowiedzią na ważne pytanie, na przykład o recepcję „nowego”? Czy naprawdę polska krytyka, ta wysoka, akademicka, oraz ta średnia, środowiskowa, jest tutaj bez winy? Czy można, wreszcie, z poczuciem odpowiedzialności powtarzać za kolegami: pisarzami i krytykami, pejoratywnie sygnując: „literatura menstruacyjna”, które tak niefortunnie wymknęło się ponoć właśnie Stali? Czy przyjemnie byłoby czytać np. o literaturze ejakulacyjnej (jak to ironicznie zaproponowała niedawno w *Gazecie Wyborczej* KINGA DUNIN) Pilcha, Stasiuka, Kędzińskiego Myszkowskiego czy Vargi, która przecież prezentuje, równą kobiecie, wyrazistość genderową (choć nie spotkała się z – dotykającym tę pierwszą – procesem gettoizacji)? I, jeżeli recepcja nowości nie zmieniła się, to czy podobna „abiektalność” nie

spotka wchodzącego właśnie do literatury „czwartego pokolenia”? Zatem, kontestacja tak, ale pozwoli i w ograniczonym zakresie, jak na polskie warunki przystało...

Literatura trzeciego pokolenia powojnia odzegnała się również od dorobku formalnego poprzedników, odeszła od formuł intymistycznych, wypowiadania się bezpośrednio w imieniu autora. Usytuowała punkt widzenia narratora poza światem wewnętrznym bohatera, zagęściła organizację i ustrukturuowanie tekstu, wreszcie – postawiła na fabułę, która stała się swoistym „metrum” wewnętrznym, organizującym ową zagęszczoną strukturę tekstu. W jakim jeszcze sensie trzecie pokolenie uciekało od rzeczywistości? Przez różne pojęta mityzację, która szeroką reprezentacją rozlała się po postmodernistycznym, ale nie tylko, dyskursie literackim. Od użycia kolistego czasu (Tokarczuk, Tulli), przez mityczną przestrzeń (Budzińska, Chwin, Szaper, Stasiuk) mitologizowanie czasów dzieciństwa i młodości (Chwin, Stasiuk, Filipiak, Jurewicz, Kornhauser, Pilch) czy też wprowadzanie elementów baśniowo-onirycznych (Stasiuk, Gibas). Zwłaszcza przestrzeń stała się najchętniej eksploatowanym narzędziem do wykazania wyobcowania, swoiste „wyrugowania” bohatera z rzeczywistości. Jest on wygnaniem, bowiem wszystko, co go ważne spotyka, rozgrywa się „gdzie indziej”, w podróży (Tokarczuk, Stasiuk), w Paryżu (Gretkowska), w imperium Aleksandra Macedońskiego (Wilstein), we Włoszech (Rudzka, Francji i Włoszech (Jastrzębc-Mosakowski). Obce to też niekiedy „swoje”, które objawia nieznanne oblicze (Tulli, Jurewicz, Szaper). Ale też i obce „mentalnie”: nowe środowiska społeczne (Tryzna), obce myślenie (Goerke), miejsca powstałych w wyobraźni (Szewc, Bolecka) czy też inne niesamowitości (Gibas).

To także metatekstualność i intertekstualność, inne narzędzia odwrotu od rzeczywistości. Literatura samoświadoma, biorąca za bohatera pisarza, proces twórczy, jego świadomość humanistyczną czy zgola... jego dzieło. Przeżywanie poza uwarunkowaniami socjologicznymi czy politycznymi to np. przeżywanie wstecz (Huelle), orgiastyczne oddanie się kulturze (Gretkowska), zastępowanie świadomości bohatera... znajomością literatury (Pilch), ironiczny dystans wobec podmiotu i przedmiotu opowieści przeplatany dyskursem z cenionymi poprzednikami (Bieńczyk), światy równoległe, których bohaterki stają się figurami przyszłości głównej bohaterki (Filipek) czy też wymieszanie bohaterów – albo innych elementów świata przedstawionego lub konstrukcji dzieła – własnej powieści z „cudzymi” (Czakański-Sporek).

Innym wyróżnikiem było (jest?) stosowanie w prozie strategii nieepickich, zrodzonych jako przeciwwaga dla nurtów antyfikcji i estetyzmu, prezentowanych głównie przez przedstawicieli tzw. „szkoły Berezyn”. Krytykowano, jako wyczerpane (?) i nieskuteczne (?) antyfabularności, protokolarności, etyczności i prezentyzm – i przeciwstawiano im nowe, jak porządkuje je w *Tekstach Drugich* PRZEMYŚLAŃ CZAPLIŃSKI: potętykość (głównie lingwistyczna), nadorganizację językową, opieranie semantyki narracji na różnorodnych figurach semantycznych (postaci, akcji, czasie, przestrzeni), otwartość na dramat (techniki dialogowe, wzięte głównie z dramatu absurdu). Miało (ma?) to na celu wzmoczenie „literackości” tekstu, nawiązanie z czytelnikiem dodatkowego porozumienia, tkwiącego w mnożeniu poziomów interpretacyjnych (Bieńczyk, Goerke, Jurewicz, Pilch, Rudzka, Sieprawski, Sobczak, Tulli). To, rodem postmodernistyczne, dążenie, osiągnięto – zdaje się – swój wzmoczyć w awangardowym przykładzie skrajnego „rozpadu narracji” (Keder), wziętej już to ze strategii postmodernistycznych, już



to z kultury masowej. Za czołowych postmodernistów zostali uznani, przez KRZYSZTOFA UNIAŁOWSKIEGO, na łamach FA-artu przedstawiciele „szkoły katowickiej” (Bielecki, Słyka, Baran).

Drugim rodzajem wzmoczenia literackości tekstu była fabularyzacja prozy, rozumiana jako wykorzystanie wzorców kompozycyjnych powieści, prozy sensacyjnej podróźniczej i historycznej, użytych głównie w celu stworzenia różnych wariantów prozy inicjacyjnej ( Bart, Bolecka, Huelle, Filipiak, Stasiuk, Tokarczuk). Nowoczesna fabularyzacja polegała miała na ufantastycznieniu treści, nadaniu im wymiarów etycznych, a także wyeksponowaniu walorów stylistycznych i kompozycyjnych. Jednakże oba te nurty weszły ze sobą w nieunikniony konflikt. Energia prozy nieepickiej, leżąca w mechanizmach świadomych zakłóceń warsztatowych, głównie spójności i całościowości, nadto w narzucaniu czytelnikowi czytania poetyckiego, doprowadziła do zaburzeń dotychczasowego rozumienia literackości i konwencjonalnego odbioru jako spotkania z fabułą. Nowa proza zaczęła więc zjadać własny ogon...

Pytań jest wiele. Czy te zabiegi „unowocześniania” wyszły prozie lat dziewięćdziesiątych na dobre? Czy odcięcie od rzeczywistości, które - w poszukiwaniu oryginalności - wywiodło fabułę w kierunku mityzacji, zaowocowało rzeczywistości oryginalnymi realizacjami? Czy znajdziemy bodaj jedno dzieło tworzące nowy rodzaj palimpsestu, wybiegające poza dokonania Bartha, Coovera, Eco, Fuentesza, Kundery, Marqueza, Pavica, Pynchona, czy Rushdiego? Lub, chociażby, dorównujące im? O wtórności fabularyzatorów względem, nie tylko, realizmu magicznego, lecz także nurtu mityzacji ludowych, powiedziano już wiele. O wtórności modelu nieepickiego względem Schulza i Gombrowicza również.

Co pozostanie po postmodernizmie, wyrosłym z buntu przeciw racjonalnej wizji świata? Czy rzeczywistość tylko łamanie tabu? Czy pozostawi nas w demokratycznym świecie supermarketowego wyboru (jak tego chce, we „Znaku”, BARTŁOPIEJ DOBROCZYŃSKI), gdzie - to już moja opinia - gorszy pieniądz wypiera lepszy? Czy jeno „pstronomizm”, jak to (żartobliwie czy profetycznie?) nazwał w „Tygodniku Powszechnym” JACEK PODSIADŁO?

Powszechne jest mniemanie, że nie ma jednak świadomościowego (kulturowego) pokolenia przełomu 1989. Ale, czy rzeczywistość nie istnieje literackie pokolenie 1989? I w jakim sensie nie istnieje? Dlatego, iż trudno, z powodów formacyjnych, mówić o najmniejszej choćby jedności, czy dlatego, że nie zdołało - indywidualnie bądź w jakimkolwiek sensie grupowo - wygenerować oryginalnych działań? Z czym mamy zatem (o ile mamy) do czynienia: ze słabością myśli krytycznoliterackiej, która nie potrafi odczytać tego, co do odczytania - najwyczejniej w świecie - trudne, czy też z głębszymi problemami uwarunkowań kulturowych? A może - po prostu - nadal za wcześnie, by w tej materii sądzić coś ostatecznie?

O tym, że idzie zmiana warty (lub też - jak kto woli - opóźniona reakcja twórcza) świadczy wychodząca ostatnimi laty upolityczniona (ukulturowiona?) proza Michalskiego, Wilsteina i Horubały, a także ważne głosy Beresia, Dunin, Piątka czy Zaremby w dyskusji wokół nieoczekiwanego manifestu światopoglądowego Sosnowskiego, wskazującego jego zwrot... na prawo. Czyżby zwiastun powrotu ku niedocenianej rzeczywistości? A może dopiero teraz przyszedł czas, by spojrzeć na te sprawy z dystansu (?)

Powrót ten dokonuje się natomiast wyraźnie w twórczości najmłodszych pisarzy, publikujących w ostatnich kilku latach. Jak już wspomniałam na wstępie, „czwarte pokolenie” do tego stopnia „nawróciło się” w rzeczywistość, że stanęło przed poważnym zarzutem pogardzania treściami uniwersalnymi. „Nie będzie drugiej „Lalki” - słusznie zauważa w Gazecie Wyborczej MARTA CUBER, bo nie czas na wielkie idee uniwersalizmu, tylko na opis bezpośredniej, dotykowej, rzeczywistości - „od dawna uchodzi ona (rzeczywistość- B.P.) za narratorkę codzienności”. Teraz przyszedł czas na nachalną rzeczywistość

bo świat wokół nas stał się nachalnie turpistyczny- diagnozuje, w Ha!Arcie, jakże trafnie, MICHAŁ WITKOWSKI - „mimo nastrojów wobec merkantylnej rzeczywistości raczej buntowniczych, nikomu jak dotąd nie udało się powiedzieć o niej wiele więcej nad to, że jest beznadziejna”.

Czy to mało? Co ważniejsze: pogląd czy ogląd? I czy koniecznie trzeba wybierać między nimi i wieść jałową dyskusję na temat wyższości świat...zresztą, nie tylko w prozie. O konieczności nakierunkowania poezji na coś wyższego niż prosta rzeczywistość przekonuje jednak w „Zeszytach Literackich” ADAM ZAGAJEWSKI: „Poezja musi czuwać nad historią; nie może zaufać wyłącznie doświadczeniu wewnętrznemu, rozumianemu tak, jak je widzi na przykład Kathleen Raine, angielska poetka i filozofka - jako ahistoryczne nawracanie do wciąg tych samych wzorów i motywów sacrum, odczytanych przez niewielu tylko poetów angielskiej tradycji (Blake, Keats, Yeats). Rozpoznanie zmiany historycznej, dyżurowanie na placu przed pałacem prezydenta, refleksja nad powolną, lecz nieustającą metamorfozą naszej cywilizacji, jest także czymś niezbędnym. Drugim więc filarem poezji, obok doświadczenia wewnętrznego bijącego ze źródła, o którym nic nie wiemy, jest najzupełniej trzeźwe spojrzenie skierowane na świat historyczności”. Ale, czy ma rację? Jeżeli poezja, to pewnie i inne sztuki... A, przede wszystkim, w jakiej materialnej konkretyzacji? I, czy na pewno wyjdzie to nam (czytelnikom) na zdrowie? Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, przebabialiśmy nakaz głoszenia przez sztukę jedynych i słusznych idei... Dziś mamy wyrok skazujący Niedzalską, również w imieniu idei... Może zatem młoda proza (i nie tylko proza) słusznie oddaje się swemu podstawowemu zadaniu: wolnemu widzeniu i wolnej interpretacji rzeczywistości, dbając o to, by wysypujący się ponownie w Polsce wór idei nie zmienił się aby w... ideologię, i by autor z pisarza nie zamienił się w...literata, uwikłanego w różne zależności - jak słusznie przestrzegał swymi czasy, nie tylko na łamach „Nowej okolicy Poetów”, GRZEGORZ KOCIUBA - bo, czy wtedy powstał Księga? Może przyszedł, co już od dawna postuluje JAN TOMKOWSKI (Dwadzieścia lat z literaturą, Warszawa 1998), czas na rehabilitację eseju, który, w naturalnie przypisany sobie sposób, zajęłby się, m.in. programowym głoszeniem idei? Słusznie zatem uczynił Sosnowski, głosząc swe poglądy właśnie w eseju, oby tylko nie zaczął domagać się ich realizacji...w naturze... czyli w sztuce.

Zresztą (na szczęście?), młodzi i tak nie dadzą się zdyscyplinować... Nie ma już centrum, które zawiadywałoby workiem potencjalnych idei. Centrum jest wszędzie. Wszędzie tam, gdzie znajduje się stałe łącze lub modem, a coraz mniej na półkach Empików. Za sprawą mediów i internetu biuro dowódcze „rozsypało się”. Setki central, setki opinii i pomysłów. Cieszyć się, czy martwić? To pytanie dla starszych...To właśnie im rozsypała się oczywistość rzeczywistości, rzeczy nie są takimi, na jakie wyglądają, czasami nawet nie ma ich wcale. Młodych to nie dziwi, dla nich jest to normalne, powszednie, oczywiste... Gdzie tu miejsce na nadrzędne idee? Jest zalew rzeczywistości, którą trzeba ośwoić, ale, czy to jest literalny powrót do leninowskiej bazy?

Tak to chyba rozumieją ci, którzy określają tę twórczość (za Kornhauserem, nie Dunin-Wąsowiczem) mianem „banalizmu”. Jak to opisuje Witkowski: „Jest to punkt widzenia starszych wielu krytyków starszej generacji - szukają tematu, a gdy go nie znajdują, szybko rezygnują z czynności interpretacyjnych”. Problem ten pojawił się już przy interpretacji prozy Wiedemanna, kiedy to krytyka zauważyła (i skrytykowała) brak w niej konstrukcji semantycznej, występowanie akcji bez implikacji. Ta formuła okazała się jednak niezwykle fortunna i natychmiast znalazła swą kontynuację, głównie ze względu na postępowanie się zamierzoną, konstrukcyjną ironią, którą autor uderza w napuszoną, zdaniem młodych, upiękzoną, usensowioną, by nie powiedzieć przesensowioną, narrację poprzedników. Celem najmłodszych autorów staje się odzieranie treści z przewidywalnych znaczeń, lokowanie ich w najmniej oczeki-

wanych obszarach, książki już nie chcą być „mądre, piękne, ciekawe, wzruszające”. Nowe pokolenie przełamuje tę aurę poetyckości i staje się rzecznikiem zwyczajności, codzienności. I nieprzewidywalności.

Jednakże rzeczywistość przeraża, upadają złudzenia na lepszą kapitalistyczną przyszłość, zatem pora na bunt (Orbitowski, Shuty, Witkowski). Także na powrót do ikon dzieciństwa (Franczak, Wilengowska) i szukania w nich pociechy na tragizm codzienności. To też tęsknota za „małymi ojczyznami, swoistymi - małymi lub dużymi - centrami: (Łuczak, Franczak, Witkowski, Sieniewicz, Orbitowski, Shuty), porządku, może sprawiedliwości, może jednak sensu...Poprzednicy żyli w epoce dużych szans na sukces, dzisiejsi młodzi to „dzikie dzieci”, „dzieci gorszej koniunktury”, kiedyś z kluczami na szyi, dziś zagrożeni bezrobociem i AIDS. Rzeczywistość, poza beznadziejnością, nie oferuje niczego ekscytującego, żadnego zaskoczenia, przygody. Stąd powrót konwencji awanturnicznych (Franczak, Krasnowolski, Małyszek), ale i ekscytacji formą otwartą... zwielokrotnioną formułą postmodernistyczną (Kiwerska, duo: Dacko-Krzyżanowska). Ogółem jednak następuje odwrót od mądrego narratora, dbającego o to, by tematyka była poważna, aura refleksyjna, a całość harmonijna. To raczej triumf mędrka, prześmiewcy, który jednak nie dba o to, czy jego ironia będzie dla czytelnika zrozumiała, nie wprowadza do świata jakichkolwiek zakotwiczeń, nie dba o żadne interpretacje czy komentarze. To właśnie ów brak zaczepienia tekstu w tradycji jest - według Witkowskiego - powodem niepopularności „nowego”.

Owo, iście quasi-reporterskie, choć silnie jednak zsubiektywizowane, prowadzenie narracyjne jest zarazem swoistą ucieczką od intertekstualności, pokoleniowo narosłych naddań i kieruje się czasem w kierunku jednoznaczniowych komiksowych klisz oraz różnego rodzaju typizacji - klimatu, wątków czy bohaterów (Foks, Krasnowolski, Odija, Małyszek, Witkowski). Korzenie tego zjawiska sięgają ksiązek Tullii i Gibasa, choć drugim ich rodzicem jest niewątpliwie kultura masowa - zatem jednak jacyś łącznicy międzypokoleniowi (o ile nie jest nadużyciem mówienie o pokoleniach) istnieją...Niestety, może to prowadzić w ślepią uliczkę łatwego odbioru, a zatem i banału, czym grożą zresztą wszelkie estetyzacje.

Trzeba jeszcze wspomnieć o silnych tendencjach teatralizacji w zapisie (narracja zamienia się w didaskalia (Kiwerska, Malzahn, Krasnowolski) a także o stosowaniu technik filmowych - np von Trier'a, wszystko zaś po to, by wzmoczyć wrażenie reporterskie.

Jak dotąd, program ten podoba mi się, mniej tylko podoba mi się opinia Witkowskiego, iż „bardzo trudno byłoby teraz - po Wiedemannie - wyjść z czymś takim (przebrzmiałym - B.P) i nie zostać wyśmianym”. To za proste. Skąd pewność, że jakaś formuła wydała już swe najpiękniejsze kwiaty? Odżegnując się od pokoleniowych klasyfikacji, jako sztucznych, rugujących i jałowych, sam w niej wpada. Bo przecież, nakreślony przez niego program, jest nie tylko formacyjny (merytoryczny), jest w jakimś sensie pokoleniowy. To pokolenie buntuje się przeciwko poprzednikom. I, czy naprawdę nie można mówić tu o dyktacie pokolenia? A przecież, jak sam stwierdza, prawdziwa sztuka nie daje się zaszufłakować, jest sama w sobie jedyna i niepowtarzalna. To za nią, nie przed nią, ciągnie się epigoński ogon. A jeżeli epigoństwo ma stanowić o pokoleniowości, to dziękuję bardzo, już wolę poświęcić się wylapywaniu jeno oryginałów. Takim oryginałem jest, moim zdaniem, debiut Masłowskiej, jednakże - jeśli trafnie wśluchuje się w głosy krytyki - to nie młodzi docenili „młodą” Masłowską. Dłaczegoż to? Czyżby wylamywała się z formacji, zgorszyla indywidualizmem? Nie twierdzą, że tak jest w istocie, że to jest jedyna przyczyna milczenia młodej krytyki, jednakże ten fakt, już w samym

swym zaistnieniu, mocno mnie frapuje, i staje się przyczynkiem do rozmyślań na temat dyktatu generacyjnego.

Wydaje mi się, że psa pogrzebano w zupełnie innym miejscu. Nie w pokoleniowości, nie w świecie idei, ale w tym, co nazwać można „zapóźnieniem formalnym”. Albo ogólniej: „niedostatkami formalnymi”, bo przecież, język prozy Leo Lipskiego nawet dziś wydaje mi się nowatorski, polecam – zwłaszcza młodym prozaikom – wsłuchanie się w jego krótką, przedziwnie soczystą, choć jakże ascetyczną frazę sprzed pięćdziesięciu lat. Nie trzeba zatem nastawiać się wektorowo wyłącznie do przodu, choć czujności i w tym kierunku nie zawadzi. Bo kiedyż zachwyć się polską młodą prozą tak, jak ostatnio zachwycałam się hiszpańskim, młodym (!), prozaikiem Unai Elorriaga, którego „Tramwaj na SP”, wysoce poetycko nacechowana, a jednocześnie skromna w temacie – chciałoby się rzec: przycięta na miarę człowieka, bo relacjonująca kilka dni człowieczej starości – proza, zdaje mi się mistrzostwem świata. Kamera w oczach dwojga starych i jednego młodego człowieka, prosty – nieprosty zapis kilku widzeń, w ich starczym, amnezycznym, uprzedzonym i maniakoalno-sentymentalnym wyrazie, wszystko zaś widoczne bardziej w JĘZYKU niż treści. Odpowiednie proporcje między treścią a językiem! Całość absolutnie samowystarczalna, nie wymagająca zewnętrznych ilustracji intertekstualnych, sobą budująca piętra znaczeń – tych jednostkowych i tych uniwersalnych! Tak jak i proza Lipskiego.

Nie wiem, czy Elorriaga znajdzie kontynuatorów, jako i Lipski nie znalazł. Nie obchodzi mnie to zbyt. Liczy się tylko ten jednostkowy cud i pewnie tak właśnie oddziałuje arcydzieło – nie można go z niczym porównać. I nieważne, kiedy się zrodziło: pięćdziesiąt lat temu, czy całkiem niedawno. Zachowuje świeżość, a jego odbiór jest porażający.

Zatem, może brakuje nam – zwyczajnie (?) – arcydzieł? Może mamy – jedynie (?) – literacką klasę średnią? Całkiem porządną – moim zdaniem – solidną, ale tylko średnią. Arcydzieł nie można wymusić – są, albo ich nie ma. I nie ma na to żadnych reguł...

Pragnę zatem, w imieniu redakcji „Akantu”, zaprosić Państwa do dyskusji na temat kondycji współczesnej polskiej prozy. Jaką jest naprawdę? Jaką ją widzimy? Jaką ją kochamy...\*

Rama też jest dziełem sztuki  
PRACOWNIA PLASTYCZNA

„DEKORA”

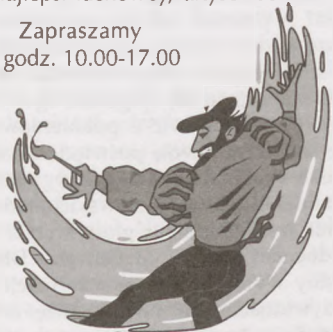
Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,  
tel. 322 19 88

Służy artystom i miłośnikom sztuki  
od 1945 roku.

Oprócz artystycznej oprawy obrazów  
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.

Najnowsze techniki i technologie.  
Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy  
w godz. 10.00-17.00



Lekcje rysunku i malarstwa. Przygotowanie  
do egzaminów wstępnych, tel. 0604194930

Piotr Paschke

## Odyseja bez kogokolwiek

Pastisz w odpowiedzi na „Bez niego” i „Bez niej” Alicji Leśniak („Akant” 2003, nr 8, s. 41)

Uciekła mi przez palce, noc po nocy, godzina tuż po sekundzie. Uciekła mi w paroksyzmie ciała, w ostatnim, frywolnym (kiedyś, dawno temu) tańcu. Uciekła w pejzaż przemijający, poza bezpieczeństwem ego, w nieuchwytny wymiar chwytu, w pragnienie, równoważne uczuciom potwornego wręcz, zwierzęcego głodu i niespełnionych nigdy tęsknot.

Przestałem już marzyć, że pojawi się kiedyś ponownie, przestałem przez to wierzyć w tylko moje, przeze mnie pospiesznie zmyślane, zamyslenie. Przestałem wierzyć w ciepło, ciepło ponad dotykem, ciepło rozpaczliwie lgnące do ciała, w bezruchu poszukując jej ciała, siły na kroki ku miejscom okrytym sentymentalizmem, co powiodą mnie ku niej, zawsze i tylko ku niej. Pod okna, bramy, ławki, kwietniki – pod te całe, wymyślane kompozycje. Po dwudziestu latach, tak różnych jak moje chęci, spotkałem się z nią ponownie, na poczwórnym wietrze. Rozpaczliwie naiwnie tęskniłem do tego spotkania, łudząc się, że nie wszystko pomiędzy nami przestało iskrzyć. Tam, posilkując się o wiele za dużą iskrą, powiedziała mi, abym dał sobie spokój z krzesaniem swojego DNA i udowodniła, iż chemia pomiędzy nami, u mnie sprowadza się jedynie do pewnego obszaru w spodniach, a najłatwiej można to wytłumaczyć kryzysem wieku średniego i baczny obserwowaniem stanu rozporoka u starzejącego się chłopca. Nie miałem już szans, nie takich, które prowadziły po szlakach do jakichkolwiek przyjaznych gestów z jej strony, zbyt wiele także, kiedyś zostało uczynione i schwytnie w bezmyślnym obszarze tlenu. Gdyby taki gest, pomimo wszystko, nastąpił, trzeba by uczynić krzywdę bliskim, na naszej krwi wyhodowanym. A dorośli i doświadczeni już z nas Don Kichoci. Przero wywrałem jej ceną godzinę z cyferblatu dnia, tylko po to, aby dowiedzieć się, iż po tylu latach o wiele łatwiej (łatwiej dla niej) jest ponownie i bezwstydnie skrzywdzić mnie. Ostрым nożem wyobraźni poprzecinała mi główne nitki niczym aorty. I nie było już o co kruszyć postarzałych kopii. W dodatku chemia wytarła się na strzępy o zmurszałe burty okrętu.

Głos był prawie taki sam, ciała przypominały zupełnie inne, znane z wyblakłych już fotografii. Zostawiła mnie ponownie, zostawiła sam na sam, kryjąc się za woalką strachu i o wiele łatwiejszego rozwiązania. Uciekała od kłopotów, bardziej gwałtownie niż kiedykolwiek, nie oglądając się za czymkolwiek, nie oglądając się za siebie. Odpyływała, szybko poruszając biodrami niczym wiosłem, znającym doskonale smak wody, a kiedyś i jej rozmiar i smak. Tym razem bezpowrotnie. Nie potrafiłem już tego zrozumieć, tak jak i nie potrafiłem się z tym do końca pogodzić. Bo i ja przecież także odpyływałem ku wyspom kryzysu, gnany powrotem do domów dawno mi obiecanych, gdzie wierniejsza Penelopa wykradała olbrzymom małe smutki i jeszcze, (niecierpliwa niczym modliszka po akcie spółkowania z trutniem), czekała na mój powrót.

Sam na sam, ze zbutwiałą ciszą, powróciłem potem na tę sama ławkę. Trwałem na niej przez dłuższą chwilę, właśnie na jej pokładzie, również już zbutwiałym i oczekającym warstwami starej farby. Zamknąłem oczy, rozdarty sobą, w sobie samym i przez samego siebie poszarpany. Poszarpany tak nawalnicą jak i rozwiniętym na poczwórnym wietrze spokojem. Trwałem w milczącym braku, w nieopatrznie pominiętej rzeczy-

wistości, w wszechwładnym milczeniu. Mój Boże, ileż tu, w tak małej, wręcz klaustrofobicznej przestrzeni, było ciemności, ileż nieubłaganego przemijania. Bezpownotnie przemijającego. Bezpownotnie zawracanego. Bezpownotnie straconego. Chociaż zdawałem sobie sprawę, iż w kraju ślepych cyklopów nikt nie odważy się już wyciągać przeciw mnie miecza.

Cisza szarpała mnie wściekle za wszystkie nitki, taniec marionetki, zamieniając w nasiąkle powidokiem światło. Nie będziemy już nigdy więcej zjednoczeni w, aż takim, milczeniu, tak absolutnym, że zupełnie i bezpowrotnie znieruchomiłem. Żagiel ciała słał się na wietrze z nas samych, słał się na tym, czego już nie potrafiłem wyśnić. Trwałem jednak, bok przy boku, niczym dobrowolny emigrant, właściciel tylko sobie znanej miejsca i rozsypujących się wspomnień. Żadne zdanie nie powinno wtedy uwolnić się z ust, żaden bezimienny gest nie powinien przejść przez gęstwinę powietrza. Lecz sam nie zdawałem sobie sprawy, co tak ważnego uchwycić, by cokolwiek utrzymać w dłoni? I cóż teraz dłoni potrzebne, jak nie namiastka powietrza, wrośniętego w chwilę, trwającą poza okrętem? Czegoż potrzeba tonącym okrętom ponad wiosła bardziej przychylnych ud, poza rozedrgany do granic przytomności uchwyt?

Prawie wznak, prawie wybudzony ze wszystkich zamysłów, w poszukiwaniu tamtego „nic”, przestrzeni, o którą kiedyś było tak łatwo się ocierać, na samym środku cyferblatu, przywołując pamiętanie, przywołując nieistnienie i gasnąc, ku krajom obiecany, a przecież już nieosiągalnym. Prawie samotnie, prawie utkwivszy w mierzliwej tęsknoty, starałem się ciągle płynąć ku wierniejszemu policzkom, czulszym gestom, mniejszym od teraz, od dzisiaj, o wiele za małym wspom. (Niemalże planowe opóźnienie pociągu dało się jeszcze jakoś wytrzymać). Marionetka spotkała się z za bardzo naostrzonym nożem, przestała rozpaczliwie prosić o cokolwiek, kogokolwiek, o cokolwiek. Po prostu płynęła, rozliczała sekundy, dzieliła na czworo ciemność, nieruchomo dzieliła mijające za oknem pejzaże. Podążała ku, chociaż to nie jej przeznaczenie.

I przyjdzie jej wyschnąć na wiór, wyschnąć we własnym, pokruszonym czasie kwitnienia. Przyjdzie wykreślić na cyferblacie nowe nazwy, imiona, miejsca. Spalić natchnioną metaforę, zagrzebać tylko sobie przeznaczone – co mogło być i co jeszcze być może. Bo ileż można wykrzesać ze ślepego ciała, ileż znaleźć niczego przez nic, ile uchwycić w geście rozgarniania powietrza albo znajomego pejzażu? Co przekazać z siebie, co wywlec na pusty plac, by strzelić mu łaskawie w tył głowy, nie zważając na opinię publiczną i dezaprobatę dyrekcji teatru marionete? Posiedzieć w milczeniu, posiedzieć przed sobą z samym sobą już w zgodzie, bo nie da się dopłynąć do obiecanych łądów starszym niż ja okrętem!

Tłumaczyłem sobie to, tamto, to...

Tłumaczyłem sobie, że nie do wymyślnego przeze mnie zakończenia.

Wieczne sam na sam ze swoją Odyseją.

Zbyt jednak samotnie, by cokolwiek zagarnąć, tak do końca, dla siebie samego.

Bez obecności kogokolwiek.

Wciąż obok.

Przerażająco obok.

Przerażająco...\*

Lestaw Czaplinski

## Rodzimy się kobietami i mężczyznami

Wbrew konstatacji Simone de Beauvoir z „Drugiej płci”, że „nie rodzimy się kobietami – stajemy się nimi”. Stała się ona nieomal programowym hasłem feminizmu, określającym nabyty charakter ról związanych z płciami. Wszelako nie wszystko da się wytłumaczyć w kategoriach tzw. *gender* czyli kulturowej roli, narzuconej przez historycznie obowiązujący model społeczeństwa i występujących w nim relacji. Niektóre cechy wydają się mimo wszystko wrodzonymi funkcjami biologicznymi, od których nie ma ucieczki.

FEMINIZM niejednokrotnie wpada w zastawione przez siebie samego pułapki, odsłaniające przy tym wewnętrzne sprzeczności. Jak każda IDEOLOGIA, stara się za pomocą woli, czyli inaczej mówiąc *superego*, stłumić, wyprzeć lub nagłać biologiczne uwarunkowania, czyli zanegować *id*. Jednocześnie idealizując kobiecą wrażliwość w opozycji do represyjności kultury patriarchalnej jako wytworu męskich skłonności do ekspansji i zawłaszczania, przynajmniej pośrednio, że istnieją pomiędzy płciami różnice nie tylko przyswojone kulturowo, ale i wrodzone. Zwrócił już na to uwagę Erich Fromm w eseju „Płeć i charakter”, pisząc o współzależnościach pomiędzy różnicami biologicznymi i charakterologicznymi („Miłość, płeć i matriarchat”, Poznań 1997).

Co powiedziawszy, nie kwestionuję zasług feminizmu w zakresie stworzenia możliwości indywidualnego i dobrowolnego przekraczania własnej płciowości, co dotyczy w równej mierze kobiet, jak i mężczyzn. Dzięki niemu również ci ostatni uwolnieni zostali z okowów powszechnie obowiązujących wzorców zachowań, np. zdobywcy czy poskromiciela żywiołów. W zamian uzyskali prawo do uzewnętrzniania uczuć, a także możliwość spełniania się nie tylko w brutalnej i bezwzględnej rywalizacji, czyli tzw. *wyścigu szczurów*, ale i w dziedzinach, wymagających otwarcia się na drugą osobę. A więc w rodzinie, w wychowaniu dzieci i nawiązywaniu z nimi bliskiej więzi emocjonalnej. Inaczej niż w przeszłości, kiedy mężczyźni nie zaprzęтали sobie głowy „przyjemnymi” sprawami domowymi, co najlepiej ilustruje francuska anegdota o Michelu Montaigne’u, który jakby miał nie znać nawet imion swych potomków. Ale i dziś najtroskliwszy choćby ojciec nie zdoła do końca przekroczyć naturalnych granic swej fizjologicznej płciowości. Kobiety bowiem zawsze będą bardziej zdolne do empatii, co wynika niewątpliwie z faktu tej jedynej w swoim rodzaju więzi z dzieckiem w okresie rozwoju płodowego, kiedy stanowi ono jedność z organizmem matki. Do podobnej konkluzji doszedł również E. Fromm w odczycie „Mężczyzna – kobieta”, co ze swej strony ujął w następujący sposób: „Wydaje mi się, że kobiety są bardziej czułe niż mężczyźni, ponieważ w relacji matki do dziecka czułość jest podstawową cnotą” (Ibidem). I różnicy tej prawdopodobnie nie wyeliminują nawet, tak propagowane ostatnio, wspólne porody.

Natomiast czymś w pełni wyuczonym wydaje się być opanowanie przez mężczyzn umiejętności opiekuńczych i zastąpienie w tym względzie partnerek, mogących poświadczyć się karierze zawodowej. Zresztą swobodnemu wyborowi ról w tym zakresie wychodzą naprzeciw coraz częściej przyjmowane regulacje prawne o fakultatywnym wykorzystywaniu urlopów wychowawczych. A że mężczyźni, zwłaszcza samotnie zajmującym się dzieckiem, z większą trudnością przychodzi pogodzenie tej czynności z własnym życiem osobistym, czy wręcz koniecznością rezygnacji z niego, to akurat wynika raczej z tradycji niż samej jego natury. Kobiety bowiem w dotychczasowym modelu społeczno-wychowawczym poddawane były wyjątkowo intensywnemu tre-

ningowi w zakresie poświęcenia. Od mężczyzny wymagano co najwyżej tego jednorazowego, szczególnie gloryfikowanego aktu heroicznego, gdy dla dobra sprawy, w imię szczytnych ideałów przychodziło mu polec, albo odnieść rany na polu chwały.

Kultura patriarchalna preferowała i propagowała takie abstrakcyjne i na ogół hipostazowane wartości jak *honor*, *naród* czy *ojczyzna*. Wkładem kobiecej wrażliwości czy szerzej – pierwiastka matriarchalnego do kultury uniwersalnej było, obok rozpowszechnienia postaw egalitarnych, docenienie i nadanie szczególnej rangi niepowtarzalności jednostkowego istnienia. E. Fromm w tym kontekście mówił o ustanowieniu „świętości życia” jako podstawowej kategorii moralnej („Szkice z psychologii religii”). I znów można doszukiwać się w tym wpływie biologicznego macierzyństwa na właściwe kobietom personalistyczne, a nie instrumentalne podejście do drugiego człowieka. Konsekwencją przyjęcia takiej opcji stał się prymat życia i jego bezpieczeństwa w sytuacjach ekstremalnego zagrożenia, kiedy – co oburza wielu tradycjonalistów – dla ratowania na przykład zakładników poświęca się pryncypia i podejmuje negocjacje, idąc na ustępstwa wobec porywaczy. To także coraz częstsze rozstrzygnięcie kolizji pomiędzy obowiązkiem, a dobrem bliskiej osoby na korzyść tego drugiego. Spektakularnym przejawem takiej postawy okazał się przypadek kanclerza Kohla, wcześniej raczej nie podejrzewanego o kierowanie się sentymentami. A jednak zostawił on całe państwo i pośpieszył do Włoch, gdy jego syn został ciężko ranny w wypadku samochodowym. Skądinąd do tego rodzaju wyboru przekonuje współczesna lektura antycznych tragedii, będących wytworem patriarchalnego porządku społecznego i systemu wartości, a ukazujących pośrednio, do czego prowadzić może upór zapalczywych obrońców niewzruszonych praw i zasad, sztywno trzymających się ich bezdusznej litery.

Z drugiej strony, feministki, rozpętując psychozę seksualnych nadużyć i polowania na pedofilów, same niweczą emocjonalną emancypację mężczyzn i przemianę ich dotychczasowej, „seksistowsko-szowinistycznej” świadomości. Skoro ci, poświęcający się opiece nad dziećmi, również jako przedszkolni wychowawcy, w każdej chwili mogą stać się łatwym obiektem posądzeń i oskarżeń o molestowanie.

O wiele mniejsze ryzyko towarzyszy natomiast przechodzeniu przez mężczyzn do zawodów, zarezerwowanych dotąd dla kobiet i kojarzących się z ich podrzędną pozycją w społeczeństwie, bądź świadczących o przedmiotowym traktowaniu i wykorzystywaniu (np. w przemyśle erotycznym). W związku z pojawieniem się męskich odpowiedników nie tylko pielęgniarzek, ale i modelek, a nawet striptizerek, napomyka się o czysto mechanicznej zmianie ról, postępującej feminizacji życia oraz zniewieściałości mężczyzn, zwłaszcza z rozpowszechnieniem się wymogu dbałości o wygląd zewnętrzny. Co prawda ta ostatnia tendencja dawała już znać o sobie w dobie renesansu i rokoka, a w kulturze helleńskiej męska uroda stanowiła wręcz kanon wszelkiego piękna. I to właśnie między innymi świadczy o względności społecznych wizerunków obydwu płci, a także naprzemiennym występowaniu cykli feminizacji i maskulinizacji kultury, a to w celu utrzymania w dłuższej perspektywie czasowej cywilizacyjnej *homeostazy*.

Rodzimy się zatem kobietami i mężczyznami, a później w życiu osobniczym wyzwalamy się z tych uwarunkowań i odpowiadających im stereotypów, modyfikując je i przyswajając w drodze świadomego wyboru nowe wzorce zachowań. \*



R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122  
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne  
z możliwością negocjacji

## DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych.

Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma.

Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)  
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37  
w godz. 7.00-17.00

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Montażowe



**Elektromontaż  
Pomorski SA  
w Bydgoszczy**

85-451 Bydgoszcz  
ul. Grunwaldzka 229

Centrala: tel./fax 327 71 97, 581 25 15  
e-mail: zot@elektromontaz.bydgoszcz.pl  
http://www.elektromontaz.bydgoszcz.pl

Salony fabryczne: ul. Gdańska 120  
tel./fax 584 09 09

Producent stolarki budowlanej PCV  
w systemie Thyssen

**Najwyższa jakość!  
5-letnia gwarancja!**

**PROMOCJA: rabat na okna nietypowe**

Produkujemy też schody samonośne  
oraz balustrady i poręcze wszelkiego rodzaju  
(materiał i kształt – dowolne)

**GRADAR**  
drukarnia

wizytówki  
zaproszenia  
listowniki  
teczki  
ulotki  
książki



Grażyna i Dariusz  
Darowni

85-009 Bydgoszcz  
ul. Dworcowa 51  
tel./fax 052/  
322-38-86

## Małgorzata Szatkowska

### Erotyk

W bezwstydzie ciała  
 W apogeum miłości  
 Gdzie w szale usta ukrwione pulsują  
 Gdzie żądza pała  
 Prawem rozwiązłości  
 Gdzie nazbyt śmiałe marzenia się snują  
 Gdy się przytulę taka bardzo mała  
 Ty będziesz przy mnie boski w swej nagości  
 I obietnicą stanę tuż przed tobą  
 I nas coitus zespoli ze sobą

Rozkosz dotyku  
 Ból dotąd nieznanym  
 Co jakąś siłą rozepcze się w ciebie  
 Szept mocą krzyku  
 Szaleństwo kochania  
 Aż się zapytam czy chciałam tak wiele  
 Aż się zatrwożę w miłosnym przepychu  
 Na twoim łonie spocznę bez wyznania  
 I się rozkocham cała bez pamięci  
 I będziemy razem w tej wspólnocie święci

## Anetta Kuś

### Twarz Williama Blake'a

wie że jego tezy są słuszne  
 wie że nic ich nie ocali

ani słowo ani płótno

wierzy mając lat dwadzieścia osiem  
 wierzy mając lat sześćdziesiąt dziewięć

pewność przemienia się w upadek  
 który jest wiernością pewności

mad Blake spostrzega nagle że  
 natura pozbawiona jest konturów

a wyobraźnia jest tym co trwa

Bydgoszcz, 6 października 2001

## Barbara Białowąs

\* \* \*

Józefowi Mackiewiczowi  
 w setną rocznicę urodzin

Niepostrzeżenie, cichutko, nie widać wyraźnie od kiedy,  
 powiedzmy od czasu pewnego –  
 zaczęła wypadać pamięć.  
 Z włosami to co innego, widać, że głowa mniejsza.  
 A tutaj niby nie zmieniło się nic.

Tylko samowar nie wyczekuje już pokryty kurzem.  
 Bohaterowie wczorajsi zasypiają w południe,  
 odsunięci na boczny tor.  
 Nie ocalają narodów małych i średnich.  
 Nie pielęgnują urody myśli, że perspektywa zwycięża.

Wnuczęta przesiadły się w szybkie pociągi  
 bez stacji i rozmów do rana.  
 Przez okno życie zamazuje się w pędzie donikąd.  
 Niby to samo, a nie widać wyraźnie.  
 O wspólnych, spędzających sen z oczu, sprawach  
 kto dziś jeszcze pamięta?

## Wiesława Maria Kacperska

### Przewrotność

rzekł Pan-  
 idźcie i czyńcie...

i poszedł Człowiek.

siał nadzieję  
 a zbierał dzieci  
 i liście na sienniki  
 żegnał żurawie  
 podglądał zapobiegliwe wiewiórki  
 i niedźwiedzia przy barci

rozpalił ogień  
 i ukrył go pod dachem

oswajał rzeki  
 i pory roku

dojrzał

myślał Człowiek  
 zwyciężyłem...

... a Ziemia rzuciła go  
 na kolana

21.02.2003

## Piotr Baranowski

### Miasto. Zły wieczór

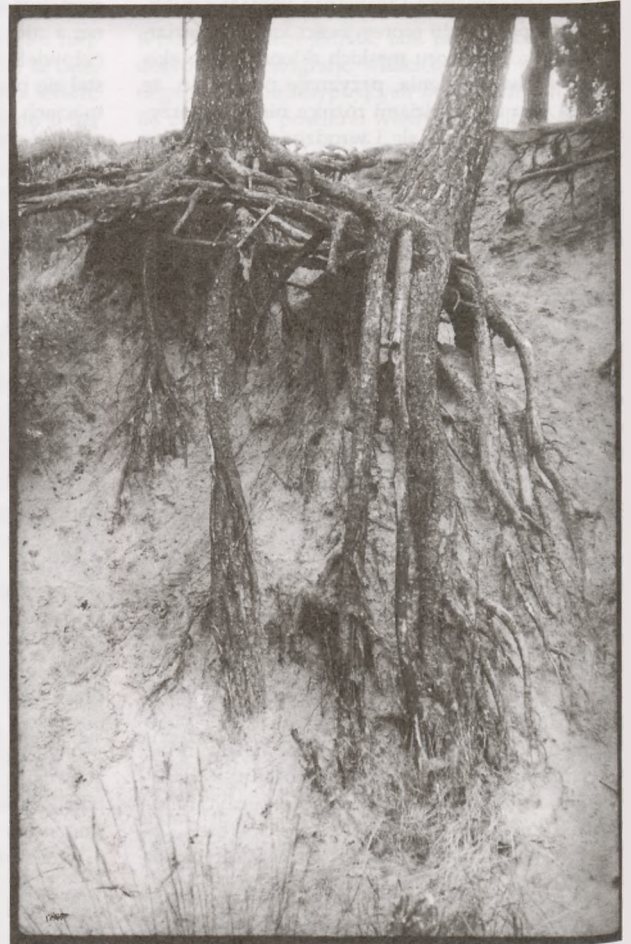
fosforyzujący zmrok  
 tkliwie ogarnia nerwy ulic  
 puls jasnych okien  
 zegar na wieży

spuchnięte niebo  
 czarnymi kłębami  
 bluzga znienacka  
 posoką dżdżu

złowrogie bębnienie  
 mokrych pacnięć o dachy

wypełza wielki ślimak

łepka ścieżka śmierci  
 świeci w ciemności



Fot. Andrzej Maziec

## Anetta Kuś

### Fraza

rzeczywistość jest ziemią obiecaną  
 do której tłum pieszych spieszy przez pustynię

bunt jako dźwignia ładu pochodu  
 zaostrza się tuż przed zdobyciem góry

na szczycie której rozciąga się widok

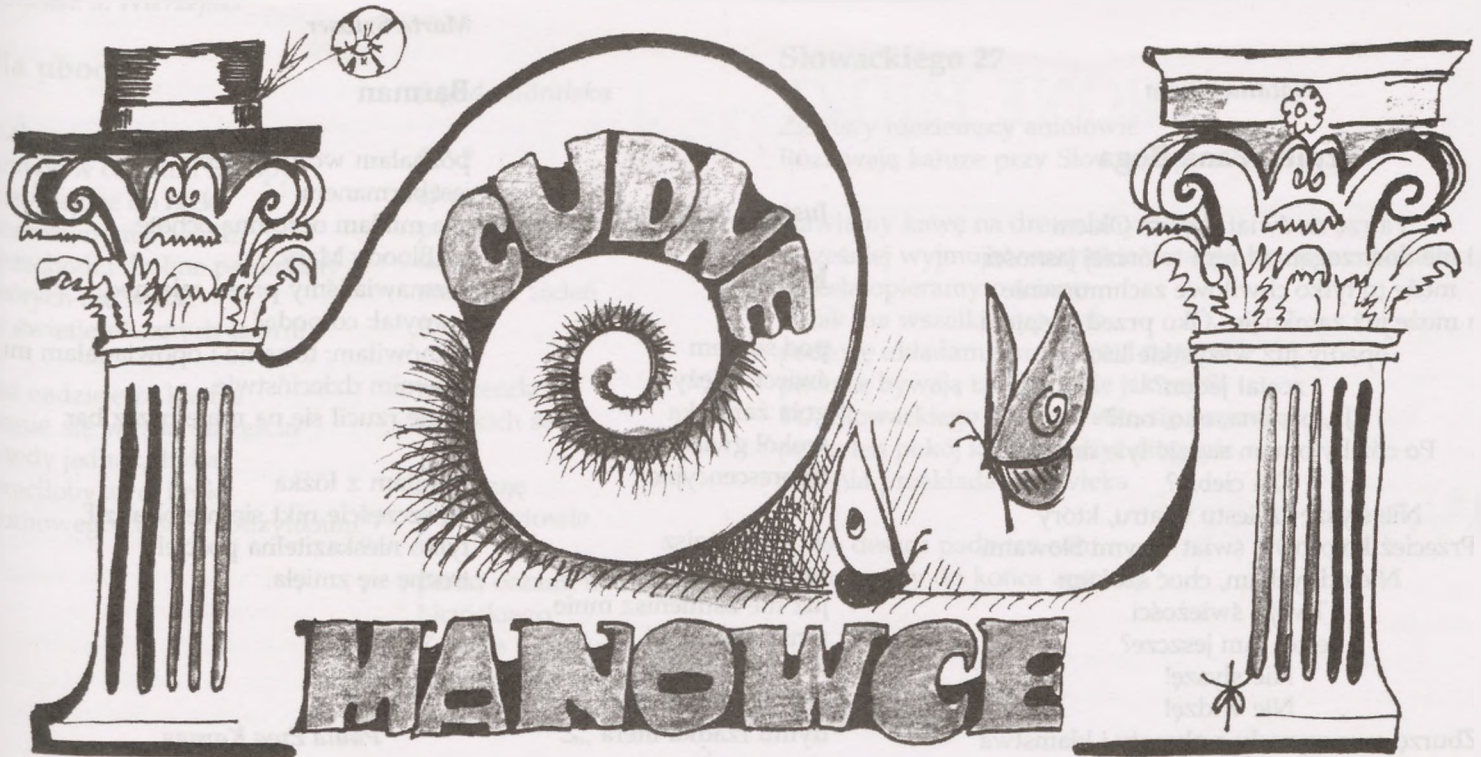
co zobaczy zgromadzenie kiedy rozbłyśnie światło  
 jeden za drugim stojąc na wąskiej krawędzi wzniesienia

jaki widok przed oczyma pół-wiernych  
 objawi się lub dany będzie się objawić

to zbyt proste by

powiedzieć otwarcie: będzie zgrzyt kołatanie zębów  
 piękny las domy zapach pół trzeszczenie łózek

Bydgoszcz, 25 maja 2003



**Parę słów na dobry początek**

Trzeba wreszcie powiedzieć to jasno, twardo wyartykułować – „Cudne Manowce” służą i chcą służyć autorom młodym, tym w wieku szkolnym. Wraz z Waszym wkroczeniem na ścieżki dorosłości kończy się nasza kuratela i wierząc, że Wam się uda, rzucamy Was na głęboką wodę. Wkrótce więc, za parę miesięcy przyjdzie pora pożegnać się z tymi z Was, którzy szczęśliwie dostali się na studia. Z szacunkiem więc odnoszę się do decyzji Michaliny Pruszyńskiej, która po ponad rocznej współpracy żegna się z naszym pismem. Przeczytajcie uważnie więc jej etiudę i postscriptum. Może znajdzie się wśród was ktoś, kto zechce nawiązać do rubryki Michaliny? Czekamy na Wasze propozycje.

D. D. L.

*Justyna Anna Buchta*

**Nie do końca**

wczoraj przeczytałam:  
współczesna poezja nie różni się  
niczym od nagrania monologu  
pacjenta leżącego na kanapie  
u psychoanalityka

gdy dorosnę  
zostanę Mickiewiczem  
na pewno do tego czasu nauczę się  
rymować a jak się skupię  
to będę mówić 13-zgłoskowcem

na razie  
modłę się i zasypiam  
spokojnie  
choć może nie powinnam  
w jasnoniebieskiej koszuli



fot. Paweł Lisiecki

*Agnieszka Jurczyga*

**Krytyk**

Raz diabeł  
napisał wiersz

krytyk  
z sąsiedniego piekła  
zatwierdził

a potem  
już tylko  
produkcja miłości  
na pokaz

anielle mój  
nie pisz nigdy

Natalia Sikora

### Szpieg Pana Boga

Patrzę na świat Twoim Okiem  
i nie dostrzegam w nim twórczej jasności  
może to tylko chwilowe zachmurzenie  
a może już zamknęłaś Oko przed światem  
opadły już wszystkie liście  
został jeden?  
Ja, on, ona, ono, oni?  
Po cóż było nam sadzić tyle drzew  
Dla ciebie?  
Nie słyszę szelestu wiatru, który  
Przecież kolorował świat Twymi Słowami  
Nie oddycham, choć szukam  
Twojej świeżości  
Jesteś tam jeszcze?  
Nie słyszę!  
Nie widzę!  
Zburzę mur wyrosły z głupoty i kłamstwa  
Pójdę, znajdę Cię  
Wtedy powiem Ci co naprawdę  
Myślę...

Jagoda Góralska

\* \* \*

nie jestem dorosła  
mam 19 lat  
  
polemizuję z Bogiem  
w pokoju  
mam porozrzucaną bieliznę  
nie szukam pracy  
  
w tym roku  
wyrosną mi skrzydła  
nie podcinajcie ich

Piotr Lewicki

### Kanibalizm współczesny

czy czujemy smak  
w zjadaniu siebie  
nawzajem  
w pogoni za posadą  
prenumeratą monet  
w ucieczce do obcości  
  
w zjadaniu siebie  
wykluczamy  
inne posiłki

Marta Szloser

### Barman

poznałam wczoraj faceta.  
jest barmanem,  
a ja miałam ogromną ochotę  
na Bloody Mary.  
rozmawialiśmy przez całą noc.  
on pytał: co podać  
ja mówiłam: to samo i opowiadałam mu  
o swoim dzieciństwie.  
nagle rzucił się na mnie przez bar  
i...  
spadłam z łóżka  
na szczęście nikt się nie obudził,  
tylko nieskazitelna pościel  
trochę się zmiała.

Paula Ewa Karnas

### Żałuję

pragnę oczyszczenia  
ważę moje grzechy  
na szali miłości  
sprzedaję  
marzenia by kupić  
ukojenie duszy  
udaję  
bo nic mi się nie udaje  
za każde nic żałuję  
moim spowiednikiem –  
martwy deszcz  
moją pokutą –  
beznamiętny  
tyle razy przeciwczony  
płacz  
kolejnej spowiedzi  
nie będzie  
upiłam się łzami

Justyna Anna Buchta

### Komiks

pod sufitem  
świeci księżyc  
goła żarówka  
wokół gwiazdy  
fluorescencyjne  
  
w łóżku śpisz  
z nadmuchiwaną lalką  
już nie zamienisz mnie  
z nią miejscami  
  
nad Tobą chmura  
dymu rzadka litera „Z”  
  
pod poduszką góra  
pieniędzy  
jedyne prawdziwe emocje

Anna Bartosiewicz

### idolka

włożyłem na jej stopę pantofelek sławy  
wcześniej był bal i my dwie plamy  
na kliszy pełnej uśmiechów  
  
zalałem schody smołą ciszy  
wskazówki grzęzły w tarczy zegara  
pieściłem palcami obiektywy  
ścieliłem drogę śliskimi fotografiami  
  
o północy wśród burzy oklasków  
wbiegła na scenę  
rażona błyskawicą fleszu stała się cienka  
jak kartka papieru

## ARS POETICA Młodzi o swojej twórczości

**Marta Szloser:** Poezja to sposób na życie, na uwolnienie się od nadmiaru siły i uczuć. Poezja to moje własne postrzeganie świata takim, jakim jest on w rzeczywistości lub jakim jawi się w mojej wyobraźni. To otwarcie się, dogłębne obnażenie lub ukrycie prawdziwego „ja” za zasłoną słów, czasem skryty apel, innym razem po prostu rejestracja tego, co widzę, przeżywam. Źródłem poezji może być nieomal wszystko: świat, ludzie, otoczenie, przedmioty, obrazy, zdarzenia, sny, myśli, uczucia. Na pewno źródłem poezji nie są dobre chęci. Źródło jest we mnie... To po prostu przychodzi mniej lub bardziej oczekiwanie. Poprzez poezję mogę zatrzymać chwile, uczucia, zdarzenia, które wywarły na mnie duże wrażenie. Mogę je dowolnie ubrać – rozświetlić lub zamaskować. Żaden wiersz nie jest ani przypadkiem, ani przeznaczeniem – jest... po prostu jest i nic więcej. Trudno opisać to, co wywołuje w autorze sama świadomość tego, iż coś napisał. To czasem jest niczym sport ekstremalny. Trzeba to przeżyć.

**Małgorzata Olczyk:** Poezja to coś więcej niż zainteresowanie, niż pasja. Jest to miłość, która rodzi się na nowo, coraz silniejsza za każdym razem, gdy jej dotykam za sprawą moich ukochanych poetów i nie tylko. Poezja jest także rozwiązaniem – bo daje odpowiedzi i tłumaczy to, co najtrudniejsze do opisanego – uczucia. Daje mi ona wewnętrzną siłę i wiarę w słowa.

Ireneusz S. Wierzejski

## Na uboczu

małe miasteczko  
prawie w centrum Europy  
przyklejone do rzeki  
bezbarwnym plastrem  
przechodzi drobne przemiany  
których nie widać  
w świetle ulicznych latarni

ma nadzieję że kiedyś  
stanie się wyspą szczęścia  
wtedy jednak chyba  
straciłoby swój urok  
domowego ciasta z rodzynkami

Jagoda Górska

\* \* \*

spaceruję  
po Lubartowie  
ulice  
znikoma zieleni  
rondo

miasteczko  
są takich setki

spaceruję  
po Lubartowie

przed oczami mam zdjęcie  
Licińskiego  
Zawsze to samo  
Jedyne jakie widziałam

Magdalena Marczyńska

## Cztery spojrzenia na miejski wieżowiec

nade mną łomot tłuczonych talerzy –  
to kolejna sprzeczka u Nowaków

zza ściany dolatują rytmy hip-hopowe –  
to młodszy syn Grzybowskich ma swoją godzinę relaksu

pod oknem grupka podpitych kibiców  
w szalikach Widzewa

śpiewa:  
bo Twoje jest zwycięstwo potęga i sława na wieki

ja siedzę w środku  
czekam na lepsze czasy

Aleksandra Liszka

## Blues czwartego piętra

Wróg jest mój: za progiem kolejnej złości włącza ulubioną płytę.  
Mój wróg z hartowanej stali posądek pogańskiego bóstwa.

Trzydzieści groszy za ołówek, by opisać wroga, starczy:  
naturę wroga i uniesione krzykiem pięści słów.

Ciszej tam! – zza mojej połówki ściany: lecz nawet jego cisza  
niepokrewna z moją. Przeczy nam chyba natura powietrza:  
to ono zwykło nabrzmiwać jego głosem; zawsze niewczesny  
zgrzyt klucza w zamku oznajmia: wychodzi. Idę mu na spotkanie  
spojrzeniem przez okno; bezboleśnie go odprowadzając,  
aż z horyzontu spełźnie; wtedy się uśmiecham.

Wychodzę też i wróg mój czasem zza rogu zółcią wytryśnie,  
„dzień dobry” powie. W rogu staję, oznajmiam, że spieszę się w prawo.

„Dzień dobry” wroga zawsze życzeniem „do widzenia”

Rozmijamy się na kłatkach schodowych cedząc spojrzenia, przy  
porze na dobry wieczór. Mój wróg będzie zawsze, choćby prochem,  
przeczył konstrukcji świata.

Paweł Wacek

## Słowackiego 27

Ziemszy nieziemscy aniołowie  
Rozlewają kałuże przy Słowackiego 27

Stawiamy kawę na drewnianym stole  
wcześniej wyjmując wszystkie drzazgi, by się nie pokaleczyć  
krzesła opieramy o ścianę  
to tak na wszelki wypadek  
podłogę układamy prosto pod nogami  
piwnice bywają tak głębokie jak myśli  
TU (Słowackiego 27) wszystko się przewija  
przez ten pokój kartkę zeszyt długopis  
zmienia przekłada przewleka

Tylko deszcz pada ten sam  
Tylko anioły do końca zostaną

Antonina Lisiecka

## Lipowa aleja II

Znam tutaj  
każde drzewo;  
z pierwszych  
nieporadnych wędrówek,  
z dziecięcych gonitw  
za piłką  
za kasztanem  
za piórkiem gołębia  
za liściem  
z zamyślonych spacerów...

Lipy –  
w ich słojach  
zapisuje się czas.  
Czy w pobrużdżonej  
pokrytej zielonym  
nalotem  
korze drzew  
odkłada się pamięć  
o mnie?

Adrianna Jakóbczyk

## czarny kot

przemierzam podwórze  
widzę czarnego kota  
czającego się w kącie

idź – mówię  
nie jestem przesądna  
nie wierzę w twoją  
moc tajemną  
idź  
kot siedzi

idź – mówię  
nie obawiaj się  
nie będę złorzeczyć  
i ciebie przeklinać  
idź

kot wlepia we mnie  
swoje bursztynowe ślepie

proszę przejdź mi drogę  
chcę się wyzwolić  
od chorych wymysłów  
tchórzliwych ludzi  
obarczających cię  
swoimi niepowodzeniami  
idź

kot patrzy na mnie podejrzliwie

zaczynam się bać

## W STRONĘ PROZY

Gabi Nowicka

### Wolność?

Idą ulicą. Mijają ludzi pozornie istniejących w tym samym świecie, ale tak naprawdę w zupełnie innym. Próbuje iść patrząc w niebo. Jego ogrom ich przeraża. Tyle rzeczy może się jeszcze zdarzyć.. tyle rzeczy można zobaczyć. Mają ochotę biec z rozpostartymi rękoma i lecieć, lecieć! Dziwne spojrzenia ludzi ich nie płoszą, przestali na nie zwracać uwagę. Niech patrzą, niech zobaczą jacy są szczęśliwi. Są wolni?

Kobieta, ona... siedzi ze spuszczoną głową. Brudne, splątane włosy opadają na czoło. Jest w radiowozie. Pachnie tan ludzką żalną paniką. Na przednich siedzeniach dwaj młodzi policjanci rozprawiają radośnie o czymś mało istotnym, a ona siedzi sama. Obserwuje świat zza kratki i mnóstwo myśli przelatuje przez jej głowę. Widzi twarze kierowców, widzi twarz jakiejś młodej, zamysłonej istotki, która spogląda na nią z granatowego auta - tak dziwnie, jakby z odrobiną współczucia. Ciekawe... Ale przecież kobieta nie potrzebuje litości. Czy to, iż ograniczono swobodę jej ruchów oznacza, że nie jest wolna? Co można człowiekowi zrobić, by go ograniczyć? Nic. Później najgorszą dla niego karą byłaby śmierć, ale przecież nie wiemy co stanie się potem, więc nie można zakładać, iż śmierć równa się brakowi wolności. Można człowieka skazać na wieczne cierpienie, upokorzenie, ale to nie oznacza tyle samo, co ograniczenie swobody. Człowiek się rodzi wolny, nieskażony światem i ludzką zawiścią. Dopiero później musi podporządkować się ludzkim prawom i myślom. Jego umysł może jednak na wieki pozostać wolny. Człowiek może wybrać drogę, może być zły, czarny, nieograni-



fot. Michał Kućka

czony, dobry, hojny, mściwy, lekki, niepowtarzalny, szary, kostropaty, rogaty i taki sobie ludzki. Kiedy człowiek jedzie w czerwono-żółtym autobusie i widzi smutnych ludzi, szare budynki i całe to miasto, a jego myśl wyzwala się z umysłu i ulatuje ponad wszystko co ziemskie - jest wolny. Gdy nie boi się końca, gdy przyjmuje wszystko co życie przyniesie i pragnie coraz więcej poczuć, poznać, posmakować. Gdy chce latać, gdy chce być aniołem z niewidocznymi prawie, czarnymi różkami, gdy płacze, gdy się śmieje - jest wolny?

Określenie wolności tak naprawdę nie jest możliwe. Można tylko podejmować próby, wytestować wyobraźnię, przypuszczać...

Kobieta powoli otwiera oczy, uwalnia umysł od nocnych, nieosiągalnych marzeń. Przeciąga się powoli, myśli o dniu,

który ją czeka. Kolejny dzień jej życia, pierwszy dzień reszty jej życia. Wstaje, robi sobie kawę - taką czarną, gorzką, taką jaką lubi najbardziej. Staje przed oknem na swój świat, trzymając w jednej ręce fioletowy kubek, a w drugiej dopiero co zapalonego papierosa. Jej myśli ulatują daleko, daleko poza jej mały pokój. Myśli o swoim życiu, o pięknych rzeczach, które jej się przydarzą, o nowych twarzach, które zobaczy dziś, jutro, każdego dnia. Myśli o tym, że wszystko zależy od niej, każdy wybór należy do niej. Starannie wybiera ludzi, których chce kochać, wybiera kłamstwo lub prawdę, nudę bądź następną przygodę. Syci się myślą, że nie wie, co ją dzisiaj spotka, kogo pozna. I tak do końca życia - poznaje wszystkie jego barwy, by chłonąć każdy najdrobniejszy element i każdą możliwość jaką daje świat. Jest człowiekiem. Ma ciało, du-

szą, ma myśli, które są jej sekretem. Jest tylko marzycielką, która czasami czeka na lepszy czas, albo wybiega mu naprzód. Jest niedoskonała, nieprawdopodobnie ludzka, jest aniołem i diabłem, jest podróżnikiem, poszukiwaczem doznań psychicznych. I tylko pragnie, by w chwili śmierci mieć pewność, iż widziała i czuła już wszystko czego zapragnęła.

Dziecko. Mały człowiek. Roześmiany, na jego twarzy malują się wszystkie emocje, które odczuwa. Biega wokół fontanny w parku, czasem zerknie, czy najbliższa mu osoba nie znikła gdzieś przypadkiem... Cieszy się słońcem, powietrzem, tym, że zaraz pobawi się w piaskownicy. Gdy ma ochotę - udaje psa, kładzie się na ziemi, wrzeszczy, skacze. Nie wstydzi się. Bo niby czego? Gdy cukier rozsypie się na stole, on, niczym nie speszony, zliże go różowym



językiem. Mały człowiek nie zna żadnych granic, nie zastanawia się nad tym, co wypada, a co nie wypada. I... jest bardzo szczęśliwy. Dziecko... nieograniczone żadnym prawem, słodkie, radosne, bez troski...

Pocałunek wolności, wolna miłość, uśmiech dziecka, wiatr wiejący w twarz, zachłyśnięcie się widokiem gór, piękno nieba na które patrzymy co dzień.

Człowiek leży na trawie. Otacza go przyroda, świeci słońce. Nad nim zgina się gałąź obsypana jabłkami. Człowiek sięga ręką. I już prawie muska palcem dojrzewające owoce. Ciągłe pragnie ich dosięgnąć, a one wciąż są za daleko.

Umrzycmy. Umrzycmy wszyscy jutro. Zatopmy się w zapomnieniu, by już więcej nie myśleć, nie wstawać, nie witać nowego dnia. Odkryjemy razem zagadkę istnienia, sprawdzimy co jest dalej, nie czujemy już nic. Niech wolno nam będzie nie istnieć, nie oddychać. Nie bądźmy związani z innymi, ze światem, z sprawami ludzi. Umrzycmy.

Ironio losu! Losu ironio! Kierujesz wszystkim, co ziemskie. Zsyłasz płacz, śmiech, zgrzytanie zębami. Jesteś silna, wszechobecna, sprawiasz, iż drogi człowieka płyną tam, gdzie zapragniesz. Kował własnego losu? Tak, ludzie planują, chcą i oczywiście udaje im się to, ale zawsze w końcu następuje TEN moment – ruina wyznaczonych celów, załamanie rąk, kolejna próba. Ironio losu – człowiek nie jest wolny. Związany fizycznie z własnym ciałem, psychicznie z zastanym światem.

Wolność istoty ludzkiej to tylko moment, marna chwila. Niektórzy ją osiągną, inni – nigdy. A może to tylko złudzenie? Może żaden człowiek nie jest wolny? Może cała ludzkość więziona jest na przeróżne sposoby, może dopiero śmierć nas wyzwoli? A śmierć jest wieczną zagadką dla żyjących, znakiem zapytania, który straszy, przeraża lub jest wyczekiwany. Nikt nic nie wie, wszyscy żyją w kieracie codzienności. A lata płyną, ludzie rodzą się i umierają. Może są powtarzalni, tacy sami, a może łączy ich tylko istota człowieczeństwa?

Wolność? Słowo, coś o czym ten świat już zapomniał? Moment, chwila, pustka, kłamstwo, nierealność, otwarte pytanie. Nic nowego na nie odpowiem. Pytanie zdaje się być bez odpowiedzi. Można mieć tylko nadzieję, próbować, można wierzyć.

Pozostawmy więc więźniami swych małych światów. A Ty, drogi Czytelniku, fruuj – skrzydła wyrosną Ci później.

Michał Stolarczyk

## Lekarstwo

Blask latarni rozświetlał ulicę rozbrzmiewającą jednostajnym szmerem. Światła neonów tańczyły na kostce brukowej, głowach leniwie płynącego tłumy, murach kamienic. Z oddali dobiegał pomruk ruchliwego skrzyżowania: spłoszone piski hamulców, nawoływania klaksonów, warknięcia silników.

Wiatr przewiewał jego luźne ubranie, otulając przyjemnym chłodem. Idąc, rozglądał się tępo. Ręka co chwila wędrowała do kieszeni, a wymacawszy tam plastikowe pudełeczko, powracała do pozycji wzdłuż ciała. W pudełku leżała pastylka wielkości zatyczki do długopisu. Drugą, podobną połknął kwadrans temu. Wiedział, że nie powinien popijać jej piwem, ale nie dbał o to. Obok niego przetaczał się tłum. Czasami ktoś go trącał, niechcący następował na but.

Japońscy turyści rozmawiający szybko i głośno, grupki podpitych nastolatków, zakochane pary, poważni biznesmeni. Dźwięki gitar i śpiew młodzieńców, szepty, wołania, gwizdy. Zapach potu, perfum, perfum, kosmetyków, parującego alkoholu.

Umysł rejestrował wszystkie te bodźce, filtrując jednak tak, że większość nie docierała do świadomości.

Szum wzmagął się, choć ludzi nie przybywało. Myśli przestawały być jasne. Rozejrzał się. Zaczął dostrzegać szczegóły, które dotąd mu umykały. Srebrne kolczyki w uszach idącej przed nim kobiety, rosnąca numeracja kamienic, pręgowany kocur przechadzający się po gzymsie.

Wbił wzrok w ziemię. Szare płytki chodnikowe, rowki między nimi, resztki siana, słomy, końskich odchodów.

Zamrugał powiekami. Krwawo zachodzące słońce, facet pałacy Marsy, dziewczyna w czarnych butach, zabłocony popielaty rower.

Wzmagął się wiatr. Przystanął. Kręciło mu się w głowie.

Śliskość spoconego ramienia, pęd powietrza, biegnąca dziewczyna, nawoływania, ukwiecone na żółto, biało, karmazynowo, niebiesko balkony, koronkowe firanki, odrapane parapety.

Zatoczył się i oparł o mur. Szmer miasta przestał być jednostajny. Klakson, rozmowa, gołąb, szum skrzydeł, szczenie psa, dzwonek roweru, chód muru. Zaczął biec, roztrącając przechodniów. Czerwona sukienka, srebrny na-

szynnik, kręcone włosy, torebka, przelatujący samolot, szepty, szum liści, gruchanie gołębi, stukot, chłopak, deskorolka, żółte kółka, stalowe ośki, wystawa, garnitur, pizzeria, zapach ziół, brunatna brama, kawiarnia, ogródek, zapach kawy, szmer rozmów, budka telefoniczna, srebrzysty aparat, zerwany kabel. W oddali studnia, zielona ławka, białe audi, nowe alufelgi, stukot kół, zapach róż, bzu. Naparł całym ciężarem na pompę. Ból mięśni, rozmowa, chłód, woda, mokro, strach, dziewczyna, dzwony, skórzana torebka, chłopak, dzinsowa kurtka. Otrząsnął się. Chichot, krzyk, zgrzyty, panika, elektroniczny dzwonek, głośnie muzyka, ławki, drzewa, porowatorka, spaajaceliścieklonudębukasztanowca. Zaczął biec. Tłumprzechodniówkrzykiwłasnykrzykklaksontramwajniebieski dzgzbzcrziwyemonóneeestkcl.

Tłum gęstniał szybko wokół betonowego słupa ogłoszeniowego.

- To nie ja! To nie ja! On sam wbiegł pod koła! Pan widział prawda?! – wykrzykiwał nieprzytomnie motorniczy.

- Chryste! Wezwijcie karetkę! – krzyczała kobieta.

- Co się stało? Proszę pozwolić mi spojrzeć – przykurczona babuleńka przepychała się przez tłum pomagając sobie drewnianą łaską.

Chłopak leżał z głową opartą o plakat reklamujący zdrową żywność. Po twarzy ściekała mu krew. Sygnał karetki coraz natarczywiej świdrował uszy.

Sanitariusze byli jednak bezradni. Starszy z nich szybko zbadał chłopaka.

- To już sprawa policji – rzekł, kręcąc bezradnie głową.

- Czy ktoś go znał? – spytał młodszy, podnosząc się z kłęczek.

- Proszę przeszukać kieszenie – rzucił ktoś z tłumu.

- Już to zrobiłem. Nic tam nie ma. Pan go znał, tak? – zapytał sanitariusz.

- Nie. Myślałem po prostu, że będzie miał dokumenty.

- Ja nie specjalnie! On sam wbiegł pod koła, on sam – mamrotał motorniczy, trzęsąc się jak zmarznięty wróbel.

- Wyjaśnimy to w komisariacie. Proszę z nami – policjant poprowadził go do radiowożu, który zdążył przed chwilą przyjechać.

Chłopaka umieszczono na noszach, które wsunięto do karetki. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

# Debiuty – Małgorzata Olczyk

Małgorzata Olczyk ma 19 lat i mieszka w Łodzi, gdzie uczęszczała do XXI LO. Po wakacjach podejmie studia na pedagogice specjalnej UE. Należy do grupy poetyckiej „Między innymi”, którą prezentowaliśmy na naszych łamach. Jest laureatką konkursów literackich, m. in. „Stachura pozostałym” i FETA 2003.

## Wg Małgorzaty

„...Małgorzato, nie musisz się martwić.  
Wszystko będzie, jak być powinno,  
tak już jest urządzony świat.”  
M. Bułhakow „Mistrz i Małgorzata”

to nie jest żadna droga  
czy kwestia wyboru

cel to pojęcie względne  
tym bardziej uczucia

pośród kolejnymi porankami  
jest sens jak atomy wodoru

orbita życia  
nigdy kolista  
raczej zdeformowana  
z przemilczeniami

przeszłość niema  
teoria błędna  
nowy rozdział myślenia  
ponownie zaczyna się od słów:  
po co

realność się myli  
w liczeniu marzeń

grzechy zostaną odpuszczone  
nawet Piłatowi

## Odpukać w niemalowane

zimny dotyk nocy  
przybliża nasze pragnienia  
jak różne  
kwiat bzu i kapryfolium  
znów w niedobranym bukicie

pierwszy podmuch jutra  
zniszczy naszą konstrukcję  
więc krok za krokiem  
poruszamy się tylko  
odwrotnie do wskazówek zegara

oddech jak awangarda  
gdy my i nic  
zawieszeni pomiędzy  
świtem i czasoprzestrzenią

i gdzie tutaj filozofia

## Sen

po drugiej stronie lustra  
głaszczą czarnego kota  
który jeszcze niedawno był królikiem

prowadzi mnie nieznanym korytarzem  
do mojego nikąd  
pokazuje drzwi pazurem

lustro pęka  
bez złudzeń



fot. Paweł Lisiecki

\* \* \*

za młoda na te wiersze  
wyrok jak cegła z pierwszego piętra  
na pewno przepisała  
z jakiejś mądrej książki o poetach i poezji

zamknięta w ciasnej szufladzie

a słowa płyną  
gdy ich nie widać  
przez skrzydła anioła

tylko spać z nimi  
trochę niebezpiecznie

pozbiera się  
walizkę ma przecież pełną  
czystych kartek i ołówków...

\* \* \*

Pustka i żar serca  
Tu na pustyni  
Gdzie przywitać się można  
Tylko z pajakiem i jaszczurką

Nie ma wody  
Tam gdzie nie ma ciebie

# OKNO

## Michaliny

Michalina Pruszyńska sama zaproponowała niegdyś tę rubrykę. I od ponad roku zamieszcza w niej swoje literacko-filozoficzne etiudy, mówiąc o sprawach z jej punktu widzenia istotnych, zamieniając własną uważność na garść refleksji, którymi można podzielić się z innymi.

Michalina Pruszyńska

## Rozczarowanie

Filozof - egzystencjalista Sartre, twierdził, że człowiek nie jest tym, czym jest, lecz jest tym, czym jeszcze nie jest. Że najpierw istnieje, zdarza się, a dopiero potem definiuje.

Oznacza to, że człowiek tworzy siebie samego i swoją egzystencję. Dlatego jest za siebie odpowiedzialny, dokonuje wyboru, dzięki czemu odczuwa swoją wielkość i wspaniałość.

Wybór, którego dokonuje, to jednak samoograniczenie. Zawsze z kilku możliwości pozostaje jedna. Lecz już nie zawsze - ta właściwa...

Decyzja podjęta i nie można się wycofać. Ale okazuje się, że nie tego się spodziewaliśmy! Człowiek ma specyficzną właściwość spodziewania się - wyobrażenia sobie - oczekiwania - jakie to coś, co nas czeka powinno być. I co, jeśli takie nie jest?

Przychodzi rozczarowanie. Najpierw smutek i niezrozumienie, brak czegoś nieokreślonego, potem powolne odsuwanie się od wydarzeń, nierzadko ból głowy, chandra czy inny sposób na ucieczkę... A nade wszystko „oni” są wszystkim winni, bo gdyby nie „oni”... Tylko że rozczarowanie jest niezwykle indywidualne, nikt inny nie ma udziału w naszym rozczarowaniu, chyba że się do tego przyznamy... Heroizm. Mówi się przecież „myślałam, że będzie inaczej”.

Miało być tak, tak i tak... Miało? Rozczarowanie polega na tym, że codzienna rzeczywistość nijak nie pasuje do naszych wyobrażeń i nie za bardzo wiemy, co z tym teraz zrobić. Można by przyznać się do błędu, zastanowić nad swoim niedosytem, niesmakiem, zawiedzeniem, rozgoryczeniem, ale łatwiej usprawiedliwić się przed innymi (czyt. przed sobą), obwinić „wszystkich, którzy są przeciwko” i uciec w tłumaczenia, że gdyby nie...

Ale czy człowiek ponosi winę za to, że nie jest tak, jak miało być? Ma prawo do planów, marzeń i oczekiwań, ma prawo do wiary w nowe i lepsze. Tylko trzeba jeszcze wiedzieć, jak się zachować, kiedy przychodzi rozczarowanie. I tu znowu pojawia się wybór. Pogodzić się z nową, ale wcale nie lepszą codziennością? Spróbować wytłumaczyć sobie zbyt duże oczekiwania w stosunku do możliwości? Wyciągnąć wnioski? Przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny i sytuacje, które wspólnie z innymi tworzymy? Czy nie zgodzić się i szukać nowego, które będzie takie, jakie powinno być?...

Nie ma pewności, że za kolejnym wyborem nie czai się rozczarowanie. I to właśnie sposób jego pojmowania i znoszenia stanowi wyznacznik człowieczeństwa. Trudne? Owszem „człowiek jest tylko trzcina”, ale myślącą.

Michał Kučka

\* \* \*

gdzie jesteś

oddaję się Wodzie  
widzę Kota  
w jego sierści  
Twoje włosy

widzę  
jak dłonie marszczą się  
Kot wchodzi na  
pralkę

gdzie jesteś

szczypią oczy  
zamykam powieki

Kot nie lubi pływać

miauczy do Ciebie

przyjdź

...

Marta Szloser

Książę

Czemu mi się tak przyglądasz  
Mój Książę?

Jak byś po raz pierwszy mnie ujrzał,  
Jak byśmy wcale się nie znali.

Oczy masz ciekawe -  
Ciekawe i smutne.  
Jesteś rozczarowany?

Nie płacz,  
Bo będę musiała narysować cię  
Od nowa...

Piotr Lewicki

Erotyk letni

Oślepieni  
szaleństwem łąki  
na ołtarzu  
dzikie ciała  
doprawione chabrami

rozpoczyna się  
rytuał syntezy

Katarzyna Brzozowska

Erotyk 1

Jak pięknie dzisiaj umierasz  
Jak ptak oderwany od lotu  
Cudownie wyglądasz zamknięty w dłoni  
Jak połówka cytryny  
Soki swoje w nią ożywczo wlewasz  
Jeszcze nigdy tak blisko  
Nie byliśmy

### Postscriptum

Zastanawiałam się, jak się do Was zwrócić - do Was czytających „Okno Michaliny”...

Piszę, by się pożegnać. Nie pamiętam już, jak zaczęła się moja współpraca z „Cudnymi Manowcami”, ale miałam to szczęście być z nimi od ich narodzin. Wiele się nauczyłam przez kilkanaście miesięcy tworzenia etiud. Przede wszystkim tego, że etiuda nadal pozostaje dla mnie formą niezrozumiałą i nieokreśloną, choć może to dobrze - pozostawiam plastyczny materiał, z którego możecie tworzyć własne etiudy. Cieszyłabym się bardzo, gdybym usłyszała kiedyś, że ktoś zastanowił się choć przez chwilę nad zauważonymi przeze mnie kawałkami rzeczywistości.

Uciekam teraz w świat filozofii - na studia. Spróbuję jeszcze zainteresować Was filozofią poprzez dwa teksty, które pojawią się w nowej rubryce „Wartości”. Sami ją skomentujecie i ocenicie.

Dziękuję serdecznie, że mogłam być...

Michalina



## PÓLKA Z KSIĄŻKAMI

Alicja Wątroba zachęca do sięgnięcia po książki poczytnego pisarza Paulo Coelho, recenzując jego książkę „Weronika postanawia umrzeć”.

Alicja Wątroba

# Życie zawsze może być kolorowe

„Weronika postanawia umrzeć” to tytuł powieści znanego brazylijskiego pisarza Paulo Coelho.

Książka ta opisuje historię młodej dziewczyny, która uświadamia sobie, że nie chce dłużej krążyć między pracą, domem, restauracją, gdzie zawsze spotyka się z przyjaciółmi i innymi znajomymi miejscami. Nie ma ochoty na nudne i monotonne życie. Nie potrafi uczynić go ciekawym, podejmuje więc dramatyczną decyzję. Postanawia popełnić samobójstwo. Długo układa plan swojej śmierci, a następnie wciela go w życie, ciesząc się tym „co widziała i słyszała. A jeszcze bardziej tym, że nie będzie musiała uczestniczyć w takim samym spektaklu przez najbliższe trzydzieści, czterdzieści,

czy pięćdziesiąt lat – bo stałoby się to tragedią jej życia, tragedią, w której wszystko się powtarza, a każdy dzień jest podobny do poprzedniego”.

Nie wie jednak jak bardzo się myli. Zostaje uratowana i zamknięta w szpitalu psychiatrycznym. Tam, wśród wariatów, inaczej postrzegających świat, odnajduje miłość, sens życia i swoje prawdziwe ja. Podejmuje ryzyko bycia inną. Chce to jednak robić nie zwracając na siebie uwagi.

Myślę, że warto, wraz z Weroniką, uczyć się siebie, ludzi i świata, szukać dowodów na to, że życie zawsze może być kolorowe i co najlepsze – znajdować je.

## Noty o autorach:

**Justyna Anna Buchta** (19 lat), mieszkanka Międzyrzecza Podlaskiego, laureatka konkursów poetyckich, autorka tomiku „Wspomnienia opuszczonego ogrodu”, wkrótce studentka anglistyki na UMCS w Lublinie

**Agnieszka Jurczyga** (14 lat), uczennica Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach, laureatka konkursu Poetyckiego „Ja też jestem poetą” (Mysłowice, 2003)

**Marta Szloser** (18 lat), licealistka z Ludowa Polskiego k. Strzelina (woj., dolnośląskie), laureatka wielu konkursów poetyckich

**Piotr Lewicki** (16 lat), mieszkaniec Kruszwicy, uczeń II LO w Inowrocławiu, laureat konkursów poetyckich, niebawem ukaze się jego debiutancki tomik

**Paula Ewa Karnas** (15 lat), uczennica Publicznego Gimnazjum w Wołowie, laureatka VII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. M. Konopnickiej (Międzyrzec Podl., 2003)

Jagoda Górska (19 lat), mieszkanka Lubartowa, w październiku podejmie studia polonistyczne na KUL-u

**Natalia Sikora** (17 lat), licealistka ze Słupska, laureatka VI ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

**Adrianna Jakóbczyk** (17 lat), licealistka z miejscowości Charzykowy

**Ireneusz S. Wierzejski** absolwent LO w Międzyrzeczu Podl., laureat Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. M. Konopnickiej

**Paweł Wacek** (17 lat), uczeń LO z Brzegu Dolnego, członek grupy poetyckiej „Dlaczego nie Ja?”, laureat konkursów poetyckich

**Magdalena Marczyńska** (17 lat), uczennica II LO w Łodzi, laureatka konkursów literackich, członek grupy poetyckiej „Między innymi”

**Aleksandra Liszka** (16 lat), mieszkanka Hanuska na Śląsku, uczennica II LO w Tarnowskich Górach, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów literackich, ostatnio wygrała I Festiwal Talentów w Katowicach

**Anna Bartosiewicz** (19 lat), absolwentka LO z Warszawy, laureatka wielu konkursów poetyckich

**Antonina Lisiecka** (12 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kujawskiego, uczennica Gimnazjum Akademickiego w Toruniu, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów literackich, autorka tomiku „Czuwa nade mną moja gwiazda”

**Gabi Nowicka** (19 lat), absolwentka LO z Warszawy

**Michał Stolarczyk** (17 lat), licealista z Krakowa, laureat VII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. M. Konopnickiej (Międzyrzec Podl., 2003)

**Małgorzata Olczyk** (19 lat), mieszkanka Łodzi, członek grupy poetyckiej „Między innymi”, laureatka konkursów poetyckich, m. in. „Stachura pozostałym”, FETA 2003

**Michalina Pruszyńska** (19 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kujawskiego, wkrótce studentka filozofii na UW

**Michał Kućka** (19 lat), mieszkaniec Oświęcimia, laureat konkursów literackich, wkrótce student prawa na UJ

**Katarzyna Brzozowska** (18 lat), uczennica LO im. Kazimierza wielkiego w Zduńskiej Woli, członek grup poetyckich „Bez aureoli” i „Topola”, autorka tomiku poetyckiego „Lekkością piór po błękitnie nieba”

**Alicja Wątroba** (15 lat), gimnazjalistka z Rudzicy k. Bielska-Białej, laureatka wielu konkursów poetyckich, autorka debiutanckiego tomiku „Papirowe serduszka”

## Konkursy • Wydarzenia • Spotkania

### VI KONKURS NA BAŚŃ „PEWNEGO DNIA...”

Konkurs adresowany jest do uczniów szkół podstawowych i gimnazjów.

Warunkiem udziału jest nadesłanie samodzielnie napisanej, opatrzonej godłem baśni w 3 egzemplarzach wraz z kopertą powtarzającą godło i zawierającą dane autora na adres organizatorów: Miejskie Centrum Kultury, ul. Parkowa 3, 87-700 Aleksandrów Kujawski z dopiskiem „Pewnego dnia”.

Termin nadsyłania prac upływa 5 listopada b. r.

## „CUDNE MANOWCE” - PISMO LITERACKIE MŁODYCH

Redagują młodzi twórcy pod opieką Darii Danuty Lisieckiej

(0-54)282 30 97, cudnemanowce@op.pl 87-700 Aleksandrów Kujawski, ul. Lipowa 3B/3)

Współpraca artystyczna i techniczna Ryszard Wojtkiewicz, Arkadiusz Irek, Paweł Lisiecki, Adam Radosz

**Ariana Nagórska****Raj alternatywny**

W gęstwinie rajskich drzew wąż radził pierwszej z Ew  
wszelkie owoce omijać, lecz chciała skosztować – stąd problem.  
Nudziła – to przecież nic złego..., aż Stwórca zawołał – smacznego!  
Nie będą nikomu żałować!

Wiedział, że były niedobre.

17 VII 2003

**Justyna Brzezińska****Haiku**

\*\*\*

godzina szósta  
wskazówki na baczność  
człowiek odpoczywa

\*\*\*

namiot na polanie  
dom zbudowany wśród traw  
przyszło szczęście

\*\*\*

podmuch wiatru  
skłócone chmury milkną  
słońce w natarciu

**Bożena Żyś****A jeśli...**

A jeśli poezja  
się zagubiła,  
złudnie opiewa  
życia manowce...?

W lustrze iluzji,  
widzi arcydzieła  
– brzydota mami,  
do piękna  
nie dotrze...?

A jeśli poeta  
ma brudne oczy...  
Nadwyżką rozumu  
niemądrze pisze...  
Nie szuka prawdy,  
sensu i harmonii...  
W epoce lęku,  
nadzieją się brzydzi...?

Wtedy pozostaje,  
wykopać grób...  
Żywcem pogrzebać  
poezję rozumu,  
bo nie pojmuje,  
że prawdę, dobro,  
miłość i piękno  
– gwarantuje Bóg!

**Małgorzata Szweda**

\*\*\*

I tylko tak jak zawsze  
przychodź do mnie  
gdy usta szeptać będą  
twoje imię  
a ciało  
stęsknione otworzy ramiona  
przychodź do mnie  
dotykem  
jak rana  
bolesnym

**Barbara Tylman**

\*\*\*

Przesiewałam życie  
przez gęste sito czasu  
osobno miłość  
osobno troski  
osobno kielki nienawiści  
pozostały moje dzieci

one zakwitły

**Marian Janusz Kawałko****Skrzydłata Pieluszka**

na ławeczce w zaułku Spełnione  
Marzenie płowowłosy chłopczyk o  
moim rysopisie rozmyśla nad nowym  
Przymierzem ze mną kreśli znaki nieskończoności i skończoności w powietrzu gęstym od Twych

zamyśleń jeszcze nie wie że gdy dojrzeje w naszej

wyobraźni zabraknie dla niego miejsca nawet na  
papilarnej spirali pamięci po płowowłosym  
chłopczyku pozostanie tylko skrzydłata  
pieluszka i mała kriogenna mrówka na  
moim ciełe cichociemne oczy płowo-  
włosego chłopczyka przepastnieją  
bezdomy nagle i magiczne kliknięcie  
w clipart i oto już możesz bezpiecznie  
wylogować ze słonecznego dysku wyobraźni  
spełnione marzenie

Rubież – Lublin, 8.04.2003

**Michał Kuczborski****Idź do Itaki**

O błakający się człowieku  
co odbywasz Odyseję swego życia-  
idź do Itaki!  
Choć będzie towarzyszył ci  
zdradliwy śpiew syren-  
idź do Itaki!  
Ty co ocierasz się o Hades  
i walczysz z cyklopem-  
idź do Itaki!  
Bo tylko ona  
da ci schronienie.  
Nie zbacжай z drogi –

**Lidia Heidt****Geologia**

Skamieniałych las tytanów,  
walecznych zwarte szeregi  
jeszcze w ordynku żołnierskim,  
choć śnięte.

I powietrze,  
co nie drży już głosu melodią,  
ni szeptów nitkom pajęczym  
rade podawa.

Karpy, co bezradne,  
prawie,  
bo na cóż ten trud trudów,  
ta błękitu mitręga,  
gdy i masy gwiazdnej ciężar.  
ten sam.

Kamienny ryt labiryntu skrzeli,  
co jak skrzydłisk dzwony  
zastygły,  
grymas niemych już ust tych,  
co wężowłosym podobne były.

Onegdaj.

Warstwy słów  
retoryki porządkiem  
splątane:  
złóż złota czarnego  
topografia.

**Karolina Trojan****Ziemia**

Ziemia potrząsnęła głową  
rozpuściła trawy

malowała ptaki  
na rozpiętych chmurach

śmiech dzieciaków wpuściła  
przez otwarte oczy

szukaliśmy źródła  
dziwnego zapachu  
w parkach na ulicach  
na sarnich polanach  
i w kwitnących sadach

któż mógł wiedzieć  
że nadzieja  
pachnie tak zmysłowo

### XVII OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI O LIŚĆ KONWALII im. ZBIGNIEWA HERBERTA

Konkurs ma charakter otwarty. Mogą w nim uczestniczyć autorzy  
nie zrzeszeni oraz członkowie związków twórczych.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie do 15 września  
2003 roku trzech egzemplarzy maszynopisu maksimum pięciu utwo-  
rów poetyckich, na adres: Centrum Kultury Dwór Artusa, Rynek Staro-  
miejski 6, 87-100 Toruń (tel./fax (056) 655-49-29, 655-49-39), z dopi-  
skiem na kopercie Konkurs Poetycki.

Tematyka i forma prac jest dowolna.

Prace konkursowe należy opatrzyć godłem, powtórzonym na zakle-  
jonej kopercie, zawierającej imię, nazwisko oraz adres i numer telefonu  
autora.

Utworki zgłoszone do Konkursu nie mogą być wcześniej publikowane.

## „Miłośnik” Teokryta

Spośród około trzydziestu siałenek, będących dziełem Teokryta lub jemu przypisywanych, co najmniej pięć poświęconych jest miłości do pięknych młodzieńców, a ponadto motyw ten pojawia się w wielu innych. Nowożytni tłumacze utworów tego poety na język polski na ogół nie kryli swej niechęci do tematu, dowodząc tym samym, jak bardzo przerastała ich spuścizna hellenizmu. Kazimierz Kaszewski, autor jedyne go przekładu wszystkich dzieł Teokryta („*Utwory Teokryta. Idylle i epigramaty*”, Warszawa 1901) zaopatrzył siałankę XXIII w następujący komentarz: „*Niezrozumiały dla naszych pojęć temat i niesympatyczny (...). Nie wychowani na >Biesiadzie< Platona nie możemy pojąć tej miłości jedнопłciowej*”. W przedmowie do swego przekładu zastanawiał się nawet, czy nie pominąć utworów, których „*treść jest dla dzisiejszych społeczeństw wstrętną, a nadto z gołą obcą*”, ale powstrzymała go obawa przed zafalszowaniem obrazu epiki.

Późniejsi tłumacze dzieł Teokryta nie mieli takich skrupułów i na ogół starali się unikać utworów o charakterze homoerotycznym. Postąpiła tak, niestety!, Anna Świderkówna w swym, skądinąd bardzo wartościowym, wyborze „*Sielanka grecka. Teokryt i mniejsi bukolicy*” (Wrocław 1953). Toteż, na szczególną uwagę zasługuje wybór siałenek w tłumaczeniu Artura Sandauera (Teokryt, „*Sielanki*”, Warszawa 1981), w którym znajdujemy „*Ukochanka*”, „*Do chłopca I*” i „*Do chłopca II*”.

Piszący w I połowie III w. p.n.e. Teokryt pochodził z Syrakuz. W młodości udał się na wyspę Kos i pobierał nauki w szkole poety Filoteasa (Filetasa). Następnie przebywał w Aleksandrii na dworze króla Ptolemeusza II, a później mieszkał przez pewien czas w Milecie. Resztę życia spędził wędrując po wyspach Morza Egejskiego. Jego bliskimi (jak bliskimi?) przyjaciółmi byli lekarze i poeci, Aratos i Nicjasz, obaj z Miletu.

Sielanka XXIII (której K. Kaszewski nadał tytuł „*Zemsta Erosa*”) to utwór poświęcony nieodwzajemnionej miłości mężczyzny (miłośnika) do pięknego, lecz nieczułego chłopca (lubego). Podstawą późniejszego przekładu są wydania dzieł Teokryta: „*The greek bucolic poets. With an english translation by J.M. Edmonds, Cambridge/Massachusetts-London 1950*” oraz „*Theokritos, Bion und Moschos, Deutsch im Versmasse der Urschrift von E. Moerike, F. Notter, Berlin-Schoeneberg [ok. 1900]*”.

## Teokryt

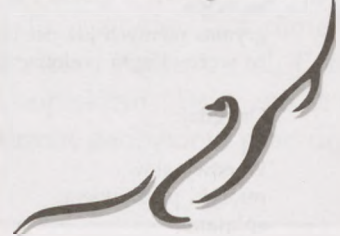
## XXIII. Miłośnik (Erastes)

Był sobie kiedyś spragniony miłości mężczyzna, nieszczęśliwie zakochany w chłopcu uroczym z wyglądu, lecz okrutnym. Swjej postaci nie dorównywał sercem, nienawiścią odpowiadał na miłość i nie było w nim ani trochę życzliwości. Nie wiedział nic o Erosie, ani tego, że jest bogiem zbrojnym w łuk i strzały, ani, jak celne są strzały, którymi trafia chłopców dla swej rozkoszy. Zarówno w rozmowie, jak i w obcowaniu zdawał się być dzikusem! Nigdy nie zdobył się na gest łagodzący żar miłości, na uśmiech rozjaśniający twarz, przyjazny błysk oczu, czy różem oblane policzki, nigdy na słowo lub pocałunek mogący ulżyć ciężarowi pożądania. Przypatrywał się zrozpaczonemu miłośnikowi jak leśny zwierz lękający się myśliwego. Jego usta wykrzywiła niechęć i zawziętość, a oczy wciąż rzucały wokół straszliwie bezduszne spojrzenia. Doprawdy, wrogość odmieniła jego oblicze, kolory znikły z policzków, a oczy, stale wypełnione złością, utraciły blask. Lecz pomimo to pozostawał wciąż pięknym, a jego upór jeszcze bardziej rozpałał miłośnika. W końcu nie mógł już biedak znieść dłużej dzikiego ognia Afrodyty, więc poszedł i zapłakał przed domem bezlitosnego, ucałował próg i podniósł przepętlony żalem głos: „O okrutny i ponury chłopcze, wychowany przez dziką łwicę, o chłopcze z kamienia, niegodny miłości, przychodzę niosąc ci ostatni podarek, stryczek dla siebie. Nie będę już dłużej, o gniewny młodzieńcze, drażnić cię mym widokiem. Odszedłem tam, dokąd wysłała mnie twe potępienie, dokąd – jak mówią – udają się wszyscy kochający bez nadziei, by napić się z uzdrawiającego źródła zapomnienia. Wszak jeśli nawet cały ów zródł wyszczęspragnionymi ustami, nie ugaszę ognia tęsknoty i pożądania. Lecz cóż, na pożegnanie powiem u twych drzwi >bądź zdrów< i odejdę. Wiem, co przyniesie czas! Róża taka jak ty jest piękna, lecz przecież w krótkim czasie usycha, fiołek jest piękny tylko na wiosnę, a później szybko marnieje, lilia ośniewa swą bielą, lecz wędnie u kresu swego kwitnienia i opada, także śnieg zachwyca bielą, a gdy tylko powieje ciepły wiatr, topnieje. Tak samo piękna jest uroda chłopca, trwająca również bardzo krótko. Kiedyś przyjdzie dzień, gdy pokochasz tak jak ja, twe serce zapłonie jak moje i zapłaczesz gorzkimi łzami! Więc proszę cię, chłopcze, uczyni mi tę ostatnią przyjemność: gdy przestąpisz próg swego domu zobaczysz jak biedny wiszę u twych drzwi, nie przechodź obok mnie obojętnie, zatrzymaj się i zapłac nade mną, uczcij ofiarą swych łez. A potem oswobodź mnie od stryczka i zdjawszy szaty ze swych ramion, otul mnie w nie i w końcu choć raz pocałuj. Przynajmniej martwemu nie żałuj swych ust i nie obawiaj się: nie powrócę do życia, nawet jeśli zdołasz się na pocałunek. Potem wykop mi grób, który pochłonie mnie i mą miłość do ciebie, i nim odwrócisz się, by odejść, zaszlochaj nade mną trzykrotnie: >Spoczywaj w pokoju, mój przyjacielu<, a jeśli zechcesz, także: >Odszedł wierny mi towarzyszu<. A na mym nagrobku wyryj słowa, które wypisałem ci na ścianie: >Tu leży jeden z tych, którym miłość stała się śmiercią, nie mijaj go, dobry wędrowcze, lecz zatrzymaj się i westchnij: jakże okrutnym był jego luby<”. To powiedziawszy chwycił kamień i przetoczywszy go wzdłuż muru, ów kamień potężny, aż na środek progu, przywiązał powróż w góry, do belki portyku, założył pętlę na szyję, po czym odepchnął spod swych stóp kamienną podporę i zawisł martwy. Niebawem tamten otworzył drzwi i spostrzegł martwego wiszącego u wejścia, lecz nawet to nie zламаło uporu jego duszy. Nie zapłakał nad mordem, którego właśnie stał się sprawcą i nie płamiąc zwłokami swych młodzieńczych szat, poszedł do palestry, a po ćwiczeniach z beztroskim sercem zążywał kąpieli. Tak oto przybył przed oblicze boga, którym gardził, jego bowiem wizerunek stał nad krawędzią, wpatrzony w wodę. Poruszyła się rzeźbiona postać Erosa i spadła, zabijając bezwzględnie młodzieńca. Woda zaczerwieniła się, a nad nią uniosło się chłopięce wołanie: „Cieszcie się miłośnicy, oto nienawidzący was został zabity! Bądźcie bardziej czuli, o luby, albowiem bóg potrafi was ukarać!”

www.fotolabedz.com.pl

Studio Fotografii  
Artystycznej

„Pod Łabędziem”



Marek Rutkowski  
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69  
ul. Gdańska 5

Tomasz Kosecki

## Sukcesy i grzechy

Tak więc w wyborach z jesieni 1982 roku socjaliści odnieśli wielki sukces, który pozwolił im na realizację zasadniczego celu, tj. na samodzielne objęcie władzy w państwie. Przed nowym rządem socjalistów stanęły wielkie zadania: ograniczenie terroryzmu baskijskiej ETA, wyeliminowanie wojskowych spisków i modernizacja armii, restrukturyzacja rolnictwa i przestarzałych gałęzi przemysłu<sup>1</sup>.

Początkowo PSOE uzyskała pokaźny kredyt zaufania i cieszyła się niemal powszechnym wsparciem społecznym w forsowaniu prawdziwej „zmiany” (*cambio*), w realizacji trudnych i koniecznych reform, których nie zdołała przeprowadzić UCD. PSOE ewoluowała w stronę typowej, zachodniej socjaldemokracji. Rządy socjalistów, przynajmniej w pierwszych ośmiu latach, okazały się bardzo skuteczne, co mocno przyczyniło się do konsolidacji i legitymizacji demokracji w Hiszpanii.

Zwycięscy socjaliści z PSOE podjęli zdecydowane działania na rzecz restrukturyzacji gospodarki, rozwoju prywatyzacji i regionalnej autonomii gospodarczej. W wyniku tych działań wzrosły zarobki i poprawiła się sytuacja materialna znacznej części społeczeństwa, tkwiącego dotychczas w kryzysie gospodarczym. Nastąpiło też pewne przyzwolenie na pogłębienie się podziałów społecznych: na bogatą i przedsiębiorczą klasę średnią i biedne warstwy społeczne, oczekujące od państwa zapewnienia im minimum socjalnego<sup>2</sup>.

Rządzona przez socjalistów Hiszpania przezwyciężyła zacofanie gospodarcze (ów proces, trzeba przyznać, rozpoczął się już w latach sześćdziesiątych), stworzyła nowoczesny przemysł, zredukowała znacznie przemysł państwowy, odziedziczony po frankistowskim etatyzmie, znacznie wzrosły wydajność pracy i dochód narodowy. W połowie lat osiemdziesiątych Hiszpanie zaczęły korzystać z międzynarodowej koniunktury gospodarczej. Kraj dynamizował się,

## Hiszpania – Wyspa Królików (8)

a zarazem stabilizował. W latach 1986–1991 rytm wzrostu gospodarczego pozostał wyższy od średniej we Wspólnocie Europejskiej<sup>3</sup>.

Kosztom przyspieszonej modernizacji i antyinflacyjnej polityki rządu był jednak ogromny wzrost bezrobocia, o ok. 80 proc., co prowadziło do wielu poważnych problemów i wzrastających napięć społecznych.

W czwartych, po upadku dyktatury, wyborach parlamentarnych, w czerwcu 1986 roku partia Gonzaleza odniosła ponowne zwycięstwo zdobywając 44 proc. głosów, utrzymując tym samym pozycję najsilniejszej partii. Musiała jednak pogodzić się z utratą ponad 1,5 miliona głosów (15 proc.) swych dawnych wyborców i 18 miejsc w parlamencie, co znacznie osłabiło ich pozycję jako partii rządzącej<sup>4</sup>.

Do stabilizacji hiszpańskiej sceny politycznej przyczynił się fakt, iż w okresie od pierwszych demokratycznych wyborów w 1977 roku do połowy lat dziewięćdziesiątych, rządziły w Hiszpanii tylko dwie partie – najpierw Unia Centrum Demokratycznego, potem partia socjalistyczna. Pomimo tego, iż PSOE na wiele lat zdominowała hiszpańską scenę polityczną, miała ona również swoich konkurentów.

Drugą ważną partią lewicy była *Komunistyczna Partia Hiszpanii*. Wraz z nastaniem demokracji znaczenie komunistów spadło, a nawet rozpoczął się proces rozkładu najsilniejszej do niedawna partii opozycyjnej. Jednym z głównych dowodów klęski komunistów stały się rezultaty wyborów powszechnych z października 1982 roku. Komuniści uzyskali tylko około 3 proc. głosów, tracąc aż 19 mandatów z dotychczasowych 23<sup>5</sup>.

Triumfujący przywódca socjalistów, Felipe Gonzalez, oświadczył żartem, iż Santiago Carillo odznaczył się niebywałym talentem: niszcząc w krótkim czasie partię komunistyczną osiągnął to, czego nie udało się generałowi Franco w przeciągu czterdziestu lat.

W mym kochanym komunizmie zawsze mówiono wiele o „jednostkach przez kapitalizm upośledzonych”, dla których nastać musi „sprawiedliwość dziejowa”. I jako urodzona dyktatorka oświadczam, że dla Jacka Tabisza ta sprawiedliwość nastanie! Ja mu trochę miejsca na łamach ustąpię, ale od jego czujności będzie zależać, czy tego miejsca nie zajmie czasem ktoś inny. „Partie na druk” jest przecież zjawiskiem masowym. W każdym razie do lipcowego numeru nie chciało mi się pisać, była więc okazja rachunek stron wyrównać.

Choć w razie drogi laureat (uskrzydłony swym Grand Prix) chadza z motyką na słońce, jest szansa, że wkrótce użyje tego zacnego narzędzia bardziej „merytorycznie”, to znaczy do spulchnienia akantowej gleby pod zasiew swych „esejów”. Nie jest prawda, że akurat przeze mnie nie mogą one rozkwitnąć, bo ja oczekuję ich z utęsknieniem wcale nie mniejszym niż inni. Dość dawno już zauważyłam, że autor ten wnosi do (tradycyjnie wielowątkowej, a więc nieco za trudnej) eseistyki ożywczą prostotę refleksji. Skupia się po prostu wyłącznie na tym, co stanowi samo sedno skomplikowanego z pozoru zagadnienia. Na przykład na pytanie: „Jaka jesteś poezjo współczesna?”, odpowiedział obszerną analizą własnych wierszy („Akant” 2003, nr 4, s. 44–45).

No i proszę, dyskutanci miesiącami narzekali na kiepską kondycję poezji, a tu tymczasem bilans wypadł nad podziw pozytywnie, bo po prostu „eseista” znalazł właściwy punkt wyjścia i dojścia. Dlatego też z nadzieją czekam teraz na „esej” w ramach dyskusji „Dokąd zmierzamy?”

Gdy prawie wszyscy piszą o przeróżnych światowych zagrożeniach, nasz „eseista” znów ma szansę wnieść iskrę optymizmu, jeśli tylko zacznie pisać nie o świecie, a o sobie. Gdyby tak na przykład zrelacjonował, jak zmierza do swego biurka, od razu świat mógłby odetchnąć, że trzęsienie ziemi nie grozi.<sup>6</sup>

Na prawej stronie hiszpańskiej sceny politycznej, po rozpadzie UCD, trwale miejsce zajął *Sojusz Ludowy* (przemianowany w 1989 roku na Partię Ludową), utworzony w 1976 roku przez bardziej oświeconych pogrobowców frankizmu na czele z Manuelem Fraga Iribarne, którego zastąpił potem Jose Maria Aznar. W kolejnych wyborach, począwszy od 1982 roku partia ta wzmacnia swe wpływy, eliminując rywali na prawicy i zagrażając, ale dopiero w latach dziewięćdziesiątych, dominacji socjalistów.

Socjaliści odnieśli duże sukcesy w dziele modernizacji gospodarki Hiszpanii i jednoczenia kraju ze strukturami europejskimi i atlantyckimi. Jednakże już w końcu lat osiemdziesiątych zaczęły się pojawiać w gospodarce, w polityce, a zwłaszcza w pojmowaniu demokracji, liczne defekty, płynące z faktu, iż PSOE niepodzielnie sprawowała rządy w państwie.

Podczas kampanii wyborczej w 1986 roku zaczęto używać nowego terminu „*filipizm*” (*felipismo*) na oznaczenie systemu rządów Felipe Gonzaleza. Termin ten – w zamyśle jego twórców analogiczny do frankizmu – upowszechnił się w latach dziewięćdziesiątych na oznaczenie różnych tendencji i familii popierających władzę Felipe Gonzaleza w Hiszpanii<sup>6</sup>.

Struktury PSOE stały się jednym z podstawowych kanałów naboru do elity politycznej. Przez 14 lat sprawowania władzy przez to ugrupowanie powstało zjawisko określane jako „*caciquismo del PSOE*” (kacykostwo PSOE). Jego istotą była dominacja członków tej partii we władzach centralnych, lokalnych i regionalnych. Obserwatorzy sceny hiszpańskiej zwracali uwagę na tendencję, występującą z większym natężeniem w porównaniu do innych demokracji zachodnich, do obsadzania wysokich stanowisk państwowych w oparciu o powiązania rodzinne i przyjacielskie<sup>7</sup>.

Powstała sytuacja, w której partia ma monopol, partia kontroluje parlament, partia posiada państwo i jest z nim mylona. W tym stanie rzeczy ani mniejszościowa opozycja prawicowa, ani też niewielkie ugrupowania nacjonalistów, nie mogły efektywnie kontrolować poczynań władzy wykonawczej ani ustawodawczej. Jednym słowem, w Hiszpanii zaistniały warunki po temu, by sprawdziła się znana maksyma lorda Actona mówiąca, że „władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie”.

Panoramę polityczną zmieniły dopiero wybory powszechne z 29 października 1989 roku. Po raz pierwszy od 1982 roku PSOE utraciła bezwzględną większość w parlamencie. Wyraźnie awansowała *Partia Ludowa* (niedawny Sojusz Ludowy), kierowana teraz przez młodego Jose Marię Aznara. Nowy przywódca zaczął od ukrócenia ambicji lokalnych polityków, by później skutecznie zaatakować lewicowy rząd<sup>8</sup>. Nadal jednak supremacja polityczna socjalistów była nie do podważenia.

Zastanawiające jest to ciekawe zjawisko, charakteryzujące rządy socjalistów w Hiszpanii, przeczące wszelkiej teorii i praktyce demokratycznej. PSOE spokojnie wygrywa wybory, mimo iż nie realizuje swego programu wyborczego, ponosi porażki na wielu frontach, a jej czołowi przywódcy ulegają, bądź sprzyjają, szeroko rozpozszechnionej korupcji. W normalnym kraju byłby to oczywisty powód do porażki wyborczej.

Demokracja uległa uśpieniu w coraz silniejszym państwie i słabącym społeczeństwie. PSOE zdołała zdobyć władzę i zachować ją przez wiele lat, m.in. dzięki umiejętnemu manipulowaniu ukrytym i głęboko tkwiącym w duszy hiszpańskiej przywiązaniu do etatyizmu i autorytaryzmu.<sup>9</sup>

<sup>1</sup> Eugeniusz Górski, *O demokracji w Hiszpanii 1975-1995*, Warszawa 1997, s. 89-90.

<sup>2</sup> Ewa Jurczyńska, *Demokracja i społeczeństwo. Polityczne, ekonomiczne i społeczne przemiany w Hiszpanii 1959-1990*, Warszawa 1991, s. 262.

<sup>3</sup> Barbara Gola, Franciszek Ryszka, *Hiszpania*, Warszawa 1999, s. 362.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 368-369.

<sup>5</sup> Kazimierz Kik, *Od republiki do monarchii. Hiszpańska lewica w walce o demokrację 1939-1986*, Warszawa 1990, s. 323.

<sup>6</sup> Eugeniusz Górski, *O demokracji w Hiszpanii 1975-1995*, op. cit., s. 95.

<sup>7</sup> Bogusława Dobek-Ostrowska, *Hiszpania i Polska: elity polityczne w okresie przejścia do demokracji – analiza porównawcza*,

<sup>8</sup> Barbara Gola, Franciszek Ryszka, *Hiszpania*, op. cit., s. 371.

## Polemiki

Ariana Nagórska

## Grand Prix

No i doigraliście się! Zawsze, gdy wysyłam do „Akantu” większą partię materiałów, z uporem maniaka zaznaczam, że ma to wystarczyć na długo. Szacowna Redakcja na ogół jednak rzadko korzysta z tej skromnej sugestii i publikuje wiele moich tekstów w jednym numerze, co w naszej sytuacji ze sprawiedliwości ożyźnie wzbudza poczucie krzywdy społecznej, jako że w myśl konstytucji wszyscy ludzie (czyli piszący też) są równi! Należałoby więc każdemu drukować tę samą liczbę słów i to na dodatek słów identycznych, bo w przeciwnym razie zawsze mogły być pretensje, że „uprzywilejowanym” wydrukowano słowa zawierające więcej liter.

Tą egalitarną refleksją natchnęły mnie ubolewania Jacka Tabisza („Akant” nr 7, s. 60). Stwierdza on: „(...) nie wydaje mi się, żeby moje eseje były gorsze merytorycznie od esejów Ariany Nagórskiej. W majowym numerze pisma z 2003 roku poświęconego jej z pięć stron. Stąd moja gorycz (...)”. Choć nie ma dla mnie milszego komplementu nad gorycz zawistnika, przyznać muszę (oczywiście „merytorycznie”, bo J. Tabisz to puste słowo uwielbia), że jego „eseje” faktycznie wydają mi się troszeczkę lepsze od moich, choćby z tego względu, że ja w ogóle „esejów” nie piszę. Abym zaczęła je pisać, musza zostać spełnione dwa warunki: 1) słaba konkurencja, 2) wysokie honorarium. Dopóki drugi warunek nie jest spełniony, na moją „eseistykę” nie ma co liczyć.

## Jerzy Adalbert Jucewicz

## Marii Szeligi perypetie nie tylko teatralne

Przystąpmy od razu do ustaleń. Nazywała się naprawdę Maria z Mireckich, primo voto Czarnowska-Loévy. „Szeliga” zaś to jeden z licznych jej pseudonimów literackich. I po wtóre: nie była drugą żoną Armanda Lévy'ego, przyjaciela i sekretarza Adama Mickiewicza, jako to mylnie podał Wincenty Danek w swoim opracowaniu ze spólu listów Kraszewskiego i Lenartowicza (Wrocław 1963, ss. 495 i 497), natomiast po roku 1880 związała się (ślub cywilny) z Edwardem Loéwym (1857–1910), malarzem i rysownikiem osiadłym w Paryżu. (ur. w Warszawie, naukę malarstwa i rysunku rozpoczął pod kierunkiem S. Heymana). Widać stąd, że Lenartowicz nie mógł pomylić osoby Armanda Lévy'ego, którego poznał osobiście w roku 1870, z Edwardem, o którym, jako mężu Szeligi, mógł słyszeć dopiero dziesięć lat później, a uczynił wzmiankę w liście do Kraszewskiego 13 października 1886 roku (por. „Korespondencja”, Wrocław 1963, s. 496 oraz książka „Sekretarz Adama Mickiewicza Armand Lévy i jego czasy 1827–1891” J. W. Borejszy). Na trop Edwarda Lévy'ego naprowadził nas dyrektor Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, dr Janusz Odrowąż-Pieniążek.

„Nowy Korbut”, tom 15, opracowany pod kierunkiem profesorów Zygmunta Szwejkowskiego i Jarosława Maciejewskiego na stronach 641–643 zamieszcza jej biogram oraz obszerną notę o twórczości. Wynika stąd, że była nad wyraz czynna w życiu prywatnym i publicznym oraz płodna i wszechstronna w pracy literackiej. Poczynając od powieści, które wykazują bezpośrednio wpływ wczesnej twórczości Orzeszkowej (np. „Hrabina Elodia” 1872, „Dla ideału” 1873), poprzez zbiory wierszy („Pieśni i piosenki” 1873), doszła do pisarstwa scenicznego („Iwan Podkowa”, wystawiony w 1877) itd. Odnaczona parokrotnie na konkursach krajowych, sięgała też po prace translatorskie i twórczość dla dzieci. Dodać przy tym należy, iż szereg sztuk, napisanych po francusku, poczynając od „L'Orniere” (wystawionej i wydanej w 1896), ogłaszano z entuzjazmem na scenach Paryża szczególnie po roku 1900 (ostatni bodaj był dramat „Vive la paix”, a poprzednio też komedia polska „Jak kochają artyści”, wystawiona w Poznaniu 10 maja 1905 roku pod pseudonimem Jerzego Horwata). Oprócz tego, ma jeszcze Maria Szeliga w swym dorobku liczne artykuły krytycznoliterackie, recenzje teatralne i olbrzymi blok korespondencji. Listy do redakcji i inne prace zamieszczała w czołowych pismach francuskich oraz krajowych, głównie warszawskich, lecz także krakowskich i łódzkich („Opiekun Domowy”, „Przegląd Tygodniowy”, „Kurier Poranny” etc.). Jej dorobek twórczy doczekał się sporej liczby opracowań, recenzji i artykułów krytycznych, dotyczących głównie sztuk, inscenizowanych za jej życia. Autorami byli: Chmielowski, Świętochowski, Jeske-Choiński i inni. Prowadziła ożywioną korespondencję z wybitnymi ludźmi epoki: Lenartowiczem, Orzeszkową, Kraszewskim, Belzą, Wyslouchową, Wiślickim, Sarneckim, Przesmyckim, Hoiesickim, Korzeniowskim (historykiem). Listy, w większości niepublikowane, rozproszone są po największych bibliotekach krajowych (Narodowa, Jagiellońska, Ossolineum, PAN i w innych).

Drugą stroną jej bogatego życia była działalność społeczna. Do Francji wyemigrowała w roku 1880, zagrożona aresztowaniem za pracę na niwie oświaty. Od tego czasu uczestniczyła aktywnie we francuskim ruchu emancypacyjnym. Wydawała pismo „Bulletin de L'Union Universelle des Femmes” (1890) oraz „Revue Féministe” (1885). Mieszkając do śmierci na obczyźnie, nie przestała interesować się sprawami polskimi. Założyła Ligę Przeciw Okrucieństwu, której celem było piętnowanie postępowania władz pruskich dyskryminujących polskie dzieci. Opiekowała się ofiarami I wojny światowej. Niedługo przed śmiercią (od 1922) wydawała w Paryżu tygodnik społeczno-literacki „Ogniu”, poświęcony problemom

polskiej emigracji. Tak mniej więcej wyglądała droga jej żywota. A o tym, że była ładna i „urwis dziewucha”, wiedział dobrze Lenartowicz i nie tylko on zresztą, głośna bowiem była historia jej pierwszego zameścia z literatem i archeologiem, Stanisławem Janem Nepomucenem Czarnowskim, z którym rozeszła się po kilku tygodniach. Miała w sobie nerw dużej wrażliwości, siłę charakteru i niespożytą energię, bujny temperament. Świadczy o tym jej ruchliwość do końca życia, praca na wielu frontach, zdolność do poświęceń, a także owo upodobanie do męskich imion i męskich postaw wobec złożoności spraw życia. Nie darmo J. H. Rosny mówił o niej, że jest jedną z najgorliwszych szermierek sprawiedliwości, wolności i dobroci.

Inne sprawy i ustalenia, nie zawsze błahe, wynikną same z listu Marii Szeligi do Władysława Belzy. Jego treść przytoczymy w całości ze zbiorów Ossolineum (sygn. 12654/II, s. 135–140). List ten jest bowiem przyczynkiem do socjologicznych rozważań z pogranicza życia i literatury nad egzystencją literatki i działaczki „na paryskim bruku” w drugiej połowie XIX wieku. Pokazuje, jak byt kształtuje świadomość i na odwrót. Nie był dotąd publikowany. Jest jednym z trzech, jakie szacowny adresat otrzymał od Szeligi, podczas gdy sekretarzował w Ossolineum we Lwowie. Porusza wiele spraw z codzienności i obraca się wokół wszystkich nadrzędnych celów, zamykających się w pracy twórczej człowieka, co widać w tym materiale faktograficznym:

Paryż de 18 stycznia 1886 r.

Szanowny Panie,

Z dawnych wspomnień – kiedym to przed laty na przedstawienia „Szczęścia Walusia” do Lwowa się wybrała – pozostało mi prawdziwie wdzięczne wrażenie, Waszej, dobrego Pana Władysława, uprzejmości i serdecznego przyjęcia, jakiego od Was doznałam podówczas. Nie raz, choć od lat pięćdziesiąt zamieszkałam na obczyźnie, miałam sposobność z rodakami o Panu rozmawiać, a każdy z nich – że przytoczę imiennie p. Zygmunta Sarneckiego, powtarzał mi to samo, co i ja o Panu twierdzę, iż lepszego Kolegi i uczynniejszego serca nad Wasze, nie znajduję w całej Galicji i Lodomerii, tym bardziej w Królestwie. – Wobec tego – niechże się Pan nie zadziwi, że się doń z prośbą udaję – niemal bez wahania.

Idzie – jak przed siedmioma laty – znów o sprawy teatralne. Mimo różnych losów kolei, jako to: zamażpójścia i transpozycji autorskiej na francuską gwiarę – zdarzyło mi się napisać komedię na tle powieści J. I. Kraszewskiego pt. „Herod-Baba”. Zdarzyło się też, że skutkiem szczególnego zapomnienia o udzielonym pozwoleniu na zapożyczenie fabuły, sędziwy autor był powodem szerokiego o sztuce tej rozgłosu – zaś trzecie wydarzenie mieć chce, że komedia doznała powodzenia w Krakowie – i ponoć – napisana niezgorzej, pominięwszy zajmującą fabułę. Zdaże się, że na lwowskiej scenie mogłaby tedy owa sztuka figurować z pożytkiem administracji i z zadowoleniem publiczności – ale – Tutaj, pozwólcie szanowny Panie, że opowiem autentyczną historijkę:

Przed dwoma laty Warszawski Teatr przyjął i zapłacił z góry moją pięcioaktową komedię – dotąd jednak jej nie gra. W Poznaniu bez zapytania o prawo grają mego „Herod-Babę” i nie płacą mi. W Krakowie, ponieważ p. Sarnecki usunął się od kierownictwa sceny – co się dzieje z „Herodem”? – nie wiem. Ale to wiem, że mi ani groza nie przysłało mimo umowy. Słowem wychodzę jak najgorzej na tym, że nie mam nikogo pocziwego i zyczliwego, który by raczył na miejscu zastąpić mię w układach z Dyrekcją teatralną.

Szanowny Panie Władysławie, przeuczucie do czego zmierzam. Oto proszę Was, raczcie z Panem Dobrzańskim ułożyć się o wystawienie „Heroda-Baby” na warunkach bądź jednorazowego honorarium, bądź tantiemy. Rękopis może wziąć z Krakowa, lub też mogę go natychmiast nadesłać. Recenzje, choć po-

bieżne – były dobre – a nikt nie zwrócił uwagi, że w zamian za pożyczoną fabułę starałam się osiągnąć „capo d'opera” scenicznej roboty. Ani jednego monologu w sztuce! Akcja nie słabnie ani na chwilę. „En-fui” (wyraz słabo czytelny), oszczędźcie sami.

Przykro mi, że zmuszoną „faire article moi – meme” – ale jeżeli, zacny Panie Władysławie, nie odmówicie mi swej pomocy – pocieszę się dowodem, że mogę jeszcze w bratnim kraju liczyć na życzliwość druhów...

Jeżeli zaś kiedy zawitacie, Szanowny Panie, do nadsekwankiego gradu, który, faktem jest, iż pod każdym względem równego sobie w całym świecie nie ma – rada będę szczerze za niedgdy ofiarowaną mi gościnność wywdzięczyć się „czem chata bogata”.

Przyjmijcie, Szanowny Panie, wyraz mego najszczerzego szacunku i sympatii –

Maria Szeliga

(obcą ręką ołówkiem) Jerzy Horwat

Adres. Paris, 5 bite' Cardinal-Lemoine (quartier Saint-Germain)

M<sup>me</sup> Marie Szeliga-Loévy

W zbiorach rękopiśmiennych Miejskiej Biblioteki im. E. Raczyńskiego w Poznaniu znajduje się kopia „Heroda-Baby”, zdeponowana przez Teatr Polski. Oto jej opis bibliograficzny. Jest to niegruby zeszyt formatu ósemki, liniowany, kart 46, oznaczony sygnaturą T-496. Na tekturowej okładce widnieje napis, prawdopodobnie ręką Marii Szeligi:

„Herod-Baba. Kom. 4 akt. Maryi Szeligi”

Nizej po lewej: № 873 A. Kopia wykonana obcą ręką (pismo mało wyrobione, słabo czytelne, jakby infantylne). Na awersie strony tytułowej pieczęć: „Teatr Polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu” i dwie następne: duża owalna tej samej treści i mała okrągła: „Państwowy Teatr Polski w Poznaniu. Biblioteka”. Ponadto na tej samej stronie w nawiasie: „podług powieści J. I. Kraszewskiego”. Na ostatniej natomiast, czyli 46 stronie z lewej, ręką kopisty: „W Krakowie 16 Maja 1887 r.”. Uderza brak jakichkolwiek adnotacji, skreśleń bądź uwag reżysera.

Zestawmy teraz zdarzenia i fakty. Ustalmy co jest prawdą, co zmyśleniem, a co zwyczajną omyłką pamięci. Z pracy L. Simona („Bibliografia dramatu polskiego 1765–1939”. T.I, s. 144–5, sine anno) wynika, że prapremiera „Szczęścia Walusia” odbyła się we Lwowie, dnia 21 kwietnia 1878 roku, a więc przed ośmioma, a nie siedmioma, laty, jak podała w liście Szeliga. „Heroda-Babę” natomiast grano tylko w Krakowie (pod pseudonimem Maria Szeliga”, pierwszą zaś anonimowo), prapremiera odbyła się dosłownie na 9 dni przed datą listu (9 stycznia 1886) i stąd wynika jasno, iż w tak krótkim terminie po prostu można było nie zdążyć zapłacić honorarium. Dalej, oto co jeszcze, da się uściślić: komedia nie była w tym czasie ani kiedykolwiek później wystawiona w Warszawie ani też w Poznaniu. Odpis tekstu ze zbiorów poznańskich nosi datę o przeszło rok późniejszą od daty listu, zatem w czasie, sygnowanym przez autorkę, nie mógł znajdować się w Poznaniu. Tym samym można stać wnioskować, że jej starania o tę inscenizację mogły być tejsze daty. Zygmunt Sarnecki z kolei, z którym oboje państwo Loévy byli zaprzyjaźnieni, w tych latach już dawno nie pracował w teatrze, pisał natomiast sztuki teatralne, redagował „Echo” i nieco później „Świat”.

A zatem były to świadome „transpozycje” zamierzeń twórczych na konkretną rzeczywistość w aspekcie materialnym. Wiemy, jak silna była konkurencja, jak trudne życie nad Sekwaną. Nie bez znaczenia mogły też być hasła „pracy od podstaw” oraz utylityzm Milla. Widzimy stąd, że owa nieubłagana współzależność pomiędzy twórczością a warunkami bytowymi jednostki, rzutuje nie tylko na kształtowanie się osobowości artysty, ale staje się siłą sprawczą dla życia, i wtedy, podobnie jak życie, bywa niekiedy pretekstem dla sztuki.

W Galicji przebywała Szeliga parokrotnie, o czym zaświadcza też list do Marii Wyslouchowej, datowany z Krynicy 28 sierpnia 1891 roku. Wspomina w nim o mężu, Unii, usprawiedliwia się z niemożności przyjazdu do Zakopanego, przeżyła serdeczności. ■



## Polemiki

Beata Anna Pokorska

## Radość... obcości?

O tym, że „inny” znaczy „obcy” przekonałam się nie raz... Na ulicy... w szkole syna... na sąsiedzkim podwórku... Od pierwszego napotkania na ulicy człowieka nie oczekuję znajomości tematu, na który się wypowiada... Nie, z tego – oczywistego – by się zdawało – oczekiwania, skutecznie wyleczyło mnie moje – średnio długie – życie w Polsce. Po prostu – nie podejmuję z nim dyskusji światopoglądowych, najwyżej wymieniam poglądy na temat aktualnej pogody w mieście, bo do tego z pewnością mam jasny wgląd. Jednakże, co do *Akantu*, życzyłamby sobie, by publikujący w nim zaznajomili się choć trochę z materiałem, z którym zamierzają polemizować.

Tak zatem, od Jacka Tabisza (*Radość wątpliwości*, „Akant” 2003, nr 8, s. 15-16) oczekiwałam, że zanim zaczniesz dyskutować ze mną na temat tego, czy Miguel de Unamuno zaiste był horyzontalnym, petzającym materialistą, i czy – na dokładkę – jestem nim ja, zechciałbyś dokładnie przeczytać: primo – mój artykuł, secundo – materiały dotyczące Unamuno, tertio – materiały, których przykłady użyłam dla ilustracji moich tez. Jeżeli moje oczekiwania są dla Jacka Tabisza niezrozumiałe, niech się zapozna z tezą, którą właśnie wykladam, a brzmi ona następująco: Gdyby Jacek Tabisz zapoznał się z punktami oznaczonymi przez mnie: primo, secundo i tertio, nie zaistniałaby potrzeba polemiki w tym względzie, w jakim zaistniała.

**Uzasadnienie:** Nie jest możliwe, by mój adresarz nie rozumiał, iż słowa cytatu: „Czemu chcę wiedzieć, skąd przychodzi i dokąd zmierzam, skąd przychodzi i dokąd zmierza wszystko, co mnie otacza, i co to wszystko znaczy? Bowiem nie chcę umrzeć i chcę wiedzieć, czy muszę umrzeć ostatecznie, czy też nie. A jeśli nie umieram – to co ze mną będzie? Jeśli zaś umieram – wszystko traci sens. Istnieją trzy możliwości: a) albo wiem, że wszystek umrę, a wtedy nieuleczalna rozpacz, albo b) wiem, że nie wszystek umrę, a wówczas rezygnacja i zgoda, albo c) nie mogę wiedzieć ani jednego ani drugiego, a wówczas rezygnacja w rozpacz lub rozpacz w rezygnacji, zrozpaczona rezygnacja lub zrezygnowana rozpacz i walka” dotyczy życia wiecznego – (w Bogu, z Bogiem – jak kto woli), a nie materialnego życia ziemskiego. Zaprawdę, Miguelowi de Unamuno nie szło o to, czy umrze cielesnie, lecz – czy umrze wiecznie, czyli o pytanie, co się z nim – w sensie transcendentnym – stanie po śmierci fizycznej. Jeżeli jednak, z jakichś niezrozumiałych dla mnie względów, Tabisz nie rozumiałby

tęgo, winien – wiedząc, kim był Miguel de Unamuno był współczesnej myśli chrześcijańskiej (!) – poddać swe niezrozumienie w wątpliwość.

Skrótko wyjaśniam – Miguel de Unamuno był mocno wierzącym katolikiem, podporą hiszpańskiego chrześcijańskiego egzystencjalizmu. ( *O poczuciu tragiczności wśród ludzi i wśród narodów*, *Dziennik intymny*, *Agonia wątpliwości*, *„Moja religia i inne eseje”*, *Św. Manuel*, *Trzy nowe przekładowe*, *„Św. Manuel Dobry, męczennik”*...), który ( Miguel de Unamuno, a nie hiszpański egzystencjalizm) pod koniec życia przeżył tzw. „noc ciemną” (czyli coś, co się przydarzało największym świętym, i co przy procesach kanonizacyjnych jest bardzo poważnym argumentem... za świętością). Gdyby nawet wówczas, z jeszcze bardziej niezrozumiałych dla mnie względów, Tabisz nie rozumiał kontekstu wypowiedzi hiszpańskiego filozofa, to asumpt do myślenia winna dać mu konstrukcja logiczna wypowiedzianych zdań, a zwłaszcza fragmentu: „Nie chcę bowiem wszystek umrzeć i chcę wiedzieć, czy muszę umrzeć ostatecznie, czy też nie”. Jaki jest bowiem zakres semantyczny zwrotu: „nie wszystek umrzeć”? Czyli jak: częściowo? Jak można materialnie umrzeć częściowo? Ręka umrze, a noga nie? To jasne, że idzie o coś więcej, o jakąś inną śmierć. Niech Pan zgodnie, jaką?

Sprawdzenie rozumienia, prezentowanej ponoć przez Unamuno, „chuci wiecznego istnienia” – jak to byłby łaskawie subtelnie nazwał Jacek Tabisz – jako chuci materialnego istnienia, i wynikającego z tego lęku Unamuno przed materialnym nieistnieniem, unieważniło sens dalszego rozumowania. Tak to ewentualną dyskusję diabli (o ile istnieją) wzięli...

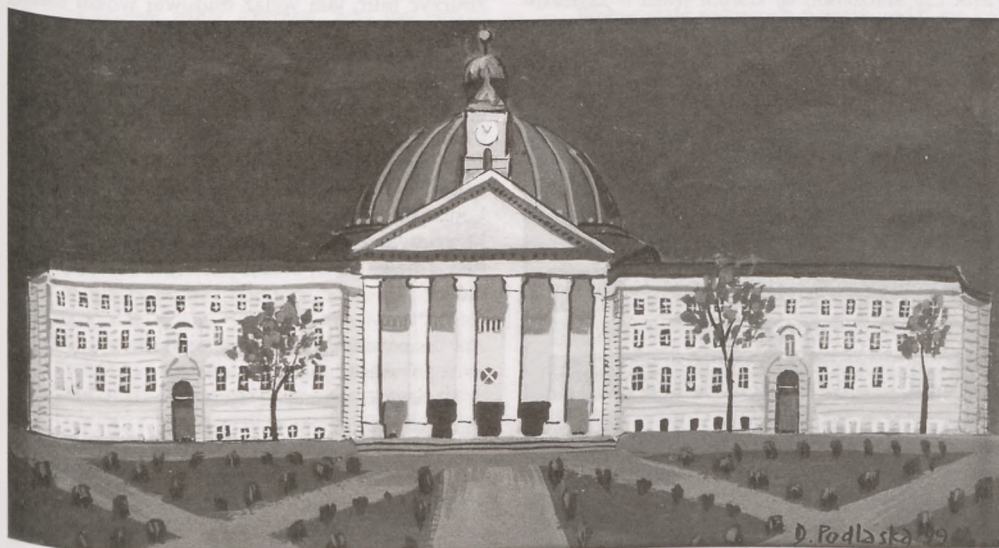
O tym, że autor „*Radości wątpliwości*” nie zapoznał się również z materiałem pomocniczym, świadczy jego wykładnia słów mego ukochanego Rycypiska, jednego z bohaterów „*Opowieści z Narnii*” Clive’a Staplesa Lewisa (nie mylić z Lewisem Carollem – autorem „*Alicji w krainie czarów*”). Nie jest bowiem możliwe – przy znajomości lektury – tak opaczne zrozumienie słów Wielkiej Myszy, która poszukiwała Absolutu. Zatem skrótowo wyjaśniam: cykl „*Opowieści z Narnii*” jest wspaniałą, wysublimowaną literacko, transpozycją Biblii, skierowaną dla dzieci i młodzieży. Najwspanialszą, jaką znam. Rycypisk zaś jest postacią, przepełnioną wszechogarniającą, słodką tęsknotą za... Bogiem, wyrusza na poszukiwanie Boskiej Krainy, czyli Krainy Wschodu, choć

wie, że stamtąd nie ma już powrotu, jako i nie ma gwarancji jej odnalezienia. „*Gdzie się niebo z wodą spotka, / Gdzie się fala robi słodka, / Rycypisku, bez wątpienia / spełnisz wszystkie swe pragnienia; / Tam jest ostateczny Wschód*” – legenda, zapamiętana z dzieciństwa, towarzyszyła mu wszędzie i Rycypisk, w poczuciu Ostatecznego Spełnienia wyruszył na Wielką Wyprawę. Trzeba doprawdy złą woli lub rzeczywistej nieznajomości lektury, by widzieć coś złego w tych poszukiwaniach... Boga. Tak właśnie Miguel de Unamuno, jak i Rycypisk, ogarnięci byli (są? – Gdzieś Tam?) tęsknotą za Bogiem. Poczytywać im obu to za złe... zaiste, przedziwne, jak na chrześcijanina, rozumowanie... Symbolika Wschodu w kulturze jest przebogata ( mędrcy przyszli ze Wschodu, Raj lokalizowany jest na Wschodzie, Wschód Życia,...), i większość jej znaczeń lokuje się w sferze religii. Pisze Pan, Panie Jacku, tak: „*Czy sens człowieczeństwa jest ostateczny? Czy jedyną rzeczą go determinującą jest pytanie o egzystencję wieczną, lub o nihilizm? Czy poza pragnieniem istnienia, nie ma innych wartości? Czy musza istnieć „zaświaty”, ostatecznym Wschód? Czy ich pożądanie nie jest bluźnierstwem, o ile Bóg istnieje? Czy konfrontacja człowieka z Drogą do Dzieła jest agonią? Te wszystkie pytania mogą się wydać niepotrzebne, jeśli przyjmie się chęć Miguela za wartość najwyższą*”. Ależ oczywiście, oczywiście... o ile tak się pojmuje ową „chęć” – jako – powtarzam – materialnego, a nie wiecznego życia! Widzi Pan, jaki galimatias, jaki bezsens... I jaka niesprawiedliwość!

Nie podejmuję rozprawiać dalej z Pańskim materiałem, bo uległ on już logicznemu unieważnieniu. Pozwolę sobie jeszcze tylko wyrazić estetyczne zdziwienie z powodu poziomu Pańskich, ilustracji do wyłożonych przez siebie argumentów. Wizja alkoholika, który „*przepojony swym nalogiem, będzie wciąż myślał o wodce i wszędzie szukał tej wódki (...)*” *Realny człowiek* Miguela jest identycznym nalogowcem. Wszędzie chce zaspokoić chęć wiecznego istnienia, nie zastanawiając się nad istotą tej potrzeby, ani nad jej skutkami (...)” zadziwia mnie. I nie rozumiem jej, tak jak nie rozumiem tego okropnego obrazu: „*A co robisz teraz, o czym teraz wiesz, czego teraz pragniesz*” – zagadnęłaby może (Miguela- B.P) pusta dziewczyna wylaniając się z potyskliwego Mercedesa, w który waliloby dum-dum-dum, jako rozgrzewka przed bardzo zmysłowo zwierzęcą nocą. A jej pusty partner, dbając o szmal dla siebie, dzwoniłby w sprawie założenia w Pasikurowicach fabryki gum do żucia. I byłoby mniej w Pasikurowicach kalek bez opieki lekarskiej, byłoby mniej bezrobotnych bijących, żony po spowiedzi w kościele... Może”, który nie wiem, do czego się odnosi. Do Miguela, któremu, jako „*lepszą*”, przeciwstawiono nawet wyżej opisaną młodzieź, czy do Miguela, którego uczyniono winnym za pasikurowickie kaleki bez opieki lekarskiej czy bite żony bezrobotnych?... Nieco wcześniej zarzucił zaś Pan Miguelowi de Unamuno, Panie Jacku Tabiszu, myślenie horyzontalne typu: „*szmal- sukces- seks*”. Panie Jacku Tabiszu, proszę się temu wszystkiemu przyjrzeć. Dorobek literacki i filozoficzny Miguela de Unamuno, „*Opowieści z Narnii*”... i Pańskie ilustracje. Można i tak... Ale, czy trzeba?

Pozostańmy zatem na ustaleniu nieporozumienia między nami. Bo nie śmiem przecież przypuszczać, że idzie również o co innego: o okropne założenie, że ktoś z samej zasady formułowania jakichkolwiek wątpliwości w wierze, jest podejrzany i „*gorszy*”. Nie należy Pan chyba do fundamentalistów, będących właścicielami „*jedynie słusznej wizji*”, czyli jedynych myślących wertykalnie (w przeciwieństwie do całej reszty myślących horyzontalnie innowierców, heretyków, schizmatyków, ateistów, żydów, cyklistów i innych okropnych stworzeń, do których zapewne zaliczałabym się – w ramach tej typologii – i ja). Bo – mam nadzieję, że jednak nie idzie Panu, o radość... obcości?

Zatem: do roboty, Panie Jacku Tabiszu, czyli do czytania... W razie kłopotów ze zdobyciem materiałów proszę do mnie napisać na adres „*Akantu*”. Jakoś sobie poradzimy... ■



Dorota Podlaska  
Bydgoska Bazylika, akryl

Marta Zobeniak

## Roman Gramziński

„Mam wszystko i nic” – powiedział z sarkazmem w jednym z wywiadów ten utalentowany aktor, czekający długo w kolejce po sukcesy. One przyszły, jak się okazało, prawie w ostatniej chwili. W Bydgoszczy, gdzie mieszkał z rodzicami niemal od urodzenia, zdarzyły się wszystkie jego znaczące role. Tutaj, jako młody człowiek, dorastał do decyzji o wyborze zawodu. Dzięki ojcu, Aleksandrowi, śpiewakowi i utalentowanemu aktorowi zespołu Opery Bydgoskiej, doskonale znał scenę, garderoby, zapach teatru, więc stosunkowo szybko postanowił, że chce zostać aktorem.

Studiował filologię polską w UMK w Toruniu i aktorstwo w PWSTiF w Łodzi. W warszawskim Teatrze Ochoty Haliny i Jana Machulskich zdobywał przez 10 lat zawodowe doświadczenie, potwierdzone eksternistycznym dyplomem w roku 1981. Na scenie Teatru Polskiego pojawił się w roku 1983, za dyrekcji Alojzego Nowaka. Początkowo grywał epizody, chociaż już w „Oskarżycielu publicznym” F. Hochwäldera jako Fabricius, „ujawnił pewne ciekawe możliwości charakterystyczne i wiarygodnie ukazał metamorfozę”.

W „Rewizorze” M. Gogola za sędziego Lapkina – Tiapkina zbierał oklaski i życzliwe oceny, ale dopiero w „Zmowie świętoszków” Bułhakowa dał większą i bardziej przekonującą próbkę swoich niebagatelnych możliwości. Jego Ludwik XIV – to już precyzyjnie skomponowana rola, podobnie zresztą, jak zagrany wbrew sobie i na przekór warunkom fizycznym Edek w „Tangu” Mrożka. Obie nagrodzono w marcu 1988 roku Złotą Maską „Dziennika Wieczornego”.

Gramziński już wtedy nie miał złudzeń. W wywiadzie mówił: „Ten zawód jest zawodem bezwzględny, wymaga nieustannego hartu ducha, borykania się z samym sobą i okolicznościami”. Zadeklarował wielką, niespełnioną miłość do Czechowa, irytował się, że teatry tak rzadko sięgają po jego teksty. Czekał więc, a po drodze do Wolanda dał jeszcze wstrząsającą rolę batożnika Kościeja w sztuce L. Simovicia „Wędrowny teatr Šopalovicia” oraz bardzo życzliwie przyjętą interpretację Dupka w „Śnie nocy letniej” Szekspira – już za dyrekcji i w reżyserii Andrzeja M. Marczewskiego.

Czas Wolanda, to czas rosnącego uznania dla aktora. Dystyngowany i nieco ironiczny, zdemonstrował Gramziński dojrzałe aktorstwo i warsztat, który pozwolił mu kierować emocjami widzów.

Kolejną znaczącą rolą był tytułowy bohater sztuki J. Głowackiego „Fortynbras się upił”. Zdaniem J. Niesiobędzkiego, „aktor ukazuje ze znajomością rzeczy wszelkie zewnętrzne znamiona upadku Fortynbrasa, nie ukazał go jednak jako figury o całkowicie zdeplowanym człowieczeństwie. Stworzył postać pełną psychologicznie i – co najważniejsze – do-

wodzącą, jak nienawiść, strach i cierpienie, stopniowo, w każdych warunkach mają szansę przekształcać się w zarzewie suwerennego buntu”. Tę kreację aktora z nieklamany podziwem dla jego profesjonalizmu i pasji obejrzał sam autor, oznajmiając bydgoszczanom, że oto mają w swoim teatrze wybitnego artystę światowego wręcz formatu.

Po bardzo wyczerpującym „Fortynbrasie” Marczewski przygotował „Wyzwolenie” S. Wyspiańskiego, powierzając Gramzińskiemu rolę Konrada. „Bydgoskie >>Wyzwolenie<< prowadzone jest jak aria na strunie G Bacha” – recenzowała J. Oleradzka – „pomyślane w sposób kierujący wszystkie światła na postać Konrada. Roman Gramziński gra w nim człowieka bez przynależności, odcina swego bohatera wyraźnie, zarówno od świata Masek, jak i od tej współczesności, do której należą Muza i Reżyser”. Miała rację recenzentka, dzieląc się wrażeniem, że całe przedstawienie nosi cechy monodramu, zaś J. Kowalczyk, opisując na łamach „Rzeczpospolitej” kreację „aktora prowincjonalnego”, uznał nawet, że Gramziński jako Konrad „wytrzymuje porównanie z Jerzym Trelą, a w prawdzie scenicznej przeżycia roli śmiało dystansuje Jana Englera”.

Dopełnieniem pracowitego sezonu był „Brat naszego Boga” K. Wojtyły. Zdaniem Z. Pietrzak, i to przedstawienie sprawiało wrażenie teatru jednego aktora, zaś Roman Gramziński „jako brat Albert rozwinął pełnię swego niezaprzeczonego talentu: był skupiony, skierowany do wnętrza, wzniosły, myślący, a przy tym pełen łagodności i ciepła”.

Człowiekowi spoza teatru trudno sobie wyobrazić, ile siebie sprzedał w tych potężnych rolach, jak bardzo musiał być wyczerpany. „W pewnym momencie przychodzi takie zmęczenie, że brak sił, by wejść na scenę, bo czuje się wewnętrzną pustkę... A kiedy człowiek jest taki wypalony, musi doładować się w jakiś sposób. W tym zawodzie często bywa to przyczyną tragedii” – powiedział w czasie jednego z wywiadów J. Oleradzkiej.

Opuścił na jakiś czas Bydgoszcz. Grał w teatrach Torunia, Krakowa, Poznania. Wrócił już za dyrekcji Andrzeja Waldena. Miał dobrą passę. Najpierw przypomniał o sobie bydgoskiej publiczności jako sugestywny i zabawny Grabiec w „Balladynie” J. Słowackiego, a w połowie listopada 1997 roku na „Scenie O – Bok” wystąpił z monodramem „Spowiedź Marmieladowa”, sam opracowując tekst Dostojewskiego.

Po tym spektaklu K. Starczak-Kozłowska zanotowała: „Wiwisekcja psychiki pijaka w wykonaniu Gramzińskiego wolna jest od sentymentalizmu, gierki czy szarżowań, do których temat – naskórko wo pojęty – mógłby skłaniać. To wewnętrzny portret

człowieka obdarzonego dużą samoświadomością, znajomością przyczyn i mechanizmów własnej klęski. Jako adaptator, reżyser i wykonawca tego teatru jednego aktora Gramziński potrafił przekonać, że Marmieladow nie jest tylko nikczemnym nałogowym pijaczną (...), ale człowiekiem o chorej duszy...”. To był mały, ascetyczny spektakl z perfekcyjnie poprowadzoną rolą, rolą uwierającą, trudną do wyrzucenia z pamięci. Jakież więc było zaskoczenie publiczności, gdy Marmieladow, tym razem w nie-nagannie skrojonym garniturze i lśniących butach wytwornego doktora Mortimore’a, rozpętał nieprawdopodobną awanturę w szpitalu św. Andrzeja, gdzie umieścił akcję farsy „Wszystko w rodzinie” R. Cooney. I znów wolta. Po naprawdę śmiesznym Mortimorze, wielka romantyczna rola – Gustaw – Konrad w Mickiewiczowskich „Dziadach”, które reżyser Andrzej Walden postanowił zainscenizować w kościele pw. świętych Piotra i Pawła. Gramziński przyjął to zadanie nie bez obawy. Wiedział że jest to dla niego wielkie wyzwanie. Sprostał mu, dając w lodowatym kościele kreację najwyższej próby.

Kto mógł wtedy przypuszczać, że za swojego Gustawa – Konrada nie doczeka się nagrody na Ogólnopolskim Konkursie w Inscenizacji Dzieł Polskich Romantyków? Wiadomość z Warszawy dotarła za późno.

Kto mógł się spodziewać, że precyzyjnie zagrany w „Locie nad kukułczym gniazdem” D. Wassermana neurotyk Harding okaże się jego ostatnim aktorskim zadaniem, a Złota Maską „Dziennika Wieczornego” – maską pośmiertną? Roman Gramziński zmarł nagle 23 lutego 1999 roku.

Był przede wszystkim, lecz nie tylko – aktorem. Należy o nim mówić jako o intelektualistcie, człowiekowi przyglądającym się z ciekawością światu, zanurzonym w kulturze. Czytał masę książek, słuchał muzyki, malował i pisał<sup>1</sup>. Na łamach nowo powstałego w 1993 roku miesięcznika „Promocje Pomorskie” zaczęły się ukazywać jego „Listy z teatru” – teksty ciekawe, napisane piękną polszczyzną i dalekie od tych, którymi niekiedy sławni aktorzy wystawiali sobie pomniki na łamach periodyków. Dominowała w nich ogólna refleksja, podszyta sceptycyzmem i ironią.

Gorzkie to były listy, bo też w nietłumym – dla aktora i teatru – czasie pisane. W sumie na przestrzeni lat 1993–1998 (z dwuletnią przerwą pośrodku) ukazało się ich 21. Jeden z nich, moim zdaniem, świetnie oddaje stan emocjonalny, w jakim znajdował się jego autor przed opuszczeniem Bydgoszczy, który opisywał w rozmowie z J. Oleradzka. Jest świadectwem głębokiego rozdarcia między chęcią okazania (i otrzymania) ciepła, czułości a obawą, by za bardzo się nie odstąpić, by nie naruszyć pieczołowicie budowanego obrazu twardego, pozbawionego złudzeń człowieka. Stąd ucieczka w ironię i cynizm. Jednak wobec tych, którzy byli mu naprawdę bliscy, Roman Gramziński potrafił okazać ciepło i serdeczność, zburzyć mur, jaki wciąż budował wokół siebie, pozwolił korzystać z bogactwa duszy i umysłu.

Był człowiekiem nietuzinkowym. Obserwował siebie dotkliwie, bez znieczulenia. Nie godził się na siebie, buntował się i cierpiał<sup>2</sup>. Wtedy potrafił być trudny, przykry, czasami wręcz nieznośny. Nie zawsze zabawiał żartami i anegdotami swoich kolegów. To była cena, jaką płacono za kontakt z tym naprawdę wielkim człowiekiem, który stworzył, dokonując pewnej spowiedzi, jeden z najbardziej smutnych i poruszających listów:

\*\*\*

samotność jest we mnie  
jak miasto umarłych aniołów  
puste i pozbawione życia  
martwe jak gra w trzy karty  
nikt nie wygrywa  
z wyjątkiem rozdających

może to zły bóg  
może uśmiechnięty diabeł  
chciałbym przestać grać  
gdy przyjdzie mój czas  
a miasto zaludni się aniołami

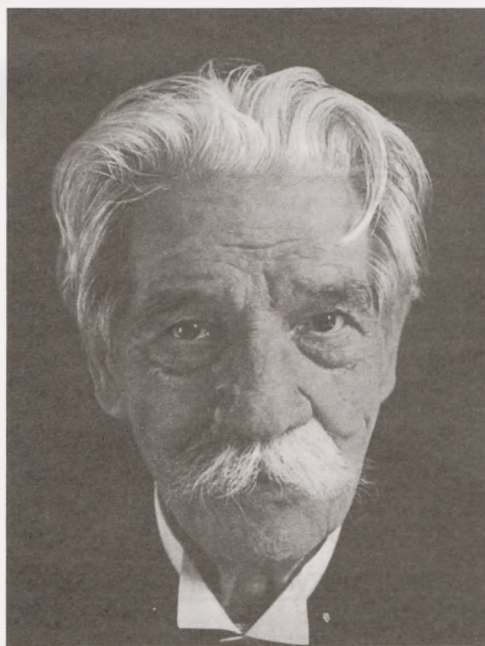
**SPECJALISTYCZNE  
USŁUGI MIESZKANIOWE**

- KONSERWACJA, NAPRAWY, WYMIANA WIND OSOBOWYCH I TOWAROWYCH
- OPIEMIAROWANIE CIEPŁA I WODY  
MONTAŻ URZĄDZEŃ REGULACYJNYCH
- PROJEKTOWANIE BUDOWNICTWA
- SPRAWOWANIE FUNKCJI INWESTORA  
ZASTĘPCZEGO, NADZÓR BUDOWLANY
- KAŻDY WŁAŚCICIEL I ZARZĄDCA  
MOŻE ZLECIĆ **POBUDOWI** ZADANIA  
Z POWYŻSZYCH ZAKRESÓW

**POBUD** sp. z o.o.  
PRZEDSIĘBIORSTWO ORGANIZACJI BUDOWNICTWA  
85-868 Bydgoszcz, ul. A.G. Siedleckiego 14,  
85-868 Bydgoszcz, ul. A.G. Siedleckiego 14,  
Telefony: (052) 371 37 82, (052) 371 37 84, (052) 371 37 86, (052) 371 66 82, telefax: (052) 371 37 85

Halina Petrykowska

## Albert Schweitzer



W Alzacji, krainie pięknej, zamieszkałej przez ludzi mądrych i pracowitych, w spokojnej dolinie biegnącej między zboczami winnic, przysiadło małe miasteczko Kaisersberg, dumne z ruin starego zamku i pięknych zabytkowych kamieniczek. Na jednej z nich, położonej u wylotu z miasta, ozdobionej przedziwną dzwonnica, czytamy: „*Dom rodziny doktora Alberta Schweitzera, 14 stycznia 1875*”. To tu, jako jedno z dzieci pastora miejscowej parafii protestanckiej, przyszedł na świat lekarz, filozof, teolog, muzyk, i muzykolog, niezrównany odtwórca Bacha, wreszcie laureat pokojowej Nagrody Nobla. Prawdziwie jego kolebką był jednak położony, nieco bardziej na południe Gunsbach, dokąd rodzina przeniosła się kilka miesięcy później. Tu, w atmosferze tolerancji i szacunku dla innych, kształtowała się bogata osobowość młodzieńca utalentowanego i pracowitego.

Od 1893 studiuje teologię w Strasburgu. Na Paryskiej Sorbonie broni pracy na temat „*Filozofii religijnej Emanuela Kanta*”. Wkrótce staje się cennym kaznodzieją i organistą w ważnych historycznie świątyniach stolicy Alzacji, jak kościoły pw. św. Mikołaja i św. Tomasza, a wreszcie profesorem teologii i dyrektorem seminarium.

W ciągu tych lat jego działalność naukową poświęconą jest głównie dwóm zagadnieniom teologicznym: „*Historii badań nad życiem Chrystusa*” oraz studium nad istotą teologii apostoła Pawła. Obie prace wzbudziły zainteresowanie.

Wkrótce daje się poznać jako niezrównany odtwórca muzyki Bacha. W 1905 roku w Paryżu jest współzałożycielem Towarzystwa Bacha. Strasburg staje się miejscem wielkiego kultu tej muzyki. Schweitzer, który od dzieciństwa pasjonował się grą na organach, teraz z całym zaangażowaniem oddaje się studiom nad interpretacją muzyki genialnego kompozytora, którego twórczości poświęca unikalne dzieło, pozwalające muzykom lepiej zrozumieć jego utwory.

Oto czym jest muzyka Bacha dla Schweitzera: „... *To co jest największe w jego sztuce, to jest duch, który tu króluje i dąży do pokoju dalekiego od udręczeń świata...*”.

Organy i ich konstrukcja pasjonują go ogromnie. Dzięki zdobytym umiejętnościom rekonstruuje, ratując w ten sposób od demontażu, wspinały stary instrument z kościoła pw. św. Tomasza w Strasburgu. Po nim przyjdzie kolej na następne.

W 1905 roku, będąc już ukształtowanym i uznanym naukowcem, ku zaskoczeniu najbliższych, podejmuje studia medyczne. Decyzję tę, będącą odpowiedzią na apel Misji Protestanckiej w Paryżu, poszukującej na łamach prasy: misjonarzy, nauczycieli, ale nade wszystko lekarzy do pracy w Afryce Równikowej, określi potem następująco: „... *Chciałem zostać lekarzem, żeby móc pracować, nie mówiąc. Podczas wielu lat nadużywałem słowa. Pełniłem z przyjemnością funkcję profesora teologii i kaznodziei, teraz moja nowa działalność będzie polegała nie na mówieniu o religii miłości, lecz na jej urzeczywistnianiu*”.

W 1913 roku jest już gotów. Po przygotowaniu z zakresu chirurgii i medycyny tropikalnej, i po zgromadzeniu niezbędnych środków, wraz ze swoją młodą żoną Heleną Breslau, córką profesora historii Uniwersytetu w Strasburgu, wyrusza w wielką podróż statkiem do czarnego ładu. Celem jego wyprawy jest siedziba Misji Protestanckiej w Lambarene, wiosce położonej 40 km na południe od równika, owe zaś „*niezbędne środki*”, pochodzące z funduszy zgromadzonych dzięki koncertom organowym oraz datkom licznych przyjaciół, to siedemdziesiąt skrzyń leków i wyposażenia.

Tak znacznie się wielkie dzieło jego życia, praca dla Afrykanów, którym biały człowiek winien jest tak wiele. Zadośćuczynienie uważa za swój obowiązek.

Więść o tym, że biały „oganga” leczy czarnych rozeszła się po Gabonie, niesiona dźwiękami

mi tam-tamów. Przybywali chorzy nękani przez malarie, trąd, śpiączkę afrykańską, bilharcozie, filariozy, pian i inne choroby tropikalne. Nagminnie u ludzi czarnej rasy przepukliny, częsta przyczyna niedrożności jelit, wymagały pilnych operacji.

Rok później pierwsza wojna światowa przewzię brutalnie tę misję. Alzaczycy z pochodzenia, zostaje, wbrew swojej woli, uwikłany w międzynarodowe układy i..., internowany, znajdzie się ponownie w Europie. Pomny jednak bezmiaru medycznych potrzeb Afryki Równikowej i zdopingowany przez biskupa luteranckiego z Upsali, po skończonej wojnie, podejmuje ponownie swoje wyzwanie.

W 1920 roku rzuca apel o „*Braterstwo między ludźmi dotkniętymi cierpieniem*”, w którym wzywa: „... *aby wszyscy, którzy odzyskali zdrowie dzięki interwencji medycznej, zjednoczyli się w pomocy nieszczęśliwym, opuszczonym w ich cierpieniu, by ci również mogli korzystać z opieki lekarza, tak jak i oni sami z niej korzystali*”. W imię tegoż braterstwa w cierpieniu, czuje obowiązek podjęcia humanitarnej misji w koloniach. Apeluje o składowanie „*darów dziękczynnych*”, dzięki którym lekarze będą mogli jechać, by wypełnić swoje powinności wobec opuszczonych, zgodnie z wymogami cywilizacji. „*Chcę wierzyć, że znajdę wystarczającą ilość ludzi świadomych ich długu wdzięczności i obowiązku jego spłaty na korzyść tych, którzy wwołają o pomoc*”. Liczne jego koncerty organowe i wykłady na uniwersytetach wielu krajów Europy sprawiają, że apel ten zostaje wysłuchany, co pozwala na zgromadzenie niezbędnych funduszy.

W 1923 roku wraca do Afryki. Teraz będą mu towarzyszyli w pracy młodzi lekarze, pielęgniarki i studenci przybywający z Europy.

Wobec stale rosnących potrzeb rodzi się konieczność budowy nowego szpitala w Lambarene. Schweitzer podejmuje to wyzwanie. U brzegów rzeki Ogoue, na skraju dziewiczego lasu, na rozległym terenie, z pomocą swoich współpracowników, prowadzi heroiczną walkę nie tylko z chorobami, lecz także z dziką, tropikalną przyrodą. Teraz najpełniej ujawniają się jego wszechstronne talenty, przede wszystkim organizacyjne. Rano leczą chorych, wieczorem karczują las, budują szpital. Do pracy wciągnęli są również członkowie rodzin pacjentów. Wszystkie odbywa się tu według ścisłego harmonogramu i zgodnie z zasadą: „*nic za darmo*”. Każdy więc płaci za leczenie według swoich możliwości: bananami, maniokiem lub... pracą. Na terenie szpitala i wokół niego powstaje szczególna społeczność, złożona z leczących, leczonych i ich rodzin, uczestniczących w tworzeniu wspólnego dzieła. Wokół wioski powstają plantacje manioku, bananów, palm olejowych, drzew cytrusowych i mango-wych.

Do funkcjonowania szpitala potrzebne są jednak również fundusze z Europy. Stąd konieczność ciągłych podróży, nawiązywania kontaktów,

szukania nowych przyjaciół i sponsorów, zatem znów koncerty i wykłady w wielu krajach Europy.

W 1928 roku, w uznaniu jego działalności humanitarnej, władze miasta Frankfurtu uhonorowały go Nagrodą Goethego.

Druga wojna światowa stworzy poważne trudności w funkcjonowaniu, teraz już 300-lóżkowego, szpitala w Lambarene. Przede wszystkim brakuje leków. Schweitzerowi udaje się jednak otrzymać, bezcenną w tym zakresie pomoc z Anglii, Szwecji, Stanów Zjednoczonych i Szwajcarii.

W 1952 roku prof. dr Albert Schweitzer zostaje laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Decyzja ta była wyrazem wielkiego uznania, nie tylko dla doktora z Lambarene, twórcy sławnej „*wioski miłosierdzia*”, ale i jego czterdziestoletniego poświęcenia dla społeczeństwa Afryki Równikowej. Była również uhonorowaniem w Schweitzerze pośrednika między kulturą niemiecką i francuską; uznaniem dla jego koncertów, prelekcji i wykładów filozoficznych, z którymi „*obiegał*” świat. Była akceptacją jego otwarcia na kraje nierozwinięte i dążenia do stworzenia im lepszego życia; wyrazem podziwu dla jego głębokiej analizy Afryki Równikowej w aspektach: geograficznym, biologicznym i etnicznym, a nade wszystko rzetelnej analizy trudnego problemu kolonizacji. „... *Do bro, które możemy czynić wśród narodów kolonialnych, nie może być traktowane jako taska, lecz jako pokuta za całe zło, które my, biali, uczyniliśmy im od dnia, gdy nasze statki przybiły do ich wybrzeży...*”.

W swoim przemówieniu, wygłoszonym w Oslo, mówi o pokoju, jako o największej nadziei ludzkości. „... *Jestem przekonany, że całkowite rozwiązanie problemu pokoju pozostanie niemożliwe, dopóki nie wyrzekniemy się definitywnie wojny, ona czyni nas winnymi wobec ludzkości... Pragnę, aby ci którzy dzierżą w swoich rękach los narodów, czynili maksymalne wysiłki dla uniknięcia wszystkiego, co mogłoby pogorszyć sytuację, w której się znajdujemy i zwiększyć zagrożenie niebezpieczeństwa. Chciałbym, żeby poszli oni za słowami apostoła Pawła: «... Jeśli jest to możliwe i zależy od was, pozostawcie w pokoju ze wszystkimi ludźmi»*”.

Jego wieloletnia przyjaźń z Albertem Einsteinem zrodziła zainteresowanie fizyką jądrową. Świadomość zagrożenia, wynikającego z eksperymentów z bronią atomową, była powodem wielu ich wspólnych apeli adresowanych w latach 1954-1962 bezpośrednio do przywódców wielkich mocarstw, apeli wzywających o zaniechanie tych eksperymentów, nierozprzestrzenianie śmiercionośnej broni i o przestrzeganie praw człowieka. Podpisanie w 1963 roku „*Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej*” było pierwszym ukoronowaniem tych wysiłków.

Za jedną z podstawowych zasad etycznych i przesłań pozostawionych nam przez Schweitzera należy uznać wezwanie o „*poszanowanie życia*”. „*Jestem istotą żywą, która chce żyć pośród istot żywych*”. Jakież to głębokie uniwersalne i aktualne wezwanie do respektowania nie tylko życia drugiego człowieka, również nienarodzonego, lecz też całego środowiska, w którym żyjemy.

Honorarium z Nagrody Nobla posłużyło do budowy wioski dla trędowatych w Lambarene. Było jednak i inne, ukryte jego przeznaczenie. Pewną kwotę fundator zdeponował w merostwie Frankfurtu nad Menem, z przeznaczeniem na pomoc imigrantom z Europy Środkowej i Wschodniej, z zastrzeżeniem o nieujawnianiu tego faktu. Został on odtajniony dopiero po upadku komunizmu.

Resztę życia spędził Schweitzer w Lambarene, ciągle rozbudowując swój szpital i pozostając w stałym kontakcie ze światem. Zmarł 4 września 1965 roku, przeżył 90 lat. Spoczywa na małym cmentarzu – widocznym z okien pokoju, w którym mieszkał i pracował, obok swojej żony i najbliższych współpracowników.

Dzieło Schweitzera nie zostało zapomniane. Szpital w Lambarene funkcjonuje, rozbudowuje się i unowocześnia dzięki staraniom międzynarodowej fundacji jego imienia. W jego domu, w Gunsbach, mieści się Centralne Archiwum i muzeum. Międzynarodowe Towarzystwo Schweitzerowskie w oparciu o działalność towarzystw w licznych krajach świata gromadzi, analizuje i propaguje jego dzieła. Pamięć o „*Wielkim Doktorze, Białym Ogandzie*”, który leczył czarnych pozostaje wciąż żywa w sercach Afrykanów.

**Marta Haberska**

\* \* \*

mówi o sobie jak o Bogu  
 żył mrokiem  
 bo dni omijał z daleka  
 wielki puszczyk na jego ramieniu  
 czuwał

pobiegłam nocą do boru  
 stanęłam naprzeciw niego  
 (na tle okrągłego księżycy)  
 zmienił się wtedy w wilka  
 zanurzyłam twarz w jego futrze  
 i spałam  
 nucił mi kolysankę  
 kładł na oczy pazury  
 i drapał

tak pokochałam mrok...

**Emily Dickinson****212 (Least Rivers – docile to some sea)**

Potulnie do morza – Strumyki.  
 Ty – moim Bałtykiem.

**681 (Soll of Flint, if steady tilled-)**

Ugór, jeśli nawiedzać go pługiem,  
 Wynagrodzi za trud Fellaha –  
 Ziarno Palmy, w libijskim Słońcu,  
 Dało Owoc na Piachach –

**1029 (Nor Mountain hinder Me)**

Nie wstrzymają Mnie Góry,  
 Ani Głębiny –  
 Kto tu Bałtyk?  
 Kto Apeniny?

**1034 (His Bill an Auger is)**

Jego Dziób to Świder,  
 Głowa – Kaszkiet i Kryza,  
 Mozoli się przy każdym Drzewie,  
 Robak – Cel Jego życia.

**Tadeusz Lira-Śliwa****Na otomanie**

Matrony  
 płaczą

– Nie ma  
 nowego

Fausta

2003

**Jacek Hnidiuk****Wyobraźnia II**

Niepojęta stalowa pajęczyna  
 z literowymi włóknami trwa  
 czarną przestrzenią, kłamie im  
 próbującym zmieniać ją w  
 zieloną rzeczywistość.  
 Lekko gra potrącana przez  
 moje palce.

**Anna Wantuch****Brak**

z ciebie  
 niedoszły towarzyszu drogi  
 pozostał jeszcze zapach na sukience  
 i popiół ukradkiem strzepnięty z papierosa  
 kiedy nie zauważając moich nóg  
 zrzuciłeś na rajstopy  
 małą iskierkę

z ciebie  
 niedoszły towarzyszu drogi  
 pozostał pewien niedopowiedziany wyraz  
 ukazujący to wszechstronnie panoszące się  
 niedopełnienie  
 wyrażone nawet w ciszy

to zbyt mało  
 nie zdołam ułożyć żadnych wspomnień  
 a wiedz  
 że już nie czekam

**1049 (Pain has but one Acquaintance)**

Ból ma tylko Śmierć  
 Za Kompana –  
 Życie bez siebie nie mogą,  
 To para dobrana.

Ból w tym Układzie  
 Gra rolę Wasala –  
 Śmierć czule Go wspiera  
 I spieszenie się Oddala.

**1083 (We learn in the Retracting)**

Dopiero, gdy się Kryje  
 Za horyzontem,  
 Widzimy, jak ogromne  
 Było Zgasłe Słońce.

Droższe nam, kiedy  
 Staje się przeszłością,  
 Niż kiedy było  
 Złotą obecnością –

**1266 (When Memory is full)**

Gdy Pamięć się wypełni,  
 Przykryj ją szczelnie Powieką –  
 Najczystsza sylabą Rankiem  
 Objawił butny Wieczór –

**1377 (Forbidden Fruit a flavor has)**

Słodycz zakazanego Owocu  
 Drwi z legalnych Słodkości –  
 Jak soczysty jest groszek w Strąku  
 Zamknięty na klucz Powinności

**1391 (They might not need me – yet they might-)**

Czy ktoś mnie zechce – czy nie zechce –  
 Na podporządku moje Serce –  
 Bo może uśmiech mój oględny  
 Akurat okaże się niezbędny –

**1660 (Glory is that bright tragic thing)**

Chwała to owa tragiczna jasna rzecz,  
 Co przez chwilę  
 Oznacza Panowanie –  
 Ogrzewa jakieś biedne imię,  
 Co nigdy nie zaznało Słońca,  
 I delikatnie usuwa je  
 W niepamięć –

Z angielskiego przełożył *Andrzej Szuba*

**Mariusz Cezary Kosmala****Fotografia na fortepian nr 1 op. 28 nr 3**

W każdym bądź co bądź jak by nie było razie  
 na niniejszym zdjęciu, niby na obrazie,  
 widzą Państwo sławną Wisławę Szymborską:  
 uśmiech ma szeroki, wzrokiem czegoś szuka...  
 Lecz zaraz! jej zęby! od przodu jest luka!!!...  
 nie, zdawało mi się: wygląda wprost bosko  
 ta nasza „sól attycka” – nobel-babunia  
 z Krakowunia!

20 VII 2003

**Fotografia na fortepian nr 4 op. 28 nr 6**

A ten oto grubas, to jest Krzysztof Penderecki.  
 Garściami czerpie nuty!... ale wciąż z tej samej beczki.  
 I właśnie skomponował (żonka fotkę pstryk!) nowy  
 utwór – na stare pomysły: koncert fortepianowy.

20 VII 2003

**Nasze  
 mity**

**Fotografia na fortepian nr 2 op. 28 nr 4**

A tutaj znowu, ba! maestro Antoni Wit!...  
 ale jakiś taki blady, mizerny i struty –  
 mało mu z dłoni nie wypadnie patyk batuty...  
 Cóż, tak to jest, gdy się całą noc wypełnia PIT.

20 VII 2003

Amalia Woźniak

## Działania transgeniczne: nowe horyzonty sztuki

Nikt nie ma dzisiaj wątpliwości, że w XX wieku sztuka przeszła długą drogę transformacji, można powiedzieć, że wszystkie możliwe elementy działalności artystycznej zostały podważone, przeanalizowane i „stworzone” na nowo. Już w 1917 roku wraz z wystawieniem *Fontanny* Marcela Duchampa zakwestionowane zostało romantyczne ujęcie artysty jako geniusza. Poprzez wprowadzenie na teren sztuki gotowego przedmiotu użytku codziennego okazało się, że być może nie sztuka czy warsztat decydują o wartości artystycznej dzieła. W kolejnych latach artyści prześcigali się w zdobywaniu nowych obszarów dla sztuki, jednakże niestanna potrzeba nowatorstwa doprowadziła do poczucia wyczerpania. Kulminacją tego procesu było ostateczne zanegowanie potrzeby istnienia materialnego dzieła sztuki przez konceptualizm, co zdawało się oznaczać śmiertelny cios dla sztuki jako takiej. Oczywiście nie ostatecznego się nie stało, jakkolwiek proces przeobrażeń sztuki był kontynuowany przez artystów neoawangardowych w drugiej połowie XX wieku. Kolejnym podważonym elementem była sama relacja artysty do dzieła, który – chociażby w takich działaniach jak happening – stawał się jedynie współautorem danej „sytuacji artystycznej”, a już nie wyłącznym twórcą. Pociągnęło to za sobą również zmianę stosunku odbiorcy do sztuki, nie mógł on już pozostawać jedynie biernym widzem, kontemplującym obraz w muzeum,

nowym wyznacznikiem jego stosunku do sztuki stała się interakcja.

Przytoczone powyżej fakty niewątpliwie nie wyczerpują tego, co dokonało się w XX-wiecznej sztuce, stanowią jednak z pewnością „kamienie milowe” na drodze jaką przeszła. Już działania artystów Wielkiej Awangardy w pierwszej połowie XX wieku wywoływały głosy o nieuchronnej śmierci sztuki, a po ich neoawangardowym dopełnieniu w drugiej połowie ubiegłego wieku, nie było wątpliwości, że nic już nie będzie takie samo. Żadna z apokaliptycznych wizji się nie spełniła, ale z całą pewnością sztuka u końca ubiegłego wieku nie była taka jak dawniej. Należy więc powiedzieć, że wspomniane wyżej działania XX-wiecznych artystów nie tyle uśmierciły sztukę w ogóle, co pewną jej formę, obalając ostatecznie [tak jak chcieli tego pierwsi awangardysty] romantyczny model sztuki i artysty. Tak więc w miejsce sztuki przez duże „S”, która stanowiła miała dostępną jedynie dla wybranych wzorcową dziedzinę kultury, pojawiła się sztuka w jakiś sposób bliska codzienności. Być może jawiła się ona jako taka dzięki temu, że operowała często przedmiotem użytku codziennego, że często miała miejsce nie w niedostępnych muzeach, ale na ulicy, że często widz bywał zapraszany do współtworzenia dzieła. Co więcej, dzięki rozwojowi technologicznemu wartości artystyczne zaczęły przenikać do codzienności, estetycznie stylizując wszelkiego rodzaju komunikaty informacyjne czy reklamowe, jak i nas samych. W sposób nieuchronny doprowadziło to do zjawiska estetyzacji rzeczywistości, które dałoby się oczywiście wyśledzić i w epokach wcześniejszych, ale które nie miało nigdy takiego zasięgu i siły oddziaływania. Najogólniej można powiedzieć, że estetyzacja świata polega na stylizowaniu banalnej rzeczywistości codziennej na wzór dzieła sztuki, wprowadzając do niej nie tylko takie kategorie jak piękno, ale również przygodność, fragmentaryczność czy zabawę. Nic dziwnego więc, że wraz z nasileniem tego procesu coraz mniej odróżnialna i wyraźna sztuka zaczęła tracić grunt pod nogami. Marzenia awangardystów z początku XX wieku spełniły się, jednocześnie niosąc ze sobą śmiertelne zagrożenie dla sztuki w ogóle. Nagle okazało się, że skoro przewartościowano kiedyś wyraźne kategorie odróżniające sztukę od sztuki i skoro coraz częściej wszystko jest piękne, to coraz trudniej określić czym właściwie miałyby być sztuka. Oczywiście nie oznacza to, że działania artystyczne nie mają miejsca, wręcz przeciwnie, najnowsze osiągnięcia technologiczne jak i naukowe otwierają nowe możliwości przez artystami, być może dając nadzieję na odnalezienie sensu sztuki.

W styczniu dwutysięcznego roku pierwsza faza projektu *GFP Bunny*<sup>1</sup>, została zakończona – na świat przyszedł pierwszy fluorescencyjny królik o imieniu Alba. Pomysłodawcą był Eduardo Kac, amerykański artysta, który przy współpracy z francuskimi genetykami Louis-Marie Houdebine i Patrickiem Prunet stworzył transgenicznego królika, który tylko pozornie, bo w białym świetle, niczym się nie wyróżnia. Z naukowego punktu widzenia Alba jest królikiem albinosem, do którego DNA została wszczepiona fluorescencyjna proteina [z angielskiego zwana GFP, *Green Fluorescent Protein*], uzyskana od pewnego typu meduzy [*Aequorea victoria*] występującej w północno-zachodnim Pacyfiku. Proteina ta jest zupełnie nieszkodliwa dla organizmu – choć wszczepiona do DNA będzie występować w każdej jego komórce – objawia się ona jedynie tym, że pod wpływem działania światła ultrafioletowego emanuje światłem zielonym.

Jak już wspominałam narodziny Alby były jedynie pierwszym etapem akcji artystycznej *GFP Bunny*, bo niewątpliwie samo stworzenie fluorescencyjnego królika jest raczej osiągnięciem naukowym niż aktem artystycznym. Drugim etapem była dyskusja wywołana przez zaprezentowanie Alby publiczności, co stało się po raz pierwszy 14 Maja 2000 w San Francisco, na konferencji Planet Work. Ostatnim etapem akcji natomiast było zamieszkanie królika z artystą, udomowienie go i traktowanie jak członka rodziny. Nie ma wątpliwości co do tego, że to właśnie drugi etapowych działań artystycznych – dyskusja wokół sztuki transgenicznej – ma szczególnie istotne znaczenie. Sam Eduardo Kac o sztuce transgenicznej mówi<sup>2</sup>, że nie tyle istotne jest tworzenie nowych organizmów przy wykorzystaniu osiągnięć inżynierii genetycznej, co relacje zachodzące pomiędzy artystą, transgenicznym organizmem i publicznością. I jakkolwiek nikt nie ma wątpliwości, że Alba jest stworzeniem wyjątkowym [i to nie tylko dzięki swej fluorescencyjnej naturze], to w akcji artystycznej *GFP Bunny* chodziło w głównej mierze o wywołanie nieustającej dyskusji pomiędzy naukowcami, artystami i publicznością. Tematem dyskusji miały być kulturowe i etyczne implikacje inżynierii genetycznej, co dodatkowo miało podkreślać fakt, że w sztuce transgenicznej nie chodzi o „produkcowanie” atrakcyjnych estetycznie przedmiotów, ale o zwrócenie uwagi na odpowiedzialność, którą bierze na siebie genetyk czy – jak w tym przypadku – artysta tego typu działania podejmujący. Oczywiście pytań jest o wiele więcej, wartą rozważenia wydaje się chociażby kwestia roli DNA w powstawaniu organizmu, która dosyć często bywa przeceniana. Idąc dalej, nieuchronne jest pytanie o naturę relacji pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem transgenicznym, o kategorie normalności, heterogeniczności czy po prostu inności, o umiejętność akceptacji. I wreszcie, na końcu – choć być może należałoby o to zapytać na początku – kwestia możliwości czy słuszności stwarzania przez sztukę nowych form życia.

W odniesieniu do ostatniego problemu sam Kac<sup>3</sup> widzi głównie strony pozytywne sztuki transgenicznej. Skoro na świecie codziennie dochodzi do wyginięcia przynajmniej jednego zagrożonego gatunku, to przez tego typu działania artyści mogą się przyczynić do wzbogacania bioróżnorodności naszego globu. Niewątpliwie od razu nasuwają się możliwe zarzuty względem tak nieoprawnie optymistycznego stanowiska – wiadomo przecież jaki los spotykał wszelkiego rodzaju „odmieńców” i jak ciężko przychodzi nam zaakceptowanie inności. Tego typu zarzuty artysta odpiera przytaczając przypadki, gdzie już dziś na wielu farmach można obserwować pokojowe współwystępowanie zwierząt „tradycyjnych” i transgenicznych. Dlaczego więc ludzie mieliby takie zwierzęta dyskryminować? No właśnie, myślę, że tak naprawdę tutaj dotykamy sedna tego, o czym może nam opowiedzieć sztuka transgeniczna lub do refleksji nad czym może nas skłonić – pytanie o odmiennosc i możliwość jej akceptacji. Szczególnie istotne jest to, że Alba z pozoru niczym od innych królików się nie różni, na co dzień jest po prostu królikiem albinosem [a z takimi przypadkami zdążyliśmy się już oswoić], który zachowuje się dokładnie tak samo jak inne króliki, ma swoje upodobania i przyzwyczajenia. Jednakże, jeżeli oświetlimy Albę niebieskim światłem, staje się ona zielona. Można więc o niej powiedzieć, że jest jednocześnie taka sama i inna – co może zapewne ułatwiać lub w równym stopniu utrudniać jej akceptację. Nasuwa się tutaj od razu analogia do sytuacji, w której biały człowiek po raz pierwszy ujrzał czerwono-skórego i pomyślał: „niby taki sam, ma ręce, oczy, nos, ale jakiś inny”. Historia uczy, że nawet w przypadku tak mało znaczącej [zdawałoby się] odmienności, ludzkie pokłady akceptacji nie okazały się zbyt duże. Jaka mogła być tego przyczyna? Najprostszym wyjaśnieniem może być lęk przed odmiennością, przed tym, co inne i nieznanne i właśnie z tego powodu działania artystów z kręgu sztuki genetycznej wydają się być szczególnie znaczące. Inżynierii



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować książki Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie.

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 379 67 89, trzeci wtorek godz. 18.00
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Pub „Zubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie, tel. 0606888407
- KPK-Podbrodzie, Pabrades Internatienia Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie
- KPK, Pub „Parnasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK-Wielony, Felicia Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latvija
- KPK – Malta, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Rezeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latvija
- KPK – Rzezyca, Rezeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV – 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latvija
- KPK – Łohiszyn, Janina Bogdanowicz, 225740 Łohiszyn, Pinski rajon, Briestkskaja oblast, Białoruś
- KPK – Klub „Zaułek 11”, 85-007 Bydgoszcz, tel. (052) 345 77 62 w. 258, pierwsza środa godz. 18.00
- KPK – Więcbork, Liceum Ogólnokształcące, 89-410 Więcbork, ul. Pocztowa 14
- KPK – Fordon, Klub „Pod Różą”, 85-790 Bydgoszcz-Fordon, ul. Rynek 6, tel. 3448376
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnowa” Bydgoszcz-Kapuściska, tel. (052) 3631867
- Centrum Handlowe „Dom i Styl”, 85-796 Bydgoszcz, ul. Fordońska 333, tel. (052) 343 22 11

ria genetyczna nie jest już tylko mrzonką naukowców, transgeniczna żywność, już od paru lat gości na rynku amerykańskim, coraz częściej hoduje się zwierzęta w wszczepionymi ludzkimi genami w celu uzyskania przeciwciał, wykorzystywanych później w leczeniu określonych chorób. Być może więc Eduardo Kac ma rację mówiąc, że wszelkiego rodzaju organizmy transgeniczne prędzej czy później zdominują kulę ziemską – być może więc faktycznie lepiej rozpocząć dyskusję na ten temat już teraz, zanim zaczną się fanatyczne podpalenia transgenicznych farm. Jednakże, gdyby nawet zabiegi transgeniczne zostały porzucone, to dyskusja na temat odmienności czy też granic sztuki na pewno nie pójdzie na marne.

Patrząc na sztukę transgeniczną z perspektywy przemian w sztuce w ogóle niewątpliwie jawi się ona jako coś zupełnie nowego, artysta dodaje coś od siebie do świata już nie tylko w formie refleksji czy nowego ujęcia, ale również w formie samoistnego tworu, żywego organizmu. Zdawałoby się więc, że nie da się tego typu działań ująć w stare ramy, że nie ma tutaj mowy o żadnym tradycyjnym elemencie. Ale czy na pewno? Komentarz, jaki Kac dodaje do swoich niewątpliwie nowatorskich działań, jest jak najbardziej tradycyjnym aspektem czy sensem sztuki. Artysta, używając wszystkich możliwych tradycyjnie nieartystycznych środków, po raz kolejny wszedł w tradycyjną rolę tego, który proponuje nowe horyzonty refleksji i zadaje nowe pytania. Co więcej, jeżeli przyjrzeć się działalności Kaca bliżej, można wysledzić w niej różnorodne wątki dyskusji nad sztuką w XX wieku współwystępujące w jednym dziele. Po pierwsze, zapoczątkowane przez Duchampa podważenie roli artysty, znajduje wyraz we współpracy Kaca z zespołem naukowców, bez wiedzy których narodziny Alby nie byłyby możliwe. Czyim dziełem więc jest fluorescencyjny królik tak naprawdę? Oczywiście po konceptualizmie nie ma wątpliwości, że artysta, właściwie fizycznie istniejącego królika mogłoby w ogóle nie być. W związku z czym, sprowadzenie artysty w jakiejś mierze jedynie do roli pomysłodawcy, a nie wykonawcy dzieła, możemy uznać za drugi element tradycji, który da się odnaleźć w opisywanej akcji. Po trzecie, nowatorstwo, które było paradygmatem działań awangardowych i które wydawało się być więcej niemożliwe, niewątpliwie występuje w dziele Kaca. Nie jest to jednak nowatorstwo pytań, jakie stawia sztuka, ale dzięki czemu je stawia. Eduardo Kac niewątpliwie zrealizował największe z marzeń artysty, stworzył coś, czego nigdy w świecie nie było. Aspekt kreacyjny tej akcji nie może zostać niedoceniony, nie chodzi już bowiem o takie czy inne ustosunkowanie się do świata, ale o to, że takim artyście świat nie jest do niczego potrzebny. Dzisiaj on sam może świat wykreować. I jakkolwiek Eduardo Kac nie posuwa się aż tak daleko i bardzo interesuje go wpływ sztuki na losy świata i *vice versa*, to otworzył on szalenie istotny rozdział dla przyszłości sztuki, która nawet nie śmiała marzyć o możliwości zerwania swojej relacji ze światem. Co więcej, sztuka transgeniczna nie jest jedynym polem, na którym artyści mogą od dzisiaj konkurować z rzeczywistością, takie możliwości daje również tworzenie światów wirtualnych przy wykorzystaniu technologii elektronicznych. I chociaż nie można dzisiaj jednoznacznie powiedzieć czy działalność artystyczna faktycznie pójdzie w takim kierunku, wydaje się, że mogłoby to stanowić dla niej swoistą szansę na odzyskanie utraconego znaczenia. ■

<sup>1</sup> Więcej na temat tej akcji i innych projektów E. Kaca można znaleźć na stronie internetowej artysty <http://www.ekac.org>.

<sup>2</sup> por. E. Kac, *Telepresence, Biotelematics, Transgenic Art*, Mari-bor 2000.

<sup>3</sup> Por. E. Kac, *Transgenic Art* [w:] *Leonardo Electronic Almanac*, Vol. 6, N. 11, 1998.

## Alfons Soczyński

### Ambona

Pierwszą połowę lipca spędzam w Starej Hucie ze swoją ponad osiemdziesięcioletnią mamą, ofiarowując jej namiastkę wczasów, na które nigdy w życiu nie jeździła.

W weekendy wpada do nas Wiesia z koleżanką Myk-Myk i przywożą nam do tej głuszy, w której się zamknęliśmy, trochę miejskiego powietrza. Niby nic się nie dzieje, a czas, nie wiadomo dłaczego, pędzi jak opętany, nie pozwalając zatrzymać się na dłużej w jednym miejscu. Może dzieje się tak za sprawą radia *Zet*, któremu kilka razy dziennie pozwalamy wejść w naszą ciszę z wiadomościami ze świata.

Las z każdym rokiem coraz dalej obejmuje naszą łąkę i prawie całkowicie nas po tych kilku latach ogarnął. Niektórzy mówią, że mieszkamy w buszu, na skraju wsi za rzeczką Kobylarką. Czujemy się tu naprawdę jak w buszu, ogarnięci przez całe dni śpiewem ptaków, zielenią coraz wyższych drzew i wielokolorową kaskadą kwiatów. Znad gałęzi przesuwały się nad nami przegabate obrazy nieba, o każdej porze dnia inne.

Kiedy siedzi się w zacisznym siedlisku koło zabudowań, widzi się i słyszy różne ptaki – najwięcej wróbla i sikorek, rano koło trzeciej zaczyna swój śpiew drozd śpiewak, później gruchają gołębie, odzywa się czasem sówlik, kos, szpaki, kukułka, pokrzewka, słychać fanfary żurawi. Gdy wyjdzie się poza zabudowania, pod lasem odzywa się tęskne, jakby przeciągłe *kje, kje* jastrzębia, pola zaś zdominował śpiew skowronków, ciągnący się jakby cieniutkami, melodyjnymi łańcuszkami. Po raz pierwszy w tym roku usłyszałem nad rowem w krzewach głos świerszczaka; od niezapamiętnionych czasów uganiają się nad łąką dzierlatki. Ucieszyłem się, kiedy w tym roku postyszałem głos bażanta, cieniutki, jakby pianie odpustowego kogucika, nie w lesie, ale tuż za płotem siedliska i to nie od strony lasu, ale od drogi, wiadać bażanty przeniosły się już na naszą łąkę. Szerzeni w tym roku jakby mniej i nie założyły gniazda jak co roku, u szczytu domku.

W sobotę w południe przebiega nam drogę gromadka kuropatw, z przodu i na końcu ptaki dorosłe, pośrodku, gęsiego, przemykają maluchy – jest ich sześć lub siedem. Na nasz widok umykają, kryjąc się w chaszczach na poboczu drogi, jednak jedno małe nie kryje się, lecz biegnie poboczem, cały czas widoczne; coś je powstrzymuje przed daniem nura w gęstwinę wzorem innych. Po chwili wybiega za nim matka lub ojciec, stroszy pióra na ogonie, układając je w kolorowy wachlarz, popiskuje ku nam groźnie, wymachuje dziobem, w końcu zmusza, czy spycha, młode w gęste trawy przy drodze. Cała rodzina umyka w pole, słychać oddalające się głosy jeszcze przez dobrych kilka chwil. Na taki widok trzeba czekać nieraz kilka lat!

Czemu w tym roku pliszka nie założyła gniazda w naszym siedlisku? Gdy leżę czasami w swym ulubionym hamaku, rozpostartym w kręgu brzoź, słońce delikatnie poprzez listki drzew jakby igrało ze mną, dając zmienne, świetne refleksy, huśtając się lekko razem i przynosząc obrazy z dzieciństwa, najczęściej z Wołynia. Mrówki wspinają się po pniach drzew. Z perspektywy, z której je obserwuję, zdaje się, że usiłują wspiąć się do nieba, aby pochodzić po słońcu. Czasami któraś spada z zawrotnej dla nich wysokości kilku metrów, pośliznąwszy się na mniej porowatym odcinku brzoźowej kory. Pomimo tego, coś je cały czas tam w górę przyciąga, niczym naszych taterników.

Susza nie pozwoliła w tym roku wyjść pierwszym prawdziwkom i czerwonym kozakom. Spóźnione są już o cały miesiąc! Za to, jakby na pociechę, tuż na skraju łąki pod lasem, a raczej na drodze pomiędzy moim lasem a la-

## Podpatrzone w Starej Hucie

sem sąsiada, znajduję trzy kanie. Nie wiedziałem dotąd, że kanie można jeść surowe, dopóki nie przeczytałem tego w książce Leszka Nowaka „*Hatchwork*”.

Martwi mnie, najniższy od dziesięciu lat, poziom wody w stawie – czy grozi mu wyschnięcie i zagłada życia, które się w nim już rozrosło, a którego obserwatorem jestem od kilku lat?

Krew w żyłach mrozi milczenie ambony myśliwskiej, która kilka lat temu wyrosła na moich oczach, a której brak był wielkim błogosławieństwem dla dzikiego życia na tych rozległych łąkach pod lasem. Teraz ta ambona głosi śmierć dzikiemu życiu i rzeczywistości, w tym roku nie widziałem nad ranem, ani wieczorem, saren wychodzących na popas na łąkach. Skradają się skrajem lasu, w zbożach, boją się wychodzić na otwartą, niczym lądowisko w Wylatowie pod Mogilnem, łąkę. Podobno, jak opowiadał Bolek Łaskawy, myśliwi zastrzelili niedawno sarnę wychowującą dwa młode i bezbronne maleństwa stały się łatwym łupem lisów. Bolek pokazał nam w owsie szczątki jednego z nich. Jego nieco uszkodzona czaszka zawiśnie pod moją altanką wśród innych rekwizytów, gdzie znajduje się między innymi czaszka konia mego dziadka Ado, Orlika oraz czaszka jego psa Hawryły.

Pod dębem Janem *rozmawiam* czasami z dziadkiem Ado. Nie cieszą go tegoroczne polityczne hece wyprawiane przez Panów z Polski i Ukrainy. Nie tak było, jak to politycy z jednej i drugiej stronie kłamliwie przedstawiają, mając na uwadze tylko swoje doraźne interesy. Gdyby wtedy oni tam byli, zawstydziliby się dzisiejszych brewerii, wyprawianych pod rzekomym hasłem pojednania. Szkoda, Panowie, marnować pieniądze na parodie świąteczne, prawda sprzed pięćdziesięciu lat sama się obroni bez Waszych gadek i gierek. Bóg widział najlepiej i On kiedyś da świadectwo Prawdzie o Wołyniu z roku 1943. ■

## HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Leon Kruczkowski,  
Ernest Bryll, Adriana Szymańska,  
Jolanta Baziak, Teresa Kowalska,  
Kazimierz Braun, Tadeusz Lira-Śliwa,  
Krzysztof Bilica, Janusz Mrzygod

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),  
od 165 zł (pokój dwuosobowy),  
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”  
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz  
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,  
fax 322 88 70



Przy hotelu kawiarnia dla niepalących z najlepszymi ciastkami w grodzie nad Brdą!

Raz na miesiąc, w trzeci wtorek,  
w godz. 18.00-20.00 spotkanie  
Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski  
tel. 052/3796-789

**Jerzy Grupiński****Leczenie głupoty**

(z Hieronima Boscha)

Twarze jak z lustra znajome  
 – krajobraz dzielnych dzbanów  
 i nadmiar niebieskich barw Luny  
 A w tle  
 wysokiego krajobrazu jesieni  
 – szubienica i wymowny przykład  
 pracowitego oracza

Wiersza wierny powierniku –  
 czy to nie na czas  
 – o nieszczęsne dzieci księżycy –  
 surowy wzrok obraca  
 figura Sapiencji?  
 Czy to nie z twojej czaszki  
 wiersza wierny popleczniku  
 Mistrz Szarlatant  
 opatrzony maską mej twarzy  
 i monstualnym lejkiem  
 – dobywa spod skalpelu  
 jaskrawy jak grzech  
 skrwawiony kwiat wyobraźni?

**Franciszek Nastulczyk****jedno**

miasto jednej ulicy  
 wiosna jednego marzenia  
 znalazłem je  
 czytając Hölderlina

„...Świat ciągle jeszcze zdaje mi się piękny...  
 Lecz najbardziej pragnę... Dotrzeć do kolumn twych,  
 Olimpijanie...”

Sucha Beskidzka, kwiecień 2003

**Jerzy Grupiński****Wiersz – świerszcz**

Nad rzeką  
 gdzie most był drewniany  
 może stoi tam jeszcze  
 chłopiec z leszczynowym kijem  
 w swe odbicie  
 i splawik zapatrzony

Może dzwoniąc łańcuchem  
 pasą się jeszcze franciszkańskie  
 białe kozy nad Wartą  
 I kołuje nad miastem  
 dzwon klasztorny i dzwon farny  
 jakby ścieliły gniazdo

Wciąż  
 przeze mnie płynie rzeka  
 i stoi dom  
 na gęstych świerszczach

**Jerzy Hłond****Okruchy**

\*\*\*

Wciąż czekam  
 i uciekam od okna  
 za którym  
 jest smuga cienia  
 może wytrwam

\*\*\*

Rzucam kamieniem  
 nie odległy lot  
 jak ustrzelony ptak

\*\*\*

Wciąż czekam  
 jak ptak na pisklęta  
 nie wiem  
 czy przyśni się  
 przystań Itaki

**Jadwiga Stróżykiewicz****Stan ducha zależy od pogody**

Nikt nie czeka na  
 inwazję czarnych myśli  
 wiatr je niesie – treści  
 pełne żalu

wiemy że nadejdzie chwila  
 pożegnania smutku  
 kiedy promień słońca  
 przetnie dookólną całość

**Mariusz Cezary Kosmala****Oktostych empatyczny op. 16 nr 8 „Za późno?”**

Tych woluminów, które za późno zebrałem,  
 już nie zrozumieć... Tych płyt już też, już się w nie nie

wsluchać – najwyżej kilka, zaledwie po łepkach.  
 Czasu brak! A clitoris, co to, jak smakuje

w miłosnym uniesieniu – już się nie dowiedzieć  
 raczej, chyba że też za sztukę płacąc, płacąc...

Oże ty w niebo, Boże złośliwy – jest gorzej  
 niż się mogłem spodziewać. Rak. No, ale spoko...

**Lucyna Szubel****Czarnomorskie muszelki****Pawie**

Jak drogocenne brosze ogrodów są pawie  
 sunące alejami pachnącymi wanilią i mirtem  
 i bardzo kapryśne – gubią się często,  
 a puste miejsca po sobie zabliźniają krzykiem...

**Zbiór herbaty**

Herbaciane pola – drobnych listków pełne,  
 jak palce dziewczęce niby listki drobne,  
 bez śpiewu, bez tańca, spieczona usta, mdleją nogi,  
 w słońcu w pocie czoła – herbaciane pola

**Motyl**

Jak fruwająca wycinanka z tęczy –  
 kołyszac się miłośnie na ajwach,  
 do azalii tęsknie się wdzieczy –  
 bezszelstny kłamca: motyl...

**KONKURS  
 NA  
 LIMERYK**



PATRONAT  
 HONOROWY NAD  
 KONKURSEM OBJĘŁA  
 CÓRKA POETY -  
**KIRA GAŁCZYŃSKA**

**główna nagroda – 2 tysiące złotych**  
 oraz cenne nagrody rzeczowe

Prace - zawierające zestaw 3 limeryków - należy oznaczyć  
 godłem. To samo godło powinno znaleźć się na kopercie  
 z danymi autora. Decyzję o rozdziale nagród oraz ich  
 wysokości jury podejmie na posiedzeniu zamykającym  
 konkurs. Organizatorzy nie odsyłają zgłoszonych utworów.

Prace prosimy nadsyłać do 15 listopada 2003r. pod adresem:

Radio Łódź  
 ul. Narutowicza 130  
 90 – 146 Łódź

# Jaka jesteś współczesna poezjo?

Arkadiusz Frania

## Brak definicji „poezji”

Czym jest poezja? Czy w ogóle poezja może być czymś? Czy nie powinniśmy zaniechać prób definiowania zjawiska tak nieokreślonego, jak poezja, mimo potężnego działu poświęconego mu w podręcznikach.

Wisława Szymborska w wierszu *Niektórzy lubią poezję* z tomu *Koniec i początek* (Poznań 1993, s. 9) podała następującą formułę-definicję:

*tylko co to takiego poezja.  
Niejedna chwiejna odpowiedź  
na to pytanie już padła.  
A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego  
jak zbawiennej poręczy.*

Ten fragment nie jest wyrazem bezsilności, lecz odkryciem tajemnicy, równie subtelnej, jak Sokratesa „Wiem, że nic nie wiem”.

Ale, oczywiście, człowiek, dążąc do oswojenia przestrzeni i czasu, dokonuje procesów systematyzowania, kwalifikowania i porządkowania świata, innych ludzi, przedmiotów. Definicja pozwala zaliczyć rzecz definiowaną do znanych, bliższych, nieobcych. Dlatego mamy niezbywalne pra-

wo spróbować, ale tylko spróbować dać – z założenia ułomne – wyjaśnienie znaczenia „poezji”.

Poezja to na pewno nie formalne zabiegi układające tekst na stronie w słupki, niekonieczne równej długości. Poezja to chyba ładunek emocji, energii, potencji, tkwiącej w tekście i dopiero podczas lektury wyzwolanej. I trzeba nie lada uwagi i czujności, by nie przejść obojętnie obok pereł liryki. W epoce klonowania, SMS-ów i bilingu łatwo o barbarzyńskie, ignoranckie obchodzenie się z wierszem.

Nie jestem fanatykiem kariery, jaką zrobiła w polskiej literaturze instytucja „wieszczka”, ale uważam, iż wiersz nie jest do końca uświadomionym aktem twórczym. Bo dlaczego autor ten czy ów rozkłada bezzadnie ręce i żali się, że myślał, że ten tekst się spodoba, a wszyscy mówią, że to gniot i grafomaństwo, a tamten, umieszczony w tomiku jako zwykły zapychacz, wszyscy porównują do arcydzieła.

Mógłbym powiedzieć, że poezja jest jak szklanecka whisky z lodem, ale nie powiem, bo nie lubię whisky. Mógłbym powiedzieć, że jest jak filiżanka czarnej mocnej kawy, ale nie powiem,

bo lubię czarną mocną kawę. I to nie uchylenie się od odpowiedzi. To najszczerza, wyrwana z trzewi moich myśli konstatacja, która niczego nie wyjaśnia.

Tadeusz Różewicz, w wierszu o incipicie \*\*\* (*pusty pokój*) z tomu *Zawsze fragment* (Wrocław 1996, s. 64) pisał:

*pusty pokój  
pusty?  
przecież ja w nim jestem*

*jestem piszę  
wstuchuję się w ciszę*

*na poduszce wgnębie  
po twojej głowie  
wypełnia  
wygladza  
czas*

Dlaczego ten wiersz mi się podoba? Dlaczego wobec tego tekstu nie przeszedłem beznamietnie, lecz wracam co kilka miesięcy? Dlaczego tkwi w mojej głowie? Nie wiem. Muszę bezzadnie rozłożyć ręce. Moje bezzadnie rozłożone ręce są moją odpowiedzią na pytanie, *czym jest poezja*. I niech Bóg was broni przed ustaniem w poszukiwaniu sensu poezji. ♣

Teresa Januchta

## Dla kogo poezja?

Niedawno, przy okazji wizyty u znajomego kardiologa, podarowałam mu najnowszy zbiorek moich wierszy. Przyznam, uczyniłam to z obawą, czy zechce się w ogóle nim zainteresować. Mój sceptyczny towarzysz życia powtarza wszak często: „Kto dziś czyta poezję?! Kto rozumie ten współczesny bełkot?! To tylko sztuka dla sztuki, albo dla podobnie nawiedzonych...”, a wszelkie związki twórcze nazywa towarzystwem wzajemnej adoracji. Tym milsze było moje zadziwienie, gdy pan doktor okazał się nie tylko miłośnikiem ale i znawcą Kameny. Pogwarzyliśmy trochę (a ściślej mówiąc, by nie przedłużać wizyty – wysłuchałam refleksji lekarza) na temat Norwida, Gałczyńskiego, Boya-Zeleńskiego i już byłam pewna, że moje wiersze „przejdą” przez oczy i umysł wybrednego konesera.

Dla kogo piszą poeci? Mickiewiczowskie pragnienie: *aby te księgi trafiły pod strzechy* to tylko część prawdy, choć nie bez znaczenia dla piszącego jest zakres i „rodzaj” odbiorców. Dla siebie?

Po części tak, bo jeśli cokolwiek się robi z własnej woli, to musi to sprawiać przyjemność lub przynajmniej spełniać funkcję autoterapii. Wtedy jednak poeta zadowoliliby się „pisanem do szuflady”, a tak nie jest. Mimo iż współczesność nie jest dla kultury zbyt łaskawa, zalewa nas rzeka literatury, niekoniecznie przez duże „L”. Wystarczy mieć nieco rezerw finansowych, a łatwo można znaleźć wydawnictwo lub drukarnię, która zaspokoi naszą grafomańską próżność: wydrukuje, oprawi w twarde okładki i wypisze na nich złotymi literami nasze nazwisko. A potem można już rozdawać autografy na imieninach

u kuzynki i wysłuchiwać zachwyty w rodzaju: „To naprawdę twoje? Nie wiedziałam, że piszesz! Patrzcie, mamy poetę!”

Nie oszukujmy się – kto z piszących, nie wyłączając autorki tego felietonu, nie marzy w skrytości ducha o zapewnieniu sobie popularności, choćby tylko w najbliższym środowisku? Czymże jest pisanie, jeśli nie próbą zatrzymania czasu (J. Parandowski), namiastką lub tylko złudzeniem nieśmiertelności (*Literatura to woda życia; zaczerpnij – „i żyć będziesz na wieki”* – Wasilij Rozanow). Jeśli jest jednak główny, lub co gorsza jedyny, imperatyw twórczości, to bez czytania można taką książkę oddać na makulaturę (zaoszczędzi się przynajmniej wycinki kolejnego drzewa). „Poeta prawdziwy, poeta, który kładzie swoją sygnaturę na obrazie epoki, musi być stary w momencie, kiedy pisze pierwszy wiersz. On musi już wtedy wiedzieć lub przeczuwać, co powiedziano przed nim, aby nie powtarzać pod groźą banalności” – powiada Bohdan Czeszak. Zaś Tadeusz Borowski nazywa poezję „nieustającym szukaniem (Bo szukając – trzeba omijać znalezione. Odnalezione – nigdy nie jest poezją)”. Ba! Przecież większość opiewanych przez poezję tematów to banały: miłość, przemijanie, śmierć... Tak, ale poezja to nie tylko temat, to także, a może przede wszystkim forma, to odmienny, przefiltrowany przez subiektywizm twórcy ogląd świata. Stanisław Barańczak twierdzi, że „(...) poezja ma prawo widzieć na swój szczególny sposób, krańcowo konkretny i fizyczny sposób”, jednak dalej wyjaśnia: „wszelkie wnoszenie się ponad poziom ludzkiego ciała jest niebezpieczne, bo grozi zafakusowaniem”. Jaka zatem powinna być poezja, żeby z jednej strony nie popaść w banał,

a z drugiej być czytelną, zrozumiałą dla każdego odbiorcy? Czy to w ogóle możliwe? Wisława Szymborska odpowiada na moje wątpliwości, że tylko „niektórzy lubią poezję”. Niektórzy, czyli kto? Sami poeci? Część uczniów? Studenci polonistyki? Spotkania autorskie niektórych poetów (np. ks. Jana Twardowskiego, Czesława Miłosza lub wspomnianej wcześniej Wisławy Szymborskiej), albo choćby wpisywanie autografów przez wymienionych, zdają się wskazywać na ogromne zainteresowanie poezją. Gdyby jednak przeprowadzić sondaż wśród zainteresowanych, pewnie okazałoby się, że jedynie niewielka grupa naprawdę interesuje się poezją. Większość kupuje książkę z autografem z pobudek snobistycznych lub jak pamiątkę z wycieczki. Magnesem jest przede wszystkim znane nazwisko. Zdarzają się jednak tacy miłośnicy poezji jak mój lekarz, któremu już w dzieciństwie wszczepiono bakcyła sztuki (a może to kwestia osobowości?).

Jaki by jednak nie był powód zainteresowania się książką poetycką, istotne jest, by do niej zajrzeć, przeczytać, zrozumieć, przeżyć. Czy zatem poeci powinni dostosować formę, styl swoich wypowiedzi do możliwości percepcyjnych czytelnika, czy może odwrotnie – czytelnik powinien wykształcić umiejętność interpretacji współczesnej poezji? Próbowałam odpowiedzieć na to pytanie felietonem pt. „Wychować odbiorcę” („Akant” 2001, nr 6, s. 17) oraz „Poezja bliżej odbiorcy” („Akant” 2001, nr 8, s. 26), a i teraz wysnuwam podobną konkluzję: rozwiązanie leży pośrodku. Szkoła, radio, telewizja i inne media winny od najmłodszych lat uczyć odbioru sztuki, uwrażliwiać na piękno słowa, obrazu i dźwięku. Zaś sztuka, a ściślej mówiąc jej twórcy, poszukując coraz to bardziej oryginalnych, wysublimowanych środków wyrazu, wnosząc się na wyżyny sztuki, nie powinna jednak tracić kontaktu z rzeczywistością, bo stanie się nieczytelna, a tym samym bezużyteczna. ♣





Jerzy Lucjan Woźniak

## Drugi krzyk

Rodzi się dziecko. Jeszcze śliskie i zakrwawione od przeciskania się przez matczyne krocie, osiąga światło. Widzi je samodzielnie – nie jak dotychczas – czuje tylko przez kokon ciała rodzicielki. Jeśli jest zdrowe i silne – krzyczy – przerażone, teraz musi podjąć już bezpośrednią walkę o oddychanie.

To krzyk pierwszy.

Skończyła się wygoda. Jeszcze parasol rodzicielskiej opieki chroni, zapewnia co trzeba. Rośnie nowy człowiek – rodzice widzą w nim przyszłego bohatera – chwala mu. Dorasta – chce się podobać – trądzić młodzieńcy bardzo przeszkadza. Teraz będzie krzyk drugi (często trwający do końca życia) – OTO JESTEM JA – TU I TERAZ – chcę zaznaczyć, podkreślić i przypieczętować swoją obecność. Rozgląda się, przez naturę wyposażony w nadwrażliwość, widzi swoją samotność i beznadziejność w sposób wyolbrzymiony. Zakochał się, dziewczyna czeka, patrzy na swego mężczyznę – musi się potwierdzić, już. Sięga do pierwszej z brzegu, najłatwiej dostępnej możliwości, zaczyna pisać – zdumiewa go nowa możliwość stwarzania własnego świata. Z dziewczynami jest podobnie. Postanawia zostać poetą. Nie będąc jeszcze przekonany o swojej wartości, pisarski dorobek chowa po różnych zakamarkach, szafach i szufladach. Jednak już się pograżył, przypadł – ten sposób kreacji wciągnął go. W pozycji można powiedzieć (i mówi się) rzeczy skrajnie przykre, skrajnie odważne. Bardzo blisko do Boga – przecież tworzymy – możemy wszystko przerobić, zmodyfikować, stare meble ustawić od nowa lub zmienić na nowe. Autor czuje swoją potęgę. Stojący obok nie znają jego rozterek, dla nich to tylko pisanie *wierszyków*. A w nim siedzi oś, którą będzie się często krztusił, może nawet się udusić.<sup>1</sup> Wielokrotnie będzie odchodził od pozycji i wielokrotnie będzie do niej wracał. Został nieodwołalnie zaszczepiony. Wlala mu się w serce trwoga – czy dobrze piszę? – lepiej czy gorzej od innych? – przeżywam rozwój czy regres? Od takich pytań wszystko inne będzie mniej ważne. Gdy odniesie sukces, zaczną drukować, będą chwalić – zostanie zakłócony instynkt samozachowawczy. Świat poza twórczością przestanie się liczyć. Energia twórcza, którą Jung uważa za pierwiastek autonomiczny, niszczy go: *Ileż to biografii wielkich artystów dowiodło już dawno, że twórczy nacisk w nich był tak wielki, iż angażował całe swe człowieczeństwo, wciągając je w służbę dzieła nawet kosztem ich zdrowia i zwykłego ludzkiego szczęścia?* Oczywiście mowa tu o wielkich twórcach, ale zależności psychologiczne na wszystkich szczeblach tej drabiny są podobne. Autor już wie, jest słuchany i czytany, czas przedstawić swoje racje, ileż trzeba wtedy determinacji, aby zakomunikować światu rzeczy najważniejsze – i jednocześnie – ocalić tę małą prywatność, szczególnie gdy jest modne wynętrzanie się z intymności swego życia. Trudno tu coś radzić, nie ma mądrych. Chociaż życiowe doświadczenie mówi: uspokojenie, twórcza łagodność przychodzi po czterdziestce. Autorzy, ze wzmiankowanej wyżej książki Marxa, których poezja zniszczyła, lub dopomogła w ich zniszczeniu, nawet najstarsi ledwie tę granicę przekroczyli. Wbrew pozorom, poezja angażuje wszystkie siły psychosomatyczne (powiedziałbym witalne) autora. Słabsi wykruszają się szybciej, nie wytrzymują napięcia. Wierzę głęboko, że ich śmierć położyła podwaliny obecnej sily polskiej poezji.

Nasza poezja ma się dobrze. Dwukrotny Nobel w dwudziestolecu kończącym poprzed-

nie stulecie (Cz. Miłosz i W. Szymborska) zobowiązuje. Cenil tę poezję inny noblista (bardzo związany z Polską) J. Brodski. Mówił na otwarciu Pierwszego Salonu Książki w Turynie (18 maja 1988 r.): *Jeżeli przyjąć, że językiem ojczystym [poezji] jest język polski (co byłoby z wielkim pożytkiem, albowiem najwspanialsza poezja tego stulecia została napisana w języku polskim) chciałbym wymienić nazwiska takich poetów jak: Leopold Staff, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska.*<sup>2</sup> Nie mówił tego kurtuazyjnie – znał sytuację. Sądzę, że przewidywał dalszy rozwój naszej poezji. Odbywały się w jej łonie wielkie pojedynki pokoleniowe. Przelomowe dysputy i spory, o mało nie kończyły się wydrapywaniem sobie oczu. Spłowił J. Brzękowski i J. Przyboś. Realizm socjalistyczny jej zaszkodził, jednak dzielnie się oparła. Ostatnio nawet autorzy roczników siedemdziesiątych zrozumieli daremny trud zwracania rzecki. Mowa wiązana wraca więc, jak po powodziach narowista rzeka, we właściwe koryto. I wody stały się mniej mętne. Przejrzystość powoduje klarowność. Wyraźnie widać odchodzenie poezji sfunkcjonalizowanej, komentującej informacyjny szum gazet. Wracamy więc, nie tylko do właściwego łożyska, ale i do źródeł. To z *TAJEMNIC* ta ożywcza woda. Ma swój początek w transcendencji i ontologii. Mówiąc mniej górnolotnie – myślę o odbiorze wiersza, który na pewno dla czytelników (również i poetów) liczy się bardziej jako przeżycie niż jako lingwistyczne dywagacje. Ekwi-librystka leksykalna, którą robi biegły filolog, nie gwarantuje dobrego wiersza. Wystąpi, jeśli nie idzie za tym głębia przeżycia, tylko powierzchowność i erudycja. Nie dostąpimy przeżycia jak w wierszu W. Szymborskiej: *Kot w pustym mieszkaniu*. Nawet w tytule kot, a wiersz o śmierci. Rozczuła nas ten kot, i mocno wzrusza, poszukując swojej miłości, tego co był dla niego całym światem. Życie prawie tutaj nas dotyka w swej bardzo metafizycznej głębi. Młodzi, wstępujący poeci, często leksykalną sprawność biorą za miarę poezji. To tylko naskórek, żywe mięso jest bowiem głębiej. Wchłania nas, przeżywamy swoistego rodzaju *katharsis*, jak w przywołanym wierszu.

Zakończę osobistą retrospektywą. W tekście J. Baziak *Zwrot ku wartościom*,<sup>4</sup> wzruszył mnie fragment o T. Nowaku. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, wydrukowałem w *Tygodniku Kulturalnym* – gdzie Nowak był redaktorem prowadzącym poezję, a był to periodyk opiniotwórczy – 7 wierszy. Bardzo chciałem go poznać. Nie było go jeszcze w redakcji i usiadłem w długim korytarzu tak, aby widzieć wchodzących. Wiedziałem o jego protezie u jednej z nóg (od kolana). Znaną ze zdjęcia twarz rozpoznałem natychmiast. Zdziwiłem się niepomiernie, szedł wyprostowany nie utykając. Pomyślałem wtedy – tylko wielka siła woli potrafiła tego dokonać. Powiedział już przy redakcyjnym biurku: *Jeśli pan w wiersz nie włoży całego siebie, wyniki będą bardzo mierne* (taki był skrótowy sens). Nie miałem przy sobie *Pacierzy i paciorków*.<sup>5</sup> Podsunąłem do dedykacji książkę o nim, jego przyjaciela R. Sulimy: *Tadeusz Nowak*. Jeszcze teraz słowa z jego listu do J. Baziak bardzo mi leżą na sercu: *Poezja to rana w boku. Ona jest/ może jej dotknąć każdy/ niewierny Tomasz*. To mądrość i prawda wyrażona przez wybitnego poetę. Wiercie mi – ona się sprawdza – każdy poeta, i czytelnik po części również, dotykają tej rany na swój sposób.\*

<sup>1</sup> J. Marx, *Legendarni i tragiczni*, Warszawa 1996

<sup>2</sup> C. K. Jung, *Archetypy i symbole*, Warszawa 1976

<sup>4</sup> *Akant* 2003, nr 6, s. 21

<sup>5</sup> bardzo merytorycznie o nich pisze J. Drzewucki, *Smaki słowa*, Wrocław 1999

Maciej Porzycki

## Teorie względności

Jaka jesteś współczesna poezjo? W ogóle: poezjo. Kim są sprawcy? Encyklopedyczne definicje urywają się w najciekawszym momencie. Może więc podejmując tę tematykę aforyzmy uznanych twórców, cytowanych tutaj w alfabetycznym porządku, dostarczą potrzebnych wskazówek, pomogą rozwikłać mroczną tajemnicę.

Wiersz powinien być całkowitą kłeską intelektu (ANDRE BRETON).

Co może zrobić poeta bez bólu? Jest tu równie niezbędny jak maszyna do pisania (CHARLES BUKOWSKI).

Przewidywania poetów są zapomnianymi przygodami Boga (ELIAS CANETTI).

Chciałbym, aby wiersz był jak podanie ręki (PAUL CELAN).

Poezja jest oczywiście czymś więcej niż zdrowym rozsądkiem, ale na pewno musi być ze zdrowym rozsądkiem zgodna. Podobnie jak pałac jest czymś więcej niż domem, ale jednak musi być domem, przynajmniej (SAMUEL TAYLOR COLERIDGE).

Proza to słowa w swym najlepszym układzie; poezja to najlepsze słowa w swym najlepszym układzie (SAMUEL TAYLOR COLERIDGE).

Proza to słowa w swym najlepszym układzie; poezja to najlepsze słowa w swym najlepszym układzie (SAMUEL TAYLOR COLERIDGE).

Wszyscy poeci są Żydami (MARINA CWIETAJEW).

Poeza. Synonim fantasty i gamonia (GUSTAW FLAUBERT).

Poeza, który odpowiada na pytania innych ludzi nie jest wielkim poetą (HANS GEORGE GADAMER).

Krótko mówiąc: żeby być poetą trzeba wierzyć w swój talent; żeby stać się artystą, trzeba talent podać w wątpliwość (ANDRE GIDE).

Poezja jest najlepsza czytana nago (ALLEN GINSBERG).

Liryka musi być zawsze rozumna w całości i nieco nierozumna w szczegółach (JOHANN WOLFGANG GOETHE).

Poezja pragnie, wymaga skupienia; izoluje człowieka wbrew jego woli, raz po raz się narzuca i jest w szerokim (że nie powiem; wielkim) świecie równie uciążliwa jak wietna kochanka (JOHANN WOLFGANG GOETHE).

Poeza powinien zgłębiać prawdę, a nie sprzeczać się o nią (MIKOŁAJ GOGOL).

Poezi znajdują słowa, aby opiewać swą wycieczkę (PETER HANDKE).

Poezja jest samobójstwem (FRIEDRICH HEBBEL).

Poezja jest chorobą. Poprzez tłumienie gorączki jeszcze nie odzyskuje się zdrowia. Przeciwnie. Przeciwnie! Żar czyści i świeci (FRANZ KAFKA).

Muza poety, który nie jest zakochany w rzeczywistości, nie będzie też rzeczywistością i urodzi mu dzieci z zapadłymi oczami i zwiotczalnymi kośćmi (FRIEDRICH NIETZSCHE).

Człowiek to daremna poezja (JEAN PAUL SARTRE).

Wszystko, co się powie o poezji, jest nieprawdą (LEOPOLD STAFF).

Stop! Na razie wystarczy! Same poszlaki. Wykluczające się wzajemnie sentencje.

– Ale nic dziwnego, proces toczy się... – myślimy sobie w skrytości ducha.\*



Marian Janusz Kawalko

## Kilka uwag malkontenta

Ilekcio uczestnicząc, jako juror, w konkursach literackich (na wiersz lub książkę) nierzadko mam przeświadczenie, że głównym motywem wielu autorów, popychającym ich do wysyłania własnej twórczej produkcji na takie turnieje, nie jest bynajmniej motyw czysto literacki, lecz zgoda inny, który można by określić jako *skok na kasę*.

Skok to często ryzykowny i oparty na przesłankach mało pragmatycznych, albowiem nie wynikający z poziomu nadsyłanych do oceny wierszy lub zbiorów tak zwanej poezji. Poziom ten, zazwyczaj przeciętny, niekiedy wręcz słaby, dowodzi jednego: wielu piszących za nic ma sobie autorefleksję, systematyczne obcowanie z wiodącą prasą literacką i książkami poetyckimi oraz doskonalenie warsztatu. Ta, prawie permanentna, nieświadomość i kulturowe lenistwo owocują tymczasem, jak wspomniałem, wierszotwórstwem (bo trudno je nazwać odpowiedzialnie i bez zastrzeżeń twórczością) mało wyrazistym, nie wychodzącym zdecydowanie poza średniactwo, wywodzącym swoje korzenie z trzecioliigowego frontu pseudopoetyckiego. A przecież do powinności jurora należy czytanie tej lawiny bylejakości i organizatorzy turniejów poetyckich powinni – zamiast okazywać zmartwienie o sponsorów – zamartwiać się raczej o zdrowie psychiczne oceniających.

Byłbym jednak zbyt zgryźliwie malkontentki, gdybym nie dostrzegł a trochę udatniejszych utworów, które już wierszami z pewnością są i wykraczają poza konkursową szarżynę, ale jeszcze nie zniewalają. Dość zgrabnie konstruowane, czasem nadmiernie epatujące brzydota, także językową, nie wywołują już we mnie gwałtownego sprzeciwu wobec grafomanii. Powiem więcej: mają nawet w sobie trochę tego tajemniczego światła, które nie każdemu poecie pisane. Niestety, jak to bywa z nieoszlifowanymi talentami, psują to tu, to tam interesującą fabułę, i nie wiadomo, czy autorom takich tekstów współczuć, czy raczej ich ganić za niefrasobliwość warsztatową. Czasem zdobywają nawet jakieś wyróżnienia, nagrody nawet, czyli kasowo niby są do przodu. Ale co to za pociecha, gdy ranga konkursu przez ów niekunsztowny poziom się obniża, a i niskie stosownie do niego są honoraria. Ani organizatorom, ani laureatom, splendoru to nie przynosi. Ci pierwsi mają świadomość, że daleko zwycięzcom do tzw. wysokiej literatury, ci drudzy zaś narzekają, że rozstrzygnięcie było bez fanfar i ministra kultury. Złośliwie można by takie postawy skomentować krótko: widziały gały, w czym startowały. Są i tacy zawodnicy, którzy tymi samymi tekstami obstawiają kilka konkursów, licząc na – jak to się teraz w języku ekonomicznym mówi – wygenerowanie zawartości konta. Niekiedy nawet – a trudno przecież takie fakty się wychwytywać – wiersze naprzód są drukowane, a potem wypuszczane w bój turniejowy. Tu czarne na białym, tam, być może namaszczenie jurorskie i trochę grosza do przeflaszkowania.

Jeśli zdarza się, że taki konkursowicz wysyła na turnieje tzw. aktualną produkcję pisarską, pal licho. Ostatecznie chce się dać ocenić pod względem literackim, poniekąd zweryfikować własny poziom z poziomem innych, podobnych mu konkursowiczów, pokazać, nad czym aktualnie pracuje i jakie tej pracy są efekty. Gra wprawdzie nie jest zbyt uczciwa, zwłaszcza, gdy delikwent podsyła drukowane już teksty (sądząc

zapewne, że już samo opublikowanie wiersza jest wystarczającą dla autora nobilitacją i gwarancją sukcesu), ale znacznie gorzej oceniam przypadki, gdy utwory pisane są *pod konkurs*, a więc niejako na zamówienie. Mieliliśmy już w powojennej literaturze naszej takie okresy pisania pod wytyczne i pod cenzurę. Czas zweryfikował tę literaturę i nawet nie ma jej na ulicznych straganach z tandetą. Broń Boże, nie chcę zabijać wiary konkursowiczów na zamówienie w to, co czynią ale przestrzegam ich przed taką literacką hochsztaplerką, przed rzemieślnictwem twórczym, przed pozorną turniejową sławą. Naginanie własnych uzdolnień do wymogów tego, czy innego konkursu, to trwonienie potencjału twórczego i nieroztropne wypalanie energii intelektualnej. Trudno z takich konkursowych wierszy uskładać sensowny tomik, a wiem, co mówię, bom w młodości swej też w różnych *Wiosnach* i *Jesieniach* startowałem – nigdy jednak do konkursów tematycznych tekstów swych nie posyłałem, daję słowo. Moje pisanie na zamówienie skończyło się bowiem na etapie szkolnych gazetek. Mylnie, jak sądzę, jest przeświadczenie wielu turniejowych graczy, że jurorzy i czytelnicy potrzebują właśnie takiej produkcji literackiej i że wyznacza ona jakieś nowe tropy we współczesnym nurcie poezji. Tymczasem już na początku lat sześćdziesiątych ub. wieku James W. Cunningham perswadował, słusznie zresztą, że wielu jest poetów współczesnych, którzy mimo swej współczesności, nie są wcale nowoczesni. Jego zdaniem, warunkiem nowoczesności w sztuce jest to właśnie, że przemawia ona jedynie do wtajemniczonych, wywołując u zwykłego czytelnika, którego wymagania są już ustalone tradycją, (...) odruch opozycji. Sam siebie uważam za wtajemniczonego na tyle, iż odróżniam dobrą poezję od zwykłego wierszopisania i być może dlatego wymagam od poetów konkursowych więcej, niż od tomikowych.

Może jednak, zamiast wybrzydzać, trzeba by coś sensownego doradzić także i obecnym tu konkursowiczom?

W jesiennym numerze *Nowej Okolicy Poetów* z 2002 roku (nr 10) ukazał się, bardzo pouczający moim zdaniem, wręcz metodologicznie dopieszczony, szkic Grzegorza Kociuby pt. *Literatura a pisarstwo*. Krytyk, opierając się m.in. na przesłaniach Eliasa Canettiego, noblisty zresztą, stworzył pewien modelowy wzorzec pisarza, uzupełniając go kanonem twórczych powinności. Sądzę, iż warto przytoczyć, a wnikliwszym czytelnikom pism literackich przypomnieć, najważniejsze tezy tego eseju.

Canetti postuluje otóż, aby pisarze potrafili stać się każdym, również tym najmniejszym, najbardziej naiwnym, zupełnie bezsilnym. Kociuba zaś dopowiada, że aby w twórczości umieć stawać się każdym, należy wykształcić u siebie dwie predyspozycje: wyobraźnię i bezinteresowność. Pisarz, podobnie jak aktor – i to jest już moja refleksja – musi wciąż przekraczać w sobie tego, kim jest w rzeczywistości i stawać się kimś innym, zmieniać swe wcielenia twórcze, wyobrażnia napędzić własne liryczne ja, wyobcowywać je niejako z własnych stereotypów. By jednak dokonywać w sobie takiej permanentnej przemiany, potrzeba otwierać się na rzeczywistość, zachowywać, jak to ładnie Kociuba określa, *personalne nieodmiętnie, wymykające się sobie*. Zaniedbać zatem trzeba – i tu znów cytuję Kociubę – *zdefiniowania swego stylu bycia*. Pisarz, jego – i Canettiego – zda-

niem winien być istotą nieprzewidywalną, zaskakującą siebie i innych (...) czyli dziwną dla samej siebie. Pisarz o tyle utrzymuje się na poziomie odkrywczych przemian, o ile potrafi być bezinteresowny, altruistyczny wręcz. Każda interesowność – dowodzi dalej Canetti – zawsze nas od rzeczywistości uzależnia, ta zaś schematyzuje się i redukuje do, koniecznej z twórcą, współzależności. Pisanie konkursowe, zwłaszcza pod jurorów, czy hasła wywoławcze, jest – dodajmy – takim uzależnieniem i redukcją rzeczywistości, wymuszonym zamknięciem się na to, co wymyka się konkursowej buchalterii; czasem wygląda to wręcz na zaplanowane pisarskie kunktatorstwo.

Prawdziwy twórca powinien czuć w sobie *namiętność przemiany*, a więc to, co nazwać można wewnętrznym przymusem samodoskonalenia, a co z wyraźnymi oporami u różnych poetów się objawia. Twórca winien być ciągle niezadowolony z efektów pracy, nie uznawać żadnej, choćby najdoskonalszej, realizacji za ostateczne spełnienie. Zatem żadne, nawet najokazalsze, laury nie powinny osłabiać w poecie woli coraz pełniejszego artykułowania własnego stosunku do świata

Zdaniem Canettiego – Kociuby, literata od pisarza odróżnia m.in. to, że *literat chce być blisko odbiorcy*, a zatem jest on od pisarza bliższy rzeczywistości doraźnej, a tym samym gorzej od pisarza znosi samotność. Pisarz, tak naprawdę, prawie zawsze bywa osamotniony, przy czym to osamotnienie stanowi świadomy wybór, a zatem nie jest ślepym zrządzeniem losu.

Aby poeta chwycił i opisał to, co nie daje mu spokoju, co zaprzęta jego twórczą sferę ducha, musi on przekroczyć *skonwencjonalizowany język literatury*, musi podjąć ryzyko wejścia w obszar niezbadany, groźny, który jest tylko jego obszarem. Gdyby skomercjalizować ten pogląd jedynie trochę, to moglibyśmy powiedzieć, że w tym uznajemy nowoczesności poezji osoby X lub Y, w jaki sposób przekracza ona opatrzoną już, stradycjonalizowaną formę współczesnego wiersza i co nowego wnosi do własnego języka. Trywializując nieco tę myśl, można powiedzieć, iż od nowoczesnego poety wymaga się poszukiwania własnego kodu metaforycznego, własnego językowego *emploi* i u innych niespotykanego sposobu kreowania świata. W tym sensie wyrażony teraz pogląd trafnie koresponduje z opinią przytoczanego wcześniej Cunninghama, iż forma artystyczna poety nowoczesnego musi się przeciwstawiać zarówno zapatrywanom jego czytelników, jak i jego własnych z okresu młodości. Jednakże, gdy nowoczesność się zestarzeje, ukłasyczni w sobie, jak by to można określić, gdy straci swą odrębność i świeżość, musi ratować się *sama*. Może właśnie dlatego Miłosz odszedł w *Drugiej przestrzeni* od dotychczasowej poetyki i nawet malkontentów oraz krytyków jego twórczości zaskoczył – także mnie – naprawdę pięknymi fragmentami metafizycznej kontestacji. W tym sensie poeta spełnił, przynajmniej częściowo, marzenie któremu – jak pisze Kociuba – nie może oprzeć się żaden prawdziwy pisarz: *być w Księdze*. Każde wielkie pisarstwo – przekonuje autor omawianego tu szkicu – *zerpnie siłę i natchnienie z mitu Księgi*. O takim pisarstwie mówimy, że jest wielkie, o takiej poezji – że zniewala i porywa zarazem. Właśnie mit Księgi stanowi dla mądrego i niespokojnego twórcy właściwy drogowskaz – nie zaś krótkotrwałe epizody konkursowe. Stwarzając coraz nowe wiersze, trzeba w sobie nieść wizję własnej Księgi i z determinacją tę wizję stopniowo urzeczywistniać. U Staffa było to dążenie do nieosiągalnego celu, który – jak linia horyzontu – wciąż ucieka przed nami, ale już sam ku niej marsz pozwala odkrywać krajobrazy dotąd nieznane, niespenetrowane przez naszą wyobraźnię. Również i w tym sensie poeta staje się *każdym*. Wspó-



Mariusz Trynkiewicz

## Na parapecie burzowej chmury

„Nie szpanował nazwiskiem, ni wzrostem.  
nie dla sławy, czy forsy  
- zdaloby się bez przerw –  
na swój sposób przez życie szedł ponad  
pomostem,  
po linie napiętej jak nerw”.<sup>1</sup>

WŁODZIMIERZ WYSOCKI – urodził się 25 stycznia 1938 roku w Moskwie. W roku 1960 ukończył wydział aktorski przy Moskiewskim Teatrze Artystycznym. W roku 1964 związał się z Teatrem Dramatu i Komedii „Na Tagance”. Na jego scenie stworzył blisko dwadzieścia kreacji. Oprócz tego grał w trzydziestu filmach fabularnych. Był aktorem wcielającym się w szereg postaci, niekiedy o przeciwnych temperamentach.

„Świat jest teatrem – powtarzamy za Szekspirem.  
My – ciągle w charakterystycznych rolach:  
tanten kanałią jest, ten draniem, ten – wampirem.  
Cóż – jak zwykły matwić Puszkina –  
Boża wola...”<sup>2</sup>

Napisał około sześćset wierszy, do których sam komponował muzykę i sam wykonywał je na estradzie. Są one bez reszty poświęcone człowiekowi, walce o jego naturalne prawa. Mają charakter dialogu z odbiorcą – wspólne dochodzenie do prawd oczywistych.

Inną cechą liryki W. Wysockiego jest absolutny „słuch językowy” poety. Wydobywa on na światło dzienne wszelkie zmiany leksykalne oraz intonacyjne współczesnej ruszczyzny, które są świadectwem dokonujących się procesów społecznych.

„W chwili narodzin śmierć wyznacza zgon,  
myśli geniusza w porę nikt nie chwyta,  
i wciąż odpowiedź zadajemy złą,  
nie udzielając na nią trafnych pytań”.<sup>3</sup>

Jak sam mówił – pasją jego życia był nie teatr i film, ale pieśń autorska, która należy do najstarszych gatunków literackich – narodziła się bowiem u zarania wieków, wtedy gdy człowiek pragnął przekazywać innym to, co czuje i widzi. Za ojca jej uważa się Homera. Wysocki dumny był z takiego antenata i dodawało mu to otuchy. System sowiecki, jak i zawiść, zwłaszcza wśród elit rządzących, wrogo nastawionych do twórczości Wysockiego nie ułatwiały mu życia. Jego pieśni, wiersze przekazywano sobie z ust do ust, z magnetofonu na magnetofon. Do dziś istnieją nagrania domowe dokonane podczas przyjacielskich spotkań. Koncerty odbywały się bowiem nieoficjalnie.

„Nienawiść śpiewa! Przelata się czasa!  
Czeka znów świtu, wpatrując się w mrok.  
Jakże szlachetna nienawiść jest nasza  
- Wciąż od miłości o krok”.<sup>4</sup>

To jego talent sprawił, że w ZSRR, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rozwinął się cały przemysł kopiowania dźwiękowego. Po kraju krążyły setki tysięcy taśm z nagraniami. Płyty i wiersze Wysockiego zaczęto wydawać dopiero po jego śmierci.

Do Polski jego twórczość docierała wyrwykowo. Znikoma jej częśćka bywała tłumaczona na nasz język. Mimo to i u nas Wysocki zdobył popularność. Problemy, które poruszał, nie obce były polskim słuchaczom.

1 grudnia 1970 roku Wysocki zawarł ślub z francuską aktorką Mariną Vlady.

„Zakochani będą iść i iść –  
niech im szlak rozświetli moja pieśń,  
bo «kochać» to po prostu znaczy «być»,  
a kto kocha, ten po prostu «jest»...”<sup>5</sup>

Nie znające dotąd odpoczynku życie poety nabrało jeszcze większego pędu. Przpracowywał się, słabił na scenie, stymulował „magicznymi lekami”, by zwiększyć tempo i utrzymać się na jego fali. Nie przestawał pracować, tworzyć. Marzenia obywatela ZSRR o spędzeniu choćby paru chwil w „wolnym świecie” były trudne do realizacji, a co dopiero w przypadku Wysockiego – „nieprawomysłnego poety”... Jednak ślub z Mariną Vlady otwiera mu drogę ku tym marzeniom. Wreszcie uzyskuje paszport.

„Śpi kapitan i widzi we śnie,  
że otwarto granice, że nie ma drutów i wart,  
po co komu granice, on jedynie chciał przejść się  
po tej ziemi niczyjej, zwyczajnie, ot tak,  
w końcu czemu by nie – Ziemia wspólna jest nie?  
A te kwiaty niech rwie, kto chce!  
A na neutralnej ziemi kwiatów tan,  
najurodzajniejszych, jakie znam!”<sup>6</sup>

Tak wspomina M. Vlady ich pierwsze wspólne przekroczenie granicy (dla Wysockiego – pierwsze):

„Polacy właściwie nas nie zatrzymują i kiedy tylko granica znika za kępą drzew, stajemy i wysiadamy z samochodu. Zaczynasz skakać jak żrebak i krzyć, bo szczęście przypięło ci skrzydła, długie, cierpliwie wyczekiwanie i upragniona wolność tchnęły w ciebie nowe siły. Przekroczyłeś granicę swojego kraju, chociaż nie miałeś nadziei, że kiedykolwiek stąd wyjedziesz, przed nami cały świat (...) W małej, typowo polskiej wiosce, opychamy się kaszanką z kartoflami, chłopcy patrzą na nas z zaciekawieniem, rozpięta nas radość, jesteśmy po prostu szczęśliwi (...) Przypominam sobie słowa twojej piosenki: «Darujcie chociaż trochę wiosny mi»”.<sup>7</sup>

Wysocki zwiedził prawie cały świat. Ostatnie dziesięć lat życia dzielił pomiędzy Rosję a Francję. Najwięcej jednak serdecznych uczuć żywił dla Polski. Przyjaźnił się m.in. z Danielem Olbrychskim.

Tłumaczom poezja Wysockiego sprawia ogromne trudności. Jak na razie udało się dowieść jednego – nieprzekładalności jej na języki zachodnie. Istnieją próby tłumaczenia Wysockiego na francuski (Misza Allain), na angielski (Josif Brodski), na włoski, niemiecki... Wrośnięty w słowiański krąg kulturowy, w tradycję rosyjskiego wiersza tonicznego, operujący swobodnie ogromnym wachlarzem pojęć i symboliki właściwych dla Rosji i Europy Wschodniej, Wysocki nie poddaje się próbom poszukiwań zachodnich ekwiwalentów znaczeniowych i formalnych.

Przy ul. Małej Gruzińskiej, gdzie mieszkał, stary zegar ścienny z brzozy karelskiej zatrzymał się o czwartej dziesiątej. Tutaj o świcie 25 lipca 1980 roku zmarł.

„(...) dowiedziałam się w roku 1985, że astronomowie z krymskiego obserwatorium ohrzcili nowo odkrytą planetę między orbitami Marsa i Jowisza imieniem: WŁADWYSOCKIJ. W międzynarodowym katalogu planet figuruje ona pod numerem 2374. Często patrzę w niebo i uśmiecham się na myśl, że wśród mrowia gwiazd mały świecący punkcik wędruje gdzieś w bezkresnej przestrzeni i to ciało niebieskie w wiecznym ruchu jest na zawsze związane z imieniem mojego męża. I tak jest dobrze”.<sup>8</sup>

## Przypisy:

Cytaty wierszy Wysockiego za: „Wysocki – życie i twórczość”, Wydawnictwo „Współpraca”, Warszawa 1989

<sup>1</sup> Przekład K. Rozner

<sup>2</sup> Przekład K. Rozner

<sup>3</sup> Przekład M. B. Jagiełło

<sup>5</sup> Przekład M. B. Jagiełło

<sup>4</sup> „Ballada o nienawiści”, przekład W. Kaleta, „Wysocki – ballady i pieśni”, R.W.P. Rzeszów 1989

<sup>6,7,8</sup> M. Vlady – „Wysocki, czyli przerwany lot”, Wydawnictwo „Czytelnik”, Warszawa 1990

mniałem wcześniej o tzw. poetach tomikowych. To oni właśnie obiegają różne regionalne wydawnictwa i prywatne drukarnie, oni tworzą na rynku czytelnym masę krytyczną, bardzo niejednokrotnie uciążliwą dla opiniodawców i prasy literackiej. Liczba recenzji, jaka ukazuje się choćby na łamach *Akantu*, pokazuje jedynie wycinek problemu i stanowi – tak myślę i przeczuwam – ledwie wierzchołek góry lodowej. Tomikowi poeci, nad czym trzeba ubolewać, nie tworzą *Księgi*; oni jedynie pomnażają swój dorobek wydawniczy, własną bibliografię. To wielu z nich szuka samorealizacji w turniejach jednego wiersza, konkursach na wiersz lub zestaw wierszy, na spotkaniach autorskich w klubach i bibliotekach, wreszcie u lokalnych impresorów i drukarzy. Ta masa krytyczna uwidocznia się również i w kolejnych edycjach rozmaitych konkursów literackich, z czym muszę sobie radzić jurorzy, czytający owe setki wierszy i szukający tego jednego, który zaskoczy, olśni, odbierze dech piersiom. Czasem takie momenty się zdarzają, ale tylko czasem. I to potwierdza ów dramat poetów konkursowo-tomikowych, którego, być może, nie są w pełni świadomi, polegający na mnożeniu materialnych bytów książkowych, a nie na pisaniu *Księgi*, o co się Kociuba tak bardzo upomina. Co do mnie, zgadzam się z nim. I ma rację, gdy pisze, że odpadają od pisarstwa ci, dla których jest ono tylko rodzajem przygody, snobizmu, złudzenia, a więc czymś, co z pisarstwem ma niewiele wspólnego.

W konfrontacji z odkrywaniem, zmieniającym swą postać światem, stanowiącym materialno-duchowa totalność, pisarz podejmuje ryzyko obcowania z nią. Ostają się w pisarstwie jedynie ci, przekonuje Canetti, dla których zmaganiem się z ową totalnością jest sprawa życia i śmierci, a mniej patetycznie – sensu lub bezsensu własnej egzystencji. Prawda, stwierdzenie to brzmi groźnie, ale kto powiedział, że pisarstwo to niewinna zabawa, gra w klasy, lub w zośkę? Jeśli kogoś nie stać na podjęcie ryzyka, aby być poetą autentycznym, powinien przemyśleć dotychczasową drogę twórczą i ocenić w tym względzie swoje szanse oraz określić stopień własnej determinacji. Należy bowiem, w ostateczności, odpowiedzieć sobie na pytanie, czy doświadczanie świata poprzez twórczą samotność jest możliwe, psychicznie zgodne z osobowością. To właśnie w samotności następuje porządkowanie chaosu świata, jego osadzanie i wysypywanie zeń punktów krytycznych. Dlatego trudno nie zgodzić się z Canettim, gdy mówi, że samotność – to kamień probierczy charakteru człowieka twórczego. Człowiek słaby łąnie do tłumy, pragnie się napęścić jego rzekomą siłą, człowiek silny idzie na pustynię, by przekonać się, kim jest. I dalej: W pisarstwie właśnie nie talent, ale charakter jest najważniejszy. (...) Charakter jest kręgosłupem osobowości pisarza. Przyznają Państwo – mocne to słowa. Ale przecież każda twórczość wysoka nosi w sobie piętno owej osobowości, która ją stworzyła. I wtedy jeszcze jest wielka, gdy nie ulega presji innych, gdy nie pozwala sobie narzucić obcych poglądów Niegdysiejsze zmagania z cenzurą stanowiły taką właśnie próbę charakteru dla wiernych sobie twórców. I, im więcej z tych zmagani zachowało się w samej literaturze, tym łagodniej obeszły się z nią czas i krytyka. Niemniej, komercyjna rzeczywistość już gubi po drodze różne perły naszego pisarstwa, by wspomnieć choćby Kornela Filipowicza w prozie i Wiktora Woroszyłskiego w poezji. Nie powinno to jednak osłabiać woli poetów do akcentowania swojej odrębności, swej obecności – nie tylko tu i teraz, ale także potem i gdzie indziej. Wiem, są to zadania trudne, w wielu przypadkach z pewnością niespełnialne, ale czy to ma oznaczać, że całe życie twórcze trzeba ograniczać jedynie do układania kolejnych, nawet i zgrabnych wierszy oraz popelniania kolejnych skoków na konkursowe kasy?\*



Stanisław Stanik

## Chcę opanować różne światy

Rozmowa z Jerzym Świątkowskim – malarzem piszącym wiersze

– Każdą artysta ma prawo do własnego świata. Jak wiem, świadomość nie tylko artystyczną, ale i filozoficzną zdobywałeś przez czytanie, w dysputach, w rozważaniach. Pewnie urobiłeś sobie swój odrębny pogląd ogólny... Dlatego zacznę od początku: Jak według Ciebie zrodził się świat? Czy masz samodzielną koncepcję tego aktu?

– Według mnieamania bardzo wielu znakomitych uczonych, m.in. Einsteina, Plancka, Edisona, bez pojęcia Boga istnienia świata nie można przyjąć za wiarygodne. Ale według mnie Bóg jest niezwykle odległy od Ziemi, jako że Ziemia znajduje się w dalekim i ciemnym zakątku Wszechświata. Życie na Niej powstało przez przeszywanie promieniem słonecznym dwóch odmiennych komórek, a zaczęło komplikować się w wodzie. To komplikowanie na naszej planecie upodobało sobie pierwszy, nieudany, syn Boga, szatan, który zaczął starać się, by na swoje potrzeby stworzyć istotę rozumną; a że za każdą próbą wywołania takiej istoty zawsze wychodził mu insekt, gad lub potwór, załamany udał się do Boga jako syn marnotrawny, z prośbą, aby mógł mu ten zamiar wykonać. I Bóg mu pomógł. Z jego mocy powstał człowiek jako półbydła i półświety. Następnie Bóg zobaczywszy, co uczynił, zesłał na Ziemię drugiego swojego Syna, Jezusa, aby nieudanych i opętanych szatanem ludzi ratował. „Sam Bóg ustalając i manifestując się poprzez prawa, nie może objawić się za pomocą gwałcenia tychże praw” – napisała o sposobie istnienia Boga Halina Pezdun w książce „Tajemnice Wszechświata”. Można przyjąć, że głowa człowieka to centrum świata albo, że materia jest Bogiem, ale to by znaczyło, że materia nie ma np. pajaków, które w niej poruszają się? Podzielać ciekawą koncepcję narodził człowieka za Haliną Pezdun: „Kiedy dusza wyłania się z Boga i przymierza się do przyjścia na świat, Adonai bierze ją delikatnie w dłonie, całuje i mówi: przeznaczylem ci taki los, ażebyś to, a to uczyniła dla naszej wspólnej chwały, albowiem nic na Ziemi nie dzieje się bez planu i bez wyższych racji”. A mój świat zaczął się w chwili, gdy w mój dom w Grudziądzu, w którym się urodziłem, uderzyła kilkumetrowa bomba i nie wybuchła, tylko zawisła na drucie i dyndała nade mną, a potem urodziłem się po raz drugi, kiedy poznałem hrabiankę po Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, która mnie po nocach dokształcała w matematyce, chemii i fizyce, a następnie urodziłem się po raz trzeci, kiedy Ryszard Milczewski-Bruno podał mi rękę aż po ogień piekielny, ale różnie z nim bywało, najważniejsze że pisał, stworzył nasz język kumpki, który był dla podniebienia, bo był i moim językiem. Bruno nauczył mnie patrzeć na świat, na to co ważne, a co nie. Napisał felieton z mojego opowiadania o fabryce, w której pracowa-

łem, tylko dlatego, żeby dokuczyć moim pracodawcom, uważających się za bogów. I efekt był zadawalający, bo uzurpatorzy byli wołani „na dywanik” do większych od siebie bóstw.

– Ale po kolei... Gdy już zaistniał świat, a na nim człowiek (z Tobą przede wszystkim), człowiek zapragnął uwiecznić siebie i to, co widział. Tak powstało malarstwo. Co sądzisz o prapoczątkach tej sztuki, a także o jej dniu dzisiejszym?

– W Grudziądzu dla mnie jako małego chłopca była, a teraz jest dla innych, wspaniała Biblioteka Miejska, w której wszystko o wielkich i małych artystach malarzach i innych twórcach przeczytałem. Także książki o pisarzach współczesnych, a Bruno dodatkowo mi wybierał w księgarni, więc poznawałem na raty: M. Rilkego, F. Garcio Lorke, I. Sartre’a, A. France’a, B. Hrabala, B. Pasternaka, S. Jesienina, pisarzy amerykańskich i iberoamerykańskich. Dużo moich pieniędzy szło na tomiki poetyckie, nie mniej niż na piwo. Obecnie rozczytuję się w takich lekturach jak „Tajemnice Wszechświata”, „Księżyc ciemności”, „Malarski żywot Chełmońskiego”, „Tajemniczy świat nowotworów” itd. Pewniej czuję się, gdy się dowiaduję, że świat składa się z oktaf, trybów, wirów, wiatru, esencji; że człowiek jest mikrokosmosem, że „artysta tworzy, a ludzie odbierają jego dzieło w sposób uwarunkowany poziomem, na którym sami się znajdują” (Halina Pezdun); że artysta znajduje się we władaniu idei lub nastroju, których de facto nie rozumie i dlatego dzieło „TWORZY SIĘ SAMO”. To, że powstał Świat, że Ziemia ukształtowała się zapewne cudem po kataklizmie, sprawiło w następstwie chęć uwiecznienia widoków przez człowieka. Ale widoki a twórczość malarstwa to duża różnica. Aby z farby wydobyć życie, do tego trzeba się uczyć, a obrazy jako dzieła powinny głównie być obiektem nauki. Problem w tym, że odbiorca jako oprawca chce, aby artysta malował tak, jak on sobie niejasno wyobraża, bo nie przyznając się do tego otwarcie, nie zna się na pracach malarskich. Współcześnie, ze względu na schlebienie widowni, nie ma wybitnej sztuki. Np. w Warszawie autorskie malarstwo nie istnieje, malarze malują pastisze, a czynią tak, aby utrzymać się z tego. W ogóle stolica jest trudnym rynkiem i niezbyt sprzyjającą sceną dla sztuki. O Chełmońskim wyczytałem, że w Warszawie cierpiał głód, a jego koledzy malarze łapali koty na kotlety, aby nie kipnąć. No cóż, w Warszawie nie dano zarobić ani Chopinowi, ani Norwidowi, ani Sienkiewiczowi, ani Żeromskiemu, ani Reymontowi, ani Hłasce. Wielu znakomitych wyjechało z tego miasta carskich oficerów. Gdy Chełmoński wyjechał do Paryża, bo w stolicy był wyśmiewany, to tam zarobił tak dużo franków, że po powrocie do niej mógł sobie kupować falbanki do pizamy ku zdumieniu tępych ówczesnych krajowych dziennikarzy. „Historia naszej sztuki jest historią naszej nędzy”, powiedział Witkiewicz. A nawiązując do naszych czasów i teraz pieniądze mają tylko aferzyści i rządowi dygnitarze. Według nich malarze mają malować za darmo, pisarze pisać dla idei, a muzycy grać na ulicy.

– Potem pojawiła się na widnokręsie dziejów poezja jako sztuka bardziej abstrakcyjna od malarstwa. Co sądzisz o niej?

– „Energia ludzka skierowana w jakimś kierunku, również wzmacnia się nagle, a potem nagle słabnie” – powiada H. Pezdun. Od siebie dodam, że po tym jak pojawił się język mówiony, w konsekwencji narodził się i pisany, gdyż świat wydał istotę rozumną. W konfrontacji wszystkich z wszystkimi języki tak się poplątały, że zrodziła się nienawiść. Aby to naprawić (ten świat),

zrodził się Stary Testament, Nowy, Apokalipsa. Czy z tego wzięła się poezja? Nie wiem. Samo powstanie Wszechświata to poezja, a jego dzieło nie się – proza.

– Czy masz własny program, własne credo poetyckie? Jak byś je wyraził?

– Wiersze zacząłem pisać dopiero jak urodził Ryszard Bruno-Milczewski. Pisałem przez cały stan wojenny, bo prawie nie wychodziłem z domu. Zaczęłem tworzyć dlatego, żeby udowodnić różnym literatom, którzy bez przerwy się dziwili, dlaczego ja między nimi się pętam, że nieprzypadkowo przyjaźniłem się z Brunonem i byłem dla niego „dobrym wujkiem”. Do dziś pisanie wierszy nie traktuję poważnie, chociaż wiersze leżą na ulicy, a nawet na parapetach, i można je zbierać jak kwiaty. Gdy moje podania, pisma urzędowe i pisma procesowe w tym państwie bezprawia nie skutkują, to piszę wiersz za wierszem o prawdzie. Moje pisanie, to język jako pięść na odczepne, bo pamiętam, że jak w samoobronie waliłem w zęby, to wtedy miałem spokój, a obecnie jak nie mam siły i przyzwolenia, to różne bękarty chcą mnie zeżreć żywcem. Okradają mnie z obrazów na wyścigi. Bruno uważał, że poezja to matematyka wyobraźni, a ja twierdzę, że poezja to tylko ujawnianie prawdy, filozoficznej prawdy, której w Polsce nikt nie lubi i nie rozumie. Tubylcy sobie tylko kadzą, że jest inaczej, obrzucają się szarą maścią, kradną i fałszują, co popadnie. A w tym kraju nigdy prawa nie było. To niby prawo oparte jest na prawie Cesarstwa Rzymskiego i jest akurat dobre dla barbarzyńców, co udowadniam w mojej powieści pt. „Od kolegium do kolegium przez wszystkie sądy aż do Strasburga”. Tak więc moja poezja ma się czym żywić, a jak nie mogę wszystkiego wyrazić wierszem, to sięgam po prozę.

– W jaki sposób dochodziłeś do wykształcenia swoich poglądów?

– Miałem do niedawna, bo umarli, dwóch kolegów profesorów, którzy wykładali filozofię na ASP i UW i zawsze, gdy synalkowie i córki prominentów dawali im szmal na wódkę, żeby mieć wolne, to ja spotykałem się z nimi w SOP i musiałem wysłuchiwać ich wykładów z filozofii do późna. Historię filozofii znam więc na tyle, że prawie wszystkie moje grafiki i obrazy zawierają aspekt myślowy i mieszczą się w moim ogólnym systemie intelektualnym. Poza wyjątkami odbiorcy sztuki tego nie zauważają, bo to falanga inżynierów lub politologów z podrzutu dokonanego przez czerwonych oficerów Katarzyny. Mój cykl grafiki pt. „Materia”, zawierający około 30 tytułów, wykonałem na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych intuicyjnie, kiedy jeszcze nie znałem dobrze myśli filozoficznej i między innymi na podstawie tych prac przyjęto mnie do ZPAP.

– Którzy poeci, Twoim zdaniem, są twórczości swojej, najgłębsi, najczęściej zawierają w niej filozofii, a z tych którzy mogliby być dla Ciebie patronami?

– Antoni Kępiński twierdzi, że już od początku I wojny światowej sentymentalne widzenie świata nie ma nic wspólnego ze światem znanym ludziom z doświadczenia. II wojna światowa, hitlerizm i stalinizm, doprowadziły świat do czystej brutalności. Mówienie o świecie słowami sentymentalnymi młodsze pokolenia (powojenne) odbierają jako zakłamanie i próbę zakrycia prawdy o nieludzkiej rzeczywistości. Prawda ta znalazła swego brata w bardziej Ryszardzie Milczewskim-Bruno. Piszę o przekrętach w ludzkim działaniu, o hochsztaplerach wszelkiej maści i o pozerstwach, m.in. akademików, którzy z powodzeniem udają ważne figury. O poetach będących mi wzorem mógłbym rozprawić długo, trochę odczytałem się w poezji, lecz wymienię nazwiska, szczególnie mi nieobojętne: Apollinaire, Bursę, Milczewski-Bruno, Wojacek. Wszystko to są poeci przekleci, nie przyświeca mi jednak wzór ich życia, lecz ich poezja. Chodzą pogłoski, że jestem awanturnikiem, pijakiem itd. Tymczasem

Uratuje każde auto  
szybko • uczciwie • elegancko

FIRMA USŁUGOWO-HANDLOWA

Jerzy Szreder

- blacharstwo samochodowe
- mechanika samochodowa
- sprzedaż części do różnych typów samochodów
- elektrotechnika

ul. Szajnochy 14, 85-738 Bydgoszcz  
tel. (052) 342 02 16

alkoholu w zasadzie nie piję. Piję dopiero wówczas, gdy doprowadzony jestem na krawędź otchłani piekielnej. Mogę być więc „przeklęty” jako ten, który nie popiera wieszcy zza biurka, tworzących wiersze jak woda na młyn kolejnych rządów, warcholów, chodzących stadami, wiernym bandy idiotów.

– Jakie przesłanie, tezy sprawdzone długim doświadczeniem, chciałbyś przekazać młodszymi adeptom sztuki poetyckiej i malarzkiej?

– W związku z faktem, że pisanie i malowanie są najtrudniejszymi zawodami, uważam, że najpierw do nich trzeba naleźć się przygotować – fizycznie i intelektualnie. Wpierw trzeba żyć, a potem pisać i malować. Poeta powinien codziennie do domu na plecach przynosić metafory, a malarz dysponować taką kondycją, żeby codziennie po co najmniej osiem godzin malować. Poszukiwanie tematu przy biurku lub na płótnie to strata czasu i materiału. Bruno przestrzegał mnie, że można żałować przegranej z powodu trującej twórczości, życia. A tymczasem według pobjętej opinii każdy akademik jest lepszy, ale i mądrzejszy i silniejszy. Na szczęście dużo z nich poumierało, m.in. z nadużywania alkoholu, żyłaków, padaczki, paraliżu i reumatyzmu, raka, a ci co jeszcze żyją, chodzą niczym żuczki zgięci w pałak. Osobiście dopiero teraz doceniam fakt, że w młodości uprawianie sportu przydało mi się do czegoś. W młodości i juniorach odnosiłem sukcesy, kilka razy byłem w boksie mistrzem Polski. Nie potrafię tylko obronić się przed ursynowskimi złodziejami, ale to jest wina tej nieludzkiej transformacji ustrojowej, o której też należałoby napisać wiersz. Tymczasem mówię o prozie życia i wykraczam poza zakres pytania.

– Czy uważasz, albo inaczej: czy nie nachodzi Cię myśl, że jesteś „płaskim” filozofem, niewydarzonym poetą i rozwidrzonym malarzem, a co więcej – nieokrzesanym człowiekiem, o co niektórzy Cię posądżają?

– Skoro muszę, będę się bronił. W wielkim skrócie powiem tak: Od czwartego roku życia

uczyłem się rysować i malować. Jeden z akademików raz w tygodniu udzielał lekcji moim sąsiadkom, hrabiankom, a ja byłem do nich często zapraszany, na lekcje przede wszystkim (hrabia chciał mnie nawet usynowić). Potem wychowywały mnie i doksztalcały hrabianki innego herbu, nawet uczyła mnie bona od Czartoryskich, a potem wybitni artyści, laureaci międzynarodowych biennale lub międzynarodowych wystaw, m.in. Z. Matuszczyk-Cygańska, K. Cander, E. Geno, T. Rumiński. Ostatni zebrał kosz medali, a ja współpracowałem z nim i jeździłem „na dziewczyny”. Wykonałem z nim kilka plakatów i projekty wstępne do wystawy „30-lecie PRL” w sześciu miastach Stanów Zjednoczonych. Przedtem dużo dał mi dwuletni pobyt w Świnoujściu, gdzie poznałem kolonię prawdziwych artystów. Byli to m.in. Osuchowski i Tamiola, z którymi współpracowałem. Nawiasem wspomnę, że nasza znajomość zaczęła się od tego, że pokazali mi grafiki na beczce od piwa. Obracałem się i z innymi plastykami, którzy przeszli przez Wrocław (Masznicz, Geno, Ciapało) i oni bardzo nisko oceniali artystyczny poziom ASP w Warszawie. Ja zaś po tej szkółce przyjechałem ze Świnoujścia do Warszawy. Nie miałem żadnych super zleceń, bo nie byłem partyjnym ani prominentem, ale zarabiałem wystarczająco i moje obrazy cieszyły się zainteresowaniem. Tak to w faktach przeciwstawiam się zawartym w podtekście pomówieniom o moją słabą kondycję jako człowieka filozofującego, piszącego wiersze i malującego obrazy. Pamiętam taki utwór, który mówi o skłonnościach człowieka: „Dwa duchy zajmują się człowiekiem/ Duch prawdy i duch błędu/ A pomiędzy nimi stoi rozum/ może się skłonić w tę stronę w którą zechce”. Stosując się do tej maksymy, wybierałem świadomie, to co dobrze mi służyło, a społeczności miało przynieść korzyść. Czy mi się w pełni to udało – nie wiem, ale twardo i otwarcie szedłem przez życie, pokonując trudności, o których by mówić dłużej.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Stanisław Stanik

## Włodzimierz Wysocki

### Marinie, jedynej miłości mego życia

Nade mną lód i w dole, pod stopami,  
czy wzbić się mam, czy zejść mam  
do otchłani?  
Rzecz jasna wzbić się! W nadziei trwać  
i trwać.  
I tylko w świat podania za wizami ślać.

Już słyhać lodów szcęk, noc mija  
jedna, druga,  
ja przetrwam czysty, prosty, choć  
przecież nie od pluga,  
a ty się nie martw, wróć okrętów  
dawnym szlakiem,  
spamiętam wszystko, wiesz, widzę jak  
na dłoni.

Niestary jestem – ot, czterdziestka  
z hakiem,  
przez Ciebie żyję i dobry Bóg mnie  
chroni,  
ja mam co grać, gdy wezwie Pan i  
przyjdzie tam do grania,  
i mam też z Nim tych kilka spraw  
do obgadania...

Przekład z rosyjskiego  
Daniel Olbrychski i Agnieszka Osiecka

## Mariusz Trynkiewicz

### Nie czas żałować róży?

Jak Jakub z Aniołem, tak ja z tym wspomnieniem

mocuję się nadaremnie,  
bo ono silniejsze ode mnie  
i słodkie nieskończenie...

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA urodziła się w 1894 roku jako córka, cenionego nawet na dworach cesarskich, batalisty i portrecisty Wojciecha Kossaka i wnuczka malarza koni, batalisty, malarza rodzajowego Juliusza Kossaka. Jak na Kossakówkę przystało, urodziła się w Krakowie, gdzie spędziła lata dziecięce. Willa „Kossakówka”, stojąca na krańcach ówczesnego grodu Kraka, z dwiema pracowniami malarzskimi, ogrodem z furtką na Błonie, pobliska Wisła i Wawel, to miejsca, gdzie dorastała. W wieku ośmiu lat uległa wypadkowi, który doprowadził do skrzywienia kręgosłupa, a w następstwie przyhamowania wzrostu. Jej dzieciństwo i lata dziewczęce znane są dzięki opowieści biograficznej pióra jej siostry pt. „Maria i Magdalena”.

Pawlikowska kształciła się w Akademii Sztuk Pięknych. Interesowały ją szczególnie nauki przyrodnicze – botanika, zoologia, a jednocześnie poezja. Nie poszła w ślady przodków. Odrzucając paletę, studiowała samodzielnie literaturę oraz filozofię.

Na tle dwóch innych, głośnych w literaturze Kossakówien – rodzonej siostry Magdaleny Sa-

mozwaniec i kuzynki Zofii Kossak-Szczuckiej wyróżnia się indywidualnością i pisarską oryginalnością. W literaturze polskiej XX wieku należy do czołówek. Jako pierwsza spośród kobiet tworzy lirykę miłosną, dotąd domenę mężczyzn. Dzięki temu w dwudziestoleciu międzywojennym zajmuje miejsce na poetyckim Parnasie obok swoich przyjaciół – Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego, Jarosława Iwaszkiewicza.

W 1922 roku ukazuje się pierwszy tomik jej wierszy „Niebieskie migdały”. Podpisuje go nazwiskiem Pawlikowska (pomija rodowe Kossak).

Na liściu leży kwiat  
drzemiący,  
żółtawobiały jak stoniowa kość.  
Słodki, że aż nudzi.  
Przedmiot pachnący –  
złośliwie tajemniczy świat –  
dziwny gość  
wśród nas, ludzi.

Znany jest entuzjazm Stefana Żeromskiego dla poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Poetka pisze i wystawia także sztuki teatralne. Jej wiersze wyróżniają się kondensacją liryczną i precyzją obrazowania, co jest wyrazem stylu nowej epoki. W późniejszym okresie utwory nasycone są ekstazą uniesień miłosnych i żywiołową radością życia.

Trzeci zbiorek „Pocałunki” należy do szczytowych osiągnięć poetki. Łącznie wydała w Warszawie dwanaście tomików wierszy. Jej domeną była refleksja wynikająca ze sceptyczno-racjonalistycznej analizy własnych odczuć, ze świadomości przemijania i bezwzględności natury.

Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie.  
Patrzysz w okno i smutek masz w oku.  
Przecież mnie kochasz nad życie?  
Sam mówiłeś przeszłego roku...

Śmiejesz się, lecz coś tkwi poza tem.  
Patrzysz w niebo na rzeźby obłoków...  
Przecież ja jestem niebem i światem?  
Sam mówiłeś przeszłego roku

Po wybuchu wojny i klęsce wrześniowej M. Pawlikowska-Jasnorzewska emigruje do Anglii. Ucieka od wojny w świat przyrody, jednak jej twórczość tego okresu nie ma już takiego blasku artystycznego, który zawsze ją wyróżniał.

Udręczona wojną, tęsknotą i chorobą Maria Pawlikowska-Jasnorzewska umiera w sile wieku i możliwości twórczych 9 lipca 1945 roku.

Nie czas żałować róży, kiedy płoną lasy –  
Nie czas lasów żałować, kiedy płonie świat,  
Gdy obszar ziemski jedną staje się Saharą...  
Nie czas żałować świata, gdy wznowił się chaos.

Gdy dnia i godziny nikt nie wie,  
Kiedy Bóg, kulą ziemską w pierś trafiony, padł  
I powstał, jak lew w swym gniewie! –  
Gdy noc każda najgłębszą czerni się żałobą...

Jednak żałuje róży i płacze nad sobą...

Sławomir Fetter

Sęp?

Nie jestem felietonistą, czasem tylko piszę wiersze. Wiadomo, wiersze świata nie zmieniają, nawet nobliści nie mają wpływu na polityków, jednak gdy ktoś wmanewrował nas w wojnę, trzeba protestować w każdy możliwy sposób. Przeczytałem uważnie tekst Jerzego Hłonda pt. „Goliat” w lipcowym numerze „Akantu” (s. 37), i nie wytrzymałem, z nadmiaru emocji i słów, które cisnęły mi się do głowy, popeliłem ten tekst.

Otóż, zgadzam się z każdym zdaniem, które tam padło. Polityka Stanów Zjednoczonych od zakończenia drugiej wojny światowej opiera się na zwalczaniu gospodarczym, politycznym i militarnym państw opornych, o niekapitalistycznych systemach rządzenia. Często podstawą wyjścia do tego typu działań, jest mówienie półprawd, by tylko w wygodny dla siebie sposób uzasadnić kolejne interwencje. Półprawd, które po pewnym czasie okazują się pełnym kłamstwem. Kiedyś niemożliwość natychmiastowej komunikacji utajniała takie fakty, teraz wszystko można zweryfikować. Już wiemy, że Irak nie posiadał broni masowego rażenia, że był to tylko pretekst do obalenia rządów Saddama Husajna, lecz jeśli do tej pory takiej broni nie ma na terenie Iraku, nie znaczy to, że nie zostanie tam znaleziona. CIA nie takie sprawy załatwiała.

Skandalem jest, że rząd RP podjął decyzję

◆ Dokąd zmierzamy? ◆

o udziale Polski w tej drace, bez konsultacji i bez głosowania w sejmie. Do Iraku wysłanych ma być około 2000 tysięcy polskich żołnierzy. Kosztować nas to będzie podobno 140 mln. zł. Doprawdy, bogatym jesteśmy państwem, by tak marnotrawić publiczne pieniądze, licząc na złudne zyski. Wkładamy właśnie palce między drzwi, więc musimy być przygotowani, że będzie bolało. Wojna jest złem i piekłem, tragedią zarówno dla żołnierzy jak i ich rodzin, wiemy o tym jako naród. „... Front jest jakimś niesamowitym wirem, kiedy jest się jeszcze na cichych wodach, daleko od jego centrum, już wyczuwa się jego siłę ssącą, która wciąga nas z wolna nieuchronnie i bez szczególnego oporu...” pisał Erich Maria Remarque w książce pt. „Na zachodzie bez zmian”. „... Tym co się wówczas w nas budzi jest zwierzęcy instynkt, który nami kieruje i chroni nas”. Nie wszystkich żołnierzy jednak się ochroni i niestety musimy być na to przygotowani. Siły amerykańskie w Iraku są atakowane kilka razy dziennie. Bardzo możliwe więc, że w dniu w którym zginie polski żołnierz, amerykański komunikat wojskowy ograniczy się do zdania, że nie zdarzyło się nic godnego wzmianki. Jestem obywatelem tego kraju, płacę podatki, lecz nie mam wpływu na co zostają one wydane. Nie chcę jednak i nie życzę sobie oglądać naszej flagi nad iracką ziemią. Każde niepodległe państwo

ma prawo do samostanowienia, a w razie ataku do obrony swojego terytorium. Myślałem, że czasy kolonializmu mamy już za sobą, okazuje się, że jednak nie; u boku Wielkiego Brata zza Atlantyku stać nas i na to.

Do tej pory polski turysta mógł swobodnie i bezpiecznie wjechać do krajów arabskich. Mógł chodzić z podniesioną głową i patrzeć prosto w oczy. Teraz jakoś głupio i wstyd, i słów z pewnością zabraknie, by im wytłumaczyć to wszystko. Polscy żołnierze zostali wysłani przez nasze władze; jednak są ochotnikami, mogli odmówić, nie zrobili tego licząc na finansowe profity wynikające z tej ciężkiej i niebezpiecznej misji. Rząd liczy na udział polskich firm w odbudowie Iraku. Oby to wszystko nie okazało się tylko pustynną fatamorganą.

Czy naprawdę liczą się tylko zyski?

Może więc to nie orzeł unosić się będzie nad odległą pustynią, lecz sęp oportunistą? Warto jeszcze przytoczyć tekst popularnej piosenki, którą wykonywał kiedyś Stanisław Grzesiuk: „...Dyrektor w gabinecie kolację smaczną pcha, wesoly jest bo przecież waleczną armię ma, a gdy robociarz marny w okopach będzie gnął, on grubą forszę zgarnie i brzuch mu będzie tył” i dalej: „...Na placu Piłsudskiego trębacze w trąby dmą, tam wódz państwa polskiego przyjmuje armię swą, a gdy ktoś kwiatki głupie, na grobie złoży twym to ty, nieznanym trupie, zaśpiewaj razem z nim: niech żyje wojna, muzyczka marsza rżnie, wojna – pieniążki sypią się, wroga bij w imię Boga, za cudzą kieszeń oddaj młode życie swe”.

W tej niewesołej sytuacji przypomniał mi się żart, jak to chuligan uratował życie staruszcze. Po prostu w pewnym momencie przestał ją kopać...!

Jacek Krawczyk

Póki żyjemy

Każdy świt przybywa z mroku i przynosi tysiące nowych pytań skażonych nicością. Choć nieustannie zatruwają nam myśli, próbujemy odnaleźć cel naszego istnienia i pragniemy nadać sens naszemu trwaniu. Chronieni zbroją bezsilności i tarczą złudzeń, z każdym powrotem słońca idziemy bić się o prawdę. Jednak w walce tej zawsze przegrywamy, a jedyną szansą, by żyć dalej, jest codziennie ponoszona porażka. Zranieni nagim ostrzem otaczającej nas zewsząd pustki, uciekamy o wschodzie księżyca w nocny sen, który koi nasz ból i dodaje sił, abyśmy o poranku gotowi byli do następnej bitwy, a wieczorem do kolejnej klęski.

Niestrudzenie poszukujemy przyczyny, dla której się rodzimy, i powodu, dla którego umieramy. Pełni strachu przed przemijaniem i nic nie znaczący wobec wieczności, oszukujemy się, że życie nasze jest jedynie przystankiem w podróży do lepszego świata. Z towarzyszącą nam wiernie trwogą podążamy przed siebie, lędząc się, że każdy krok przybliży nas do nieśmiertelności. Lecz, ponieważ przyszłość oparta jest jedynie na pragnieniach i niepewności, boimy się upływu czasu i żałujemy chwil ulatujących ku przeszłości. Lękamy się, że życie jest drogą wiodącą ku utopii, a śmierć jest tylko końcem naszego trwania. Bronimy się z uporem przed myślą, że początkiem i kresem istnienia jest nieistnienie.

W naszym przyjsciu na świat i odejsciu z niego doszukujemy się ingerencji jakiejś siły stwórczej, która świadomie zesłała nas tu na moment, aby potem zabrać do siebie i obdarzyć wiecznością w swym królestwie. Są też i tacy, którzy wierzą, że droga, po której idziemy, zatacza krag, a nam wciąż przychodzi zaczynać od nowa. Wierzą, iż koniec jest jedynie począt-

kiem następnego końca. Jednak każdy z nas spotkał już w swej ziemskiej wędrówce drogi, które kończyły się bezdrożem. Świadomość, iż życie może być im podobne, przeraża nas i zmusza do dezercji w marzenia.

W pustej celi umysłu zostawiamy pytania bez odpowiedzi, lecz wracamy wciąż do nich, pchani nieustannym pragnieniem poznania i poczucia pewności. Żywot nasz to ciągle rozstania z pytaniami i powroty do niewiedzy. Ustawicznie zastanawiamy się, dlaczego tu jesteśmy i dokąd zmierzamy. Nikt nie dał nam wyboru, nikt nie spytał, czy chcemy żyć i nikt też nie spytał, czy chcemy umierać. Daremne są dociekania przyczyn naszej egzystencji, gdyż nigdy nie dowiemy się, skąd przyszliśmy. Poznamy być może jedynie miejsce, które będzie kresem naszego losu. Lecz nawet tego nie wiemy, ponieważ nie mamy pewności, czy takowe istnieje.

Nie ma więc sensu analizowanie dlaczego, skąd i dokąd. Powinniśmy raczej rozmyślać nad tym, po co żyjemy i dla kogo. Szukajmy więc znaczenia bytu w codzienności. Wszystko może być celem i wszystkim może być sensem. Poznanie świata, które nas ogradza, daje nam spełnienie. Choć każdy nowy dzień przypomina o naszej nikomości i sprowadza kolejne zmartwienie, nie wolno nam poddawać się trwodze. Szczęście jest ulotne i krótkie, jak chwila między jednym oddechem a drugim.

Radujmy się więc naszym trwaniem i poddawajmy się sile, która zmusza nas do miłości, gdyż to ona jest środkiem poznania. To uczucia i pragnienia, którymi jesteśmy spleceni, nadają sens wszelkiemu działaniu i prowadzą ku spełnieniu. Możliwe jest ono jednak tylko tu i teraz, jedynie do momentu, w którym wypali się nasz ziemski czas, a my zgaśniemy. Nie potrafimy

powiedzieć, co jest dalej. Póki żyjemy, nie dowiemy się, czy kresem naszego istnienia jest nieistnienie, czy wieczność, czy też jest ono początkiem nowego istnienia, a więc kolejnego kresu. Wszystko to pozostaje pytaniem.!

PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUG KOMUNALNYCH

ul. Smoleńska 41; 85-871 Bydgoszcz  
tel./fax 320-81-80; 320-81-85

www.ccorimp.com.pl; e-mail: corimp@corimp.com.pl

- ▷ wywóz nieczystości stałych komunalnych
- ▷ wywóz nieczystości komunalnych gromadzonych selektywnie – segregacja odpadów systemem worków w domkach jednorodzinnych
- ▷ podstawianie i opróżnianie kontenerów do gruzu, złomu itp.
- ▷ wywóz nieczystości wielkogabarytowych
- ▷ mechaniczne oczyszczanie ulic, przystanków komunikacji miejskiej oraz miejsc użyteczności publicznej
- ▷ odśnieżanie i usuwanie śliskości oraz utrzymanie przejezdności w ramach zimowego oczyszczania dróg
- ▷ wazenie usługowe pojazdów i towarów

BAZA TRANSPORTOWA

ul. Smoleńska 154, 85-871 Bydgoszcz  
tel./fax 320-81-70

Zdzisław Tadeusz Łączkowski

## Region – to ziemia żyzna kulturowo

Od wielu, wielu lat, jestem związany z różnymi regionami bardzo serdecznymi więzami. Z Zagłębiem Śląsko-Dąbrowskim, ziemią, piękną ziemią ciechanowską, Białą Podlaską, Siedlcami, Kujawami z Bydgoszczą na czele, jakże godną ziemią staszowską, a ostatnio Podhalem, gdzie swój dom rodzinny w Biadolinach posiadają Iza i Jacek Filipkowie. Stąd jakże blisko już, a bywam i tam, do Wierchosławic, wioski Witosy oraz Domu Ludowego im. Wincentego Witosa, który w Wierchosławicach spoczął już na zawsze na miejscowym cmentarzu.

Nie od dzisiaj twierdziłem i nadal twierdzę, że region – to ziemia żyzna kulturowo, że właśnie w regionie ostatnio, a było tak i dawniej, powstaje w kulturze to, co godne, liczące się, żeby nie rzec, iż również i wspaniałe. Działalność niektórych Domów Kultury jest wręcz oszałamiająca. Ukazują się w regionie ciekawe, mądre książki a muzea jakże wiele mają do pokazania, jeśli idzie o rodzimą twórczość, o zapis kultury i sztuki o tradycję.

Nie tak dawno JANUSZ GDOWSKI, przesłał mi swój poemat pt. „Wierchosławice”. Poemat niezwykle ciekawy, mądry, często wręcz chwytający za serce, poemat pełen liryzmu, dobrego patosu, poruszający jakże istotne sprawy społeczno-obyczajowe, a także i ciekawie pokazujący nasze życie patriotyczne, bo bez banału i sielankowości.

Polska literatura ma bogate klejnoty ukryte w sejfie kultury narodowej. Nie często po te klejnoty, sięgamy. Janusz Gdowski czerpie bardzo ciekawie, choć ostrożnie, bo mądrze, z tego sejfu. Czerpie z twórczości Wyspiańskiego, Norwida i to się chwali, gdyż czyni to wręcz dyskretnie, delikatnie i w ten sposób, aby wiedza twórcza tych Wielkich pomagała mu przy tworzeniu, aby Poprzed tamte wielkie dzieła, poeta współczesny Janusz Gdowski – mógł stworzyć nowe obrazy, a nie naśladować to, co było już przed dawne lata. Gdowski swój poemat „ubarwia” słowami, które już dawno wyszły z użycia i to piękna sprawa. Bo któż dzisiaj wie, myślę nade wszystko o młodzieży, co to jest na przykład „skobek?”.

„Jest w tym poemacie wiele bólu” pisze w Pośłowniu Eligiusz Dymowski. Tak, to prawda! Ten ból rodzi się z miłości do Małej Ojczyzny, z troski o nią i o jej przyszłość. Ten ból powstaje z pewnej bezradności wobec okrucieństwa świata, drapieżności i bezprawia. Powstaje – krzyżąc przeciwko temu, co materialne i nade wszystko materialne, gdyż właśnie materia, pieniądz – zabijają duchowość. Te wiersze są bardzo szlachetne, pisane z honorem. One też odnawiają wszystkie obszary zdeprawowanej miłości, którą pokryła także rdza i pleśń.

„Wierchosławice” to jedna ogromna refleksja nad człowiekiem, ziemią, która wydała tego

człowieka, światem, nad naturą i jej pięknem, a także, niestety, zdziczeniem i osamotnieniem Małych Ojczyzn, które borykają się z bezdusnością, a nawet pogardą.

Czyżby tylko poezja niosła ocalenie? „Starzy ludzie odchodzą”. I co będzie dalej? Kto znowu użyźni tę ziemię? Kto obdarzy ten kraj umiłowanym, jeśli nie zrodzi się troska, jeśli pozostanie tylko pusta mowa, slogany? Jeśli nie będzie się „czuło” swojego Kraju. Współczesny czas wszystko „popląta”. Jak wiele więc trzeba teraz siły i hartu, aby supły rozwiązać, aby zdać sobie w pełni sprawę, że bez największego daru, jakim jest dar miłości – zginiemy, zaprzepaścimy wszystko do końca, zgubimy też siebie, swój sens trwania, a Polskę roztrwonimy bez reszty. Czy więc tylko bezradność? Gdzie szukać ratunku, gdzie? I znowu na usta wracają słowa: dar miłości, miłowania, wręcz romantyczne jest to przesłanie, ale ono jest obecnie koniecznością. Miłość i dobro. One wszystko złe przekreślą i przyniosą zwycięstwo.

Wyczuwa się w tym poemacie tęsknotę do tego, co piękne, do odrodzenia życia duchowego, do odrodzenia prawdy. Są w tych poetyckich zamyśleniach – „ostrzeżenia”, bo człowiek potrzebuje, nazwijmy to tak, potrzebuje „boskości”, w przeciwnym razie można nie tylko oszaleć, ale i zginąć z porażenia i przerażenia, które dostrzegamy wokół nas bezustannie.

Janusz Gdowski, *Wierchosławice*, (poemat dygresyjny i inne wiersze), Tarnów 2002, Stowarzyszenie Twórcze Tarnowska Grupa Literacka „Jaskółka”

Mateusz Bourkane

## Eskalacja banału

Najnowsza powieść STEFANA CHWINA pt. *Złoty pelikan* to książka w założeniu mająca dotykać kwestii szczególnie w dzisiejszych czasach aktualnej, a mianowicie problemu odpowiedzialności jednostki za los drugiego człowieka. Bohaterem utworu jest Jakub, pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego, który w trakcie egzaminów wstępnych na ową uczelnię popełnia krzywdzącą jedną z kandydatek błąd, i nie chcąc się do tego przyznać, odmawia sprostowania się do tego przynajmniej, odmawia sprostowania pomyłki. W efekcie dziewczyna nie zostaje przyjęta na studia, co doprowadza ją do nieudanej, jak okazuje się później, próby samobójczej. Jakub, który o kroku tym dowiaduje się przypadkiem i z niezbyt pewnego źródła, przekonany jest wszakże o tragicznych skutkach swej niefrasobliwości. Nękany wyrzutami sumienia i ogarnięty egzystencjalnym zwątpieniem, usuwa się stopniowo z dotychczasowego życia i zostaje w końcu kłozardem, czyniąc zadość podświadomej potrzebie odpokutowania winy.


Trudno byłoby odmówić autorowi *Złotego pelikana* oryginalności, jeśli idzie o pomysł na rozwiązanie akcji, nie sposób także zanegować ideowej doniosłości poruszonego przezeń zagadnienia. O ile jednak dałoby się obronić koncepcję ogólną, o tyle w szczegółach z pewnością pozostawia powieść Chwina wiele do życzenia. Tym, co zwłaszcza niemile czytelnika, uderza już od pierwszych stron, jest ostentacyjnie postmodernistyczna maniera, polegająca na pseudointelektualnym szermowaniu odwołaniami do obiegowych motywów europejskiej i polskiej kultury oraz dość bezrefleksyjnym łączeniu owych wątków z ikonami współczesnej cywilizacji. I tak, reminiscencje *Sądu Ostatniego Memlinga* nie wie-

dzie czemu przywodzą bohaterowi na myśl film *Gwiezdne wojny*, Arnold Schwarzenegger wymieniany jest jednym tchem z Erichem Frommem, a nazwa „Supermarket Astra” staje się pretekstem do trywialnej asocjacji z łacińską sentencją „Per aspera ad astra”. Przykładów tego typu znaleźć można w tekście mnóstwo, przy czym wydaje się, że poza wątpliwym popisem erudycyjnym, nie wnoszą one do fabuły dosłownie nic. Podobnie ma się sprawa z, obecnymi w utworze, zabiegami mityzacyjnymi, jak zwykle u Chwina opartymi na odniesieniach do historii Gdańska. Jako nie wpływające na rozwój akcji dygresje, pełnią one wyłącznie funkcję ozdobników, ornamentów tyleż zbędnych, co pretensjonalnych. Jeżeli dodać do tego sztuczność i schematyzm nieudolnie konstruowanych monologów wewnętrznych, a także banalne tytuły rozdziałów w rodzaju *Jakub schodzi w ciemność* czy *Ciepły seks nad zimnym morzem* to okaże się, iż więcej jest w powieści mankamentów, aniżeli dobrych stron. Bilansu owego nie poprawia przesłodzone, życiem jakby z brazylijskiego serialu wzięte zakończenie, zawierające melodramatyczny obraz śmierci bohatera w ramionach Natalii, niedoszłej ofiary jego dawnego błędu.

*Złoty pelikan* to, moim zdaniem, największa artystyczna porażka polskiej prozy, tej oczywiście rozreklamowanej, bo *niszowa* ma się dobrze, od czasów *Pod Mocnym Aniołem* Jerzego Pilcha i faktu tego nie niwelują, niestety, ani waga postawionej przez autora kwestii etycznej, ani też obiecujący zamysł fabularny. Książka jest ewidentnie niedopracowana narracyjnie, a przy tym przeładowana postmodernistyczną papką i banalnymi efektami. Może to dziwić, gdyż wyda-

wałoby się, że Stefan Chwin, będący przecież nie tylko pisarzem, ale również wybitnym literaturoznawcą, posiadać powinien chroniącą przed błażem zdolność autokrytycyzmu. Cóż, nie zawsze teoria idzie w parze z praktyką...

Stefan Chwin, *Złoty pelikan*, Wydawnictwo „Tytuł”, Gdańsk 2003, ss. 272.



**BYDGOSKIE  
STUDIUM  
EKOFILOZOFII**

*Jedyna szkoła  
w Polsce uprawniona  
przez Ministra  
Edukacji Narodowej  
do kształcenia  
w nowym zawodzie*

**TECHNIK  
ODNOWY BIOLOGICZNEJ**

Zawód nowej generacji na miarę XXI wieku z zakresu naturalnych metod zachowania zdrowia. Wiedza, która prowadzi do zdrowia i pełni sił twórczych.

**Sekretariat: Bydgoszcz  
ul. Piotrowskiego 11  
czynny od poniedziałku do piątku  
w godz. 11.00-15.00  
Tel. (052) 349-34-61  
Strona w internecie: [www.studium.pdi.pl](http://www.studium.pdi.pl)**

**„Akademia Sukcesu”  
- do celu na skróty!**

Nawet nie podejrzewasz jaki drzemie w Tobie potencjał. Trzeba go tylko wyzwolić.

**Technik odnowy biologicznej**

*zna różne sposoby i zabiegi liczne, by w dobrej być kondycji psychofizycznej, żyć zdrowo, w zgodzie z Naturą, z innymi i z sobą, nie dać się stresom, dobrze się kreować, osiągnąć sukces i nie zwariować, tylko się w pełni samorealizować i taki styl życia skutecznie promować.*

Anna Obuchowicz

## Pomiędzy dzieciństwem a dorosłością

Nie będzie przesadą jeśli napiszę, iż do sięgnięcia po nową książkę *Pomiędzy dzieciństwem a dorosłością*. O powieściopisarstwie Zofii Urbanowskiej autorstwa BARBARY KOSMOWSKIEJ skłoniły mnie co najmniej dwa powody. Nie ukrywam, że wybór mój podyktowany został dotychczasowymi sukcesami pisarki, laureatki nagrody głównej na ogólnopolskim konkursie pod hasłem „Dziennik polskiej Bridget Jones”. Po drugie, przechodząc w pamięci wciąż żywe obrazy książek z dzieciństwa zapragnęłam poczuć się na nowo dzieckiem, które z wypiekami na twarzy śledzi perypetie *Gucia zaczarowanego* zamienionego w muchę i oglądającego świat z perspektywy drobnego owada. Dlatego już samo wspomnienie twórczości Z. Urbanowskiej wywołało tym większą ciekawość.

*Pomiędzy dzieciństwem a...* stanowi skróconą wersję rozprawy doktorskiej z 1999 roku, za którą autorka otrzymała wyróżnienie. To niewątpliwie ważna monografia zarówno pod względem zawartości treściowej, jak również niezaprzeczalnych walorów naukowych. Jest ona doskonałą próbą odpowiedzi na szereg ważnych i kluczowych pytań dotyczących literatury dziecięcej drugiej połowy XIX wieku. Nie sposób zapomnieć, iż Zofia Urbanowska, debiutując w latach siedemdziesiątych XIX wieku szybko stała się jedną z poczytniejszych powieściopisarek dla dzieci i młodzieży, a jej utwory są chętnie czytane i dzisiaj. Któż z nas nie pamięta chociażby *Złotego pierścienia* czy wspomnianego wyżej *Gucia zaczarowanego*, książek pełnych uroku, oczarowujących swoim pięknem i prostotą. Łącznikiem wszystkich utworów Urbanowskiej jest niezwykle przesłanie ideowe: dydaktyzm i moralizatorstwo, umiejętnie wplecione w prezentowaną fabułę tak, by uczyć jednocześnie bawić. Choć od ukazania się pierwszych powieści minęło przeszło sto lat nadal cieszą się nie słabnącym zainteresowaniem badaczy, podejmujących wciąż nowe wyzwania. Do tej grupy należy zaliczyć Kosmowską, bowiem z niezwykłą precyzją zgłębia obszary do tej pory mało znane miłośnikom literatury.

Monografia ujmuje powieściopisarstwo Urbanowskiej wieloaspektowo, rozpatrując je nie tylko w kontekście światopoglądu pozytywistycznego i wierności wobec literatury tendencyjnej, ale również względem tradycji literackiej. Wychodząc poza ramy sztywnego dydaktyzmu dowodzi, iż jedynie praca stanowi swoiste panaceum na drodze do szczęścia, lecz dopiero wtedy, gdy poprzedza ją wiara w „zbiorowe zwycięstwo”. Jednocześnie dodaje, że winę za wychowanie wobec braku poszanowania aktywności społecznej ponosi nie kto inny jak rodzice i opiekunowie.

Odrębną kwestią, będącą przedmiotem zainteresowania, jest próba ustalenia miejsca i funkcji fantastyki w literaturze dla dzieci i młodzieży. Monografistka dowodzi, że w twórczości Urbanowskiej fantastyka jest jednym z nieodłącznych elementów świata przedstawionego, bowiem wnikając w realność nie tylko nie burzy ogólnego porządku świata, co więcej, pełniąc rolę moralizatorską łączy się z motywem winy i kary. Autorka monografii unaocznia przenikanie pierwiastka religijności w świat literatury dziecięcej, będącego pewnego rodzaju nowatorstwem. Modlitwa we wszystkich utworach Urbanowskiej nabiera szczególnego wydźwięku i znaczenia, stając się poniekąd aktem pokory. Rozmowa z Bogiem poprzedza jeden z istotnych etapów na drodze do prawdy, żal za grzechy z mocnym postanowieniem poprawy. Często pełni także funkcję charakterystyki postaci, ich uczuć i skrywanych motywacji.

Wplatanie w fabułę szeregu motywów, zdaniem autorki monografii, staje się jednym z pretekstów do dyskusji w kwestii Boga i wiary. Zgłębienie określonych kręgów tematycznych pozwala zachować pewną logikę, ściśle wynikającą z prezentowanych zagadnień, przez co – moim zdaniem – monografia nie sprawia wrażenia zawiłej i chaotycznej. Myślę, że nie bez znaczenia pozostaje również dwudzielna kompozycja ułatwiająca uporządkowanie wyselekcjonowanego materiału.

B. Kosmowska wnikając w problematykę powieściopisarstwa pozytywistycznego Urbanowskiej bacznie przygląda się funkcjonowaniu mowy ezopowej w prozie przeznaczonej dla najmłodszego czytelnika. Szczegółowa analiza pozwoliła jej wysnuć wnioski świadczące o tym, iż użycie języka ezopowego służyło jednemu celowi – krzewieniu polskości, nie różniąc się niczym od literatury dla dorosłych. Liczne metafory i symbole miały ukryć szereg znaczeń, ale w taki sposób, by mimo zamaskowanych treści pozostać w pełni zrozumiałymi dla młodocianego odbiorcy. To tylko niektóre z problemów jakie stawia sobie za cel autorka obszernej monografii. Książka *Pomiędzy dzieciństwem a...* z niezwykłą precyzją wprowadza czytelnika w arkaną utworów sytuujących się między „dzieciństwem a dorosłością”. ❖

Barbara Kosmowska, *Pomiędzy dzieciństwem a dorosłością*. O powieściopisarstwie Zofii Urbanowskiej, Słupsk 2003, Wydawnictwo Pomorskiej Akademii Pedagogicznej.

Jacek Karolak

## Zdążyć!

Mam przed sobą debiutancki zbiór wierszy PIOTRA BARANOWSKIEGO (rocznik 1962) pod dość wieloznacznym tytułem „Nie zdążę...” o prostej, oszczędnej, acz eleganckiej okładce w szarej tonacji. Imię i nazwisko autora oraz tytuł wypisane są czarnymi literami (wykorzystano tu zeskanowane odręczne pismo twórcy). Z plastycznego punktu widzenia kameralność okładki stanowi dobre wprowadzenie do zawartości lirycznej książki, bowiem wiersze włączone są w nurt poezji refleksyjnej, osobistej, skierowanej na przeżycia wewnętrzne. Wymowna jest strona czwarta okładki, szczególnie w kontekście zawartości poetyckiej, bowiem przedstawiono tu zdjęcie autora na tle zachmurzonego nieba, opartego o prawosławną krzyż. Pisząc te słowa chciałbym przypomnieć, że wiersze Piotra Baranowskiego ukazywały się już w „Akancie”, więc to krótkie przybliżenie czytelnik będzie mógł skonfrontować z oryginalnymi utworami.

Przechodząc do samych wierszy myślę, że czytając je łatwo można wyczuć nastrój smutku, pewnego rodzaju przygnębienia. Podmiot liryczny wątpi w sens życia, co nieuchronnie prowadzi go do śmierci przez samobójstwo. Ale tutaj należy się zaznaczyć, bowiem jeżeli czytelnik ma wrodzony zmysł przetrwania, to z pewnością nie podda się wciągającemu nastrojowi książki.

Wiersze są krótkie, preludem stanowią takie utwory jak „Mgła”, „Port” podobne w nastroju i sposobie obrazowania – krótkie impresje. Autor operuje skrótem, krótką frazą, często stosuje szyk przestawny w zdaniu oraz wprowadza równoważniki zdań. Operuje często przymiotnikami np. „niekochana”, „wysmukła i zmysłowa”, można znaleźć w tych wierszach ładne metafory „przytuleni wtapiają się w słońce”. Ostatnie zdanie jest co prawda wyrwane z kontekstu, lecz zinterpretować je można różnorodnie, również w kierunku śmierci, unicestwienia, do czego dąży bohater tych tekstów. Wyraźnie widać to już w wierszu jest „poeta z dorobkiem”. Zaczyna coraz intensywniej pojawiać się uczucie rozpacz, chęć samobójstwa, czasami tłumaczona, jak w wierszu „niekochana” jakimś przykrymi przeżyciami, tu np. zdrada, jednak często nie wytłumaczona, istniejąca jakby sama z siebie, czy wręcz sama dla siebie, będąca tłem życia, a może nawet uczuciem ex definitione przyporządkowanym podmiotowi lirycznemu, który przybiera różne postaci np. w wierszu pt. „Zły porucznik” inspirowanym filmem o tym samym tytule. Kolejne wiersze „ból” oraz szczególnie zaczynający się od słów „wśród cienia ciemnych kapeluszy” świadczą wymownie o potrzebie potęgowania nastroju grozy i rozpacz nazywając stany emocjonalne wprost: „talerz pełen łez”, „dusza poharatana”, „łuku horyzont” – w jednym wierszu (wspomniany „ból”).

Piotr Baranowski czasami estetyzuje okoliczności śmierci jak w utworze „zawał”, doбира ładne słowa tworząc nastrój wzruszenia. Ten sam efekt można znaleźć w tekście zaczynającym się od słów „uśmiechasz się”. Jest to zestawienie miłych obrazów, aby na końcu zaszkocować „pogodną twarzą zmarłej”.

Śmierć w tych tekstach ma funkcję wybawczą od złego świata („Zabierz mnie”). Bohater tego utworu, zdesperowany, zwraca się do drugiej osoby, aby go zabrała na tamten świat, wybawiła od bólu istnienia. Atmosfera w tomiku wraz z kolejnymi wierszami narasta, gęstnieje, „pęcznieje klatka bólu”, ponieważ według podmiotu lirycznego „miłości nie ma świat zły/ świat też”. ❖

P.S.

W czerwcowym numerze „Akantu” (nr 6, s. 37) został opublikowany wiersz Piotra Baranowskiego o zgoła zupełnie innej wymowie, można rzec, miłostnej. Czyżby była to zapowiedź nowych nastrojów w twórczości Baranowskiego? Zapowiedź nowego tomu?

Piotr Baranowski, *Nie zdążę...*, Wydawnictwo „BL-GRAF”, Warszawa 2003, s. 48

Rok założenia 1991

PPH DOMAROLL®

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

## Nagrody i wyróżnienia na:

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy  
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu  
III i V Pałuckich Targach Rolnych w Żninie  
III Targach 2001 w Mogilnie  
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina – 2002

## Biura handlowe:

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30  
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17  
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/341 61 31  
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66

## Okna PCV

w systemie TROCAL posiadającym  
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

## Stolarka ALU

Stosujemy nowoczesne rozwiązania technologiczne  
zapewniające właściwą wymianę powietrza bez ingerencji  
w strukturę techniczną okna i jego szczelność:  
- uszczelkę samowietrzącą COMFOLIP® | bez  
- nawietrzaki ościeżnicowe REGEL-air® | dopłaty





Ariana Nagórska

## Sztuka wystrzałowego maskowania się

Wielofunkcyjny telefon komórkowy gdańskiego poety LUDWIKA FILIPA CZECHA o każdej porze dnia i nocy wzniosle odpowiada natrętom: *Abonent NIEOSIĄGALNY! – Ten się potrafi zamaskować!* – myślę z podziwem. Podczas snu trzyma komórkę w łóżku, na jawie co chwilę wyciąga ją z kieszeni, a jednak i tak egzystuje poza zasięgiem złowieszczej sieci.

Nie zdziwiło mnie więc szczególnie, że po błyskotliwym debiucie pt. „Wyrąb” (który omówiłam w 1 numerze „Twórczości” z 2002 roku), swój drugi (wydany w Krakowie) tomik autor ten zatytułował „Mimikra”. Książkę otwiera świetny wiersz o takim właśnie tytule. Ludwik Filip Czech (ur. w 1959 r.) pisze w nim:

[...]  
Z upływem lat zatraciłem znaki szczególnie  
Wiem na przykład że biegnąc ulicą  
nie przewrócę się o pawie ogon  
[...]

Nim błysnął od niechcenia tą unikatową metaforą, wyraził się też bardziej bezpośrednio: „nie chodzę dzisiaj tam gdzie chodzą poeci/ nie ubieram się jak poeta”. Ze stada chcącego za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę poprzez bywanie w określonych miejscach, wyróżnia się raczej ten osobnik, który jest w owych tłocznych miejscach nieosiągalny. Ludwik Filip Czech to chyba pierwszy w dziejach poety mówiący wprost, że chce się upodobnić do wszystkich i wszystkiego („zawodów”, „ras”, nawet „przedmiotów”), byle tylko nie do poetów i poezji. Jako poeta świętyni może sobie w ten sposób kokietować czytelnika bez obaw, że wskutek swej „mimikry” zostanie anonimowy. Może to być jednak nie tyle kokieteria, ile oswojenie lęku. W przyrodzie upodabnianie się do tła wiąże się z przybieraniem kształtów lub barw OCHRONNYCH. To zjawisko zwie się **mimetyzmem** i tak właśnie tomik powinien zostać nazwany, gdyby skupić się wyłącznie na adekwatności tytułu do treści. Słowo „mimikra” pole znaczeniowo zawęża, ale za to od „mimetyzmu” ma wyrazistszy rytm i ekspresyjniejsze brzmienie (nie na darmo „ikra” wchodzi w jego skład!). Mimikra jest jedną z odmian mimetyzmu i oznacza upodabnianie się przedstawicieli gatunków bezbronych do drapieżnych lub jadowitych. Tak czy owak u podstaw tej strategii leży lęk i walka o przetrwanie we wrogim środowisku. Wydaje mi się jednak, że pragnieniem Czecha nie jest upodobnienie się do drapieżnych i jadowitych (choć kto go tam wie!), ale jedynie niewychylenie się w sposób tak wdzięczny i nietypowy (!), by owa budująca powściągliwość musiała zostać zauważona.

Powściągliwość oznacza tu brak w wierszach jakichkolwiek słów zbędnych, a nie (broń Boże) nieśmiałość lub blokadę rozmachu wyobraźni. Jako drapieżnik zachęcam się do smakowitego rozgryzania mięsa tej poezji dwiema strefami z mego ulubionego wiersza pt. „Oprawiacz”:

Mój ojciec zającą oprawiał na kłamce  
na drzewiach kuchennych wieszając za skoki  
Nacinał skórę i podważał palcem  
nad wiadrem – pełnym zajączej posoki

Oprawiał zrzęcznie ale z serca twogą  
Tak jakby zając był Królestwem Bożym  
Wahał się długo stojąc z nożem w progu  
zanim płat mięsa jak furtę otworzył  
[...]

Ludwik Filip Czech jest zresztą także doskonałym „oprawiaczem” tych poetów, którzy (ogólnie mówiąc) nie ołsnili go. Po lekturze wiersza „Przyjaciel pisze” (kończącego się zwrotem „Szczęść mu Boże!”) niezbyt lotne skrzydełka „przyjaciela” mogą opaść jeszcze niżej. Mniejsza zresztą o nieszczególnie eksponowanego na literackiej niwie przyjaciela. W wierszu „Spotkanie autorskie

Wojciecha W.” Czech rozprawił się z najsłynniejszym z całym kraju poetą-katolikiem komercyjnym:

Przez okno oglądam prowincjonalnego poetę  
z prowincji umysłu – z matarniej kruchty  
Wyszedłem na powietrze bo już mi obrzydła  
koronka – którą zrzęcznie wysuptywał z ust

Śluchałem jak pielgrzymował – nocował  
w parafiach  
Szedł ojczystą grudą jak po Ziemi Świętej  
A święta była tam – gdzie koczował zborem  
Wokoło – iskała koltun półplemienna dzicz  
[...]

Ten wierszujący obelisk Ludwik Filip Czech sprowadził do normalności całkiem prostym sposobem – pozostawił sobie wizję, rezygnując z fonii:

[...]  
Teraz za szybą jego usta są nieme  
Wiklinowe krzesło nie skrzypi pod ciężarem  
krzyża

Jest tak jak być powinno – wieczór jest  
normalny  
Siedzi młody poeta i czyta poezję

Po zejściu z niebios na ziemię wypadałoby wspomnieć o dystrybucji książki Czecha. Nakładem dysponuje autor, rozdając dzieło na lewo i prawo, co skwituję formułą *perły między wieprze*.

Dla wartościowych czytelników książek może nie starczyć, dlatego wprowadzam obszernie przytoczenia utworów. Wcześniej pogadaliśmy z osobami, których gustu nie cenię i darowałam sobie to, co im akurat podobało się najbardziej. Nie mogąc przytoczyć wszystkiego, selekcjonowałam w ten właśnie sposób.

By nie ograniczyć się tylko do krytycznych wobec innych poetów wierszy Czecha, nadmienię muszę, że ten autor nieraz bardzo chciałby pomóc tym, którym poezjowanie nie wychodzi. Podaje na przykład niezawodny „Sposób” (to tytuł wiersza) na przywołanie weny.

[...]  
Znam jednego takiego  
Całą noc w oknie z włókami stoi  
Zwabia do siebie głosem syrenim

A gdyby tylko zechciał zatkać łuft  
zamienić tlen na tytoniowy czad  
pić kawę do pierwszych szmerów –  
miałby własne śmigło!

A tak kartka do rana biała  
jak złot sanitariuszy

Zapewniam, że nawet poezję ekologiczną dobrze pisze się, korzystając z podanego wyżej sposobu. Choć Czech na pewno nie jest ekologiem, nieraz potrzebuje „pejzażu z buraczaną hałdą [...] żeby miejskie trucizny – literackie jady zgnieść w zarodku [...]”. Wtedy nawiedza miejscowość Swornegacie wraz z przyległościami. Jako osoba już od ponad dwudziestu lat niepracująca (i jak tu choć raz w życiu nie poczuć zazdrości!), może on porzucić miasto kiedy zechce i na czas dowolny.

Czas pozwala mi na igranie ze sobą  
Przynajmniej tam gdzie królują jego  
instrumenty –

[...]  
(początek wiersza Zegary)

Pobyty na łonie natury owocuje zwykle najlepszymi wierszami Ludwika Filipa Czecha. W tomiku debiutanckim wyróżniał się nagrodzony Czerwoną Różą wiersz pt. „Swornegacie 1989 Przełom”,

w nowej książce mamy cały cykl pt. „Swornegacie 2002”. Gdy inni poeci fotografują się na tle ksiąg wszelakich, zdjęcie z okładki „Mimikry” przedstawia naszego mistrza siedzącego w lesie na zielonym wiadrze, z papierosem w dłoni. Tlen i czad za jednym zamachem. Szczególnie zaskakujące efekty artystyczne wynikają zwykle z kontrastów. Gdy na przykład miejski poeta „marzący za krzakami o greckich harmoniach” obserwuje jurną parę wiejskich kochanków, których „dopał amor w gnojeń skibie”. Albo gdy lirycznemu estecie kot przynosi w podarunku połowę myszy, chcąc się ze swym opiekunem przekąską podzielić.

[...]  
Wtedy chce się napisać wiersz  
ale język nieodporny jest na takie  
barbarzyństwo  
przynajmniej mój – hodowany w ogrodach  
klasycznych  
[...]  
Pozostaje więc wyjechać – albo opisać  
siedzącego na róży jelit  
motylka

Życie i śmierć zyskują na kartach tej książki wiele odsłon i sposobów ujęcia. Od liryzmu do naturalizmu, od dramatycznej powagi, poprzez ironię, do groteski. Nie brak głębokich refleksji egzystencjalnych, poetyckiego zapisu wszelkich lęków i niepokojów współczesnego człowieka, a także nieśmiałości aktów wiary, trudnej, pełnej zwątpień, dalekiej od ortodoksyjnego triumfalizmu.

Ciągle też trwa napięcie między przeciętnością i niezwykłością, chęcią wtopienia się w tłum i wyodrębnienia z niego: „Codziennie muszę obchodzić święto”, „Strach w normalnościach gustować”. Podmiot liryczny wiersza pt. „Próba” zastanawia się:

[...]  
Czy bliżej mi do ziemi – czy do nieba  
I w jakim kierunku zmierzają te proporcje

Mimo całego galimatiasu niejasności i tajemnic poeta żywi niewzruszone przekonanie, że świat wygląda tak, jak powinien, bo jest wypadkową określonych sił, które mogły wyemanować z siebie tylko taką materię, a nie inną:

[...]  
W powietrzu fruwa – to co ma  
W piwnicach piszczy – odpowiednie  
[...]  
(Kilka zdań o potęgach)

To samo dotyczy ludzi:

[...]  
Gdybyś o włos była inna – runąłby Gdańsk  
pod rybackim kutrem wyszło morze  
Gdybyś nocą na wydmie była z inną dziewczyną  
On musiałby na nowo poukładać świat  
[...]  
tak właśnie miałas kochać  
A ja tak patrzeć  
(Tak właśnie – wiersz dedykowany Majce)

Ten skrajny determinizm prowadzi do cennej tolerancji, ale też trochę bezkrytycznej akceptacji wszystkiego, co się zdarza. Jeśli się zdarzyło, znaczy, że tak musiało być. Świat ten nawet w swych niedoskonałościach jest najlepszy z możliwych, alternatywy nie ma.

W finale pozwolę sobie na retrospektywną dygresję. Oj, nie miał ongiś szczęścia do akantowego recenzenta inny ciekawy gdański poeta – Zygmunt Wojdyło. Dziwnym trafem ten sam recenzent upierał się, bym książkę Czecha omówiła akurat ja, choć wiadomo, że każdy Polak potrafi. Zając z cytowanego wcześniej wiersza nie ma żadnego wpływu na to, jak zostanie przyrządony do konsumpcji. Sytuacja poety jest identyczna. Ludwik Filip Czech ma tego pełną świadomość:

[...]  
Taki mi portret skroją – dla przyszłości  
na jaką miarę byli Oprawiacze.

Ludwik Filip Czech, *Mimikra, Towarzystwo Słowników w Polsce, Kraków 2003.*

Urszula Małgorzata Benka

## Kwiaty jesienne

Rzadko można wziąć do ręki świetny debiut, a jeszcze rzadziej zetknąć się z debiutem autora w wieku podeszłym. Prawdopodobnie ciągle podtrzymujemy ów płaski „romantyczny” ideał poety w postaci neurastenicznego smarkacza o wybujałym ego. I tym bardziej ekstrawagancki wydaje się (cudowny zresztą) sex-appeal poetki, która sama siebie określa jako dziecko wojny. Już w jednej z pierwszych stanc tomiku widzimy ją więc, jak maluje sobie czarnym lakierem paznokcie w sylwestrowy wieczór. Michał Szołochow pisał w „Cichym Donie”, że nie kaliną i nie różą, lecz szalejem zakwita późna kobieca miłość. Podobnie jest z arcyzmem, przebudzeniem, ze zdumieniem własną dojrzałością. I przy okazji dodam: „szaleję” niekoniecznie oznacza szaleństwo. Symbolika ta raczej otwiera nas na zjawisko niepozorne, lecz o wielkim wewnętrznym napięciu, dające nieznośną wręcz ostrość widzenia.

„Spóźniony akord” MARIJ JAŚKOWIAK jest oczywiście w pierwszym rzędzie jakąś próbą podsumowania najważniejszych wydarzeń w dziejach duszy. Pytanie, czym są te wydarzenia? Czy rządzą nimi zwykły, linearny porządek czasowy, czy też jakiś odrębny, inny ład, wyznaczony ożywianymi symbolami oraz ludzką, mądrą wrażliwością i humorem? Gdy Jaśkowiak otwiera tomik konstatacją

W moim obszarze  
Samotni jeźdźcy galopują nocą  
(...)

Tulipan  
„Akantu”

## KUPON PLEBISCYTOWY

AUTOR

TYTUŁ UTWORU

ROK I MIESIĄC DRUKU

IMIĘ I NAZWISKO TYTUŁUJĄCEGO

ADRES

Chcemy, by Czytelnicy „Akantu” mogli uczestniczyć w kreowaniu zewnętrznego wyrazu współczesnej literatury poprzez ocenianie utworów drukowanych w miesięczniku.

Redakcja prosi wskazujących na najlepszy utwór w każdym gatunku literackim o wypełnianie i nadsyłanie kuponów (jeśli ktoś kolekcjonuje „Akant”, a jest takich osób coraz więcej, to można kupon ten skserować, nawet wielokrotnie). Typowanie może dotyczyć utworów z całego 5-lecia „Akantu”.

Siostry Koziorożca  
Zatańczcie ze mną taniec śmiechu  
(...)

to odczuwam po prostu fascynację, a dyskuszyny debiutantki frazes „Nie napiszę elegii na odejście” witam z ulgą: Uff, jej wewnątrz nie będzie „herbertowskie”.

Tu należy się słowo wyjaśnienia. Czytając przed laty „Martwą naturę z wędzidłem” zauważyłam, ku swemu kompletnemu zaskoczeniu, że Herbert podróżując po Niderlandach tym samym pochmurnym krajobrazem zachwyca się w galerii, a męczy i nudzi niepomiernie w świecie rzeczywistym. Deszcze na obrazach są wspinał. Ale ledwie zaczyna mżyć, pan Zbigniew dba już tylko o dach nad drogocenną głową.

Otóż zaczęło mnie korcić pytanie, czy podobnie rzeczywista, a więc chaotyczna i niesforna, kultura świata współczesnego podobnie nie nuży i nie drażni księcia poetów polskich? Czy nie wolałby jej degustować z za szybki w muzealnej gablocie, z erudycyjnym przewodnikiem w rękę, pełen radości, że wie o niej tyleż więcej niż profani? W pewnym sensie dzieło poetów na tych, którzy umiłowali rzeczywistość, i na tych, którzy wznoszą jej epitafia maskując tym jakiś rodzaj awersji. Roztkliwienie nad samym sobą mimowiednie wznosi ów charakterystyczny mur pomiędzy światem a poetą, i wtedy zaproszenie, jak w wierszu bez tytułu u Mani Jaśkowiak:

Przyrządę udziec barani  
Że palce lizać  
Kołoduny litewskie  
Lub ekstra pyrki

musi po prostu brzmieć inaczej – nobliwiej, inteligentniej, mniej kuchennie. I w rezultacie właśnie nieludzko. To dlatego moich studentów tak rozśmieszyła sama myśl, żeby w razie życiowych problemów udać się po mądrą radę do poety czy docenta filozofii. Poeta i filozof są już od dawna instytucją, jakiej ludzie przestali ufać. Właśnie dlatego późny debiut – a zwłaszcza debiut poetycki – upewnia, iż cały ów niepokojący amalgamat cech psychicznych wywołujących nieufność jednak dojrzewał i w miarę lat, być może, sublimował się wraz z samym artystą.

U Marii Jaśkowiak jednak kwestia dojrzewania duchowego jest bogatsza i wykracza daleko poza być czy nie być dorosłym. Autorka „Spóźnionego akordu” z całą pewnością pozostawała z dala od stricte literackich sporów o formę i treść; być może nawet z punktu widzenia erudyty i historyka literatury współczesnej czy też teoretyka literatury jest przypadkiem nieuleczalnej ignorancji, bo w przeciwieństwie do swoich rówieśników przecież nie uczęszczała do szkoły lingwistycznej, nowofalowej, nowo prywatnej, do szkoły moralnego niepokoju lat 80. czy wreszcie modnej teraz postmodernistycznej.

U Marii Jaśkowiak dojrzewanie duchowe integralnie łączy się z wychyleniem w sferę sakralną, i wszystko wskazuje na to, że mowa tu o realnym doświadczeniu zaistniałym w dramatycznej walce z chorobą, a nie o doświadczeniu kulturowym i tym samym poniekąd wirtualnym. W „Prawdziwej historii” rzecz ta opowiedziana zostaje symultanicznie w języku potocznym i mitycznym:

Nocą  
Synowie Eskulapa wynieśli mnie  
W inny wymiar  
Leciałam ptakiem

Ogromnym jak kosmos  
(...)

i kiedy

Błyskiem skalpeli była już zmęczona  
wysoka wieża z daleka świeciły  
złote pióra tych, którzy odeszli  
Gaja  
matka życia i ziemi otworzyła  
mi oczy a wonny Zefir kołysał  
w czasie przejażdżki do rzeczywistości.

Chcę zwrócić uwagę na prostotę tego progowego doświadczenia: nie podróż, ale przejażdżka. Nie w stan nadnaturalny, ale właśnie w tajemniczą (z nowego, drogo okupionego punktu widzenia) rzeczywistość. I wreszcie, nie jest to jakże znany z tyłu wyznań „Lot”, w jakim poeta sam unosi się ponad przyziemne padoły, wydzwignięty potęgą swego ducha. Autorka wyniesiona jest na noszach w mocnych rękach sanitariuszy. Lecz to wystarczy, aby pojawiły się epifanie Eskulapa, Gai i Zefira, w istocie bóstw wcale nie najbardziej podniebnych i wszechmocnych, do jakich przywykliśmy w romantycznej poezji, i którymi dzisiaj uwodzi nas poezja New Age. A więc matka życia i ziemi otworzyła mi oczy i nic więcej, chyba że delikatny rytm *ukołysania*, po którym autorka powie w „Rybach”, że:

Interesuje mnie rozlana oliwa  
wiersze Andabaty,

bo w niej samej

dawno  
przestały krzyczeć mewy.

Równie pięknych i subtelnych obrazów w tym „Spóźnionym akordzie” jest mnóstwo. Pora rzec, iż maestria poetycka autorki wytrzymuje kolejne wyzwania, w rezultacie czego czytelnik dostał do rąk znakomicie wyważoną książkę, pełną ciepła, subtelnej gry znaczeń i dobrego warsztatu pisarskiego, co w wypadku debiutu młodego autora witane jest zwykle jako oznaka dużego talentu. Akord z pewnością nie jest więc spóźniony. Jest późny. Po prostu jedne kwiaty kwitną wiosną, inne latem, a inne na jesieni. Nie musi z nas każdy być pierwszkiem. Jaśkowiak nazwała sama siebie:

(...) drzewem bólem  
w drgających korzeniach

i przywołuje stare obrazy druidów z przepięknym komentarzem: *ich oczy błyszczały i lśniły jak lustra*. Spóźnione są natomiast reakcje recenzentów, beznadziejnie pogubionych już w bezbrzeżnej ofercie wydawniczej i nawykłych do nie tyle czytelniczego poznawania literatury, co zdawania się na pośrednictwo telewizji. W ten sposób niknie nam z oczu wiele piękna.

Maria Jaśkowiak, Spóźniony akord, Radom 1998

SPECJALISTYCZNA  
PRAKTYKA LEKARSKA

lek. med. Marek Mackiewicz  
specjalista chirurgii dziecięcej  
Bydgoszcz

certyfikat European Board of Paediatric Surgery  
porady, zabiegi „chirurgii chodnego dnia”  
- kontrakt z Kasą Chorych,  
wizyty domowe

kontakt (052) 321 54 69, kom. 601 84 16 29  
www.marek@mackiewicz.com.pl

Tadeusz Lira-Sliwa

## Solidarni poeci

Na początku 2003 roku minęło szesnaście lat od powstania Klubu Literackiego „Topola”. Jego pomysłodawczynią była Walentyna Anna Kubik, a wspierali ją w tworzeniu podstaw klubu – Anna Andrych i Tadeusz Zawadowski. „Topola” od samego początku miała swoją siedzibę w zduńskowolskim Miejskim Domu Kultury (aktualna nazwa: Centrum Kultury i Promocji). Godturalne uwagi jest to, że „Topola” nie jest grupą literacką; w ciągu szesnastu lat działalności nie ogłaszała nigdy manifestów programowych (mit programowych jedności zawsze pozostaje mitem). Ten „luźny klub” stał się w latach sześćdziesiątych znaną w kraju formacją artystyczną, aktywnie biorącą udział w konkursach literackich. Do Klubu „Topola” przylgnęło nawet miano „desantu poetyckiego ze Zduńskiej Woli”. „Topolanie” w ciągu roku potrafiły zdobyć ponad sto (!) nagród w ogólnopolskich konkursach literackich.

Od 1995 roku ukazuje się seria wydawnicza pod nazwą Biblioteka „Topoli”. Wydano w niej tomiki autorskie poszczególnych członków klubu oraz następujące antologie: „Odpytam do wszystkich brzegów” (1996), „Przygodni Orfeusze”

(2002). Większość „Topolan” ma w swoim dorobku po kilka książek poetyckich i publikację w liczących się pismach literackich (m.in. w „Akancie”).

Antologia „Przygodni Orfeusze” nie ma charakteru retrospektywnego. Redaktor Tadeusz Zawadowski postanowił uchwylić w „Przygodnych...” pewien moment w dziejach klubu. W antologii zamieścił „(...) utwory tych osób, które były związane z <Topolą> na przelomie dwóch tysiącleci – w latach 2000/2001. Nie ma tutaj tekstów mówiących o zjawiskowości tych dat, przeważają zaś te, które mówią o miłości, bowiem ta jest ponadczasowa. Taka, jaką powinna być poezja” („Od Redakcji”, s. 6).

Autorami antologii są następujący poeci: Roma Alvarado-Łagunionok, Anna Andrych, Michał Bendkowski, Katarzyna Brzozowska, Michał Czacherski, Maria Magdalena Człapińska (zaprezentowała fragment prozy), Andrzej Gabrych, Katarzyna Godlewska, Aleksandra Grotowska, Walentyna Anna Kubik, Andrzej Kurowski, Lilla Latus, Tomasz Pohl, Joanna Sychniak, Daniel Szukalski, Piotr Robert Świątek, Roman Tomaszewski, Andrzej Wawrzyniak, Tadeusz

Zawadowski (niektórzy z tych twórców publikowali już na łamach „Akantu”).

Antologia „Przygodni Orfeusze” jest poetycką mieszanką dolrzałości (np. wiersze T. Zawadowskiego) i miłości (np. utwory A. Grotowskiej). Wyłowilem z tej książki głos poetycki A. Grotowskiej (rocznik 1982), ponieważ należy ona do tych młodych poetów, którzy mają świadomość tragiczną. Ta świadomość nie pozwala na wprowadzanie do wierszy – „okrągłych zdań”; pozostają tylko strzępy i fragmenty duszy (formy), jak głosił niemiecki poeta Gottfried Benn w znanym wierszu „Fragmenty” (przekład Krzysztofa Karaska): „Fragmenty,/ rozpryski duszy,/ skrzep krwi wieku dwudziestego -/ (...) Kryzys środków wyrazu i napały erotyki;/ Oto dzisiejszy człowiek”.

Wiersz A. Grotowskiej zbudowany jest ze strzępów ciała i duszy:

zabierz ze mnie pustkę  
wysij  
ze wszystkich zakamarków

ona mieszka w czubkach piersi  
czai się w kostkach nóg

zetrzyj ją  
sączy się przez skórę

złam  
bo wypełnia kregostup

rozplywa się we mnie  
ciemno i boleśnie

(...)

(\*\*\* „zabierz ze mnie pustkę...”, s. 47)

Niewątpliwie patronem tej poezji jest Rafał Wojaczek. Młoda artystkę ogarnęło „rozprzężenie wszystkich zmysłów” (Artur Rimbaud). Mam nadzieję, że jest to etap przejściowy w twórczości utalentowanej poetki. „Biologiczne tropy” (np. „czubki piersi” i „kostki nóg”) nie wnoszą nic nowego do poezji; „anatomia opisowa” została wyeksploatowana przez „uczniów” R. Wojaczka.

Minęły czasy „barbarzyńców” i „minimalistów”; artyści przypomnieli sobie, że najistotniejszą sprawą w twórczości jest obrona wartości moralnych i wartości estetycznych. Richard Rorty wprowadził do filozofii współczesnej trzy pojęcia: przygodności, solidarności oraz ironii. Henryk Pustkowski pisze w posłowie antologii, że „Przygodność – to nasze życie. <Topolanie> mają to szczęście – że są, czy bywają poetami. Ale jest to wielki obowiązek powołujący postawę solidarności (być po stronie życia), a że mają poetycką nadświadomość, niekiedy są ironiczni: wiedzą jak wielkie jest królestwo Poezji i jak łatwo w nim zabłądzić. Ale jeśli nawet błędzą, to błędzą pięknie” („Orfeusze – przygodni?, solidarni?, ironiczni”, s. 99–100).

Poeta musi pamiętać o „ponadczasowej miłości” (T. Zawadowski, s. 6). Oczywiście, uczucia podlegają procesowi ewolucji. W dzisiejszych czasach nie można pisać wierszyków á la Skamander. Współczesny poeta powinien mieć wysoką świadomość artystyczną. – Istotne jest to, że „Topolanie” przyjmują postawę solidarności wobec rzeczywistości. „Przygodni Orfeusze” uważają, że poezja powinna tłumaczyć sens bytu człowieka na Ziemi: „(...) jest wszystko/ co najpiękniejsze// jak byśmy/ wypełniali sobą/ cały byt// po nieskończoność” (Roma Alvarado-Łagunionok, „Erotyk filozoficzny”, s. 11.✶

Marcin Kossakowski

## Jak się modliłem...

Gdybym miał powiedzieć, kiedy ostatnio przeżyłem zaskoczenie, odpowiedziałbym: ostatnio – kiedy przeczytałem (choć to nieodpowiednie słowo, o czym poniżej) ostatni tomik poetycki DARIUSZA TOMASZA LEBIODY. Bowiem ten – skądinąd dobry poeta – zdążył mnie, ostatnimi czasami, odrobinę znużyć swymi samokopiącymi się (zarówno w klimacie, jak i treści) płodami. Naprawdę wolę wiersze wczesnego Lebiody, kiedy to mam niezachwiane poczucie obcowania (bo do dziś z przyjemnością do nich wracam) z autentycznym przeżyciem, a nie tylko z formą, która doszła do szczytu (by nie powiedzieć – szczytów). Nie zawsze poezja nieskazitelna to nieskazitelne przeżycie u odbiorcy. Zatem z lekkim niedowierzaniem – przyznaję – sięgałem po „Czaszkę Kartezjusza”. Jednakże już po kilku stronach zupełnie zapomniałem o moich wątpliwościach, i tylko dziękowałem Bogu, że skierował mnie ku tej książce. Bowiem nagrodą był dreszcz, to pierwsze poruszenie, któremu ufam, a które powiedziało mi: to jest właśnie TO. A przecież – nieczęsto się to zdarza...

Tom składa się z dwu części – tytułowego oraz opatrzonego nazwą „Muszla”. Pierwsza część to ciągła modlitwa, ze wszystkimi przynależnymi jej elementami, nawet z myślą: dlaczego kłęczę? Przyznaję, że dawno się tak nie modliłem. W miarę czytania strach „o przemijanie chwil / tonikanie wnikanie / w ciemność” burzył porządek, spokój myśli, burzył całego mnie. Lebioda zastanawia się, czym dla człowieka jest śmierć, co może spotkać go, gdy zechce przeżyć życie tak, by jego podstawa była miłość. Czaszka symbolizuje tu myśl, wspomnienie, które pozostaje po człowieku po śmierci. W wierszu „Grób żołnierzy niemieckich odkryty w mieście Bromberg” pisze: „każda wojna jest / rzeźnią piękną / każda śmierć jest / wojną / przegrana”. Lebioda obsesyjnie myśli o śmierci. Siostra Faustyna w jego wierszu: „patrzy radośnie w ciemność”, Matka Teresa nie dostaje się do bram

niebieskich, gdyż: „święty Piotr powiedział: wracaj – nie mamy tutaj slamsów”, a brat poety, Piotruś, umiera, ponieważ: „łaska tlenu nadzieja kroplówki nie były dla niego”. To skłania do szukania wokół sensu i panującego nad wszystkim „nieznanego boga”.

Kolejna część, „Muszla” jest kolejnym etapem poszukiwania ( tęsknoty? obawy?) śmierci. Myśl o niej narasta w miarę coraz to większej samotności poety. Pisze on: „tylko w nowym jorku / poczujesz bliskość / obcego człowieka / tylko tutaj odrodzisz się / i umrzesz w jednej / chwili”. Rozmyśla, spacerując po mieście, przypatrując się biedocie, obcuje z nią, tuła się po gęstym, pełnym „żółtych taksówek”, „legionów żywych ludzi”, „tłumie bezimiennych nowojorkczyków emigrantów i poszukiwaczy ziemi obiecanej” mieście. Cały świat Lebiody ma świadomość przemijania: „niczym ludzie – tacy żywi / a później tacy martwi”.

I, gdy dochodzimy do końca modlitwy, mówiąc Amen, tak i u Lebiody znajdujemy wiersze, które modlitwę na pewien sposób kończą. Koniec ten jest jednak zagadką, tajemnicą. Opisujać Boga jako ojca kontrastu – „świłu i zmierzchu”, „ból i blasku”, „złota i sady”, „torfu i miedzi”, „ikry kokonu jedwabnika i mirry”, zamiast końcowego Amen słyszymy niesyte: „porozmawiajmy ojciec puchu i łożu – pragnę znowu/ usłyszeć twój głos / porozmawiajmy”. Modlitwa Lebiody nie zostaje zamknięta. Odnalezienie prawdy i wiary staje się nie całkiem prawdziwe, za dużo pytań zostaje bez odpowiedzi, samotność nie zostaje zażegnana, a biedak wciąż czeka na „dźwięk centów upadających do puszek”. Poeta pozostawia nas samych ze swoją nadzieją, ale i powątpiewaniem.

Tak oto przemodliłem, a nie tylko przeczytałem, nowy tomik poetycki D. T. Lebiody.✶

Dariusz Tomasz Lebioda, Czaszka Kartezjusza, Drukarnia „GraDar”, Bydgoszcz 2003

Przygodni Orfeusze. Antologia Klubu Literackiego „Topola”, red. Tadeusz Zawadowski, Zduńska Wola 2002, Centrum Kultury i Promocji, ss. 108

Stefan Jurkowski

## Odczytywanie świata

MAREK GREWLING jako poeta debiutował w 1993 roku tomikiem „Przepraszam za ten pseudonim”. Wiersze publikował m.in. w „Dzienniku Nowojorskim”, „Arsenale Gorzowskim”, „Przełazie Artystyczno-Literackim”. Jest autorem aforyzmów, esejów, felietonów, utworów dla dzieci. Ostatni tom „Do nieba nie trzeba się spieszyć” jest jego czwartą publikacją książkową.

Czwarta książka autora zobowiązuje. Tu nie może być mowy o jakiejś taryfie ulgowej, która – choć także nie przystoi – ale jest wybaczalna jeśli chodzi o debiutantów czy autorów drugiej książki. Wydaje się, że Marek Grewling nie zawiódł. Oczywiście, szereg wierszy wymagałby stylistycznego dopracowania, inne mogą być bardziej blahe, ale zasadniczy trzon tomu organizuje całość, przykuwa uwagę, staje się powodem wewnętrznej dyskusji z poetą.

Ten nurt wiodący w tomiku tworzą utwory egzystencjalno-filozoficzne, w których autor zastanawia się nad fenomenem bytowania, nad sensem, a także kresem ludzkiego życia, a także nad jakością tego życia, lecz nie w wymiarze materialnym, ale w duchowym.

Ciekawa jest ambiwalencja, z jaką autor odnosi się do spraw egzystencjalnych. Z jednej strony istnienie jest udręką z drugiej zaś czymś, co zaleca się pięknem, niepowtarzalnością zaskoczeniem. Oto klaun grający w teatrze imagacji nie może odmówić udziału w tym spektaklu. Jest niejako do niego zmuszony. Tylko w niewielkich antraktach czuje się wolny. Ale dopiero po występach może się dowiedzieć, „że minione lata to były tylko metafory”. Jest to los każdego z nas, grających przez całe życie w teatrze absurdu. Czy jest jakaś ucieczka? W tytułowym wierszu poeta pisze:

*Do nieba nie trzeba się  
spieszyć  
choć świat jest taki kruchy*

Dlaczego? Dlatego, że jest ten świat sprawdźalną rzeczywistością daną nam ku przeżywaniu. Może bolesnemu, może uciążliwemu, niekiedy tragicznemu, ale przecież potwierdzającemu naszą autentyczność. I od tego uciekać nie można. Więc co robić, jak tę rzeczywistość pojmuwać? Z pewną ironią Grewling mówi o tym w krótkim wierszu „Modus vitae”:

*Nie brać go zbyt poważnie  
lepiej z jasnością  
i koniecznie zadedykować sobie  
samemu*

Egoizm? Może tak, ale czy wszyscy nie jesteśmy egoistami? Kogo tak naprawdę obchodzi bardziej cudzy los, niż własny; kto odczuwa cudzy ból intensywniej niż własny? Nie bójmy się mówić - wydaje się twierdzić poeta - o ludzkiej naturze w sposób prawdziwy, bez obłudy, bez „uczłowieczania” naszej zwierzęcości. Przecież żyjemy w świecie pełnym zagrożeń. I to nie sam świat niesie owe zagrożenia, ale nasi pobratymcy, którzy intensywnie pracują nad tym, aby nam było gorzej. Taki jest człowiek i taki jest świat.

Poezja Marka Grewlinga skłania się ku intelektualnemu poznaniu świata, ciągłemu zgłębianiu mechanizmów nim rządzących; ku jego porządkowaniu, systematyzowaniu, poszukiwaniu niszy, w której jednostka ludzka mniej odczuwa dramat osaczenia.

Ta nisza nie jest jednak ucieczką, jakimś trwałym azylem. Życie wszak polega na tym, że kiedy już się wydaje, iż wszystko układa się w

jakaś całość - nagle okazuje się „totalna zapasć kosmosu i chaos/ z którego tylko przypadkiem/ kilka kresek ułożyło się/ w nic nie znaczący rysunek”.

Wszystko trzeba zaczynać od początku. Dopóki żyjemy, nic się nie kończy definitywnie, ale daje wciąż nowe możliwości. To znaczy - gdy coś się kończy i przemija - to jednak staje się nowym początkiem czegoś nieznanego. I to jest sensem, dla którego warto trwać, aby go pojąć, zrozumieć, ogarnąć i opisać.

I nawet wtedy, gdy wydaje się zawodzić wszystko, nawet religia. W wierszu „Boże Ciało” mamy obraz orkiestry, wystrojonych ludzi, którzy śpiewali o skromnym cieśli. A ów cieśla nie mógł tego słuchać.

*Otulił się swoim  
starym płaszczem  
i odszedł cichutko  
w deszcz*

Rzeczywistość konwencjonalna, lukrowana, obca jest tej poezji. To co wydaje się usystematyzowane jest tutaj poddawane weryfikacji. Poeta wychodzi z założenia, że każdy sam na swoją miarę ustawicznie tworzy swoją cząsteczkę świata. Nie ma natomiast nic pewnego, nic ostatecznego na tym świecie.

*Raj mi się  
spalił  
od niedopałka  
doskonatości*

- wyzna poeta w wierszu „Szkoda”. Ale zaraz powie, iż wiosna zachęca do następnych dni, czyli do niekończącego się działania, które jest powołaniem i losem każdego człowieka.

To, co wyróżnia te wiersze, to w gruncie rzeczy afirmacja świata. Choć są one wyrazem zagubienia, negacji, protestu, to przecież nie ograniczają się tylko do konkluzji, że świat jest zły. Po prostu jest, jaki jest, a naszym obowiązkiem, istot obdarzonych świadomością, jest zgłębianie jego mechanizmów, poszukiwanie miejsca dla siebie, dochodzenie do zrozumienia. A więc - mówi poeta - nie uciekaj, nie odwracaj się tyłem, nie rzucaj inwektyw pod adresem otaczającej cię rzeczywistości -

*Jeśli uda ci się  
znaleźć  
choć cień nadziei  
chwytaj się jej  
i wypłynij na morze  
nawet nieznanie*

I to jest chyba najistotniejszym przesłaniem tej oryginalnej poezji. ▶

Marek Grewling, *Do nieba nie trzeba się spieszyć*, Wydawnictwo „Poeticon”, Poznań 2003, ss. 60



Serdecznie dziękujemy  
firmie  
**Glaxo Smith Kline Pharmaceuticals S.A.**  
za ufundowanie wspaniałych nagród dla wszystkich  
uczestników II miejskiego konkursu „Ratujemy życie”.

Wdzięczni organizatorzy  
z Zespołu Szkół nr 22 w Bydgoszczy.

Maciej Kuczyński

## Podobne do piosenek

Przyznam, że nie miałem wcześniej okazji zetknąć się z poezją JANA HENRYKA CICHOSZA. Tomik który do mnie dotarł, jest ósmym w jego dorobku. Nie są to jednak nowe teksty - „Śmierć motyla” jest zbiorem w pewnym sensie podsumowującym. We wstępie Remigiusz Grzeła (młody poeta i dziennikarz) napisał, że prosto-ta jest koniecznością poezji, że właśnie ona stanowi niewątpliwą atut autora. Nie do końca przystają na takie stanowisko, gdyż w jego przypadku, prostota momentami okazuje się równie ryzykowna jak język wyszukanych metafor. Nie udało się, niestety, uciec od banału:

\*\*\*  
*w otwartym oknie  
na łańcuchu nieruchomy pies  
ślepy i głuchy jak pieniek (...)*

Opisy tego typu zostały już, moim zdaniem, w poezji doszczętnie wyeksplataowane. Może się czepiam, może to nie moja poetyka, ale myślę, że warto spróbować zaskoczyć czytelnika czymś więcej, niż tylko oczywistością. Jest też kilka wierszy, powiedziałbym, „zepsutych” poprzez dopowiedzenia. Uważam, że w poezji lepiej unikać dosłowności, zostawiając większą „furtkę interpretacyjną” dla odbiorcy. Wtedy tekst zyskuje, nie jest tak oczywisty, ma szansę stać się mocniejszy w swej wymowie.

Są oczywiście i momenty dobre. Autor zdecydowanie korzystniej wypada w lapidarnych formach (choć nie jest to regułą). Wiersze z cyklu „fotografie” i wiersze „ubezpieczane” w tytule słowem „patos” są dla mnie najciekawszą częścią tego zbioru. W przypadku wierszy „z patosem” autor w tytule niejako zapowiada, czego czytelnik może się spodziewać, po czym świadomie decyduje się na taki właśnie obraz tekstu. Efekt końcowy jest całkiem przyjemny.

Trzeciowo Jan Henryk Cichosz porusza takie tematy jak: rodzina, wiara. Nie brak również odniesień do dzieciństwa i tęsknoty do zwykłego ziemskiego krajobrazu, z dala od głośnych miast. Mało jest tekstów, w których koncentruje się na sobie, zdecydowanie bardziej interesuje go to, co zewnątrz. Ciekawa jest zresztą geneza tytułu, o czym możemy przeczytać we wstępie autora. Zawarty w tytule motyl powraca dość często. Teksty te nastrojowo są nieco podobne do piosenek i niektórych wierszy Edwarda Stachury.

Jest to tomik nierówny. Ale wydaje się to być w pewnym stopniu usprawiedliwione, jeśli weźmiemy pod uwagę, że jest to tomik zbiorczy. A takie tomiki z reguły pokazują rozwój bądź regres autora. W przypadku Jana Henryka Cichosza niewątpliwie możemy mówić o tym pierwszym. ▶

Jan Henryk Cichosz, *Śmierć motyla*, Wydawnictwo „Norbertainum”, Lublin 2002

Stefan Pastuszewski

## Doświadczenia dojrzałej Danuty

W ostatnim czasie z dużą satysfakcją poznawca mierzyłem się recenzencko z poezją kobiet bogatych w doświadczenia, mówiącą eufemistycznie. I – znów mówiąc eufemistycznie – nie w doświadczenia akcelerowane, co coraz częściej młódkom nie szanującym siebie się zdarza, ale doświadczenia przyzwoicie rozłożone w czasie i w związku z tym smakującym ów czas.

T. Januchta, A. Kajtochowa, D. Kostewicz, DANUTA MARIA SUŁKOWSKA. Ileż spokoju w tej twórczości, ileż mądrego dystansu. Niektórzy nazywają ją *podogzeniem się*:

niech sobie inni  
przemijają we łzach  
ja wolę mijać  
z uśmiechem

Tak pisze autorka „Czasu poezji” w swym najnowszym zbiorze o znamienym, wyraźnie ukierunkowanym tytule – „Dojrzenia światła dnia”. Bo rzeczywiście „najwspanialsze jest jego istnienie”, jego czyli kolejnego dnia i najlepszy jest „stan bez zadnych biejących bilansów, gdy wszystko ostatecznie policzone, zważone, rozdzielone”. Wtedy i koniec nie jest taki straszny. Wprawdzie nie czeka się na niego, choć „stałym wątkiem naszego istnienia jest oczekiwanie”, to jednak bierze się go w rachubę, tym bardziej, że „strata będzie sprawą tych co pozostali”. Oswajając śmierć można więc sobie z niej kpić w stylu W. Szymborskiej:

czy nazwisko będzie coś czuło kiedy  
zostanie bez Ciebie.

Innym problemem rozwiązywanym przez D. M. Sułkowską, bo w tego typu poezji (kobięca doświadczone) nie stawia się już pytań, ale udziela odpowiedzi (nie mylić z wypełnionym po brzegi odpowiedziami zbiorem wierszy pt. „Rozmowa z Tobą w czasie” mniej jednak doświadczonej E. Janusewicz, bowiem autorka ta ma temperament regulacyjno-organizacyjny) jest istnienie Boga. Jest on odczytywany przede wszystkim z księgi natury, co wydaje się być najbardziej człowiekowi dostępne:

pojmuję  
przez jedno drgnienie światła  
na łodydze trawy  
czyjś zamysł  
według którego  
jestem

To „jestem” jest jednak bardzo silne, pewne korespondujące z najwyższym „Jam Jest który Jest”; zresztą trudno się dziwić, bo i stworzeni zostaliśmy na obraz i podobieństwo do Boga. I święty Paweł kiedyś wołał: „Bogami jesteście!”, myśląc oczywiście o wiernych i dobrych wyznawcach, przez to właśnie realizujących owe podobieństwo Boga

Autorka „Ludzi i wiatru” – dokonuje wnikliwej egzegezy Pisma, szczególnie w obszarze Księgi Genesis (według Biblii, \*\*\* usłyszał je w huku pioruna) oraz głosi pochwałę, po katolicku rozumianej modlitwy, podczas której kwitną i pachną białe lilie, czemu zresztą trudno się dziwić zważywszy na fakt, iż mieszka ona w Starym Sączu, koronowanym przecież klasztorem Panien Klarisek, wśród których prym wodzi święta Kinga. A jednak w tych rozważaniach pojawia się, jakże typowy dla kobiet (J. Baziak, E. Borkowska, H. Poświatowska) rys naturalistycznego poganizmu. To efekt, nie możliwej do doświadczenia przez mężczyzn, więzi z Kosmosem. M. D. Sułkowska stawia new age'owską tezę o znikomości i powtarzalności ludzkiego bytu:

\*\*\*

czasem masz ochotę  
wniknąć w bezpieczną  
twardość ziemi  
przytulić się do korzeni  
drzew podłożyc  
pod głowę kamień  
urosnąć rozsypaną się  
w drobne grudki  
pachnące letnią  
podorywką

tylko czasem  
czujesz że jesteś  
bryłą ziemi która  
nie wiadomo daczego  
zachowuje się  
bardzo dziwnie

Człowiek wywodzi się z praoceanu, wędruje-nieswiadomo tego-po świecie, „zanim wszechmocna ręka posieje go w ziemię”.

Doprawdy, ale nijak to się ma do personalizmu chrześcijańskiego (bliżej raczej do nihilizmu mechanistycznego W. Szymborskiej) i, tak silnie przecież akcentowanego przez samą poetkę, „jestem”. Personalizm ów widoczny jest nawet w tak „obrazoburczym” wierszu jak „Niezbędny wyrok”, w którym poetka wyrzuca Bogu „to całe udawanie z „nieśmiertelnością, szczęściem, grzechem i archaniołem” i dopatruje się wyrachowanego zamysłu zmuszenia człowieka do „poczucia winy”.

No cóż, wśród poetów i kobiet trudno o konsekwencję!

A mimo tego dobry to tom, liczbowo na miarę (49 wierszy, zbiór poetycki, podobnie jak i godzinna lekcyjna w szkole, nie może być zbyt rozwlekły, bowiem wymaga specyficznego skupienia uwagi), migotliwy, choć – można mieć pewne pretensje do manieri przerzutni i inkorporacji nowomowy publicystycznej, choćby przytoczyć: „przemawia słodkim głosem, protekcyjnie gładzi po głowie”, „osoby żadne mocnych wrażeń”. W poetyce publicystycznej, a nawet i satyrycznej, utrzymanych jest kilka wierszy ni to fraszek ni to aforyzmów („\*\*\* stałym wątkiem, Złoty cielec, W cieniu, Przełom wieków, Z dziejów dyskusji, Mecz bokserki, Z rejestru spraw niemiłych, Z życia gwiazd”). Omawiany zbiór mógłby bez tych utworów się obyć, choć z kolei niekoniecznie „Kurier Starosądecki”, do którego autorka często pisze. Osobiście wykreśliłbym też teksty o poezji i o poetach, bowiem uważam je – w przypadku każdego autora zresztą – za narcystyczne onanizowanie się i bazowanie na karkołomnej tezie, że już same pojęcia „poezji” i „poety” są poetyckie.

Natomiast za żadne skarby nie pozbyłbym się dwóch ostatnich wierszy, jakby zapowiadających nowy tom. A są to wiersze o miłości, lecz nie tak starczo niedojrzałe jak to w zbiorze J. Nowak-Węklarowej czy J. Jędrzejewskiej-Baldygi było. Zamknijmy więc – otworzymy za poetką:

\*\*\*

pod twoją dłonią dojrzenia  
światła dnia  
niby jabłko pokusy  
w rajskim ogrodzie

- słońce dziś jak w tropikach  
- znowu pojaśniało  
- chyba dochodzi południe  
mówią przechodnie

twego skinienia w moją stronę  
nie pojęli

Danuta Maria Sułkowska, *Dojrzenia światła dnia*, Kraków 2003, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, ss. 58

## INSTYTUT WYDAWNICZY „Świadectwo”

świadczy usługi w zakresie edycji i kolportażu:

❖ książek ❖ broszur ❖ czasopism  
❖ prospektów i ulotek ❖ plakatów

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4  
tel. (052) 321 33 71, fax (052) 371 40 90  
e-mail: akant@akant.telvintet.pl

## Najlepsi w usługach i doradztwie!

Viterra Energy Services jest światowym liderem wśród przedsiębiorstw zajmujących się rozliczaniem kosztów zużycia ciepła, wody i innych mediów.

**viterra**  
Energy Services

## Już 10 lat w Polsce!

Największa w branży sieć dystrybucyjna obejmuje w Polsce 9 oddziałów, 30 biur pełnomocników handlowych oraz ponad 1000 firm instalacyjnych i odczytujących.

## Usługi:

- doradztwo techniczne, finansowe i prawne,
- dostawa i montaż podzielników kosztów ogrzewania, wodomierzy, ciepłomierzy i zaworów termostatycznych,
- inwentaryzacja grzejników,
- odczyty wskaźników urządzeń pomiarowych,
- wprowadzanie i aktualizacja danych w systemie rozliczeniowym,
- rozliczanie indywidualnego zużycia ciepła, rozliczanie zużycia ciepłej i zimnej wody,
- rozliczanie dodatkowych kosztów budynku lub grupy nieruchomości,
- wystawianie indywidualnych i zbiorczych rachunków,
- prognozowanie przedpłat na kolejny okres rozliczeniowy,
- elektroniczna wymiana danych,
- dzierżawa urządzeń jako forma finansowania.

## Urządzenia:

- elektroniczne **doprino®II** i wyparkowe **exemper®** podzielniki kosztów ogrzewania,
- ciepłomierze **sonsonic®II**,
- ciepłomierze magnetoindukcyjne **combimeter®II**,
- przetworniki ultradźwiękowe **ultego®II**,
- radiowy system odczytu i rejestracji danych **symphonic®**,
- system zdalnego odczytu danych **symphonic®** mbus,
- wodomierze do wody ciepłej i zimnej,
- zawory termostatyczne.



Viterra Energy Services Sp. z o.o. 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7  
Oddziały: 80-119 Gdańsk, ul. Asasora 88; Tel. (0 58) 305 54 86-9; 40-584 Katowice, ul. Śródkowa 5; Tel. (0 32) 609 97 17; 31-155 Kraków, ul. Ogrodowa 1; Tel. (0 12) 422 79 72; 20-207 Lublin, ul. Turystyczna 7; Tel./Fax: (0 81) 745 00 40; 90-046 Łódź, ul. Wodna 39; Tel. (0 42) 676 44 75; 62-529 Poznań, ul. Dąbrowskiego 81/85; Tel. (0 61) 847 36 76; 71-215 Szczecin, ul. Łukasieńskiego 110; Tel. (0 91) 487 96 61; 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7; Tel. (0 22) 549 27 30; 54-317 Wrocław, ul. Majakowskiego 7; Tel. (0 71) 376 98 70

www.viterra-es.pl

## Między Wołyniem a kosmosem i modlitwą

ALFONSA SOCZYŃSKIEGO nie trzeba bliżej przedstawiać. Znany jest czytelnikom „Akantu” z licznych publikacji, a treść i charakter jego zainteresowań najlepiej przedstawia on sam, choćby w takiej oto wypowiedzi: „Lekturę pism Vincenza łączę aktualnie z innymi pracami. Największą z nich, to zaplanowana na kilka lat praca nad książką o roboczym tytule „Magiczny Wołyń”, do której od roku zbieram materiały i szkicuję pierwsze teksty. Moja książka będzie zawierała wrażenia z sentymentalnych podróży, eseje, opowiadania i poezję, poświęcone mojej rodzimej, prawie zapomnianej już, a niesłusznie, Ziemi Wołyńskiej, która w historii naszego narodu i państwa, (...) odegrała wielką, dzisiaj niedocenioną, rolę”. („Akant”, 2003, nr 7, s. 21).

Tomik „Wołyńskie niezabudki” jest więc zapowiedzianą pracą przedczynkiem, niejako wprowadzeniem. Magiczno-poetycko-historycznym wprowadzeniem. Dlaczego również magicznym? Sam twórca na takie spojrzenie nas kierunkuje. W słowie „Od autora” pisze bowiem: „Wołyń to dla mnie nazwa niemal magiczna, w której wyraża się wiele moich osobistych mitów, to nazwa raju, utraconej arkadii, miejsce ukorzenia, moich narodzin i wielowiekowej tradycji i mojego rodu, miejsce połączenia się świata duchowego z materialnym, nieba z ziemią, heroicznej przeszłości ze zgrzebną teraźniejszością.”

Zatem już poniekąd wiemy o czym jest ta książka. Szkoda tylko, że słowo „Od autora” A. wydawca zamieścił na jej końcu. O co chodzi? Oczywiście łatwo się zorientować w charakterze tej poezji, czytając poszczególne wiersze od początku do końca. Pojawiają się jednak trudności, które, według mnie, wcześniej winny być wyjaśnione a stają się jasne dopiero na końcu. Poezja ta bowiem nasycona jest historyczno-geograficznymi realiami, czasem niemożliwymi do zrozumienia, jak choćby pojawiające się w wierszach: „Czarna Dolina”, „Wiosna na Polesiu Wołyńskim”, „Okręt Odysa”, „Noc pod Dubnem”, „Morze Czarne”. Gdzie Wołyń, Ukraina, gdzie Morze Czarne? Na końcu książki dowiadujemy się dopiero, że „Podobno ta kraina (czyli Wołyń – przyp. J.O.) w jakimś czasie leżała na dnie wodnego przesmyku pomiędzy Morzem Czarnym, a Bałtykiem. Istnieje legenda, że Morze Czarne sięgało kiedyś pod Pińsk, o czym zaświadcza wydobywanie na terenie Wołynia z ziemi bursztynu i kotwic statków.” Poza tym przedstawiony tam krótki rys historyczno-geograficzny ułatwia odbiór wierszy.

Jest więc Alfons Soczyński piewą Ziemi Wołyńskiej, miejsca swego urodzenia i czyni to od strony stricte poetyckiej dobrze. Wiersze nasycone są obrazami urokliwej jak domniemam, przyrody („Poranek w Górach Krzemienieckich”, „Stare dęby”, „Niezabudki”, czy „Hończarycha”), zapamiętanych jakby w portrecie prac lud wiejskiego („Roboczy koń”, „Koni polski” - koń - tu symbol

ciągłej, rzetelnej pracy), dziecięcych zabaw („Zimy na Wołyniu” – dziarskość, spontaniczność tychże). Poeta wręcz słyszy Wołyń („Odgłosy”), czuje jego zapach („Pory roku pod Zdobunowem”), ma wrażenie, że rozkoszuje się jego smakiem („Letnie popołudnie”). Stąd nie dziwi nas, iż w wierszu „Wiewiórka” nazywa go polskimi, kresowymi Ate-nami.

Ten grecki motyw nie jest tu odosobniony. Pojawia się w wierszu „Odyseusz 2003”. Motyw wędrowki, z nieustanną tęsknotą powrotu do źródła, jest osią tej książki. Magiczno-literacka podróż po Ukrainie kończy się jednak we Wrocławiu, w miejscu obecnego zamieszkania poety. W wierszu „Dwie góry i rzeka” pisze:

Dzisiaj nad Odrą nie wychodzę wysoko  
tamte góry tak odległe od siebie  
mieszczą się we mnie gdy jestem w kościele  
Michała Archanioła we Wrocławiu i rosna

Motyw powrotu do miejsca urodzenia, uko-chanej krainy dzieciństwa, nie jest w książce Alfonsa Soczyńskiego „Wołyńskie niezabudki” jedy-ny, chociaż kluczowy. Wyróżniłbym jeszcze dwa: spotkanie z kosmosem, katolicyzm-modlitwa. Oby-dwa wplatają się w treści omówione wcześniej. Stanowią jakby drugi biegun (zwłaszcza spotka-nie z kosmosem) charakteru tego tomiku. W wierszu „Melodia” czytamy:

Rozlegam się melodią  
w jakiejś otoczonej ze wszystkich stron  
murami pytań  
pustce

Poczucie osamotnienia, pustki swego jeste-stwa w kosmosie z jednej, a magią Wołynia z dru-giej strony. W liryku „On” autor pisze: „w morzu kosmosu / Na gałązkach wiecznej nocy Odyseusz / Poszukiwacz sensu / Ja”. Owo poszukiwanie ujawnia się szczególnie w wierszach: „Węzeł I,II,III,IV”. Tytuł nawiązuje do węzła gordyjskiego, którego, póki co, nie udało się rozwiązać, pomijając oczy-wicie kwestię Aleksandra Wielkiego.

Świadomość swego zagubienia w kosmosie i wędrowki magiczno-literackiej na Wołyń nobilituje poeta modlitwą. A jest to modlitwa szcze-gólna, bo wołyńska właśnie. W wierszu „Ten Który Jest” mamy:

Jestem przybrzeżnym drzewem  
w każdej chwili  
Przeptywa przeze mnie  
Boski strumień rodem z Wołynia  
Jego świetlisty nurt  
Przenika mnie do korzeni

Chociaż są tu również bardziej abstrakcyj-ne wyznania wiary „Bez Niego I,II” i zwiątpienia: „Bez Boga”, czy „Skrzypek”, gdzie czytamy:

Gdy nie ma Boga  
cały kosmos jest owadem w butelce  
o miliardach wymiarów  
z których ledwo pojmujesz cztery

Stąd pojawiają się w końcowej części „Wo-łyńskich niezabudek” wiersze o charakterze egzy-stencjalnym, traktujące o przemijaniu, np. „Do nieznannej jeszcze Julii”, „Jeszcze za wcześniej”, „Dzień zmarłych”.

W kontekście więc kluczowego, pachnącego Odyseuszem, a smakującego Wołyniem tematu: magiczne miejsce urodzenia, występują również in-teresujące przemyslenia.♦

Alfons Soczyński, Wołyńskie niezabudki, Wrocław 2003, ss. 64

## Miasteczko Turek

ELŻBIETA GALOCH wygrała kilkadzie-siąt konkursów literackich, m.in. konkurs na Debiut Poetycki (książkowy) XI Nadnyskich Spotkań literackich w Zgorzelcu (25–26 paź-dziernika 2002 r.).

Czy wydanie w profesjonalnej oficynie de-biutanckiego (konkursowego) tomiku jest pierw-szym poważnym krokiem w „karierze literackiej”?... Wielu poetów wygrywa konkursy na debiut książ-kowy... i po jakimś czasie rozplywa się w „lirycz-nej mgle”.

Sensacyjny jest tytuł nagrodzonego tomiku: „Włamanie do”. Pierwotny tytuł książki brzmiał: „Włamanie do rzeczywistości”. Myślę, że ostatecz-ny „nagłówek tomiku” jest uzasadniony. Poezja nie lubi dosłowności.

Powróćmy jeszcze do kulis zgorzeleckiej imprezy. Oto, co Stefan Bednarek pisze na temat konkursu literackiego: „Wstyd przyznać, ale (...) tym razem zamierzałem poddać się sugestiom zapro-szonego do jury prof. Stanisława Beresia, który – jako juror Literackiej Nagrody Nike – obcuje z arcy-dziełami, więc zapewne smak ma wyrafinowany i nie-omylny. Rozczarowałem się nieco, bo opinie jego nie-pokojąco bliskie były moim. Z wielkiej strefy nade-słanych utworów wyciągnęliśmy prawie te same i tak samo nieliczne. Jeśli jeszcze dodam, że kolega Marian Szalecki także wskazał prawie te same, obrady jury trwały krótko i zaowocowały jednomyślnie przyję-tym werdyktem (...)” („Rozterki jurora”, s. 50). Moje dwie uwagi „na marginesie” wypowiedzi prof. S. Bednarka. – Myślę, że żadna z książek – laureatek Literackiej Nagrody Nike – nie zasłu-guje na miano arcydzieła. Natomiast „Rozterki jurora” zgorzeleckiego konkursu mogą być zbież-ne z rozterkami jurorów pozostałych konkursów literackich w Polsce.

W Zgorzelcu największe wrażenie na komi-sji konkursowej wywarł tomik poetycki przesła-ny na debiut książkowy (organizatorzy XI Nad-nyskich Spotkań ogłosili też konkursy: poetycki, prozatorski oraz tematyczny – Rzeki-brzezi-moty). Jurorzy dostrzegli w utworach poetyckich E. Galoch – ład i dyscyplinę twórczą. Zwrócili też uwagę na umiejętność budowania poetyckiego obrazu. Wśród pozostałych zbiorów wierszy nie było tak dojrzałego do druku w postaci książki.

kim jest Elżbieta Galoch? Z „Notki biogra-ficznej” (s. 47) możemy wyczytać, że autorka „Włamania do” ma wykształcenie wyższe (mię-dzy innymi studia magisterskie na Wydziale Teo-logicznym ATK w Warszawie). Rzecz jasna, dy-plom ukończenia studiów nie daje artyście pa-tentu na dojrzałą twórczość. W naszej szalonej epoce poeta musi kształcić się sam; musi też dźwi-gać ciężar wyboru idei poetyckiej.

E. Galoch mieszka w Turku (woj. wielko-polskie), gdzie pracuje jako nauczycielka w li-ceum Ogólnokształcącym. Dlatego w debiutan-cim tomiku podejmuje próbę demaskowania ne-gatywnych przejawów rzeczywistości prowincji polskiej:

W tym miasteczku niektórym z moich  
znajomych

Bóg przypomina martwe okna  
jest przeszkodą do lepszego życia  
Jednak mieszka się tu zwyczajnie  
głośno załatwia się interesy  
jeszcze głośniej zlorzeczy i przeklina

(\*\*\* „w tym miasteczku...”, s. 9)

W tym miasteczku „nawet czasem chodzi się na poetyckie wieczorki”; jednak poezja nie łagodzi obyczajów: „I tam wszyscy wszystkich dostrzegł/ podrzucą oszczerstwa na progach/ jak butelki po pi-wie”.

Sztuka i doświadczenie

PRACOWNIA PLASTYCZNA  
HALINY I WŁODZIMIERZA KRZEMKOWSKICH

Hart

ul. Malinowa 6, 85-363 Bydgoszcz  
tel. 052/379 67 89, e-mail: krzemart@abas.pl

Usługi z zakresu:

grafika użytkowa, reklama, informacja  
wizualna, projektowanie mebli i wnętrz

Po przeczytaniu tomiku E. Galoch ponownie „przesłuchałem taśmę” z nagraniem piosenki „Miasteczko Bełz” (słowa: Agnieszka Osiecka, wykonanie: Magda Umer). W wierszach autorki „Włamanie do” pojawiają się podobne klimaty... Nieprzypadkowo patronem tej poezji jest Bruno Schulz. Ten „liryczny prozaik” urodził się w 1892 roku w Drohobyczu. Od 1924 do 1941 roku był nauczycielem rysunków ręcznych w szkołach drohobyckich. Jego dwa cykle opowiadań – „Sklepy cynamonowe” (1933) i „Sanatorium Pod Klepsydrą” (1936) – pisane liryczną prozą poetycką, są fantastycznym przetworzeniem realiów małego miasteczka galicyjskiego sprzed I wojny światowej. W „lirycznej prozie” B. Schulza podstawową zasadą kształtowania świata przedstawionego jest mit, co w skali pamięci jednostkowej oznacza cofnięcie się w świat dzieciństwa i jego mitologii.

Wiersze E. Galoch mają wiele punktów stycznych z prozą poetycką B. Schulza. Jej świat poetycki

(...) z trudnością przedziera się  
przez korytarze znajomych  
Mają zbyt mało marzeń w sobie  
bezbarność jest u nich częstym gościem  
Zostawiają po sobie  
plany zapędzone w ślepe uliczki

(„Włamanie do”, s. 7)

Jedynie poezja chroni autorkę debiutanckiego tomiku przed... „rzuceniem się z mostu” albo „podcięciem sobie żył” („Mój przyjaciel Bruno Schulz”, s. 27). W wierszach E. Galoch podmiot liryczny funkcjonuje jako ekwiwalent osoby poetki; można powiedzieć, że autorka „wychodzi” do swoich utworów:

Gdy piszę spotykam przyjaciela  
Bruno bezpiecznie prowadzi mnie  
przez brudne korytarze bloków  
ludzkie klatki podświadomości  
uczy na nowo chodzić po chodnikach  
jak po kocich łbach  
Wtedy niesiemy w słowie ptaka  
naprawiamy skrzywione krajobrazy miasteczka

Tylko tak chronimy siebie

(s. 27)

Miasteczko Turek jest niezniszczalne... „choć przesuwają się granice tolerancji” („moja Europa”, s. 43). Miasteczko trwa „w swojej skorupie nieczułości/ jak tysiącletni grzyb” (s. 43).

Niestety w „Mojej Europie” pojawiły się dwa młodopolskie rekwiizyty: wspomniana „skorupa nieczułości” i „wierzba skazana na wycięcie”. Budując jest to, że poetka rozwija w sobie pasję poznawczą, więc „iluzje odpadają” od niej, jak „łuski rylny/ ze świeżo pomalowanych kamieniczek w rynku” (s. 43). Mniej optymistyczne jest to, że w Turku (i innych miasteczkach III RP) „unijska” Europa rodzi się pozornie

choć wysoko powiewają flagi zjednoczonych narodów

i wszędzie sadi się kolorowe bratki  
ale szkolne uroczystości i plakaty  
nie otwierają zrozumienia  
w ludzkich głowach uwiązł zaścianek  
i poluje się na czarownicę

(s. 43)

Z takimi miasteczkami chcemy wejść („włamać się”) do „zjednoczonej” Europy (piszę ten tekst po unijnym referendum). Niestety, przesądów (i urojeń!) nie da się usunąć „jak butwiejących liści” (s. 43). W naszych „zwyczajnych miasteczkach” przesady „wciąż gryzą nienawiścią/ naszym graffiti na blokach”.

Elżbieta Galoch, Włamanie do, Oficyna Wydawnicza „Ohrzeża”, Zgorzelec 2002, ss. 56

## Alfons Soczyński

### Żaby i zaskroniec

Latem staw zda się być opanowany przez żaby, z wyjątkiem dni i chwil, gdy nie pluskają się w nim moje wnuki i ich koleżanki oraz koledzy.

W upalne dni od samego rana płazy plawią się w wodzie, jakby zawieszane na powierzchni, z rozkraczonymi kończynami lub wylegają się nieruchome na brzegu w piasku, stanowiąc jakby kwintesencję lenistwa. Jednak pod pozornym bezruchem, kryją napięcie i oczekują na ofiarę, niczym drapieżniki. Chwilami w swojej wyobraźni powiększam je do rozmiarów kilkotonowych bestii i wyobrażam sobie, że znalazłem się nad brzegiem upalnego jurajskiego morza, pełnego czatujących potworów. Okolice opanowały złowieszcze duchy pożądliwości i sytości.

#### Polykanie muchy

Wielka żaba zielona dostrzega, jak w odległości trzydziestu centymetrów od niej, wylądowała na piasku, na chwilę odpoczynku, duża mucha. W żabie odzywa się duch krwiożercy. Jej zimny wzrok przeszzywa upatrzoną ofiarę i jakby przytwardza do wilgotnego piasku. Jej ciało zamienia się w pełen napięcia mechanizm chwytny. Żaba skrada się, niemal niedostrzegalnie sunie w kierunku ofiary, zatrzymuje się, to znów pełnie do przodu, niczym lew do gazeli, z oczyma utkwionymi w owada. Pragnie skryć się pod powierzchnią piasku, skulona, jak najmniej widoczna. Gdy jest już w odległości kilku centymetrów od plawiącej się w słońcu grubej, nonszalanckiej plujki, wykonuje ostatni zestaw kilku skoordynowanych doskonale, jakby równocześnie przeprowadzonych czynności – nagły skok z otwartą gębą w pobliże celu, wyrzut lepkiego języka, do którego przykleja się ofiara, cofnięcie języka i zamknięcie gęby, wraz z pochłonięciem ofiary. Potem obserwuję pełny zadowolenia ruch przełknięcia na jej podgardlu. Od tej chwili zacznie się proces trawienia i mucha zamienia się w organizmie żaby w kęs pokarmu.

#### Polykanie motyla

Wielka żaba zielona wygląda jakby usiłowała połknąć spadochron. Z jej pyska wystaje szamocący się strzęp białej materii. Oczywiście ktoś, kto kilka sekund wcześniej podglądał żabę, widział, jak skradała się po przybrzeżnym piasku do motyla bielinka kapustnika. Kapustniki lubią w upalne dni siadać na brzegu stawu. Dla niektórych, moment wychnienia od upału może stać się ostatnim momentem w ich szybowaniu, czy balansowaniu pomiędzy niebem a ziemią, w rejonach duchów bliższych ziemi aniżeli nieba. Żaba wystrzeliła w odpowiednim momencie swój język w kierunku motyla. Trafila. Motyl przykleił się do języka, po czym cofnął się do gęby, która jednak nie była w stanie pomieścić całego motyla. Półowa tułowia i głowa zmieściły się, reszta pozostała na zewnątrz. Skrzydła, jeszcze gdy za-

## Podpatrzone w Starej Hucie



Żaba zielona znad mojego stawu  
fot. Alfons Soczyński

częliśmy przyglądać się tej scenie, szamotały się, widać motyl podejmował jakieś, nie mające szans na powodzenie, próby wyrwania się z paszczy drapieżnika. Był to moment nadzwyczaj dramatyczny, gdyż chwilami mieliśmy wrażenie, że żaba się udusi i nigdy nie przełknie ofiary. Jakże rozpaczliwie usiłuje pokonać syndrom wąskiego gardła. Przyglądają się temu dwie mniejsze żabki, które jakby czekały na okrucy ze stołu tej dramatycznej uczty. Jednak tym razem, nasza bohaterka wychodzi zwycięsko z próby. Ostatnie strzępki, już nieruchomych białych skrzydeł, znikają w jej gębie. Przełknięcie – ta chwila jest ulgą, teraz już nie nerwy i głowa, ale żołądek przejmują pałeczkę życia żaby i śmierci motyla.

#### Polykanie żaby

Z trzcina nad stawem słychać piski, jęki, zawodzenie, to znów odgłosy jakby płaczu niemowlęcia. Zbliżam się zaciekawiony do tego miejsca i widzę scenę, jakiej jeszcze nie widziałem w życiu ani na filmie. Czarny zaskroniec okręcił się wokół ciała dużej żaby zielonej i próbuje ją wziąć szczękami, uchwycić oraz włożyć do gęby. Żaba się rozpaczliwie broni, szamocze, walczy, usiłuje wyrwać ze śmiertelności uścisku. Już sobie wyobrażam, jak schwyta za głowę, powoli znika w jego paszczy. Zaskroniec wygląda jak wstążkowaty, pozwijany potwór, czający się w trzcinach. Nie raz widuję, jak zygawkowatym, niewiarygodnie szybkim sprintem, pokonuje staw wzdłuż i wszerz. Często, gdy się zbliżam, wyczuwa moją obecność na kilkadziesiąt metrów i daje susa do wody. Zaskroniec na mój widok puszcza żabę i wślizguje się do stawu. Po chwili znika, gdyż wybiera, nie wiem z jakiego powodu, pływanie pod wodą. Tym razem polykanie żaby nie odbyło się. Zamiast wrócić do swojej kryjówki z nadętym w jednym miejscu brzuchem i oddać się leniwemu trawieniu żaby, musiał na nowo zapolować. Rano w trzcinach czał się zaskroniec, może ten sam, gdyż wielkością przypominał tamtego, któremu popsulem wczoraj posilek.

## Dzień dobry, Redakcjo

Od jakiegoś czasu po łamach „AKANTU” przetaczają się uwagi bardziej lub mniej pochlebne na temat konkursów. Jako że również pragnę wynieść na światło dzienne trochę mojej twórczości, przeto biorę udział w różnych konkursach.

Bardzo trudno przebić się przez stopy nadsyłanych prac, jeszcze trudniej jest zostać nagrodzonym. Ale miło jest, gdy się zostaje zauważonym. Jak chociażby, przez organizatorów XII Edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego w RADZIEJOWIE KUJAWSKIM.

Znam kilka osób nagrodzonych za udział w konkursie dyplomem. Jest to także pewna satysfakcja. No i cisza okołokonkursowa została roz-

wiana i w twórców wstępuje nowa wola walki o laury.

Życzę „AKANTOWI”, aby na jego coraz obfitszych stronach, można było częściej o tym czytać.

Barbara Tylman

Publikacja mego opowiadania w lipcowym numerze „Z pamiętnika wariata” uczyniła mnie najszczęśliwszym człowiekiem świata. Ponadto ośmielony, a raczej oszołomiony niebotycznym sukcesem, za jaki mam wyróżnienie w plebiscycie Tulipan „Akantu” zdecydowałem się posłać państwu drugą część owego opowiadania – żywiąc nadzieję, iż ujrzy niebawem światło dzienne drukiem na stronach Wielce Szanownego Miesięcznika Literackiego.

Włodzimierz Rutkowski

## Nowe tytuły

**Janina Biedowicz**, Mongolska kochanica, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 122

**Barbara Dziekańska**, Zapalę noc, Chrzanów 2003, Wydawnictwo „Itatis”, ss. 188

**Arkadiusz Kremza**, Brania, Kraków 2003, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, ss. 40

**Janusz Garlicki**, Ruda mała i inne opowiadania, wydanie II, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 56

**Grażyna Jaszewska**, Spacer skrajem wyobraźni, Szczecin 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 48

**Piotr Kitrasiewicz**, Sekrety pisarzy, wydanie II, Warszawa 2003, Wydawnictwo „Nowy Świat”, ss. 118

**Roman Misiewicz**, //...//punkt/ów//zaczę/p/i/en. i: a//...//, Rzeszów 2003, Towarzystwo Literackie im. Stanisława Piętaka, ss. 40

**Bernard Najdek**, Światło na drodze, Zielona Góra 2002, Regionalne Centrum Animacji Kultury, ss. 108

**Adam Pluszka**, Łapu capu, Kraków 2003, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, ss. 150

**Małgorzata Szweda**, Jego dotyk, Sepólno Krajeńskie 2002, Firma Usługowo-Wydawnicza „Daniel”, ss. 40

**Red. Grzegorz Szymczyński**, Postępy andrologii, cz. 4, Bydgoszcz 2002, Wydawnictwo „Andromed”, ss. 334

**Mateusz Wabik**, Przestrzeń lokalna, Kraków 2003, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, ss. 40

**Rafał Berger**, Gdy czas przemija, Warszawa 2003, Stowarzyszenie Jedności Muzułmańskiej, ss. 32

**Jerzy Binkowski**, Na drugą stronę białych brzoź, Białystok 2003, Fundacja Edukacji i Twórczości, ss. 102

**Mieczysław Kilian**, Nitki babiego lata, Chelmo 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 102

**Leszek Łęgowski**, Na zawsze Bydgoszcz, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 84

**Piotr Rakowski**, Szkoła rabinów, Katowice 2002, Wydawnictwo „Ego”, ss. 66

**Roman Warszawski**, Sztuka rozniecienia ognia i inne opowiadania, Gdańsk 2003, Wydawnictwo „Tower Press”, ss. 116

## Dzień dobry, Redakcjo

Z radością wypatruję kolejnych numerów „Akantu”. Lubię Wasze pismo, bo w ciąglej pogoni, jaką obecnie narzuca życie, pozwala mi ono przystanąć na chwilę i zadumać się

Justyna Brzezińska

Dość rzadko piszę do prasy literackiej, jednakże lektura kolejnych numerów „Akantu” zapewniła mnie w przekonaniu, że nic, co z literaturą jest związane, nie umyka Państwu uwagi.

Marian Janusz Kawalko

Jestem pełen uznania dla redakcji „Akantu”, że w czasach pop-masowego wyścigu ludzi, wciąż działacie i dzięki Wam można być na bieżąco ze sztuką, nie za pomocą kolorowych reklam w *Empikach*, lecz dzięki fachowej krytyce.

Kamil Łuczak

Ucieszył mnie artykuł w majowym numerze „Akantu” dotyczący Jacka Kaczmarskiego. Dodam - bardzo ucieszył fakt, że „Akant” nie zapomina o wielkich współczesnych - może nie dostrzeganych przez młodsze pokolenie ze względu na inny „klimat”, którego dotyczyła ich twór-

czość (nie tak znowu odległa), a w przypadku J. Kaczmarskiego dotyczy ona Polski.

Mariusz Trynkiewicz

Onegdaj napisałam do Was, jak zwykle na ćwiartce papieru, w miarę dowcipnie, unikając niepotrzebnych złośliwości.

Tekst zagaął.

Już nie będę. NIECH SIĘ STANĘ!

Mam przed sobą majowy „Akant” z 2003 roku. Opieram się tylko na tekstach w nim zamieszczonych, a czytałam je uważnie, zatrzymując się na stronie 15, czyli na haiku Władysława Kłepki: „... koniec wygnania” a następnie „... jeźdźcy niosą drzewa” żeby je otworzyć (!)

Ostrzegam! Wiem zbyt wiele o schizofrenii.

Hanna Sobolewska-Kurowska

„Akant” jest zbiorem publikacji w prozie i poezji dobowanych według kryterium wartości i oryginalności. To decyduje o jego powodzeniu wśród czytelników, którzy w czasopiśmie chcą widzieć rzeczy nowe. Takie, które wzbogacają życie literackie.

Bernard Najdek

W sierpniowym numerze „Akantu” znalazłem kilka wartościowych tekstów, m.in. recenzję pt. „Wygrała «chwila» z Szymborską” Stefana Pastuszewskiego, a dotyczącą zbioru wierszy Danuty Kostewicz „Punkt”.

Tak, czyli dogłębnie, literacko, trzymać!

Tadeusz Lira-Słiwa

## Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Szef kuchni oferuje dania kuchni polskiej i międzynarodowej. Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz  
tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24



### Numer sponsorowany przez Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy

#### FUNDATORZY „AKANTU”

Tomasz Agatowski	Zdzisław Łączkowski
Jadwiga Badowska	Milosz Kamil Manasterski
Piotr Baranowski	Anna Mickiewicz
Maksymilian Bart-Kozłowski	Hanna Mierzwa
Teresa Borkowska	Bernard Najdek
Wacław Buryła	Daniela Nespodziana
Honorata i Tadeusz Chróścielewscy	Anna Obuchowicz
Renata Cieszyńska	Kalibst Piechocki
Stawomir Stanisław Czarniecki	Edmund Pietyk
Ryszard Danecki	Włodzisław Polaczek
Małgorzata Dobkowska	Zbigniew Przybyński
Jacek Durki	Wojciech Reszka
Zdzisław Dywicki	Józef Jacek Rolek
Ełtom	Antoni Skibiński
Stawomir Fetter	Jan Stanisław Smolewski
Irena Gaszcz	Krzysztof Stanisławski
Andrzej Giersz	Stowarzyszenie Jeszcze Żyjących Poetów
Monika Gladysz	- Zielona Góra
Robert Gotowski	Danuta Sułkowska
Jerzy Grupiński	Maria Szyszka
Krzysztof Gryś	Natalia Tadych
Miłostawa Gumpert-Hause	Jan Adam Tomaszewicz
Krzysztof Hadasz	Daromila Tomawska
Teresa Januchta	Miroslaw Tryczyk
Danuta i Aleksander Kaczmarkowie	Barbara Tyłman
Antoni Kaniasty	Szczepan Warmiak
Jacek Karolak	Ireneusz Wieczorek
Mieczysław Kilian	Małgorzata Wojciechowicz-Lewicka
Eugenia Klak	Mieczysław Wojtasik
Janusz Kobierski	Anna Zabacka
Danuta Kostewicz	Włodzisław Zieliński
Hanna i Włodzisław Krzemkowscy	Andrzej Ziobrowski
Zbigniew Kwicirski	Lucjan Zuzia
Ryszard Lisowski	Jan Żejmo
Ryszard Liszka	

## poligrafia MAGENTA

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2  
tel./fax (0-52) 328 72 77  
e-mail: magenta48@wp.pl

### Oferujemy druk:

- książek,
- folderów, katalogów, wizytówek,
- listowników, ulotek reklamowych,
- kalendarzy, itp.

### Rzadkie techniki:

- zanikający, ale szlachetny druk typograficzny,
- tłoczenie, wykrawanie, zlocenie,
- unikatowe introligatorstwo.

### Zapewniamy

wysoką jakość naszych wyrobów!

## MIESIĘCZNIK LITERACKI AKANT

Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelny  
Konrad Papala – red. wyd. internetowego  
Artur Kubasik – redaktor  
Andrzej Orylski – redaktor  
Jolanta Papala – korektorka  
Beata Anna Pokorska – redaktor

Katarzyna Wodecka – redaktor techniczny  
Grzegorz Misiewicz – kierownik marketingu

Konto: PKO BP SA I/O Bydgoszcz

10201462-73033-270-11

Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4

85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71

tel./fax 052/371 40 90

✉ e-mail: akant@akant.telvnet.pl

Naświetlanie: „TANGRAM”, ul. Jaskółcza 42, Bydgoszcz

Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

### RADA REDAKCYJNA:

Marek Pietrzak – przewodniczący

Michał Krzemkowski, Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,

Zdzisław Rozwada-Rutkiewicz, Mieczysław Wojtasik, Włodzisław Zieliński

